

Maciej Maciejewski

W piekle lepiej być nikim

1

O drugiej w nocy było po wszystkim. Wrócił do mieszkania i od razu poszedł do łazienki. Najpierw dokładnie umył dłonie, potem wziął prysznic. Dobre dwadzieścia minut stał z zamkniętymi oczami i z twarzą wystawioną na strumieniu spadającej wody. Później pogasił wszystkie światła i stanął w oknie. Nie czuł nic. Pomyślał jedynie, że to żalosna puenta. Że musiał ją zabić właśnie tutaj. Musiał, skoro odbyła taką drogę. Jakiś powinien być przecież sens tej podróży.

Śmieć go zaskoczył. Bogu dzięki, że się poruszył. W ciemności i w gęstej mgle nie zdołał dobrze ocenić jego wieku. Niemniej wyglądał młodo. Mógł stawić opór. Ale zeszywniała strachem, zgarbiona sylwetka, ledwo odrysowana na tle jesiennych liści, pozostała nieruchoma. Przerażone oczy wpatrywały się w postawnego, eleganckiego pana o długich, siwych włosach, który mówił. Spokojnie, bez pośpiechu opowiadał przyjemnym dla ucha, niskim głosem. Opisywał, co robi i dlaczego. Tłumaczył i wyjaśniał. Uśmiechał się nawet, choć czuł odór miesiącami niemytego ciała i gnijącego ubrania. Nie poruszył się nawet wtedy, kiedy stanął za jego plecami i szepnął: Uklęknij i pomódl się do Pana swego, by okazał ci łaskę.

* Nie spiesz się * poradził mu kiedyś mężczyzna w białym garniturze. * Rób wszystko powoli i dokładnie. I mów, nawet jeśli ci się wydaje, że w tej sytuacji nie masz nic do powiedzenia. Cokolwiek powiesz, to zawsze pozostawi właściwe wrażenie. Stosuj się do procedur, one z reguły nie zawodzą.

* Zastosowałem się. Po prostu zamknąłem drzwi, przekręciłem klucz i wyrzuciłem go. To wszystko * powiedział głośno.

Procedury zabijania są proste jak kij od szczotki. Jednorazowe gumowe rękawiczki zapakowane w foliową torebkę zabrał ze sobą. Spali je przy okazji.

Okno było na piętnastym piętrze i widział z niego rzekę. Akurat teraz przesłoniętą mgłą. Z wysokości piętnastego piętra nigdy nie czuł smrodu wody. Zresztą ktoś mu powiedział, że już nie śmierdzi jak dawniej. Widział również most i sunące po nim samochody. Miasto jest po to, żeby żyć. Na okrągło. Dzień i noc. Bez wytchnienia. Miasto nie ma prawa do czasu na sen. Kiedy wynajął to mieszkanie * mama dała pieniądze, tata miał to gdzieś * wtedy miasto spało, noc w noc. Patrzył na pusty most, a w uszach dźwięczała cisza. Raz na godzinę zakłócało ją popierdywanie nocnego ogórka. Kiedy ostatecznie tu wrócił, kiedy wszystko się zamknęło, znów stanął w oknie i z satysfakcją odkrył, że miasto wreszcie przestało spać. I niech tak zostanie, pomyślał.

Powisłe było jego miejscem. Bóg jeden wiedział, dlaczego aż tak bardzo przywiązał się do tego podłego, szarzielonego skrawka miasta. Może dlatego, że kiedy stał na Solcu, plecami do Tamki, lubił tę ciasną perspektywę domów zamkniętą dwoma mostami. Ani się tu urodził, ani wychował. Wyjeżdżał stąd na lata całe, ale jakkolwiek by kombinował, jakiegokolwiek przyjął założenia, zawsze musiał tu wrócić. Zawsze. Miniaturowe mieszkanko na ostatnim piętrze wieżowca. Pani Z. zapewniła, że z cegły, ale przecież nie będzie skuwać tynków, żeby to sprawdzić. Jego zdaniem wszystkie

wieżowce zrobiono z betonu. Na lewo od mostu Poniatowskiego, jeśli stanie się twarzą do Wisły. Z roku na rok ból w stawach pani Z. był coraz dokuczliwszy, dlatego postanowiła przenieść się do młodszej siostry w Choszczówce. Córka miała mieszkanie, bagatela, trzy pokoje na Ursynowie, przy Dereniowej, ale wyemigrowała z mężem i dziećmi do Kanady. Mieszkanie przy Dereniowej sprzedała.

Oczywiście i Bóg, i on sam dobrze wiedzieli, dlaczego się przywiązał. Bo kiedy z górą trzydzieści lat wcześniej po raz pierwszy stanął w tym właśnie oknie i spojrzął na drugi brzeg, tam, gdzie powinna być Saska Kępa, wiedział już, że patrzy na samego siebie. Żadne lustro. Patrzył na obiekt. Bardzo odległy. Ostatecznie Wisła jest jednak szeroka. Dzień był szary i zamglony. Jak dzisiejsza noc. Wszystko było

wilgotne, miasto pozbyło się swoich nielicznych kolorów. Deszcz wisiał w powietrzu, ale tam został. Potem przyszedł lekki wiatr i rozgonił mgłę. Początek jesieni, dobrze to zapamiętał, bo na Agrykoli w trawie leżały pękające kasztany. Bezbarwny i nijaki smutek snuł się po zakurzonych kątach pokoju bez mebli, a jedyne, czego pragnął wówczas najbardziej, to rozmyć się w tej szarości powietrza. Roztopić w niej bez reszty. Utracić barwę, kształt i właściwości.

* No dobrze, to gdzie ja jestem? * zapytał wreszcie. * Tu czy tam?

* Tam * odparł natychmiast, choć nie do końca jeszcze pewien, czy to poprawna odpowiedź. Bo tam są mama i tata. Bo tam jest dom, w którym się urodziłeś. Tam jest twoje dzieciństwo. Tam jest wszystko to, z czego jesteś i czego szczerze nienawidzisz.

* Więc kto jest tutaj? Kto stoi w oknie na ostatnim piętrze wieżowca na Powiślu i kto patrzy na Saską Kępę, której nie widać, bo mgła?

* Ktoś inny.

* Ale kto?

Tego jeszcze nie musiał wiedzieć, zaledwie dwudziestojednoletni, trzeci rok studiów, choć miał już przecucia. Niemniej odpowiedź była tak pogmatwana, tak zaciemniona, że dla kogoś postronnego mogła stanowić nie lada zagadkę.

* Synu, bredzisz * powiedziałaaby jego racjonalna matka. * Nie ma cię tu. Przeniosłeś się na drugi brzeg Wisły. I adresu nie zostawiłeś, choć proszę cię o to za każdym razem, kiedy nas odwiedzasz. Mówiąc szczerze, w ogóle tego nie rozumiem.

Ukrywasz się przed nami?

Oczywiście, że się nie ukrywał, a ona tak naprawdę miała ten adres w dupie. Ojciec nawet nie zauważył, że już z nimi nie mieszkał. Nie oderwał wzroku od czarno*białej klawiatury fortepianu, kiedy on wychodził z domu z silnym postanowieniem, żeby do niego już nigdy nie powrócić. Ojciec siedział zgarbiony i nieruchomy, w szarym swetrze przetartym na łokciach. Pod swetrem flanelowa koszula w kratę, tak sprana, że dawne wzory stopiły się ze sobą, tworząc pastelowy melanz. Marzył już od wczesnej jesieni. Gdy nadchodziły mrozy, wkładał baranią kamizelkę, którą w sześćdziesiątym trzecim kupił w Bułgarii. Używał tylko prawej dłoni i obywatel się bez

słów. Zamiast nich jeden irytujący dźwięk. Klawisz fortepianu zmieniał się rzadko i bez reguły. Uderzał w niego tak długo, aż wyczerpał wszystkie tkwiące w nim możliwości. Raz zajmowało mu to godzinę, innym razem cały dzień. Gorzej, kiedy dla zgłębienia jego tajemnicy trzeba było aż dwóch dni.

Plim*plim*plim*plum*plum*plum*plam**plam*plam.

* Wybacz, że pytam, ale to dosyć charakterystyczne nazwisko * zapytała go nauczycielka historii we francuskim liceum na Saskiej Kępie. Był już w trzeciej klasie. * To twój ojciec?

Wtedy nie umiał jeszcze kłamać. Zresztą nie miał powodów. Nie wiedział, że są powody, dla których powinien skłamać. Więc dumnie wypiął pierś, a nieczytelny grymas na chwilę wykrzywił twarz nauczycielki. Trzy lata później, stojąc w tym właśnie oknie i patrząc na zakrytą mgłą Saską Kępę, wiedział już, że tu nie ma przebaczenia. Poza wszystkim to jednak beznadziejnie nudne, jedno imię i jedno nazwisko raz na zawsze, do usranej śmierci. Taka nieznośnie monotonna jednostajność. Niepotrzebnie dana raz na zawsze osobność. Odrębność, której nie sposób się pozbyć. Dystynkcje, naszywki na pagonach, których nie można odpruć, a które wlokły się wraz z człowiekiem aż do grobu. Jak kantata o wielkim językoznawcy. Skomponował jeszcze ogromną pawanę na jego śmierć, gdy językoznawca zgasł wreszcie w Panu, ale potem było przecież kilkadziesiąt weselszych piosenek. I o grzybkach, i o karuzeli. Jedna nawet o hipopotamie, a jeszcze inna o Mokotowie. Skąd mu się wziął ten Mokotów? Okupację i powstanie przeżył w Śródmieściu. Potem już tylko Saska Kępa. Językoznawca, grzybki z karuzelą, hipopotam i Mokotów, to był jednak spory bagaż. Trzydzieści z górą lat temu, stojąc w tym oknie i patrząc na Saską Kępę, miał już tę pewność, że lepiej nie nosić tego wszystkiego przy sobie. Bo to ciężar, a ciężar zawsze opóźnia marsz. Lepiej opróżnić kieszenie, ich zawartość schować do pudełka, a pudełko znieść do piwnicy lub przynajmniej ukryć na dnie szafy, pod bielizną. Nie trzeba wyrzucać. Po prostu odsunąć na bezpieczną odległość. Jaka odległość jest bezpieczna? Piętnaste piętro i szerokość Wisły to jest już odległość względnie bezpieczna. A reszta niech się roztopi w szarym powietrzu.

* Stawiasz jakieś dodatkowe warunki? * zapytał mężczyzna w białym garniturze, kiedy po raz pierwszy usiedli na tarasie maleńkiej kawiarni na wzgórzu, z dala od centrum miasta.

I

Był sierpień, słońce paliło jak zawsze tutaj o tej porze, mężczyzna w białym garniturze się pocił. Węzeł krawata wrzynał się w otłuszczoną szyję, ale on go nie poluzował. I nie zdjął marynarki. Miał rozlazłą nadwagę typową dla wypasionych ludzi ze swojego kraju, ale w tym zwalistym, ospałym ciele, w tym leniwym i grubaśnym przegubie oplecionym bransoletą złotego roleksa ukrywała się szybkość i przebiegłość.

* Chcę być kimś innym * odparł szczerze.

* A konkretnie?

* Nikim.

Pierwszy raz powiedział to głośno. Wprost i komuś obcemu. Zdziwił się, że poszło tak łatwo. Mężczyzna w białym garniturze w lot pojął ideę, bo odparł lekko:

* Na swój sposób chyba już jesteś.

* To za mało.

* Chcesz więcej?

Skinał głową. Pili kawę. Albo udawali, że piją. Mężczyzna w białym garniturze nawet nie tknął filiżanki.

* Obaj sporo ryzykujemy. To jest jednak kradzież. * Niespodziewanie parsknął śmiechem.

Wzruszył bezradnie ramionami. Mężczyzna w białym garniturze się zamyślił.

Odchylił połę marynarki, by nieco przewietrzyć przyklejoną do pleców koszulę.

* Musisz się tego nauczyć * powiedział nagle.

* Zrobię to. Szybko się uczę. Mam łatwość.

* Nie jesteś agresywny.

* A powinienem być?

Mężczyzna w białym garniturze nie odpowiedział. Odsunął spodek z filiżanką na środek stolika, by zaraz przysunąć go z powrotem.

* Jestem pewien, że tego też mogę się nauczyć. * On dodał to jeszcze, żeby tylko zamknąć ten wątek.

Plim*plim*plim*plum*plum*plum*plam*plam*plam. Nie znalazł sposobu, żeby z tym wytrzymać. Ściany jego pokoju w mieszkaniu, w trzypiętrowej kamienicy z dwudziestego szóstego, były grube, nie na tyle jednak, żeby powstrzymać nieznośny, jednostajny dźwięk, który świdrował kość czaszki i wdzierał się do mózgu.

* Dlatego muszę się wyprowadzić, mamó. Jestem już na drugim roku. Chcę skończyć te studia. Będę miał bliżej na uczelnię.

* Oczywiście, że je skończysz. Są beznadziejnie łatwe, a ty jesteś bardzo inteligentny. Nie rozumiem, dlaczego je wybrałeś. Po jaką cholere ci ta dziwna filologia?

* Zawsze lubiłem bawić się słowami.

* Nie mogłeś wybrać czegoś bardziej użytecznego? Na przykład anglistyki? Masz jakiś pomysł, co będziesz robił po dyplomie?

* Może przetłumaczę jakieś książki? Mają wielu świetnych pisarzy. Jeden nawet dostał Nobla. Inny był brany pod uwagę. Nadal jest.

Był czerwiec, zbliżała się północ i ojciec już spał. Siedzieli w kuchni. Zaledwie kwadrans wcześniej wróciła z pracy do domu. Najpierw naląła sobie wódki do kieliszka, opróżniła go po męsku, za jednym zamachem, a zaraz potem zapaliła papierosa.

* Przepraszam, że tak późno. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Nawet nie spróbował.

* Musieliśmy wypracować w redakcji jakieś stanowisko. Użyli siły. Nie wiem, czy zdołają to ukryć. Nie możemy udawać, że nic się nie stało.

Możecie. Przecież jesteście po to, żeby udawać. Siedzicie okrakiem i uśmiechacie się głupio, że niby nic a nic was nie uwiera. W gruncie rzeczy to od niej nauczył się kłamać, choć

dotarło to do niego dopiero po latach. Po raz drugi napełniła kieliszek.

* Boją się, że to może spowodować jakiś ruch na uczelniach. Musisz mi coś powiedzieć.

* Po pierwsze, nie muszę, mam, po drugie, niby co miałbym ci powiedzieć? Poza tym jest sesja i koniec roku.

* Dlaczego jesteś taki? Skąd ci się to wzięło?

* Po prostu gówno mnie to obchodzi, droga mam.

* Zlituj się, to jest twój kraj.

* Może. Nie wiem. Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, mnie się to nie podoba.

Zauważył niepokój w jej oczach.

* Co ci się nie podoba?

* Sam sobie się nie podobam w tym kraju * wyjaśnił. Nigdy nie zrozumiał, dlaczego chciała zostać matką. Po

co jej było dziecko? Dlaczego się urodził? Przez całe życie była podlotkiem. Miała pięćdziesiąt lat, a od maja do września potrafiła chodzić bez stanika. Dlaczego musiał być na to narażony? Na te ciężkie i ogromne balony o grubych, sterczących sutkach, rozhuśtane pod cienką tkaniną letnich sukienek? Zdarzało się, że majtek też nie wkładała.

* Jesteś z kimś? * zapytała przy drugim papierosie.

* Nie.

* Nie spotykasz się z dziewczynami?

* Spotykam, nawet często, ale jestem sam.

* Uwodzisz je?

* To niedobrze?

Milczała długą chwilę, zanim odparła:

* Podobasz się kobietom, ale nie wykorzystuj tego.

* Dlaczego?

* Powinieneś być wobec nich uczciwy.

* Jestem uczciwy wobec samego siebie, mam. To dużo. Nawet bardzo dużo. Na inną uczciwość już mnie nie stać.

Opróżniła kolejny kieliszek i zapaliła kolejnego papierosa.

* Dam ci pieniądze, żebyś wynajął to mieszkanie. Ojca w to nie mieszaj. Podoba ci się?

* Bardzo. Ma interesujący widok z okna.

Raptem jeden pokój, trzeba przyznać przestronny i ustawny, kuchnia i łazienka. Razem z ubikacją, ale umówmy się, w tamtych czasach to nie był żaden dyskomfort. Nadal nie jest. Kuchnia, nawet jak na ten metraż, była jednak bardzo ciasna. Trzydzieści lat temu w ogóle nie przyszło mu do głowy, że kiedykolwiek będzie gotować. Nie miał o tym zielonego pojęcia i nie pamiętał, czy ktoś w rodzinie był dobrym kucharzem. Jadał w barach wokół uniwersytetu, a w niedzielę na obiady wciąż jeździł do mamy. Kuchnia była w sam raz, żeby zjeść rano bułkę i wypić kawę. Nieistotna i drugorzędna. Dopiero gdy wrócił z drugiego stypendium, które zakończyło się propozycją regularnych wykładów, odczuł nagle nikczemny rozmiar własnej kuchni. Nie zmienił jednak mieszkania. W osiemdziesiątym piątym, kiedy wpadł ledwie na dwa miesiące, przeczuwając, że nieprędko tu wróci, chciał je nawet kupić na własność. Po dwóch stypendiach, trzech publikacjach, kilku tłumaczeniach i z perspektywą zupełnie nowego, jakże ekscytującego kontraktu mógł już sobie na to pozwolić. Pani Z. jednak myślała o córce.

* Przecież ja muszę jej coś zostawić, prawda? A jak jej tam nie wyjdzie w tej Kanadzie? A jak będzie chciała wrócić? Moim zdaniem bardzo głupio zrobiła, że sprzedała Dereniową. Zadzwoiłam kiedyś do sąsiadki, pani G., tej z dołu, i zapytałam, czy nie ma z panem żadnych kłopotów. Wie pan, co odpowiedziała? Ze nawet nie wie, jak pan wygląda.

Niespełna rok przed śmiercią, czując, że to już nieuchronne, zapisała mieszkanie córce, która dzień w dzień, z wyjątkiem niedziel i świąt, o piątej trzydzieści tamtejszego czasu rozpoczynała ciężki, zgarbiony marsz z wiadrem i mopem, który wiódł ją przez rozległe wnętrza cudzych mieszkań, biur i domów. Idź do kościoła i podziękuj Bogu, powiedziała ciotka Heńka. W tym wieku i bez języka to najlepsze, co ci się mogło trafić. Inaczej musiałabyś tyłkiem zarabiać. Wiesz, ile inne czekają na taką okazję? A mąż z dziećmi dzień w dzień, bez wyjątku, włączając niedziele i święta, przed telewizorem. Tato, mamy czterdzieści siedem kanałów! I piwo w puszkach, takie jak w Peweksie, albo i lepsze.

Przysłała mu list z zawiadomieniem o śmierci i dacie pogrzebu pani Z. Przyleciała w pośpiechu, bo sprawa rozwodowa w toku. Mieli już papiery, ale z językiem wciąż kulawo, to Quebec, francuski do łatwych nie należy, więc nawet z obrońcą przez tłumacza. Dobrze, że rodzina na miejscu zechciała zadbać o pochówek. Nie znam pana, ale mama ciepło o panu mówiła, dlatego sobie pozwoliłam. W kwestii formalnej, może pan nadal wynajmować to mieszkanie, jeśli chodzi o mnie, to bardzo wygodne. Z poważaniem Z. (jeszcze przed wyrokiem, ale wróciłam do panińskiego nazwiska). Na kopercie wypisała starannie długopisem wciąż aktualny adres zmarłej matki i nazwisko, z którym niewiele miał już wówczas wspólnego. Tłumaczenia publikował pod pseudonimem. List wraz z kopertą spalił, ale na pogrzeb poszedł. Spotkali się w mieszkaniu, żeby podpisać nową umowę. Zbliżała się do czterdziestki i była przyjemnie zaokrąglona, trochę szeroka. Miała dziecinnie gapiowatą twarz, podwójny podbródek, lekką asymetrię i brązowe, naiwne oczy. Gładka skóra połyskiwała na pulchnym dekolcie.

* Nic pan tutaj nie zmienił * zdziwiła się. * Jakby mama dopiero co wyszła.

Zapłacił za rok z góry. Rozkleiła się, gdy zobaczyła wypchaną kopertę.

* Przepraszam, że tak od serca, ale obcemu łatwiej. Mama mówiła, że pan jest miły i wykształcony, a teraz, kiedy jej

nie ma, to ja już nie mam do kogo. Zwzywał mnie od kurew przed sądem, a ta pizda tłumaczka wszystko przetłumaczyła. Pewnie mu gdzieś dała, bo on wpycha tego swojego fajfusa w każdą dziurę, jaką napotka. I źłocie. Mama mówiła, że pan dużo podróżuje, więc jakby pana zaniósł w moje strony, to zostawię adres. Mam trzy pokoje, jak na Ursynowie, ale dużo większe, wierzę, że sąd mi je przyzna, więc nawet dzieci nie będą nam przeszkadzać. Czuję się dziwnie.

On też. Pierwszy raz kochał się ze starszą od siebie kobietą. Bez słowa i bez pośpiechu wyplątywali się z własnych ubrań. Z ulgą, której wcześniej nie znał, zanurzył się w jej bujne, miękkie i gładkie ciało. Ciepłe i leniwe. Łagodnie pofałdowane. Niespieszne w ruchach. Wdychał jego zapach, a ona objęła go udami.

Drobne stopy zaplotła na jego pośladkach. Czule dotykała go spracowanymi dłońmi. Krzyknęła raz jeden. Zauważył łzę, która niespodziewanie zakołysała się w

kąciku brązowego oka. Przed upływem roku przysłała list z numerem konta, na które miał wpłacać pieniądze. Dostała rozwód i mieszkanie. Na końcu napisała: „Tęsknię za tobą. Bardzo”. I dorysowała czerwone serduszko.

To był już trzeci miesiąc jego drugiego stypendium. Właśnie tego, po którym odkrył ciasnotę własnej kuchni. Była dziewiąta rano czasu środkowoeuropejskiego i wspinał się wąską, brukowaną kamieniami uliczką. Po obu jej stronach wyrastały niskie, dwu, góra trzypiętrowe domy. Wszystkie z ubiegłego wieku, albo i starsze. Nie potrafił tego ocenić. Architekturą zajmował się po amatorsku. Pokryte liszajem wilgoci, szarobeżowozielonkawe fasady. W niektórych oknach na parterze łagodnie wygięte kraty. Szedł opatulony płaszczem, bo deszcz wówczas też wisiał w powietrzu, a sine, napęczniałe chmury pędziły tuż nad jego głową. Taki grudzień tutaj to normalne. A tam karnawał.

* Właśnie teraz chcesz wyjechać? * zapytała mama. * Teraz? Kiedy wszystko się zmienia?

* Nic się nie zmienia, mamo. Po prostu dobrze się bawicie.

* Zapytam cię raz jeszcze, może już po raz ostatni, dlaczego taki jesteś? Skąd ci się to wzięło?

* Nie można się bawić bez końca * odparł i wyjechał. W kieszeni płaszcza upchnął poranną gazetę. Rozłożył ją

w ciepłym i przytulnym wnętrzu ciasnej kawiarni, w której jadał śniadania. Na pierwszej stronie zobaczył ulice swojego miasta. Tego, w którym się urodził. I tego, w którym zostali mama i tata. Pryzmy brudnego śniegu uklepane na brzegach chodników. A między nimi dwa czołgi i małe, zbite grupki opatulonych żołnierzy. Kilkoro znieruchomiałych przechodniów. Kobieta z ciężką siatką. Pospieszenie przebiegł wzrokiem tekst pod zdjęciem. Tych czołgów zdaje się było więcej, ale tylko dwa zmieściły się na fotografii. Szybko przerzucił pozostałe strony gazety. Nic, tylko to, co na pierwszej stronie. Dwa czołgi. Znajomy kelner wyrósł przy stoliku, pochylił się nad blatem, oparł dłońią o jego ramię i zapytał, czy zje to, co zawsze. Nie czuł nic. Tak jak i dzisiejszej nocy, nie czuł nic. Spróbował pomyśleć o mamie i o tacie pochylonym nad czarno*białą klawiaturą wysłużonego fortepianu i nadal nie czuł

nic. Tutaj nikt nigdy o nich nie słyszał. Patrzył na fotografię i widział to samo, co niegdyś z okna na piętnastym piętrze. Odległy obiekt. Bardzo odległy, bo teraz odległość była już znacznie szersza niż Wisła. To była właśnie ta bezpieczna odległość. Bezwzględnie bezpieczna. Jeżeli czuł tamtego grudniowego poranka cokolwiek, to ulgę. Choć nie mógł wiedzieć, że i tu, nad stolikiem, przy którym właśnie usiadł, też zawisła katastrofa. Rozegra się dopiero dziesięć lat później, ale już się, skubana, przyczaiła. Zwykli śmiertelnicy jeszcze jej nie przeczuwali, ale bogom coś już się tliło

w znużonych głowach. Nie mógł też wiedzieć, że jej nadejście nieodwołalnie zmieni jego życie. Na lepsze. Ciekawsze. Jakże ekscytujące. Więc oczywiście, że zje to, co zawsze. Bo choć nie znał jeszcze swojej przyszłości, był już nie tylko solidnym, południowym leniem. Był południowym sybarytą.

Do ciasnej kuchni po prostu się przystosował. Nowe umiejętności, jakich nabył, okazały się pomocne. Nie strącał przedmiotów i nie tłukł naczyń. Był zwinny. Wiek nie miał tu nic do rzeczy.

* Rzeczywiście szybko się uczysz * pochwalił go mężczyzna w białym garniturze.

* Jest gotowym produktem * orzekł kilka lat później mężczyzna w zamszowej marynarce, który miał zwyczaj przedstawiać się jako Bruce 2 w odróżnieniu od Bruce'a 1, od którego oddzielała go powierzchnia szerokiego biurka.

* Czy chodzi tylko o pieniądze?

Bruce 1 siedział w głębokim fotelu, podczas gdy Bruce 2 męczył się na niewygodnym krześle, z cyklu tych robionych przez mormonów, które ni w ząb nie pasowało do wystroju gabinetu. Bruce 2 był starszy od Bruce'a 1. Miał czterdzieści dziewięć lat, pobrużdżoną twarz, duże, zniszczone dłonie i nie powinien był siedzieć w tym gabinecie na takim krześle. Bruce 1 miał lat trzydzieści siedem i gładką buzię, która idealnie pasowała do gabinetu, biurka i fotela.

* Nie wiem. To turncoat. Nie rozumiem go do końca. Może dlatego, że jest Polakiem

* odrzekł Bruce 2.

* Znamy wielu Polaków.

* Ten jest dziwny. I bardzo inteligentny. Raz kłamca, zawsze kłamca. Ale dopieszczyć

go. Zazwyczaj jest tak, że każdy ma jakieś sumienie.

Błąd. Nie miał sumienia. To znaczy, kiedyś pewnie miał, ale wyszło tak, jak swego czasu w jego kraju towary wychodziły ze sklepów, żeby nigdy do nich nie wrócić.

* Musi mieć jakąś motywację.

Mężczyzna w zamszowej marynarce długo namyślał się nad odpowiedzią.

* To narcyz. Wydaje mu się, że jest bogiem.

A jemu spodobała się ta marynarka i postanowił, że sprawi sobie taką samą. Zamsz był cienki i miękko wyprawiony. Miał barwę świeżo wypalanej cegły. Pasowała do złotej biżuterii, a od jakiegoś czasu lubił złotą biżuterię.

Stojąc w oknie mieszkania na warszawskim Powiślu, wyjął z kieszeni spodni paczkę papierosów, którą znalazł w jej torebce. Położył przed sobą, na parapecie okna. Dwie kolorowe cyfry, pięć i siedem, zajmowały niemal całą powierzchnię pudełka z papierosami.

* Palą je tutaj wszyscy milicjanci * powiedział mu kiedyś Mile.

* Dlaczego?

* Są przekonani, że w paczce jest pięćdziesiąt siedem papierosów. * I zaśmiał się rozbawiony własnym dowcipem. Sam przecież był kiedyś milicjantem.

Obok paczki położył ciężką, zużytą i wyslizganą zapalniczkę na benzynę, którą też znalazł w jej torebce. Powoli, niespiesznie ugniatał palcami papierosa. Pod bibułką wymacał długie i niedbale pocięte włókna tytoniu. Dopiero po chwili włożył go do ust i zapalił. Prostacki, chamski dym ugryzł czubek języka. Odzwyczaił się. Jak go tutaj znalazła? Nie miał na ten temat żadnej wiedzy i nigdy nie próbował jej zdobyć, ale był pewien, że nie przeżyła tamtego piekła. Szosa do Prijedoru, w pobliżu którego urodziła się i gdzie ją zostawił, graniczyła z piekłem. Kolczyki, które wyjął z jej uszu, też położył na parapecie.

* Wierzyłam w to, że cię tu znajdę. * Jovana odsłoniła w uśmiechu wspaniałe, wielkie zęby.

Ta ostentacyjna nonszalancja, ten brak poszanowania dla przyzwoitego kłamstwa omal nie wyprowadziły go z równowagi.

* Nie denerwuj się * powiedziała. * Wiedziałam, że tam już cię nie ma. Więc gdzieś

musiałeś być.

* Ale dlaczego tutaj?

* Bo możesz być tylko tu albo tam. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie potrafię sobie wyobrazić siebie w Paryżu, w Sztokholmie, Wiedniu czy w Kopenhadze.

Pół prawdy. Potrafił sobie wyobrazić siebie samego bardzo dobrze, bo kwarantanna trwała blisko siedem lat. I to była beznadziejnie nudna opowieść. Snuła się smętnie po Europie z południa na północ, a jej ostatni przystanek wypadł, nomen omen, właśnie w Kopenhadze. Wersja oficjalna mówiła, że miał już tego południa zwyczajnie dość. Że chciał się od niego odczepić. Odgrodzić. Nigdy jednak, patrząc w lustro nad kolejną umywalką, nie przyznał się, że po prostu uciekał. I nie zadał sobie pytania, jak długo ma to trwać. I czy w ogóle będzie jakiś koniec.

Punkty zwrotne tej opowieści były nudne, jak ona sama. Wyznaczały je szkoły językowe, które wybierał przypadkowo, i równie przypadkowe kobiety. Przestrzeń i czas pomiędzy wypełniły samotne poranki w obcych wnętrzach, które zbyt łatwo nasiąkały melancholią, i wieczory, kiedy dojrzałe kobiety o dziwnych życiorysach, przy białym winie delikatnie rozbudzały swoje nadzieje na przyszłość. Resztę skleiły rutyna, rytuały, monotonna powtarzalność, szerokie i gładkie jak dupa niemowlęcia autostrady, czyste motele, zadbane drogi lokalne, ludowe gospody, rozbawione piwiarnie, winnice inne niż na południu, malownicze krowy i owce na zielonych zboczach gór, spokojne dni bliźniaczo do siebie podobne, kawiarnie pachnące kawą, te stylowe, te zimne i te przytulne w lekkim, zaplanowanym bezładzie, drogie restauracje, tanie

restauracje o identycznych, sieciowych wnętrzach. Sklepy na przedmieściach, jednak sformatowane, gdzie wszyscy uprzejmie uśmiechali się do siebie. Dworce kolejowe zawsze wypełnione tłumem. Irytująca, ukośna plama słońca, która każdego poranka pojawiała się na północnej ścianie sypialni w wynajętym mieszkaniu w NeuUlm. Oświetlała samotnie stojące krzesło, na którym rozwieszał ubranie przed snem.

Samochód, którym przekroczył dwie granice, porzucił w pobliżu dworca kolejowego w Klagenfurcie. Był wynajęty na jednorazowego Włocha. Pociągiem dojechał do

pięknej Styrii i wysiadł w Grazu. Z tyłu głowy wciąż czaiła się myśl, że może jednak będą chcieli go po prostu zabić, więc przez blisko dwa lata wszędzie i zawsze płacił gotówką, którą pobierał z odległych bankomatów, nigdy dwa razy z tego samego. Wynajął pokój w hotelu Gollner Graz przy Schloegel*gasse i dwa dni później miał już pracę. Na nocnego portiera było za wcześnie, a ludzie w każdym zakątku świata chcą się uczyć języków, więc szkoły mnożyły się jak króliki i zawsze potrzebowały lektorów, a Bruce 2 się spisał i zrobił z niego bardzo fajnego lektora.

* Lektorów nie sprawdzają, ale tego akurat mogą. Chyba jest bez zarzutu. Nawet jestem tego pewien. Referencje są umiarkowane. Na reputację musisz zapracować, ale punkt wyjścia jest przyzwoity.

I uśmiechnął się szczerze. Pierwszy raz tak szczerze, odkąd się poznali. To był uśmiech, jaki na twarzy znużonego człowieka wywołuje ulga. Zęby zrobić jakąś puentę, poklepał się po brzuchu. Gest przyjaźni. Zaufania. Możesz jechać. Zaczę biegać. Może nawet zaczę grać w tego cholernego golfa. Tak czy siak, spierdalaj z mojego życia i nie martw się o mnie. My cię już nie potrzebujemy.

:

Dostał pracę w szkole wieczorowej dla dorosłych i tam poznał Valerie. Miała trzydzieści osiem lat i dwunastoletniego syna. Jej matka była czystej krwi Austriaczką, córką stolarza w Grazu, ojciec prostym Francuzem, który w pięćdziesiątym piątym powinien był opuścić Austrię wraz z resztą armii okupacyjnej, ale nie opuścił. Najpierw bałamucił przestraszone i uległe dziewczyny w Fuerstenweld. Ich ojców wyzywał pijany od esesmanów, a potem czmychnął do wielkiego miasta. Nie zabawił tam zresztą długo. Valerie miała ledwie sześć lat, kiedy się ocknął, że miejscem Francuza jest Francja, i nawet nie przyszło mu do głowy, żeby się rozwieść.

Była ofiarą własnej urody. Długie, gęste, bursztynowe włosy, ciepłe spojrzenie niebieskich oczu o kapryśnie wywiniętych rzęsach, drobne, regularnie wykrojone usta i maleńki, lekko zadarty nosek zapowiadały wszystko, tylko nie rozhuśtaną, niepewną siebie, poobijaną duszyczkę, nad którą porzucona matka rozpięła toksyczny namiot. Każdy kolejny mężczyzna, który oszalał na jej punkcie, co nie było sztuką,

dusił się w tym namiocie natychmiast. Ale ona kurczowo czepiła się romantycznego wizerunku porcelanowej lalki i jak ognia unikała podejrzeń o lubieżność. Więc nigdy na przykład nie dosiadła żadnego mężczyzny okrakiem, żeby choć raz wziąć swój własny orgazm w swoje własne, śliczne dłonie. Jej szczupłe, starannie wydepilowane ciało miało dziwny zapach, którego nie potrafił nazwać. Ostatni mężczyzna zostawił ją trzy lata temu. Nigdy nie zaplanowała swojego życia i wówczas, zbliżając się do czterdziestki, zaczynała wreszcie odczuwać tego skutki. Od dziewiętnastego roku życia siedziała w bankowym okienku. Ojciec jej dwunastoletniego syna przyszedł, żeby otworzyć konto. Nazywał się Miodrag Petković i był po prostu piękny. Urodził się w Nowym Sadzie, w dobrej, komunistycznej rodzinie, w której niczego mu nie brakowało. Dostał stypendium i wybrał Graz, żeby tu doskonalić grę na wiolonczeli. Uwiódł ją tym, że czekał na chodniku, aż zamkną bank. Potem wrócił do Nowego Sadu. Nawet nie dał nazwiska dziecku.

To był jej pierwszy bunt, że urodzi, bo matka z miejsca kazała jej wyskrobać. Dlatego wreszcie postanowiła coś zrobić dla tego dwunastoletniego efeba o czarnych oczach, który pyskował codziennie przy śniadaniu. Nauczy się języka, którym mówił jego ojciec. Ale bardzo chciała tej miłości. Instynktownie czuła w nim siłę i wierzyła, że to właśnie on, obcy człowiek, tajemniczy nauczyciel, rozerwie ten namiot i wyniesie ją w swoich silnych ramionach. Dlatego rok i półtora miesiąca później znów wsiadł w pociąg i opuścił Styrię i Austrię.

Ofertę pracy dostał z NeuUlm, gdzie zatrzymał się w hotelu Sonnenkeller przy Leipheimer Strasse. Klara miała biuro obrotu nieruchomościami przy tej samej ulicy, cztery domy dalej. Wynajął u niej mieszkanie. Była Czeszką, miała czterdzieści trzy lata, na które nie wyglądała, i solidnego, niemieckiego męża, któremu urodziła dwójkę dzieci. Niemiec był właścicielem firmy transportowej, więc mieli niańkę. Klara była drobna, niewysoka, bez śladu po dzieciach, ufarbowana na platynowy blond. Codziennie wbijała się w wąskie spódnice do kolan i wcięte w wąskiej talii zakłady. Miała zielone, kocie, drapieżne oczy. Ze względu na niski wzrost wkładała szpilki i utwierdzała się w przekonaniu, że tu, w NeuUlm, nic już nie zdarzy się w jej perfekcyjnie uporządkowanym życiu. A już na pewno nie to, że mając tyle lat, puści

się z obcym facetem, dziwnym cudzoziemcem, który nic nie mówił o sobie. Miał jednak aksamitnie niski głos i właśnie zaczął siwieć na potęgę. To, że trochę młodszy, było skandalicznie nieprzyzwoite i bardzo podniecające. Jak seks w miejscach publicznych, którego posmakowała pierwszy raz w życiu.

* A co będzie, jeśli ktoś wejdzie i się zakleszcze? * zapytała rzeczowo w męskiej toalecie drogiej i eleganckiej restauracji w Ulm, po drugiej stronie Dunaju.

* Zdarzyło ci się to już kiedyś?

* Nigdy nie pieprzyłam się w męskim sraczu.

Zaczęła wkładać samonośne pończochy i nie nosiła bielizny, co bardzo ułatwiło im seks na przednim siedzeniu kremowego bmw, z dodatkowym wyposażeniem i skórzaną tapicerką w kolorze burgunda, które trzy lata temu sprawiła sobie na czterdzieste urodziny. Jak i to, że którejś nocy, o kilka drinków za dużo, chichocząc, wysikała się bezwstydnie na chodniku w jego obecności.

Była jednak mężatka, miała dwójkę dzieci i nieruchomości, więc nawet długotrwałą zdradę musiała uporządkować. Narzucić jej rutynowy, powtarzalnie nudny rytm. A ten po prostu go zabił. Do tego doszła jeszcze uciążliwa logistyka, którą zrzuciła na jego barki. Nie mogła przecież odwiedzać go w mieszkaniu, którym obracała jej własna agencja. Ale też nigdy dwa razy w tym samym motelu. Jego odległość od Ulm i Neu*Ulm była bardzo istotna. No i szybki dojazd, powrót autostradą. Więc nie odrzucił oferty z Miinster, gdzie prawdopodobnie był bardziej potrzebny niż w Neu*Ulm.

Trudi uczyła angielskiego w tej samej szkole. Miała czterdzieści jeden lat i podobnie jak Klara była drobna, ale krótko obcięte włosy farbowała na czarno. Zamiast wąskich spódnic nosiła džinsy i buty, które ludziom powinny służyć tylko do biegania. W klapę niebieskiej, sztruksowej marynarki wpinała dużą broszkę w kształcie złotego amerykańskiego buicka. Jej chłopak Oliver, który po studiach zatrudnił się

w opiece społecznej, teraz jeździł jako kierowca miejskiej taksówki. Od blisko dwudziestu lat ramię w ramię kroczyli w marszach wielkanocnych i żyli ze sobą w stabilnym, ale uparcie nieformalnym związku. Trudi nie chciała mieć dzieci, co nie

miało związku z tym, że była feministką, więc Oliver ofiarne poddał się zabiegowi podwiązania nasieniowodów.

Pewnego dnia, kiedy tak się złożyło, że oboje skończyli zajęcia w szkole o tej samej porze, Trudi zabrała go do greckiej tawerny w sąsiedztwie Prinzipalmarkt, gdzie już czekali na nią Oliver i przyjaciele. Jasnożółte ściany prostego wnętrza zdobiły czerwone chorągiewki i wydrukowane techniką sitodruku portrety Ho Szi Mina, różnej wielkości i w różnych kolorach. Usiedli razem przy długim stole zastawionym greckimi przystawkami, butelkami retsiny i ouzo.

Po drugiej stronie stołu, na wprost, usiadła Ana P. Była najmłodsza w tym towarzystwie, miała trzydzieści pięć lat, gdy taki na przykład gruby Jorg, który siedział u szczytu stołu, znał Rudiego Dutschke, jeszcze zanim postrzelił go Josef Bachman. Urodziła się w Lejdzie, ale na studia pojechała do Amsterdamu. Tam przystała do komuny. Trwała w niej, aż Guenther postanowił wrócić do rodzinnego Miinster. Pojechała za nim i polubiła to miasto. Biedny, ciężki i toporny Guenther po prostu zmęczył się rewolucją. Od dawna łypał tęsknym wzrokiem na przesuwane się obok stereotypy solidnego, mieszczańskiego życia. Nawet nie chodziło o pieniądze. Ale na ratunek było już za późno. Od dziecka marzył, żeby zostać radiowym didżejem. Najlepiej w którejś ze stacji w Miinster. Tam, gdzie ktoś jeszcze go znał i trochę o nim pamiętał. Gdzie powiedzieliby, patrzcie, pamiętacie Guenthera S.? Wrócił i został didżejem. Nie dalej jak wczoraj słuchałem jego audycji. Nieźle sobie radzi. I mama, która tak rzadko opuszczała Miinster, byłaby dumna. Bo

"*"

był jedynakiem. Docenili i jego głos, i jego gust muzyczny w tej stacji, na której zależało mu najbardziej. Każdy, kto wie, kim dla nas, Niemców, był Holger Czukay, jest mile widziany. I każdy, kto potrafi wybaczyć mu Eurythmics. Problem w tym, że od dawna zrobił się bardzo nerwowy. I musiał się rozluźniać. Kiedyś rozluźniał się dopiero po zmroku, ale gdy rozpoczął starania o pracę, rozluźniał się już o dwunastej w południe, a nawet wcześniej. Może i da się pracować z gościem, który dyskretnie popija w pracy. Ale nie można tego robić z gościem, który przychodzi do radia nawalony jak autobus. I jednak nie da się z nim żyć, mimo dobrej woli. Pozostali

przyjaciółmi. Mieszkali w tej samej kamienicy. On na górze, ona na dole. Kiedy strumienie wody spływały po szybach jej okien, śmiała się, że Guenther podlewa kwiatki. Była ruda i beczelnie wysoka. Jej szczupłe, białe ciało o wąskich ramionach i drobnych piersiach w siedemdziesięciu procentach składało się z nóg. Jej delikatna, piegowata twarz miała mało wyraziste rysy i oczy, które raz były trochę niebieskie, raz szare, a raz zabarwiały się morską zielenią w zależności od światła, które odbijały. Krótkie, bezbarwne rzęsy, sprawne, mocne dłonie i miękkie pośladki. Nie mógł wiedzieć, że za tą pastelową powłoką kryła się czarna noc. Choć powinien się zastanowić, dlaczego bez względu na porę roku i dnia zawsze ubierała się na czarno. Czarne dzinsy, czarne sztybłety, czarna koszula lub bluza i niezmiennie ta sama kurtka z czarnej skóry. Przez trzy dni w tygodniu pracowała jako sekretarka adwokata, który specjalizował się w odszkodowaniach. Wtedy wkładała rajstopy, spódnicę i zakiet, ale też czarne.

Wieczorami włączyli się po Miinster, od knajpy do knajpy. W weekendy pływali łódką po Aasee, wylegiwali na brzegu lub wyjeżdżali jej siedmioletnim volvem z miasta, by podziwiać urodę Północnej Nadrenii. Miała małą bliznę na brzuchu, dzięki której mogli się kochać bez opamiętania i bez zabezpieczenia. Po dwóch tygodniach wyznała mu ulegle, że jest otwarta na wszystko z wyjątkiem feasting. Tydzień później opowiedziała ze szczegółami o chorobach wenerycznych, na które zapadła, gdy żyła w komunie. Szczęśliwie ze wszystkich się wyleczyła. Po dwóch miesiącach pokazała czarno*białą fotografię swego holenderskiego ojca, po którym nosiła nazwisko P. Stało ich tam kilku, wyraźnie rozbawionych. Byli wysocy, szczupli i jasnowłosi. Ojciec Any był z nich najwyższy. Palili papierosy na tle rzeki. Wszyscy ubrani w dobrze dopasowane mundury Wehrmachtu. Zmarł szesnaście lat temu, nigdy go nie zapytała, co robił w tym mundurze. Był dużo starszy od matki. Miała młodszą siostrę, jeszcze bardziej bladą i przezroczystą, która wyszła za copy*writerkę z agencji w Amsterdamie. Też nie chciała mieć dzieci. Mieszkali na barce.

Zaczął się od jego ciasnego mieszkania. Że mógłby je zostawić, bo było cholernie

niewygodne, i przenieść się do niej. Na stałe, bo w istocie nie lubiła tego, że każdej nocy wracał do siebie. Z wyraźnym, stanowczym akcentem na „nie lubiła”. Jeszcze nic nie wspomniała o wspólnej przyszłości, ale kiedy powiedział, że się zastanowi, zaczęła go śledzić. To było śmieszne, nieporadne, trochę żalosne, gdyby nie to, że zaraz potem nastąpił pierwszy akt histerycznej zazdrości, który otworzył wściekłą serię. Rzucała się na niego z pięściami, ciskała przedmiotami. Musiał ją obezwładnić, gdy usiłowała ugodzić go kuchennym nożem. Pierwszy raz użył przemocy wobec kobiety i czuł się z tym co najmniej dziwnie. Potem połknęła dwa opakowania tabletek nasennych i powiadomiła go o tym przez telefon. Odwiózł ją do szpitala i odwiedził, kiedy odzyskała przytomność. Płakała i błagała o przebaczenie. Ale kiedy po godzinie wstał z krzesła, bo jego czas już

!••*•

się skończył, wyrwała kroplówki i z krzykiem rozpaczony wybiegła za nim na korytarz. Po drodze zdarła z siebie szpitalną koszulę. Gwarny korytarz zamarł w bezruchu, zaskoczony jej nagością i krzykiem. A on patrzył na jej blade, piegowate ciało, nagle zmięte, pozbawione jędrności, i nie znalazł w nim nic pociągającego. Niemniej tydzień później odebrał ją ze szpitala i w odruchu niezrozumiałej bezinteresowności zamieszkał z nią, choć nie przeniósł swoich rzeczy. Brała leki psychotropowe, więc miesiąc upłynął we względny spokój. Po tym miesiącu wrócił do siebie i wtedy podcięła sobie żyły. Wcześniej zadzwoniła do niego.

* Musisz się nią zaopiekować * powiedziała Trudi. * Ona cię potrzebuje. Właśnie ciebie.

Napięła się straszliwie, skupiła, żeby zrobić właściwe wrażenie. Spojrzała głęboko w jego oczy i wtedy poczuła niepokój. Coś, co zwykli ludzie odczuwają, gdy stają twarzą w twarz z nieznanym. Niewytłumaczalnym. Bo w jego oczach nic nie zobaczyła. Uśmiechnął się do niej ciepło i poklepał dłońią po policzku. Powinien był jej coś powiedzieć, ale tylko odwrócił się plecami.

* Jakim cudem urodziłeś mi się taki? * zapytałaby jego matka.

Jej też nie odpowiedział. Wzruszył ramionami, wsiadł w pociąg i pojechał dalej na północ, do Kiel, gdzie czekała na niego Hawa, piękna Turczynka. Nie miała wielkich

zębów, ale miała wyrazisty nos i piękne, czarne, migdałowe oczy. Czym wystarczająco przypominała mu Jovanę. Mógłby żyć tym wspomnieniem, jego podróbką, tyle że psuł je nieślubny, półniemiecki syn o jasnych włosach, który plątał się między nimi. Oczekiwała, że będzie z nim chodzić do meczetu. Pomyślał o Hamburgu. Czuł fizyczną potrzebę, żeby raz a dobrze rozpuścić się w wielkim mieście, ale miał już szczerze dość tych wszystkich Niemców. To było nierozsądne, że pozwolono im, by sądzą sami siebie. Dlatego wybrał Kopenhagę, w której nigdy nie był.

Wynajął maleńki, jednoosobowy pokój w niewielkim hotelu przy Dronningens Tvaergade czterdzieści pięć, zaraz za rogiem od Nyhavn. W barach przy Nyhavn spędził wszystkie wieczory, a było ich ledwie siedemnaście. Ale siedemnaście wieczorów to było dość, by utrwalić w pamięci twarze wszystkich barmanów i barmanek, poznać ich imiona, niekiedy także nazwiska, zwyczaje i upodobania, nawet marzenia o lepszym życiu. Na przykład Lisa, która przyjechała z północy i łała piwo w zawsze zatłoczonym barze, do którego trzeba było zejść po kilku stopniach w dół, marzyła o tym, żeby zostać architektem. Dlatego piwo łała tylko wieczorami. Za dnia odbierała telefony i naklejała znaczki w pracowni architektonicznej. To nie była duża pracownia, Arnfredt i wspólnicy, sprawdził jej adres w książce telefonicznej, zadzwonił z czystej ciekawości i odkrył szybko, że tak naprawdę to był tylko Arnfredt, bez żadnych wspólników, ale mieli regularne zlecenia, co z tego, że drobne, zawsze można się jednak czegoś nauczyć. W niedzielne przedpołudnia, które miała wolne, chodziła na kursy rysunku. Była oczywiście blondynką z warkoczami, miała rumiane policzki, szeroki uśmiech i martwą trójkę, nieco już pociemniałą. Bary opuszczał o jedenastej i pieszo wracał do hotelu. Była późna jesień i co wieczór, gdy szedł nabrzeżem wzdłuż kanału, wiał silny i przenikliwie zimny wiatr. Przez siedemnaście dni mgła ani razu nie spowiła Kopenhagi. W pokoju hotelowym otwierał butelkę whisky i gapił się w telewizor zawieszony pod sufitem, po przekątnej od miejsca, gdzie na wąskim tapczanie leżała poduszka. Za telewizorem były drzwi do ciasnej łazienki.

Zgromadził listę wszystkich wyższych uczelni w całej Danii. W recepcji udostępnił mu faks. Pozostało czekać. Był pewien, że otrzyma odpowiedź, i to nie jedną. Pólnoc podeszłaby mu najbardziej. Siedemnastego wieczoru, piętnaście minut po jedenastej, jak zwykle był już w swoim pokoju. Otrzymał trzy oferty, w tym dwie z Aarhus.

Przerzucił je szybko wzrokiem i odłożył na później. Nalał whisky do szklanki i małym, szarym pilotem włączył niewiele większy szary telewizorek. To był kanał duńskiej telewizji publicznej. Trzy osoby siedziały w studiu, w mało pomysłowej scenografii. Nie wiedział, co było przedmiotem rozmowy, bo nigdy nie nauczył się duńskiego ani jakiegokolwiek innego języka skandynawskiego. Tutaj i tak wszyscy mówią po angielsku. Nie przełączył jednak telewizora na żaden inny, anglo*, francusko* czy niemieckojęzyczny kanał, bo jedną z tych trzech osób była Mona R. Nic a nic nie zmieniła się od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Nadal była niewielką, delikatnie pulchną i przysadzistą duńską dupcią z fantastycznie wielkim cycem, który wszystkich stawiał na baczność, zapierał dech w piersiach i odbierał mowę. W przeciwieństwie do jego matki Mona R. swoje cudowne i znacznie młodsze balony zawsze trzymała na uwięzi w elastycznych, skandynawskich stanikach. W równych, kilkuminutowych odstępach ekran szarego telewizora wypełniały kadry fotografii, które zrobiła. Rozluźniony duńskim piwem i irlandzką whisky, nagle miękki i bezbronny, zapatrzył się w te czarno*białe, ślicznie wystylizowane obrazki ze wschodniej Sławonii. Jak każdy normalny człowiek, nie potrafiła poradzić sobie z własnymi emocjami, więc musiała pokazać zdjęcie młodego gwardzisty z obrony przeciwlotniczej w Osijeku, który w berecie zadarł głowę do góry, do szarego nieba. Tydzień później będą chcieli go wysłać do Vukovaru, wyłga się, co więcej, dostanie kilka

dni urlopu i pojedzie do siostry, która zamieszkała z mężem w Okučani. Ale w drodze powrotnej, zanim dojedzie swoim yugo do Novej Gradiški, ostrzelają autostradę Jedności i Braterstwa, więc zginie zabity pociskiem serbskiego mózdzierza. To była jej najlepsza fotografia. Pięknie odrysowała jego chłopięce, wątle i smukłe ramiona, nad którymi zawisł zawiadacko przekrzywiony beret. Wyrazisty nos i cień zaplątanej na szyi bandany. Był pewien, że nie zająknęła się nawet, że właśnie tę fotografię na

swojej pierwszej stronie zamieścił „Glas Slavonije”, co było ewidentnie sprzeczne z etyką zawodu, jaki sobie wybrała. Nie mogła się przecież przyznać tu, w Danii, w Kopenhadze, że i ją uwiodła ta straszna wojna. Że się w niej tak jakby trochę zatraciła. Że upiła się nią, jak niemal każdy zresztą. Że Tomislav H. miał piękne oczy. Chociaż te długie włosy mógłby jednak myć nieco częściej. W ogóle mógłby myć się nieco częściej. Nie będziemy się wdawać w tak drobiazgowość jak zmiana skarpetek. Dobrze, że w ogóle je wkładał. Ale kac nie odszedł wraz z nadejściem poranka. Duńczycy by jej chyba tego nie wybaczyli. Na pewno nie to, że zrobiła mu szybką laskę w męskiej toalecie. Więc w telewizyjnym studiu z nudną scenografią przybrała surowy ton. Zmarszczyła groźnie brwi i długo odpowiadała na każde pytanie łysego nudziarza w drucianych okularach. Był pewien, że uparcie powtarzała manichejskie kłamstwo, że Chorwaci są dobrzy, a Serbowie źli. Z drugiej strony, jak można być przeciwko wojnie, która już była? Zatuścić nóżkami i krzyknąć a kysz?! Nie doczekał do końca programu. Sięgnął po słuchawkę telefonu, wydzwonił recepcję i poprosił, by byli tak uprzejmi i zarezerwowali mu najbliższy lot do Warszawy. Może być następnego dnia. Nawet w południe. W ten prosty sposób Mona R., która nie miała bladego pojęcia o jego istnieniu, choć on wiedział o niej aż nadto, ucięła jego gówniane marzenia o próżniaczym życiu, w którym nie było miejsca na sens i cel. I przeniosła go do mamy i taty, po których został już tylko fortepian w salonie. Obie oferty z Aarhus i tę trzecią podarł na drobne kawałki, a te starannie spalił w popielniczce. Człowiek powstał, człowiek się spalił. Nikt nad nim płakać nie będzie. Takich robimy na pęczki.

* Zrobisz kolację. * Na nic więcej nie było go stać i czuł się trochę upokorzony chwilą słabości i tym, że nie potrafi jej zaradzić. Jej czarne włosy gęsto przeplatała teraz siwizna. Wokół niepokojących, czarnych i migdałowych oczu, które wciąż błyszczały jak dawniej, rozrosła się siatka drobnych zmarszczek. Dwie pionowe bruzdy odcinały jej wspaniałe usta od reszty twarzy. Była jeszcze piękniejsza.

* Myślałam, że zabierzesz mnie do jakiejś miłej knajpy, pokażesz kawałek miasta. Nigdy wcześniej tu nie byłam. Śmieszna ta wasza Polska.

* Sądzę, że zdążyłaś już zobaczyć kawałek miasta. Nie jest interesujące i nie ma tu

miłych knajp. Ja przynajmniej nic o tym nie wiem. I nie jest śmieszna.

* Nie chce ci się już nawet kłamać?

* To ty pierwsza zaczęłaś.

Wszystko, co ich połączyło, zbudowali na kłamstwie. On kłamał, a ona się uczyła.

Może nie tak szybko jak on, ale jednak.

* Dlaczego czekałaś z tym aż tyle lat?

* Zostałam żoną mężczyzny, który uratował mi życie. Zaufał mi. Nie chciałam go oszukiwać. Ciebie też nigdy nie oszukiwałam.

To akurat chyba nie było prawdą.

Po jagnięcinę pojechał na Powsińską, w stronę Wilanowa, po lewej stronie, vis*a*vis meczetu. Srdżan powiedział mu o tym sklepie. Osiem lat, jak skończył wreszcie reżyserię

w Łodzi i przeniósł się do Warszawy, żeby bez reszty poświęcić się zupom w proszku, jogurtom, kostkom rosółowym i majonezom w nadziei, że zupy wreszcie przełożą się w jakiś magiczny sposób na arcydzieła. Nie przełożyły się.

Resztę, czyli czosnek, pomidory, cebulę, bazylię i tak dalej, kupił przy

Czeriakowskiej. Jeśli stanie się twarzą do pomnika sapera, to będzie po prawej stronie. Maleńki sklep, ale wyśmienicie zaopatrzony. Najpierw masywny apartamentowiec, ceny za metr jak w Lizbonie, a zaraz potem ta niewielka kamienica, do której go przykleili, i właśnie tam jest ten sklep. Miał zapas wina w domu.

Ławka przed pomnikiem kolebała się na wszystkie strony. Asfalt popękał i zapadł się w wielu miejscach. Półtora metra dalej, we wklęśnięciu, usadowiła się rozległa kałuża, w której radośnie taplały się dwa psy. Ta kałuża była czymś stałym, podobnie jak ławka, na której siedział. Wysychała tylko w największe letnie upały. Irlandzki seter i ciemnobrązowy posokowiec.

Jak to możliwe, że znała ten adres? W którym miejscu dał się złapać?

Pokój w hotelu Bosna w Banja Luce. Wielkie, okrągłe lustro na ścianie, na wprost podwójnego łóżka, w którym przeglądały się ich nagie ciała.

* Myślisz, że tam może być kamera? * zapytała.

* W tym pokoju akurat jej nie ma.

Uśmiechnęła się, ale niepewnie. Wtedy już było po wszystkim, choć ona jeszcze o tym nie wiedziała.

* Naprawdę nie przeszkadza ci, że z nim sypiam?

* Masz z tym problem?

* Nie. Ma ładne ciało.

* I jest młodszy ode mnie.

* Raptem chyba pięć lat. Boli cię to? Pokręcił przecząco głową.

* Nic mnie nie boli. Nie bolało i nigdy nie będzie boleć. Bo prawda jest taka, że trupy nie bolą.

* Czy ty w coś wierzysz? * zapytała nagle.

Miała białą, niemal przezroczystą skórę, pod którą rysowały się delikatne niebieskie żyłki. Lubił ciężki, duszny zapach jej nagiego ciała.

* Masz na myśli Boga czy ideologię?

* Jedno i drugie.

* Dlaczego pytasz?

* W coś trzeba wierzyć.

Coś, dobre słowo. Warto je zapisać.

* Nigdy nie próbowałem tego, ale mam wrażenie, że wiara utrudnia.

Poszedł wziąć prysznic.

* Ale w siebie wierzysz, mam rację?

* Trochę * odparł już z łazienki.

Prawdopodobnie wtedy przeszukała jego rzeczy. Co mogła znaleźć? Pęk kluczy, zawsze nosił je przy sobie. Co więcej? Rachunek? Mógł mu się zaplątać. Starał się ich nie trzymać w portfelu, ale wtedy był już bardzo pewny siebie, a to usypia.

Znalazła dziwny kawałek zadrukowanego papieru z Polski. Była cwana suką, sam ją tego nauczył.

Odwrócił się od okna i nie zapalając światła, z papierosem „pięćdziesiąt siedem” w ustach poszedł do kuchni. Sięgnął po otwartą butelkę wina, która stała na stole wciśniętym między kuchenne blaty, pełnym resztek niedojedzonej kolacji, i zaraz

odstawił ją z powrotem. Lojalność, tego jednego nie mógł pojąć. Miała ją, choć wcale jej tego nie uczył. Na co mogła liczyć, przyjeżdżając tutaj? Może to wierność? Nie znał tego słowa, ale wiedział, że było w każdym słowniku. Podarował jej cały wieczór, więc rozluźniła się i rozgadała. Wiedział już wszystko. Także to, że jak zwykle

nie zostawiła za sobą żadnych śladów. Przez cały czas jej telefon nie zadzwonił ani razu. Młody rezydent, który się nudził i dlatego chodził na bankiety, był pierwszym, który go nauczył, jak nie zostawiać śladów. Ale to był banalny spis reguł. Mężczyzna w białym garniturze nadał im artystyczny rozmach. Uczynił z nich sztukę. Bruce 1 i Bruce 2 dołożyli zimny, akademicki szlif i kilkudziesięcioletnią rutynę sięgającą jeszcze Zatoki Świń, z sakramentalną, niezmienną od pół wieku formułą „wpuściłem do domu obcego”, którą miał wyrecytować do słuchawki, gdyby zwyczajnie dał dupy. A on tę skomplikowaną wiedzę wzbogacił o własną wyobraźnię i przekazał to wszystko Jovanie. Dopilnował, żeby ta wiedza stała się jej codziennym nawykiem. Ruchem mechanicznym. Jak mycie zębów czy wycieranie tyłka.

Otworzył jedną z szuflad, wyjął z niej zakurzoną kasetę magnetofonową, którą dała mu piętnaście lat temu, i włożył do przenośnego odtwarzacza, który stał na parapecie kuchennego okna. Azra, zespół, którego już nie było, zaśpiewał Poljska u mom snu. Z szafki, która wisiała nad zlewem, wyjął napoczętą butelkę rakii. Zębami wyszarpnął korek i napełnił szklanekę. Pierwszy, solidny łyk wykrzywił mu twarz. Zaciągnął się głęboko papierosem. Dym nie był już tak chamski.

* Dobrze, chodź, pokażę ci kawałek miasta * powiedział do Jovany, kiedy odsunęli talerze i wypili kawę.

To zdumiewające, że dwadzieścia dziewięć lat temu czterech chłopców z gitarami i z perkusją, z obcego kraju chciało nosić ten płat nikczemnej, nikomu niepotrzebnej ziemi w swoich sercach. Może nawet czuli ból? On w tym samym czasie czuł jedynie ulgę.

* Tej nocy po prostu się urżnę. Mimo wszystko zasłużyłem na to.

Powinien był zamknąć jej oczy. Zamiast tego zmasakrował twarz. Takie właśnie są procedury.

Więc jakie były te usta? Trudne. Trudne? Boże, jak mam je opisać? Najprościej. To nie jest łatwe. Przynajmniej spróbuj. Więc wąskie wargi, tak wąskie, jakby ich tam nie było. Tasiemka bez wyraźnej barwy. Brudne sznurówki. W gruncie rzeczy nie sposób było je zauważyć, póki się nie poruszyły. Leniwie, bez wyraźnego rytmu i kształtu. Przybrały postać niefbremnej muszli i prychnęły dymem. Prosto w twarz. Zakrztusiła się i zaniosała głębokim, męczącym kaszlem.

* Oko za oko, ząb za ząb. * Brązowa tasiemka wydeła się ostentacyjnie. Muszla, która żyje. Bezzębna, czarna dziura wydmuchiwała kłęby gryzącego dymu, który rozmywał i zaciemniał kąty.

* Miałem psa. Zdechł trzy dni temu. Odszedł. Tak się przecież mówi, nie? Więc odszedł. Był. Przyzwyczailem się do niego. Ponury, włochaty cień, który przemykał pod ścianami. Okno wychodziło na studzienne podwórko. Pośrodku rośło rachityczne, gruźlicze drzewko, uporczywie podtrzymywane przez wyschnięty patyk przypięty do niego parcianą, czarną od sadzy pętelką. Znasz takie podwórka?

* Znam.

Choć na wsi, gdzie się urodziła, podwórka były inne.

* Więc możesz pojąć część mojego doświadczenia. Znasz podwórka. Pewnie dlatego jesteś inteligentniejsza od innych.

A przynajmniej sprawiasz takie wrażenie. Wypalam śmiertelną ilość papierosów. Pumeks. Chropawa powierzchnia, o przypadkowym, niezamierzonym kształcie. Pełna drobnych dziurek. Dwie z nich, rozmieszczone niesymetrycznie, były nieco większe i też czarne, jak ta dziura wypuszczająca kłęby dymu. Jak dwa maleńkie guziki.

* Założyłem, że będzie sześć, mimo że od samego początku rozczulał mnie ten banał. Z czarnej czeluści wy dostał się chrapliwy warkot. To był śmiech, ale dwa guziki zmarszczyły się czujnie. Fałdy szarej skóry w miejscu, gdzie człowiek ma brwi, poruszyły się. Guziki nie miały dna. Po prostu otwory, ale jeden diabeł wiedział, dokąd mogły prowadzić.

* Przyznasz, że głęboko ukryłem klucz, prawda? Ze zasady gry nie były proste?

Jesteś w gruncie rzeczy zwykłą, głupią pizdą. Niczym nie różnisz się od nich. Może

tylko wiekiem. To jest jakaś przewaga. Nie doceniłem jej.

Bezzębna czeluść znów prychnęła dymem. Smród kurzu zmiecionego z betonowej podłogi wytwórni papierosów w mieście Łodzi. Matka jeździła do miasta Łodzi, żeby kupić sobie sukienkę. Po buty też tam jeździła.

* Bo to jest kicz, który uwielbiam. Świeże i dyszące ciepłem wnętrzości Marsjasza i liczba sześć. Coca*cola i pentagram.

Czeluść wydmuchiwała coraz więcej dymu. Dym osiadał na jej policzkach i czernił zęby.

* Wiesz, ile wysiłku włożyłem w to, żeby się tego nauczyć? Kobieta jest bardziej skomplikowana anatomicznie od mężczyzny. Czy ty to w ogóle, kurwa, kiedyś doceniłaś w tym swoim małym, zasranym mózdzku?

Dym wyścielał smolistym dywanem jej gardło. Dusił powoli.

* Żebyś nie miała żadnych wątpliwości, suczko, był ze mną od początku. Zawsze przy mnie stał. Od narodzin. Ciągłe coś przesuwało się przez mój pokój. Miałem dwa lata i napinałem się, wymiotowałem i wyłem. Całymi miesiącami. Matka w obrzydliwej, różowej halce ciągle spała w pokoju obok. Wąskie ramiączka wrzynały się w opasłe, wiecznie wilgotne od potu plecy. Nosila masywne, najeżone fiszbinami staniki, w których ścisnęła swoje ogromne, rozlazłe cyce. Mieszkaliśmy jeszcze wtedy na Górnośląskiej. W ohydny bloku z betonu. Tam nie było podwórka. Przychodził zawsze nocą. I zawsze wszystko rozrzucał. Wpierdalał się w każdą modlitwę. Potrafił jebnąć w łeb, żebym wypluł komunię świętą. Zawsze celował w potylicę. Był wywrócony na lewą stronę, to jedno wiedziałem. Był przenicowany. Któregoś ranka spojrziałem w lustro i zobaczyłem oczy. Sine. Moje były zawsze bezbarwne. Musiałem wywrócić wszystko na lewą stronę. Nałożył na mnie ten obowiązek. Powiedział mi to.

Dym wydobywał się spod jej zbrązowiałych nagle powiek. Do jasnej cholery, co tu się dzieje?! Brązowała cała jej skóra. Ospale wstążki dymu sączyły się z każdego niemal poru wyschniętego na wiór ciała, które bez oporu odchodziło od poźółkłych kości. Czy, do diabła, nic nie można zrobić z tym dymem?! Zarechotał po raz drugi.

* Nie ma cię * warknęła.

* Jestem * odszczeknął się bezczelnie.

I jeszcze puścił oko. Czarny guzik bez dna na ułamek sekundy zniknął pod fałdą szarego pumeksu.

* Zabiję cię jeszcze raz * ryknęła.

Najpierw usłyszała swój własny krzyk, a potem zobaczyła, że siedzi w pościeli. Nocna koszula w niebieskie słoniki była wilgotna. Lepiła się do pleców. Było ciemno. Środek nocy. Agata Zawadzka opuściła stopy na podłogę i wsunęła je w rozdeptane kapcie. Znów poczuła, że bołą ją jajniki. Już trzeci tydzień odkładała wizytę u ginekologa. Nie zapalając światła, poczłapała do kuchni. Po drodze minęła niedomknięte drzwi prowadzące do dużego pokoju. Kaśka spała na rozkładanej kanapie, zaplątana w zmiętą pościel. Oddychała równo i spokojnie. Obok, na podłodze, leżał jej nierozpakowany jeszcze plecak. Więc może ten krzyk to też tylko sen? W przedpokoju para znoszonych martensów. W kuchni usiadła na stołku i oparła się plecami o chłodną ścianę. Za oknem wychodzącym na śmietnik i stare garaże wisiała gęsta mgła. Najchętniej zapaliłaby papierosa, ale od trzech miesięcy w całym dwupokojowym mieszkaniu przy Gagarina nie było ani jednego papierosa. Kaśka na szczęście nie paliła. Przynajmniej Agata nic o tym nie wiedziała. Osiem godzin wcześniej najpierw zadzwoniła na komórkę, a zaraz potem stanęła w drzwiach mieszkania z plecakiem na ramieniu. Bujne dredy w kolorze słomy spięte w imponujący ogon. Była blondynką po ojcu. Po trzy kolczyki w każdym uchu.

* Kilka dni. Nie będę ci przeszkadzać?

* Zwariowałaś? Jak możesz mi przeszkadzać? Przecież to twój dom.

* Chodzi mi o to, że... * zawahała się * że może jest ktoś. * Kto?

* Nie wiem. Ktoś. Facet. Mężczyzna. Że będę wam przeszkadzać.

Agata nic nie odpowiedziała, tylko pokręciła przecząco głową. A potem obojętnie wrzuciła ramionami. Siedziały tu, gdzie ona teraz, czyli w kuchni. Zrobiła talerz kanapek, postawiła przed Kaśką i zaparzyła herbatę w imbryku.

* Nikogo nie ma?

Milczała. Kaśka złapała kanapkę. Agata obserwowała córkę.

* Może jakiś obiad ugotuję na jutro? Jak wrócisz z uczelni, to sobie odgrzejesz. Albo

zaczekasz na mnie i razem zjemy.

Kaśka odezwała się dopiero wtedy, kiedy pogryzła i przełknęła.

* Bo nie dbasz o siebie.

* Dbalam o siebie, kiedy bylam z twoim ojcem. Przynajmniej się starałam. Kobieta w pewnym wieku, żeby dbać o siebie, musi mieć pieniądze. Co u niego?

* Przeniósł się na wschód. Teraz mieszka na przedmieściach Drezna.

* Nie znam się na tym, ale to chyba głupi pomysł. Czytałam duży reportaż w gazecie, tam jest totalny szajs.

* Ma współnika. Używane opony. Letnie i zimowe. Wymiana i magazynowanie.

Uważa, że tam, na wschodzie, jest gleba. Ze zarobią na tym. Ma wizję.

Wydzierżawili jakiś stary skład fabryczny.

* Ja też miewam wizje, ale nie traktuję ich aż tak poważnie. Jak był na socjalu, przynajmniej regularnie płacił alimenty. No, prawie regularnie. Marta ma faceta na stałe czy pokłóciłaś się z nią?

* Po prostu przyjechało kilka osób. Zrobiło się ciasno. Przecież Marta nie przeniesie się na ten czas do Tarnowa, nie? Dlatego pomyślałam, że ja pomieszkam u ciebie.

Kilka dni.

* Co to za ludzie?

Kaśka wzięła kolejną kanapkę.

* Normalni. Znajomi * odparła po chwili z pełnymi ustami.

* Jacy znajomi?

* Jesteś jeszcze w pracy?

Miała gotową odpowiedź, ale jej nie użyła. Wypiła łyk herbaty i właśnie w tym momencie po raz pierwszy od trzech miesięcy zabrakło jej papierosa. Policzyła szybko do dziesięciu, niewiele pomogło. Bóg świadkiem, że starała się być dobrą matką. Ale od dwóch lat, kiedy Kaśka zdała na studia i wyniosła się z domu, mijały się. Nie było w tym żadnych złych emocji. Gorzej, spokojne tony, pełna wyrozumiałość. Tyle że się mijały.

* Moim zdaniem to normalne * powiedziała Struzik. Stały w kiblu, przy otwartym oknie, i paliły papierosy. Wtedy jeszcze paliła. * To nie jest tak, że przez całe życie

będziesz mieć z nią dobry kontakt.

* Zawsze miałam.

* Jeśli w pewnym wieku córka zachowuje się jak matka, a matka jak córka i obie doskonale się dogadują, to na bank któraś z nich jest nienormalna. * Struzik zaciągnęła się po raz ostatni i wrzuciła niedopałek do muszli klozetowej. * I tak jesteś w komfortowej sytuacji. Je ze swoim synem utraciłam kontakt, kiedy miał szesnaście lat. Codziennie patrzę na niego i zastanawiam się, jakim cudem mogłam go urodzić. No, ale przecież urodziłam.

Bolały ją stopy. Rozmasowała je przed snem, ale nie na wiele się to zdało. Ból ustąpił tylko na chwilę. Wyjęła

z lodówki napoczęty karton z mlekiem, nalała je do szklanki, wypiła i poczłapała z powrotem do łóżka, ale już nie zasnęła, aż do rana. Na szczęście, bo nie przyśnił jej się Mielcarek. Leżała na plecach, obie dłonie wzdłuż ciała. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sufit zawieszony wysoko nad głową, który o tej porze nie miał jeszcze żadnej ustalonej barwy. Mieszkania, które zbudowano w latach czterdziestych, były już ciasne, ale wciąż jeszcze wysoko sklepione. Na co komu takie klitki wysokie na trzy metry? Nie lubiła tego mieszkania. Było mroczne, nieprzytulne, a ona nie miała żadnego pomysłu, co zrobić, żeby chciało się tutaj żyć. Nigdy nie miała takich pomysłów. Gdyby było ją na to stać, porzuciłaby to mieszkanie bez wahania. Nie czuła z nim żadnego związku. Żadnych wspomnień, które choć na chwilę mogłyby rozświecić duszę. Raz na miesiąc, w sobotnie lub niedzielne przedpołudnie, w zależności od tego, który z tych dni był dniem wolnym od pracy, siadała w kuchni z kubkiem świeżo zaparzonej kawy i niespiesznie wertowała opasłe dodatki do gazet codziennych poświęcone nieruchomościom. Odkładała je co tydzień na podłodze pod kuchennym stołem. Sprawdziała ceny za metr, analizowała położenie, otoczenie, bliskość zieleni. Zawsze cieszyła się jak dziecko, gdy znalazła coś, co zbliżało ją do wymarzonego ideału. Najważniejsze, żeby było wysoko, na ostatnim piętrze, żeby z okna było widać całe miasto. Nie musi być duże, jest sama. I tak już chyba zostanie. Ważna jest podłoga. Równa, z jasnego drewna. Ściany w pastelowych barwach. I taras. Niekoniecznie duży. Ale ma być.

Zęby postawić na nim pękate, rude donice z wysokimi, zielonymi krzewami. W jednym szeregu, który odetnie ją od miasta. Bo na miasto trzeba patrzeć wtedy, kiedy ona tego chce, a nie dlatego, że miasto jest i nic już nie można z tym zrobić. Zęby postawić na nim stolik i jedno krzesło. To było nieracjonalne, ale wprawiało ją w dobry nastrój. Zabijało pustkę dnia bez obowiązków, bez dziecka, bez nikogo. Wierzyła, że w takim pięknym i jasnym mieszkaniu z pięknym widokiem mogłaby żyć sama do późnej starości. Bez przepoconych koszul i nieświeżej bielizny. Bez oddechów śmierdzących niestrawionym alkoholem. W takim mieszkaniu wystarczyłaby wygodna kanapa i telewizor z dużym ekranem. Innych marzeń już nie miała. Zasypiała z nimi i było jej dobrze. Ale kiedy trzy godziny później siadała gwałtownie w pościeli, z koszulą przyklejoną do pleców, wiedziała znów, że nigdy nie wyrwie się z tej ohydnej nory przy Gagarina.

Między szóstą a siódmą szarość powoli, leniwie rozpełzła się po mieszkaniu. Sufit odzyskał barwę i spękaną, złuszczoną powierzchnię. Dziesięć lat, jak nie było malowania. Dopiero po chwili dotarło do niej, że nie jest tu sama. Że dostęp do łazienki nie jest już nieograniczony. W prostokątnym, miejscami zaśniedziałym lustrze bez ramy, po amatorsku przytwierdzonym do spękanych, bladoniebieskich kafelków, jak co dzień zobaczyła odbicie swojej twarzy. Zmarszczki, bruzdy, bruzdy, zmarszczki. Chyba trochę tego za dużo, nawet jak na czterdzieści cztery lata. Aż czterdzieści cztery czy tylko czterdzieści cztery? Może wystarczy przefarbować włosy? Ten ciemny kasztan to był pomysł do dupy. Przez to twarz taka blada. Szare lico. I te sine wory pod oczami. Bez kasztana nie byłyby aż tak widoczne. Gdyby rozjaśnić i przyciąć trochę, czy byłoby lepiej? Zdecydowanie, bo za dużo jest tych kasztanowatych włosów. Trzy noce z rzędu bez snu. Potem przyjdą cztery, kiedy uda się przespać pięć, może sześć godzin. Na więcej nie ma co liczyć, ale sześć godzin to jest dobry wynik. Potem znów trzy noce, których część spędzi w kuchni na stołku, ściana za plecami chłodna, a chłód uspokaja, ale pozostałe godziny do rana to już tylko sufit. Lustro w łazience zawiesił ojciec Kaśki. Myślał tylko o tym, żeby się przed nim ogolić. Dlatego na szczęście

widziała w nim jedynie swoją twarz, szyję, ramiona i kawałek dekoltu. Żeby zobaczyć coś więcej, musiałaby się wspiąć na palce, a i tak niewiele by zobaczyła. Skóra na szyi z roku na rok coraz bardziej wiotka, coraz mniej gładka, fałda drugiego podbródka coraz lepiej widoczna, ale ramiona i dekolt wciąż w porządku. Faceci chyba jednak nie lecą na ramiona i dekolt. Na jej ramiona i dekolt jeszcze żaden nie poleciał. W brązowym przedpokoju wisało duże lustro. Kiedyś, raz na kilka miesięcy, zbierało się w niej dość odwagi, by stanąć przed nim nago. Dwa lata temu zrobiła to po raz ostatni. Ten brąz był potwornie przygnębiający, ale przecież nie zerwie teraz całej boazerii. Od początku nie podobał jej się ten pomysł, ale ojciec Kaśki się uparł. Sam wszystko zrobił. Deseczka po deseczce. Potem warstwy lakieru. Smród nie do wytrzymania. Wywiozła Kaśkę, miała wtedy trzy latka, do siebie, na wieś, na całe pięć dni. Teraz nie miała już żadnej odwagi, by stanąć w tym ponurym, brązowym przedpokoju, zsunąć z ramion koszulę w niebieskie słoniki i spojrzeć na odbicie nagiej kobiety w średnim wieku. Na jej znużone, byle jakie ciało. Ciężkie i niezgrabne. Które z doskonałością nigdy nie miało nic wspólnego. Które już nikogo nie ciekawiło. Nawet notorycznego podglądacza. Które już było tylko samo dla siebie. Zasklepione w sobie. Niekochane i niedotykane.

Nie mogła dopiąć czarnej spódnicy. Od dawna jej nie nosiła. Wcześniej usiłowała dobrać odpowiednią parę rajstop. Ubrana jedynie w białą koszulę i czarne majtki, pochylona nad szufladą w komodzie, nerwowo przetrząsała jej zawartość, gdy Kaśka robiła śniadanie. Sama się do tego zgłosiła.

* Dlatego, że przestałam palić * powiedziała. * Nie palę i tyję.

* Musisz iść w mundurze? * zapytała Kaśka.

Stała w drzwiach, oparta ramieniem o framugę, z kubkiem kawy w dłoni. Pierwszy wykład dopiero o dziesiątej,

więc nie musiała się spieszyć. Miała na sobie tylko kusy T*shirt i zaskoczona Agata odkryła, że jej dorosła córka się depiluje. Była szczupła, miała płaski brzuch, ale biodra i mocne uda odziedziczyła po matce. Na szczęście tyłek był zdecydowanie mniejszy. Wreszcie dopięła spódnice.

* Nie wiem, czy muszę, ale to oficjalna odprawa. Zastępuję szefa, który się spóźni.

Ma być wiceminister. Włóż coś na siebie, bo zmarzniesz. Obawiam się, że wszyscy będą w mundurach.

Nie byli. Ale Całka z Bemowa też przyszła w mundurze. Nerwowo poprawiała węzeł krawata. Tłum szczelnie wypełniał salę odpraw. Garnitury mieszały się z mundurami. Gwar, bo każdy rozmawiał z każdym. Na ścianie wisiał duży ekran. Przed nim trzy mikrofony na wysokich statywach. W ostatniej chwili zostawiła samochód pod domem i zdecydowała się na autobus. Pod pałacem ciężko zaparkować, a dziewięcioletni rupieć już dawno powinien mieć przegląd. Albo nie miała na to czasu, albo ochoty. Obiecała Kozyrze, że się nie spóźni. Jechała trochę spięta, bo mundur i ta idiotyczna czapka na głowie przyciągały spojrzenia, więc nie odrywała wzroku od miasta, które przesuwało się za brudną szybą. Warszawa budziła się ze snu. Wciąż zanurzona w gęstej mgle, która oblepiała wszystko. Miasto ociężałe i otepiałe, leniwe i rozlazłe, ale za to głośnie. Z hukiem silników, z rykiem klaksonów, z wyciem karetek pogotowia, które od rana jeździły jak oszalałe. Jak wytyłfany w błocie pijak, który ledwo stoi na nogach, ale rozpaczliwym wrzaskiem ogłasza światu siłę swojego ducha i wolę przetrwania. Miasto na tyle smrodliwe, że było to czuć we wnętrzu steranego autobusu. Nienawidziła go, ale już nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby żyć w jakimkolwiek innym miejscu w tym kraju. Ojciec Kaśki, który tu się urodził, nie umiał

tu żyć. Teraz tułał się po całej Europie, ale wciąż nie mógł znaleźć swojego miejsca.

Może jest tak, że on nigdy i nigdzie nie będzie u siebie?

* To już w zasadzie nasza ostatnia odprawa, więc nie oczekujcie niczego odkrywczego * powiedział komendant do jednego z trzech mikrofonów. * Rutynowe podsumowanie, bo jesteśmy zapięci na ostatni guzik. Będziemy jak zwykle, nie tylko w takich sytuacjach, ściśle współpracować ze strażą miejską oraz z wojskiem. Patrole mieszane. Nie zakładamy oczywiście żadnych patroli wojskowych, ale oficerowie i żołnierze, w pierwszej kolejności żandarmerii wojskowej, pozostają w pełnej gotowości. Ściągnęliśmy dodatkowe siły. Mamy koleżanki i kolegów ze Śląska i z Wielkopolski, więc apeluję o dobrą współpracę i pomoc. W miejscach szczególnie newralgicznych wyprowadzimy oddziały antyterrorystyczne na ulicę. Liczymy na

prosty efekt psychologiczny. Nie robimy tego po raz pierwszy i wiemy, że to działa. Oddziały pirotechniczne oczywiście będą na miejscu, w pełnej gotowości. Jeszcze raz szybciotko, dla utrwalenia, wzory przepustek.

Na wielkim ekranie pojawiły się wzory.

* Według danych, które otrzymaliśmy od naszych przyjaciół, do miasta może zjechać z całej Europy około dwóch tysięcy alterglobalistów * informował wiceminister do drugiego z trzech mikrofonów.

Wcześniej stał z boku, trochę wycofany. Skromny. Miał na sobie dobrze skrojony, stalowoszary, dwuczęściowy garnitur, grafitową koszulę i czarny krawat. Do tego starannie dobrane błękitne soczewki kontaktowe. Chyba jedyny taki kawaler i dandys w całym rządzie. Tak niepoprawny politycznie, że aż kłuło w oczy. Ale tylko na zewnątrz. W środku był taką samą ultraprawicową, zakompleksioną szują jak reszta tej bandy. Tyle że umiał dobrać krawat do koszuli, a koszulę do reszty. W skali całej rady ministrów to i tak

był wielki sukces medialny. Aż dziw, że wciąż był tylko wice. Więc może to jednak prawda, że pedał, pomyślała. Bo skąd te soczewki? Trzydzieści osiem lat i żadnej żony? Nawet byłej? Pedał, nazista i antysemita? Czemu nie. Ciekawe wymieszanie.

* Zrzucił co najmniej pięć kilogramów * powiedziała Całka.

Poznały się na oficerce w Szczytnie. Mieszkały w tym samym pokoju. Obie urodziły się na wsi. Całka była wtedy długą, chudą tyką, nieco zgarbioną, o dużych stopach i czarnych włosach. Włosy wciąż farbowała na czarno, tyle że doszły okulary, które co rusz, końcem wskazującego palca, poprawiała na nosie. W Szczytnie była jeszcze dziewicą, do czego przyznała się w nocy, w kiblu. Agata już nie była. Choć to, co zdarzyło się w rodzinnej wsi, gdy miała niespełna siedemnaście lat, nie było żadnym erotycznym uniesieniem. Dokonało się na podłodze, gdy wszyscy byli w polu, na wytartym dywanie, który rodzice kupili od Cyganów w sześćdziesiątym dziewiątym. I było bolesne, brzydkie. Jak brzydki okazał się w rezultacie dwudziestojednoletni syn sąsiadów. Choć na pozór był całkiem do rzeczy i pół wsi się do niego maśliło. Niemniej Całka bardzo chciała, by opowiedziała jej o wszystkim, ze szczegółami, właśnie w tym kiblu. Mundur nadal wisiał na niej jak na wieszaku. Lata płynęły, a

ona wciąż była płaska jak deska.

* Niektórzy już pewnie zjeżdżają * dodał komendant * ale jesteśmy jak zwykle przygotowani i jestem pewien, że Pragi czy Budapesztu u nas nie będzie. Z całym szacunkiem dla Pragi i Budapesztu. Mam nadzieję, że nikogo nie obraziłem.

Rubaszny, oswojony rehot przetoczył się po sali. Lewą dłoń schował w kieszeni spodni, prawą oszczędnie, ale wyraziście gestykulował. Nauczył się tego podczas szkolenia

w Ameryce. W ten sposób mężczyzna pokazuje, że jest pewny siebie. Dlatego znużeni kowboje kochają swojego szeryfa. Mimo że jest mały, pękaty i łysieje. I tak naprawdę nigdy nie był psem.

Na ekranie pojawił się plan miasta.

* Jeszcze raz, kwadraty zaznaczone na czerwono to obszary zamknięte. Tu wchodzi tylko ci, którzy mają takie przepustki.

Znów wzór przepustki na ekranie.

* Ci, którzy są tu zameldowani. W ubiegłym tygodniu poszedł w stołecznych mediach apel, żeby zgłosić wszystkich przyjezdnych, którzy nie mają stałego meldunku. Niezależnie od tego od dwóch dni sprawdzamy mieszkania.

Kozyra w swoim ciemnogramatowym, trzyczęściowym wyobrażeniu męskiej elegancji usiadł na krześle obok, które trzymała dla niego. Skrzypnęło, bo był ciężki. Dlatego nosił kamizelki. Od lat używał tej samej wody po goleniu. Silnej, prostackiej i słodkiej.

* Straciłem coś? * zapytał szeptem.

* Dopiero się rozgrzewa.

Zaraz potem jej telefon schowany w torebce wydał z siebie dwa krótkie dźwięki.

Kozyra spojrzał na nią zaskoczony. Wzruszyła obojętnie ramionami, wyjęła aparat i ostentacyjnie odczytała wiadomość. Podniosła się z krzesła i kątem oka złowiła jego zdziwiony, pełen pretensji wzrok. Nawet miała na końcu języka jakąś cwana odpowiedź, ale tylko machnęła ręką i wyszła z sali.

W drzwiach zderzyła się z obcym mężczyzną. Bardzo niski, bardzo przyjemny, zmysłowy głos powiedział przepraszam. To chrapliwe, miękkie dudnienie

dobiegające gdzieś z głębi wytrąciło ją na chwilę z równowagi. Skrępowana nawet nie podniosła wzroku, więc zapamiętała jedynie buty z miękkiej, ręcznie szytej skóry i końce czerwonego szalika.

Takie buty w tym kraju to jednak rzadkość. W chwili gdy o tym pomyślała, poczuła na plecach, tuż poniżej zgarbionej szyi, jego wzrok. Odczekała trzy kroki i spojrzała za siebie. Odchodził pustym korytarzem. Nie patrzył na nią. Już nie patrzył. Wysoka sylwetka o prostych plecach i szerokich ramionach. Starannie zaczesana grzywa kompletnie siwych włosów. Oliwkowe spodnie z miękkiego sztruksu i marynarka z grubej wełny w kolorze kawy. No i ten czerwony szalik niedbale zaplątany wokół szyi. Obie dłonie schował w kieszeniach spodni. Niespieszny, miękki i pewny chód. Siwa głowa nawet nie drgnęła, ale Agata była pewna, że ledwie pół sekundy wcześniej patrzył na nią. Czowała to.

Osiecki stał oparty o błotnik passata i palił papierosa. Ptasia twarz i skóra albinosa. Rozmyte i wyblakłe, wodnisto*niebieskie oczka, o wiecznie zaczerwienionych spojówkach. Małe i przebiegłe, a nad nimi brwi tak jasne, że nie było ich widać. Wąskie, bezbarwne wargi, za którymi schowały się pożółkłe i nierówne zęby. Rzadkie, białe włosy o rudym odcieniu, zaczesane za uszami, opadały na kark. Srebrne kółko maleńkiego kolczyka w lewym uchu. Wysoka, chuda i sucha żyła. Miał trzydzieści pięć lat. Ohydna meduza, pomyślała, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Duże dłonie, ciężkie, sprawne i szorstkie. Obgryzione paznokcie. Brązowozgniółzielona i zupełnie niemodna kurtka z popekanej skóry, którą nosił bez względu na porę roku. Sprane džinsy i rozdeptane buty z cholewką, niewiadomego koloru i pochodzenia. Bez żony, bez dzieci, jego życie prywatne było zagadką. Jeśli w ogóle je miał. Raz widziała go bez koszuli. Płaskie, wyraźnie odrysowane pod białą skórą mięśnie. Poczowała wtedy zapach jego potu. Czubkiem buta rozdeptał papierosa i otworzył jej drzwi. Zamknął je za nią, a sam usiadł za kierownicą. Bez słowa. Jadąc samochodem, także milczeli. Miasto wciąż tkwiło w zawieszynie gęstej mgły. Pokryte wilgocią, jakby spociało się w nieruchomym powietrzu. Klucząc ryzykownie między strumieniami blachy, widmowe sylwetki przedzierały się na drugą stronę jezdni. Bo właśnie nadjechał tramwaj. Jej wzrok

zawisał na mężczyźnie w nieokreślonym wieku, który siedział za kierownicą opła na pasie obok. Zwężone oczy, spięty, usztywniony kark. Palce zaciśnięte na kółku. Tylko drgający konwulsyjnie, wysunięty podbródek zdradzał piekło, jakie nosił w środku.

Ledwie na nią zerknął. Zobaczył smutne oczy i natychmiast odwrócił wzrok.

Najpewniej wyrwałby swoją stalową maszyną do przodu, tyle że nie było jak. Stał w środku pęczniącego korka, otoczony zewsząd przez unieruchomione samochody.

Młody chłopak, nie więcej niż dwadzieścia lat, w grubym swetrze, przyciasnej rudej marynarce i zielonych wojskowych spodniach przebiegł tuż przed maską wrywnego opła. Nawet nie zapytała Kaśki, czy jest jeszcze z Jackiem. Tak jak nigdy nie zapytała jej, czy nadal jest dziewicą. Chłopak lekceważąco klepnął dłonią błotnik opła i dotarł do wysepki z przystankiem. Lekko przesadził metalową barierkę. Opel warknął silnikiem i wyzwolił przynajmniej część stłumionej frustracji.

Miał stałą przepustkę. Siwy mężczyzna w sztruksowych spodniach i ręcznie szytych butach miał kartę magnetyczną. Usłyszała jej charakterystyczne piknięcie. Nie wyglądał na psa. Ani na urzędnika. Wszystko, co miał na sobie, było chyba drogie, a w jego ruchach i dołującą niskim, chrapliwym głosem była jakaś nonszalancja i ostentacyjna pewność siebie, z którą rzadko się spotykała. I wszedł jak do domu.

* Jak się czujesz? * zapytał wreszcie Osiecki. Od tamtej nocy często zadawał to pytanie. To była taka jego troska. Nieco chamska i zdawkowa, ale jednak. Spojrzała na niego. Patrzył na ulicę przed sobą, ale dopiero co zagapił się, nieco zdziwiony, na jej kolana, które wysunęły się spod czarnej spódnicy. Zawstydzony pospiesznie odwrócił wzrok. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

* Normalnie * odparła po chwili. * Dlaczego pytasz?

Trochę trwało, nim się odezwał.

* Dobili Budzika tej nocy. Słyszałaś już o tym? Pokręciła przecząco głową.

* Gdzie?

* Tam, gdzie leżał. Na Szaserów.

* Jak to się stało?

* Na bezczelnego. Pielęgniarka, która miała tej nocy dyżur, usłyszała nagle dwa strzały. Było ich dwóch. Wyszli z sali. Jeden nawet nie schował klamki. Pełen luz.

Zaczęła wrzeszczeć dopiero, jak wsiedli do windy. Tak ją zatkało.

* Nie dali mu ochrony w szpitalu?

Samochody wreszcie ruszyły. Z mgły wyłoniły się ramiona koparek. Łoskot młotów pneumatycznych, potężnych wiertel i bluzgi robotników w pomarańczowych strojach na chwilę wyparły wszystkie inne dźwięki. Wciąż prują to miasto. Kopią, wiercą, wylewają betonem, wznoszą jakieś monstrualne ściany. Plac budowy, który zdawał się nie mieć końca.

* Podobno sam nie chciał, ale jak było naprawdę, nie wiem. * Osiecki przyspieszył i przejechał na żółtym. * Może to i lepiej, że sami się wy tłuką? * dodał.

Nie odpowiedziała. Zjechali z placu Trzech Krzyży pod pomnikiem Witosa, uciekając przed skowytami karetki pogotowia, która pomknęła dalej, w Aleje Ujazdowskie. I tam roztopiła się we mgle, choć jej zawrozcenie słyszeli jeszcze przez kilka chwil. Skąd tyle karetek dzisiaj? Głowa pęka od tego wycia.

Samochód przetoczył się wzdłuż ściany Sheratona i zatrzymał pod szarą bryłą dawnej YMCA. Teraz mieściły się tutaj dwa teatry, restauracja i coś jeszcze, ale nie pamiętała co. Osiecki zaparkował obok radiowozu. Od narożnika budynku do latarni, która kończyła chodnik, ciągnęła się granica wytyczona policyjną taśmą. Wzdłuż niej przechadzało

się dwóch znudzonych młodzieńców w mundurach i kamizelkach odblaskowych.

Jeden przystanął na chwilę. Skupiony zapatrzył się w ekran telefonu, wpisując treść SMS*a. Na skwerze wciśniętym między Frascati, Prusa a Konopnickiej gęstniał tłumek ospałych gapiów na kacu. Fioletowe twarze w chińskich kurtkach. Kobieta z retrieverem na smyczy, jedyna, która miała normalną twarz, może nawet z pretensjami, patrzyła na nich podejrzliwie. Osiecki podniósł taśmę, żeby Agata nie musiała się za bardzo schylać, i schodami zeszli w dół, na dno doliny poniżej skarpy. Naliczyła czterdzieści cztery stopnie, dokładnie tyle, ile miała lat. Wszystkie były nierówne. Z trudem stawiała na nich stopy w czarnych, zakrytych pantoflach na obcasie. Wąska spódnica krępowała ruchy. Zbocza i dno wąskiej doliny wyścielał gruby dywan żółtych i brązowych liści. Tu mgła była jeszcze gęstsza. Dwa wąskie chodniki, które biegły środkiem, ginęły z oczu po dziesięciu metrach. Tylko

monotonny, przytłumiony pomruk sunących nieprzerwanie samochodów zaświadczał, że gdzieś tam, w odległości zaledwie kilkuset metrów, opadała w dół Książęca. W zagłębieniu między schodami a zboczem skarpy, nad którą wznosił się gmach YMCA, leżały dwa ciała. Trzech techników w milczeniu zabezpieczało ślady, fotograf robił zdjęcia. Kilka metrów dalej Gruda, przyciszonym głosem, jak to miał w zwyczaju w takich sytuacjach, przepytował parę strażników miejskich. Skwapliwie wszystko zapisywał w notesie. Pochyliła się nad tym z brzegu. Leżał na brzuchu, z twarzą odwróconą tak, że prawy policzek przywarł do gnijących liści. Szeroko otwarte oko. Rozwarte usta. Brudne, zlepione w strąki, skołtunione włosy i wielomiesięczna broda. Młoda, choć pobrużdżona twarz. Wszystko w nim było brudne, chude i wycieńczone. Brudna, zielona flajerka, spod której wystawał też brudny, czerwony kaptur bawełnianej bluzy. Grube paski czarnej żałoby pod paznokciami. Poczula duszny smród niemytego ciała. Drugie zwłoki leżały kilka metrów dalej, też na brzuchu, z twarzą wciśniętą w ziemię, kompletnie nagie. Kobieta. Błada, nieopalona skóra silnie kontrastowała z czarnymi, równo przystrzyżonymi włosami, które sięgały ramion i zaczynały siwieć. Białe pasma, czarne pasma, znów białe i znów czarne. Agata wyciągnęła lewą dłoń w stronę Osieckiego, a ten bez słowa podał jej parę gumowych rękawiczek. Nakładała je na dłonie, nie odrywając wzroku od nagiej kobiety. Była wysoka i zgrabna. Miała ładne plecy, łagodnie zaokrąglone szerokie biodra i kształtne pośladki. Długie nogi o szczupłych łydkach i wąskich, zgrabnych kostkach były złączone ze sobą. Obie drobne stopy wyprostowane. Ramiona pokornie wzdłuż ciała. Otwarte dłonie. Ktoś ją tak tutaj po prostu ułożył, pomyślała. Potem spojrzała na technika, a ten przyzwalająco kiwnął głową. Kucnęła i po raz kolejny przeklęła to, że jest w spódnicy.

* Ona nie ma twarzy * uprzedził Osiecki.

Nie odpowiedziała. Delikatnie ujęła głowę, uniosła znad ziemi i ostrożnie obróciła w swoją stronę. Różowoczerwona miazga, do której przykleiły się jesienne liście i żdźbła wciąż jeszcze zielonej trawy. Końcem wskazującego palca prawej dłoni rozsunała włosy na karku. Był biały, bez jakichkolwiek śladów. Gładka skóra na szyi.

Ledwie zarys jednej, poprzecznej bruzdy. Włosy były gęste i miały swój ciężar. Przekręciła głowę na lewy policzek i tym samym palcem przesunęła je tak, by zobaczyć drobne ucho. Ledwie pół centymetra dalej zaczynała się różowoczerwona, krwista i bezkształtna pustynia. Oszczędził uszy. Zatem mogło chodzić tylko o oczy, nos i usta. Małeńkie, ciemne wgłębienie w małżowinie. Dziurka po kolczyku. Ułożyła głowę na prawym policzku i już bardziej bezceremonialnie, całą dłonią odsunęła włosy. W małżowinie lewego ucha był ten sam drobny ślad. Nie założyła kolczyków? Ona sama je nosiła i zakładała zawsze. Jeśli zdejmowała, to tylko na noc. Wyjął kolczyki? Skoro tak postąpił z jej twarzą, to dlaczego ich po prostu nie wyrwał, wraz z kawałkiem ucha? To nie jest jakieś wielkie halo. Jedno mocne szarpnięcie. Skóra w tym miejscu nie stawia wielkiego oporu. Dlaczego zadał sobie ten trud, w nocy, we mgle? Wcale nie tak łatwo wyjąć kolczyk z cudzego ucha.

* Zabezpieczyliśmy ślady, które wskazują, że obrobił jej buźkę na miejscu *
powiedział technik.

* Jakie ślady?

* Krew, kawałki skóry, trochę tkanki mięśniowej. Jutro ci potwierdzę, czy należały do niej. Kto będzie ją kroić?

* Mam nadzieję, że Bogdański.

Najpierw usłyszała odgłos silnika, a potem z mgły wyłonił się ambulans, który, statecznie kolebiąc się na boki, sunął bezceremonialnie po trawie, od Książęcej. Lekarz wysiadł pierwszy, po nim dwóch sanitariuszy z noszami i plastikowymi, czarnymi workami. Lekarz mamrotał coś do telefonu. Końcami palców obleczonych w gumę delikatnie przesunęła po jej plecach. Skóra pośladków była miękka. Mimo tej gumy, która rozdzielała jej skórę od tamtej, czuła jej gładkość. Nie mogła być bardzo młoda, skoro miała tyle siwych włosów. Obejrzała jej dłonie. Długie, smukłe palce. Starannie wypielegnowane, o krótkich, równo przyciętych paznokciach. Pod paznokciami nic się nie ukryło. Nie walczyła o życie. Oddała je ot tak, po prostu. Ciało kuliło się w sobie. Choć ułożone w prostej linii, to jednak się kuliło. Niewiele mówiło.

* Zdjąć im odciski i sprawdzić, czy mamy je w bazie krajowej. Kto ich tu znalazł? Gruda ruchem głowy wskazał na parę strażników miejskich. Nie byli tu już nikomu potrzebni, a wciąż jeszcze stali.

Chudy, drobny chłopak o trójkątnej twarzy i odstających uszach, i niska, przysadzista dziewczyna. Jej twarz miała grube rysy, a spod czarnej czapki z daszkiem wystawał koński ogon jasnych włosów. W ich szeroko otwartych, wciąż jeszcze przerażonych oczach, którymi patrzyli to na trupy, to na Agatę, Osieckiego i Grudę, czaiło się zagubienie i brak pewności.

Agata spojrzała do góry na porowatą ścianę gmachu, który zawisł nad jej głową na szczycie skarpy. Ściana rozwijała się, załamując się w trzech, chyba równomiernych odśłonach. Ta przylegająca do Prusa i schodów z czterdziestoma czterema stopniami była ślepa. W załamaniu, mniej więcej na wysokości pierwszego piętra, jedno wąskie okno, raczej brudne, schowane za grubą, żeliwną i przerdzewiałą kratą. Trzy ogromne, prostokątne okna w środkowej ścianie, wysoko pod dachem, jak w sali gimnastycznej lub treningowej. Takie przynajmniej odniosła wrażenie. Niżej było kilka pojedynczych, wąskich okien, nie policzyła ich, też schowanych za żeliwnymi kratami. Jeszcze dalej dwa wielkie, tuż nad ziemią, zlepione z nieprzejrzystych luksferów, dodatkowo zasłonięte drucianą siatką, i dwie pary metalowych drzwi. Te większe, podwójne, mogły prowadzić do magazynów teatralnych albo wprost na zaplecze sceny. Teatry mają dziwną topografię. Przekonała się o tym jedenaście lat temu, gdy prowadziła śledztwo w sprawie o zabójstwo w jednym z warszawskich teatrów. Ten gmach był masywny, brudny i ponury. Dziwny. Ze spadzistego zbocza skarpy wyrastały grube i wysokie pnie starych drzew. Jedno z nich niebezpiecznie pochyliło się nad płytami chodnika.

* Wiemy już, do kogo należą te okna? * zapytała, wskazując na te zakratowane.

* Do teatru * odparł Gruda.

Odwróciła się, żeby popatrzeć na eklektyczną bryłę ni to willi, ni to małego pałacu, usadowioną po przeciwnej stronie doliny, po przekątnej. Sześć kolumn, szybko policzyła, stylizowanych na antyczne, które podparły taras, a do tego jeszcze to dziwaczne ogrodzenie, które wyglądało tak prowizorycznie, że mogło rozsypać się w

każdej chwili. Do połowy solidnie otynkowany mur, ale wyżej konstrukcja z dziwnych, czerwonych pustaków z okrągłymi otworami w środku. Może to nie były zresztą pustaki, ale tak wyglądały.

* Co tam jest, bo nie pamiętam? * zapytała.

* Muzeum ziemi * powiedział Gruda. * W nocy nikogo tam nie ma. To znaczy jest jakiś ciec, ale nie sądzę, żeby robił regularny obchód posesji. Jego pokój jest od drugiej strony, od wejścia. Od alei Na Skarpie.

* Nikt niczego nie widział.

Tylko sapnął głośno, przez nos. Miał mięsistą, ciężko ociosaną twarz, o ciemnych, siwiejących i przeredzonych nad wysokim czołem, lekko kręconych włosach. On jeden nie jadał u Chińczyka, Turka, Araba czy Wietnamczyka. W zniszczonej, urzędniczej teczce przynosił do pracy kanapki, które robiła mu żona. Jeszcze kilka lat temu pracowała w hipermarkecie, ale wysiadł jej kręgosłup. Trzy lata tułała się po lekarzach, żeby wreszcie dali rentę. Dręczyły ją potworne, nie do zniesienia bóle w krzyżu. Miała opuchnięte, rozdeptane stopy, wykoślawione od ciągłego stania nogi. Zgarbione plecy. Dwójka dzieci. Syn skończył socjologię, ale do tej pory nie znalazł żadnej stałej pracy. Córka w ogóle nie dostała się na studia. Matka załatwiła jej robotę w tym samym hipermarkecie, ale było za ciężko i mało płacili. Poza tym, do cholery, ma jednak maturę. W tym roku została kelnerką w kawiarni. Top trendy. Jazzy. Cool. Mamo, nawet nie masz pojęcia, kto tam przychodzi. Wygryzła ją ta kurew, co niby miała lepiej doszlifowany język. Ale wiadomo, że zrobiła loda komu trzeba. Grudzie niewiele już zostało do emerytury. Był wysoki, zwalisty, zawsze w przyciasnej koszuli w kratę zapiętej pod szyję, opinającej coraz większy brzuch, który rósł od tych zrobionych przez żonę kanapek z szynką, pasztetową i baleronom. Koniecznie liść sałaty i plastry kiszzonego ogórka. Koszule też mu kupowała żona. Przez lwią część swego dorosłego życia nigdy sam nie zdecydował o swoim wyglądzie. Wszystko i zawsze wybierała mu żona. Także te okropne workowate spodnie z obowiązkowym mankietem, marszczone w rybkę, których lewą kieszeń wypychał wielki jak cegła, archaiczny telefon komórkowy. I koszmarne buty z

ciemnobrązowej skóry, ni to letnie, ni zimowe, toporne, pełne grubych naszyć.

Bezbarwną marynarkę kupiła mu co najmniej piętnaście lat temu. Ale to on jeden w całej komendzie na Powiślu miał rok w rok najlepsze wyniki w strzelaniu.

* Widzisz tu jakąś logikę? * zapytał Osiecki.

Agata pokręciła przecząco głową. Lekarz właśnie skończył wstępne oględziny i spojrzał na nią.

* Do worka.

Sanitariusze, którzy zawzięcie o czymś dyskutowali, zabrali się do pracy. Osiecki zapalił papierosa. Tam, gdzie zbiegała w dół Książęca, wisiała przerzucona górą kładka dla pieszych.

* O pół do jedenastej wieczorem wyszedłem z psem * powiedział Gruda. *

Widoczność była najwyżej na pięć metrów.

Zapomniała, że do tego wszystkiego miał jeszcze psa. Małą, jazgotliwą kundelkę.

* Więc nawet jeśli ktoś szedł górą, to niczego nie widział * dokończył.

* Tu stoją latarnie * wtrącił się Osiecki.

* Wiesz, jak wygląda światło latarni w takiej mgle? W środku nocy? * zapytał Gruda.

* Niemniej należy ustalić, kto był w nocy w obu tych budynkach * powiedziała Agata

* I wstępnie ich przesłuchać. Nfa miejscu. Także tego, jak mówisz, ciecica z muzeum.

Trzeba pogadać z personelem restauracji. Może ktoś zapamiętał kobietę.

* Ona nie ma twarzy * powtórzył Osiecki.

* Ale takie ciemne, posiwiałe włosy są charakterystyczne. Jest wysoka i szczupła. To już coś. Może była w towarzystwie kilku mężczyzn, może jednego mężczyzny.

* A ten drugi? * Gruda wskazał na wychudzone ciało w brudnej flajerce.

* Nie wpuściliby go do żadnej knajpy * powiedział Osiecki.

* Czekaj nas przepytanie mieszkańców * ciągnęła. * Może ktoś gdzieś ich widział w okolicy i zapamiętał. Jest goła, ale to jednak dosyć egzotyczna parka. Tak mi się przynajmniej wydaje. I poszukajcie kamienia ze śladami krwi. Może nie był aż tak inteligentny i gdzieś go tutaj porzucił. Nie sądzę, ale spróbujmy. Trzeba przepytac personel w hotelu.

* Od chuja roboty.

* Zgadza się. Przyślę Suskiego, żeby wam pomógł. I Marciniaka, jeśli będzie wolny. Może jutro dostaniemy więcej ludzi. I pieski. Zaraz wydebię nakazy z prokuratury. Musimy mieć listę gości w hotelu. Przejrzę raporty naszych patroli z tego miejsca. Ich patroli też. * Głową wskazała na parę strażników miejskich, która wciąż stała jak wmurowana. * Muszą tutaj tak stać?

Gruda poruszył się i ciężko powlókł w ich stronę. Było coś bezczelnie ostentacyjnego w tych nagich zwłokach kobiety bez twarzy, która leżała tak po prostu w takim właśnie miejscu. Przez te okna przecież nikt nigdy nie wyglądał. Nawet w dzień, a co dopiero nocą.

Agata wysunęła otwartą dłoń w stronę Osieckiego, a ten bez słowa położył na niej kluczyki samochodu. Od dobrych pięciu minut czuła, że jeśli zaraz nie znajdzie toalety, to zsiąka się w majtki.

Portier w liberii, który przechadzał się bez sensu przed obrotowymi drzwiami hotelu Sheraton, spojrzął na nią zdziwiony. Wszyscy patrzyli na nią zdziwieni. Także elegancka kobieta w damskiej toalecie, ubrana na biało, szczegółów nie zapamiętała, która poprawiała makijaż przed dużym lustrem. Szminka w dłoni zawisła w powietrzu, gdy zaskoczona zapatrzyła się na rozpędzoną kulkę w policyjnym mundurze, która przemknęła obok, by zniknąć za drzwiami kabiny. Agata zadarła wąską spódnicę do góry, ściągnęła rajstopy i majtki i z rozkoszą opadła na deskę klozetową. Zrobiła ogromne i strasznie głośne siku, które przetoczyło się echem po wysoko sklepionym wnętrzu wystawnej toalety. Potem stanęła przed dużym lustrem, żeby umyć dłonie. Kobiety na biało już nie było. Z góry padało blade, nierzeczywiste światło. Popatrzyła na swoją twarz. Zdjęła czapkę, ale to na nic się zdało. Jestem stara i brzydka. I mam okropny charakter. Dlaczego nie potrafię się zmienić?

Kozyra siedział za biurkiem. Nadal miał na sobie trzyczęściowy, ciemnograny garnitur. Wsparty łokciami o blat bawił się plastikowym, jednorazowym długopisem w kolorach francuskiej flagi. Milczał. Oboje milczeli. Nawet nie zaproponował kawy. Zresztą nie pamiętała, kiedy ostatni raz zaproponował jej kawę we własnym gabinecie. Patrzyła na długopis,

którym w zamyśleniu przesuwiał po blacie. Popychał go końcami grubych palców o nierównych paznokciach. Tego jednego jeszcze nie opanował. Zęby zadbać o dłonie. Dlaczego żona nie zwróciła mu na to uwagi? Jest przecież kobietą z aspiracjami. Jak na żonę komendanta z dzielnicy nawet szykowną. Ogniście rude włosy i ładna twarz osadzona na długiej szyi. Jakim cudem mu się trafiła i jakim cudem potrafił ją przy sobie utrzymać, taką szczupłą, wysoką i zgrabną? Do tego ten płaski brzuch, a przecież urodziła mu syna.

* Nie ma z nią lekko. Na sylwestra pokazała, co potrafi * powiedziała Całka, która była komendantem na Bemowie i z tego powodu częściej bywała na wspólnych imprezach. Agaty nigdy nie zapraszali. * Było mi go żal. Naprawdę. Mam o nim swoje zdanie, ale wtedy było mi go żal. W pewnym wieku pewnych rzeczy się nie robi. Pod żadnym pozorem. Tym bardziej jeśli jest się żoną policjanta. Mój stary był regularnie zniesmaczony.

* Co to znaczy, że masz o nim swoje zdanie? Rozpędzona Całka zamilkła. Końcem wskazującego palca poprawiła okulary na dużym nosie.

* To, że się znamy z oficerki, nie upoważnia cię do zadawania takich pytań. Po prostu tak powiedziałam, w określonym kontekście, i niech tak zostanie. Mówiłam o jego żonie.

Najpierw pilot od telewizora odmawiał posłuszeństwa. I to nie jest wcale takie łatwe trafić do własnego łóżka. W nocy ściany biją w człowieka. Uderzają go. Napierają na niego. A co dopiero w taką kruchą, rudowłosą kobietę.

* Mówiłaś o nim, Całka.

Nie odpowiedziała i wyszła z toalety.

To trwało niemal wieczność, to suwanie trójkolorowym długopisem po blacie biurka. Niech się wreszcie skupi i coś powie.

* Nie nosisz broni * odezwał się wreszcie. * I nie chodzisz na strzelnicę.

* Rozumiem, że to jest twój problem, tak? * zapytała zaczepnie.

Nie była na to przygotowana. Nie odpowiedział.

* Kto ci o tym doniósł?

* Może spójrz na to z innej strony? Koleżeńska troska.

* Nie miałam pojęcia, że koledzy potrafią być tak troskliwi.

Wzruszył ramionami.

* Ja uważam, że to jest problem. Ale twój. W gruncie rzeczy możesz przejść na wcześniejszą emeryturę.

Podniósł wzrok znad biurka, wiedziała, że ją obserwował. Odwróciła twarz. Nie czuła się skrępowana. Po prostu nie miała ochoty patrzeć mu w oczy.

fi?

* Chcesz mi to odebrać? * zapytała wprost. Nie odpowiedział. Wrócił do długopisu.

* I komu to dasz? Leć nazwiskami. Nadał milczał.

* Po prostu chcę poznać twój pomysł, to wszystko. Łatwiej mi będzie zrozumieć twoją decyzję, jeśli poznam nazwisko.

Westchnął głęboko, głośno i z przesadą, jak w operze, i zapatrzył się w okno.

Potrzebowała chwili, żeby dotarł do niej sens tego westchnięcia. I tego wystudiowanego, napuszonego profilu z troską na pierwszym planie.

* Chcesz się tego w ogóle pozbyć?

* Czy tak nie będzie prościej? * Spojrzał na nią, bezradnie zresztą, nad czym nie zapanował. * Nie mamy pojęcia, co to jest.

* Ale się dowiemy. Nie rozśmieszaj mnie. Mieliśmy większe problemy.

* Przyjrzyj się uważnie. * Przesunął w jej stronę plan dzielnicy. Jej fragmenty zaznaczone były różnymi kolorami. Długopisem narysował niewielki krzyżyk. * Tu znaleźliście zwłoki. Jaki tu widzisz kolor?

* Nie widzę związku.

* Nie pytam cię o związek. Pytam cię o kolor.

* Gównu mnie obchodzą twoje kolory. Chcesz im to oddać z automatu, tak po prostu, tylko dlatego, że akurat tę część miasta zabarwili na czerwono?

* Sądzę, że oni już to wzięli, tyle że my jeszcze o tym nie wiemy.

* Dlaczego zawsze jesteś taki mały?

Nie odezwał się. Nawet trochę skulił. Więc poszła za ciosem.

* Nie umiesz już mi zaufać? Po tym wszystkim? Zresztą to jest na razie tylko jedna

kobieta!

* Agata, miej litość!

* Mam. Zresztą nie wiem. Może nie mam. Ale to są moje trupy. Są na moim terenie. I po prostu wyszła z gabinetu, trzaskając drzwiami. Najmocniej, jak potrafiła.

7

Z raportów nic nie wynikało. Były bezużyteczne. Dwa wozy kilkakrotnie przejechały całą okolicę. Jeden z nich nawet zakotwiczył na dłużej przy alei Na Skarpie. Czytała, kogo zatrzymali, a kogo tylko spisali. Niezdarne, koślawe i kulfoniaste opisy. Pełne dziwacznych zdań. Napęczniałe od błędów ortograficznych. O gramatyce lepiej nie wspominać, sama miała z nią problemy. Pogryzione psy, pijany mąż, którego żona nie wpuściła do domu i który manifestacyjnie zasnął na trawniku przed domem, przy Wiejskiej. Kobieta, czterdzieści dwa lata, wykształcenie średnie, mąż solidnie ją złutował na chodniku, zaraz po tym, jak wysiedli z taksówki. Frascati. Zadzwoił taksówkarz. Bo wcześniej już coś przeczuwał. Mąż wykształcenie wyższe, z dyplomem. Nie lubię damskich bokserów, zeznał kierowca taksówki. Można się poróżnić, ale nie w taki sposób. Ubliżał kobiecie przez cały kurs. Dlatego zaczekałem. Upadła na nierówny chodnik. Nogi rozrzucone, spódnica nieładnie zadarta, a on nisko pochylony, pewny, że mu nie odda, wyprowadzał cios za ciosem, jak w filmie, który taksówkarz oglądał kilka razy na DVD. Puścił jej farbę z twarzy. Z nosa i z ust. Obie wargi rozcięte w wielu miejscach. Zsinienie skóry kości policzkowej lewej rozciąga się na powierzchni czterech centymetrów, na wysokości lewego oka przechodzi w silną opuchliznę, barwa skóry fioletowa. Opuchlizna i pęknięcie skóry w części skroniowej lewej. Stłuczenia i przebarwienia skóry na obu pośladkach. Zlecono rtg całej twarzy. Nie stwierdzono złamań ani pęknięcia kości. Ale to nie pierwszy raz, kiedy ją pobił. Dziecko, dziewczynka, lat siedem. Sąsiad zawezwał, bo już nie mógł znieść jej bolesnego wrzasku. Pan sobie to wyobraża? Noc w noc to dziecko tak wyje. To z

tego bloku vis*a*vis Sheratona. Miało ślady na całym ciele. Sine pręgi i przebarwienia skóry. Mogło być bite od wielu dni. Zabrali je do szpitala, a potem do policyjnej izby dziecka. Bo na szczęście nie było żadnych trwałych uszkodzeń ciała. Pani K. w sześćdziesiątym pierwszym napisała cały podręcznik do historii, dlatego dostała sto dwadzieścia cztery metry przy Wiejskiej. Własny syn, pięćdziesiąt siedem lat, wykształcenie wyższe, bez pracy, stłukł ją na kwaśne jabłko, bo nie chciała mu dać na wódkę. Obite ciało osiemdziesięcioletniej kobiety, odziane jedynie w beżową podomkę, rozciągnięte w szerokim i jasnym przedpokoju. Zwiotczała skóra na łydkach wystających spod zadartej podomki. Nabrzmiące żyłki. Po drugiej stronie ulicy, w domu z czerwonej cegły, mąż zamachnął się na żonę. Kablem od czegoś tam. Jest sugestia, że od żelazka. Trafił ciężką, niedzisiejszą wtyczką. Taką z bakelitu. W głowę. Rozciął skroń. Zachował się, bo sam wezwał pogotowie, kiedy padła na podłogę w kuchni i nie dawała znaku życia. Trzydziestosześcioletnia samotna, bez męża, bez dzieci, wykształcenie wyższe pełne, narobiła wrzasku, gdy wysiadła z samochodu i weszła do bramy. Wybiegła na chodnik w butach na wysokim obcasie i zadzwoniła, bo ekshibicjonista stał pod ścianą po lewej stronie i czymś machał. To coś było niezbyt zresztą wyprostowane, ale niechybnie wystawało z jego rozporoka. Nie żeby to mi coś zrobiło, nic z tych rzeczy, ale mieszkanie, kurwa, kupiłam za milion trzysta, wzięłam kredyt, płacę wysoki czynsz i nie życzę sobie takiego machania w mojej bramie. Kiedyś o takiej trzydzieści sześć lat bez męża i dzieci mówiło się stara panna. Dzisiaj singielka. Czterdzieści dwie minuty później mężczyzna, pięćdziesiąt osiem lat, wykształcenie wyższe pełne, sto siedemdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, dziewięćdziesiąt pięć kilogramów, usiłował powiesić się w łazience. Córka, dwadzieścia trzy lata, wykształcenie wyższe niepełne, bez pracy, wciąż przy rodzicach, weszła w porę do łazienki. Była na imprezie, gdzie połało się trochę piwa. No a piwo, wiadomo, pogoni człowieka kilka razy. Nie ustalono jeszcze przyczyn, dla których chciał się powiesić. Żona ciągle płacze w szoku, ale córka coś bąknęła, że stracił pracę pół roku temu i przez cały czas udawał, że ją nadal ma. Że przyuważyła go w parku, na ławce, kilka razy, a przecież powinien być w biurze. I że chyba już nie mógł udawać, czy coś w tym rodzaju.

Niech się wyśpią, dojdą do siebie, a następnego dnia coś ustalimy. Grali Panne Tutli*Putli, więc zjechały ze trzy autokary, bo tam jedna aktorka jest podobno goła. Po spektaklu obowiązkowe palenie i z powrotem do autokarów. Zdyscyplinowane grupy. Jeśli sobie nawet wypili, to tak, że nikt nie zauważył. Bez ekscesów.

Zadzwoiła do Osieckiego, ale ten pokręcił przecząco głową. Wpadła w panikę, ale tylko na chwilę. Nie ma takiej możliwości! Uspokój się, głupia. Zebrała wszystko do kupy, spisała po bożemu i zadzwoniła do Świerczyńskiej z prokuratury. Powiedziała o nakazach, a zaraz potem wysłała jej wszystko mailem. Była trzecia po południu, poczuła lekki głód i dotarło do niej, że nie ugotowała obiadu, choć obiecała to Kaśce. Nie potrafię się zająć własną córką, pomyślała. Zadzwoniła do niej, ale telefon Kaśki był wyłączony. Bardzo łatwo przyzwyczała się do jej nieobecności w domu. Ledwie dwa lata i nic nie zostało z irytującej Kaśkę nadopiekuńczości. Przez pierwszych sześć miesięcy dzwoniła przynajmniej

trzy razy dziennie, żeby zapytać, czy zjadła śniadanie, gdzie zamierza zjeść obiad i za ile, czy ubrała się wystarczająco ciepło, czy ma szalik, a jaką czapkę, czy kupiła już buty na zimę, najlepiej, żeby wpadła na herbatę i pokazała mamie, czy są wystarczająco ciepłe, z cholewką i solidną futrówką. Ale potem telefony były coraz rzadsze. Nie zauważyła, kiedy zapadła się w siebie, w swoją samotność, w której było jej coraz lepiej i jeśli nawet jej doskwierała, to jakoś nieszczególnie, bo była na swój sposób ciepła i przytulna. Nie trzeba ciągle zaglądać do lodówki, a mieszkanie można sprzątnąć raz na dwa tygodnie, bo nikt jej przecież nie odwiedza.

Pan Nguyen w swojej czerwonej budce jak zwykle się uklonił, uśmiechnął do niej i podał tekturowy talerz, a na nim dwie zarumienione sajgonki, miniaturową kupkę kiszzonej surówki, cieniutką bibułkę różowej serwetki i parę plastikowych sztuczków w kolorze białym. I coca*colę w plastikowej butelce. To jest dopiero bomba kaloryczna. Pij wodę, powiedziała Kaśka. I zrób sobie głodówkę. Zrób sobie głodówkę po dwóch niezidentyfikowanych trupach. Zrób sobie głodówkę po całym dniu, podczas którego nie wydarzyło się nic, o czym mogłabyś powiedzieć, że było miłe. Próbowwała policzyć, od ilu lat pan Nguyen uśmiechał się do niej w ten sam sposób * kamienna twarz bez wieku, nieruchome, czarne, skośne oczy * i poddała się. Potrzebowali kilku

co najmniej śledztw, dwóch w sprawie o zabójstwo, żeby zrozumieć, że wszyscy oni tutaj nazywają się Nguyen. Nawet jeśli pan Ho zabije pana Quin lub odwrotnie, to i tak ostatecznie winnym będzie kolejny pan Nguyen. Pytanie, który Nguyen, skoro jest ich tu przynajmniej kilka tysięcy i wszyscy mają to samo imię? Może zresztą to nie jest imię, tylko nazwisko? Mało kto wiedział, jak je zapisać w raporcie. Owszem, można literować, ale oni literują po wietnamsku. Może

pora, żeby nauczyć się tego dziwnego języka? Bo to wkurwiająco szczelna i nieprzejrzyta ściana usługowych ukłonów i uśmiechów. I niezmienny brak choćby jednego słowa po polsku. Na każde pytanie wszyscy odpowiadali „Nguyen”, z jednakim uśmiechem i lekko schyloną w grzecznym pokłonie głową. Urządzali hałaśliwe wesela w rozległym barze na piętrze, przy placu Zbawiciela. Jęśliwe, wysokie i okropnie łańszujące zawodzenie tęsknych głosów przy karaoke, które niosło się po placu i oznajmiało całej okolicy, że są. Że się tu poczuli. Że powinniśmy się przyzwyczać, bo nawet jeśli kiedyś wyjadą, to nie w całości. Małe i urocze dzieci bawiły się beztrąsko na szerokim chodniku i zaczepiały stare kwiaciarki na oczach rozkapryszonych par siedzących na tarasie modnej kawiarni. Wózki, używane, kilkuletnie, ale i tak niczego sobie, upchnęli za rogiem, przy Mokotowskiej. Duże fordys, kilka chryslerów, ale merole też się zdarzały. Niektórzy z nich robią tutaj całkiem niezłe pieniądze. Jak? Chyba po prostu trafnie nas oceniają. Gnuśni i zadufani w sobie Polacy. Chamówia bez subtelności. Stado niezorganizowanych debili. Leniwi, generalnie rzecz biorąc. Myślą chwilą i potrafią się w niej zatracić. Wydaje im się, że są lepsi. Uśmiechnij się, ukłoń i nie wyprowadzaj tego głupiego Polaka z błędu.

Odpowiedziała panu Nguyen uśmiechem za uśmiech i wzięła sajgonki.

Dwadzieścia minut po tym, jak znów usiadła za swoim biurkiem, zadzwonił telefon. Miły, męski głos. Tenor, ale z tych trochę niższych. Powiedział, że nazywa się Tomasz Weber i dzwoni z polecenia prokurator Swierczyńskiej. Jest prokuratorem i ma zająć się tą sprawą. Usłyszała bezradność, której nie usiłował nawet ukryć. Miał miody głos. Oceniała go na nie więcej niż trzydzieści, trzydzieści kilka lat.

* Chce pan zobaczyć miejsce?

* A uważa pani, że powinienem?

* Nie. Nie sądzę, żeby to było konieczne. Przynajmniej nie teraz. Nic jeszcze nie wiemy... * zawiesiła głos.

W słuchawce kilkusekundowa cisza.

* Tak? * Otwarty brak pewności.

* Natomiast myślę, że powinien pan zobaczyć ciała. Znów kilka sekund ciszy.

* O ile wiem, jest chyba taki przepis, ale nie jestem w tym dobra * dodała.

* Kiedy? * odezwał się po chwili.

Była pewna, że usłyszała, jak z trudem przełknął ślinę.

* Na razie nie ma żadnej pewności, że to zostanie przy nas.

* Ma pani na myśli, że nam odbiorą?

* Tak. To właśnie mam na myśli. Proszę czekać na mój telefon.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Chyba dała już dość czasu Bogdańskiemu.

8

Laborant mył narzędzia. Jego wargi wydymały się ledwo zauważalnie.

Wydmuchiwały jakąś melodię, ale tylko on ją słyszał. Jego telefon piknął, więc odchylił połą zielonego fartucha, żeby wyjąć go z kieszeni, ale nie przerwał melodii, którą pyrtał pod nosem. Popatrzył na ekran i schował telefon do kieszeni spodni.

Nawet nie spojrzał na nią, kiedy weszła. Woda płynęła z kranu cienkim strumieniem i szumiała cicho. Oba nagie ciała leżały na dwóch oddzielnych stołach. Byle jak sfastrygowane po sekcji. Kobieta miała drobne, miękkie piersi o dużych, wyrazistych sutkach. Płaski brzuch i wystające kości bioder. Wypukły wzgórek łona przykrywał bujny kosmyk gęstych, czarnych włosów. Mężczyzna był wynędzniały. Krzywiczne zebra odrysowane bardzo dosłownie pod pergaminową skórą. Skłute ramiona.

Himalaje zaschniętych, ale za życia ropiejących strupów. Musiał już się wklewać w pachwiny. Chude, krzywe nogi, zsiniałe i skurczone genitalia. I tak nie pożyłby długo. Czują, że Bogdański patrzy na nią. Podniosła na niego wzrok, a on nie

odwrócił głowy. Jakaś odległa jarzeniówka odbiła się w szklach dużych, niezgrabnych okularów i zasłoniła jego oczy. Siwa, szorstka broda i łysa, ciekawie sklepiona czaszka. Za dziesięć lat pójdzie na emeryturę. Dziesięć lat to szmat czasu. Dwukrotnie się żenił i dwukrotnie rozwodził. Miał dwóch synów, każdego z inną żoną. Tę drugą poznała. Interesująca kobieta * spory tyłek, duży nos, wyraziste, zmysłowe usta i zielone oczy. Zapamiętała jej głośny śmiech, którym potrafiła wybuchnąć z byle powodu. On miał oczy szare i wyblakłe, a dłonie mocne, sprawne, o sękatych, długich palcach. Pracował zawsze bez rękawiczek. Fartuch też wkładał rzadko, tylko przy sekcjach prokuratorskich. I tylko wtedy, kiedy to był nowy prokurator.

* Dlaczego się tak gapisz?

* Bo źle wyglądasz. * Podniósł się ze swojego stołka i stanął przy zwłokach.

* Nie możesz chociaż raz poczęstować mnie jakimś wytartym, banalnym komplementem? Babki to uwielbiają. Taki stary dziad, tyle towaru przekosił, a jeszcze o tym nie wie?

Uśmiechnął się krzywo z powodu starego dziada i koszenia, ale zaraz spowaźniał.

* Bo uważam, że naprawdę źle wyglądasz. Kiedy ostatni raz byłeś u lekarza?

* Poczekam, aż zostanę twoją pacjentką.

Laborant parsknął śmiechem i już wiedziała, że przegięła. Hamuj, idiotko! Gorzki grymas wykrzywił twarz Bogdańskiego, a przy tym jakiś dziwny żal. Otworzył usta, zamknął je, raz jeszcze otworzył i znów zamknął. Głośno wypuścił powietrze przez nos.

* Czy to na przykład może być jakaś czkawka po Mielcarku? * zapytała, żeby zmienić temat, zatrzeć złe wrażenie, i ruchem głowy wskazała na kobietę bez twarzy.

* Pytam na rybę, bo nic nie mamy. Muszę mieć jakiś początek.

* Nie sędzę * odezwał się dopiero po chwili. * To nie jest zresztą pytanie do mnie.

Niemniej wiedza, jaką w tej chwili posiadam, nie daje mi podstaw, żeby tak sądzić. Obraził się. Zawsze kiedy się na nią obrażał, zaczynał mówić jak profesor do swoich studentów.

* Przepraszam cię * powiedziała cichym głosem. * To było głupie. Bardzo głupie.

Podniósł na nią znad ciała smutny wzrok.

* Wiesz, że zawsze uważałem cię za najlepszą dupę w resorcie. Muszę to podkreślać za każdym razem?

Uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

* Kontynuuj.

* Skręcenie karku * powiedział. Aż zmrużyła oczy.

* I ona, i on. W ten sam sposób. Jednym ruchem od lewej strony do prawej * zademonstrował.

* Czyli możemy przyjąć, że oba ciała są dziełem jednego zabójcy?

Kiwnął potakująco głową.

* Czy do tego trzeba jakiejś wyjątkowej siły?

* Dużej, ale nie wyjątkowej. Bardziej trzeba wiedzy, jak to zrobić. Nie uczyli cię o tym? Powinnaś to mieć na zajęciach z patologii.

* To było dwadzieścia parę lat temu. Potrafiłbyś to zrobić? Najpierw chrząknął, rozbawiony pytaniem, potem nagle spowaźniał, zasepił się i zmarszczył brwi.

* Myślę, że tak * odparł po chwili.

* Stał z tyłu? Za ich plecami?

* Jeśli zabijasz przez skręcenie karku, to wiesz, jak to zrobić. Wybierasz wariant optymalny. Od tyłu, zza pleców to jest wariant optymalny.

* A jej twarz?

* Zrobił to potem. Już nie żyła. To mrówcza, metodyczna praca. Użył do tego ostrego narzędzia o niezbyt długim ostrzu. Na pozostałej części ciała nie ma żadnych obrażeń. Żadnych. Także w jego przypadku * wskazał na mężczyznę. * Nie mówię o tych śladach, które sam sobie zrobił strzykawką.

* Bez walki?

* Bez. Nie ogłuszył, nie poddusił.

* Scyzoryk?

* Może być. Potem poprawił tępym narzędziem o sporej powierzchni. Na przykład kamieniem. Ale tu już nie był tak metodyczny. Huknął kilka razy, ale raczej na odwal

się.

* Dłubanina scyzorykiem go wyczerpała. Wzruszył bezradnie ramionami.

* Spójrz. * Dotknęła lewego ucha kobiety. Pochylił się nad ciałem, bo przez cały ten czas stał po drugiej stronie stołu. * Wyjął jej kolczyki.

* Mogła ich nie założyć. Zademonstrowała mu swoje prawe ucho.

* Prędzej zapomnę zdjąć je na noc. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek wyszłam bez nich z domu.

* Nie rozumiem.

* Wyciął jej twarz scyzorykiem i wyjął kolczyki. Mógł wyrwać. Mógł odciąć uszy.

* Ale co to według ciebie znaczy?

* Powiedziałaś: metodyczna, mrówcza praca, tak?

* Ślepej furii w tym nie ma. Tyle że potem ten kamień.

* Ale na odwal się, tak?

* Trzy, może cztery uderzenia. To w sumie niewiele. Niedawno miałem gościa, któremu syn rozwalił łeb łopatą. Według mojej oceny zadał mu około dwudziestu kilku uderzeń.

* No właśnie.

Bogdański zamyślił się, wpatrzony w twarz, której nie było. Teraz, kiedy wszystko do reszty okrzepło i szerniało, wyglądała koszmarnie.

* Co jeszcze? * zapytała.

* Przed zgonem nie odbyła stosunku seksualnego. Zabezpieczała się spiralą i nigdy nie rodziła. Zjadła obfity kolację, której nie zdążyła strawić w całości. Zawartość żołądka

oddałem do analizy. Jutro już coś będziemy wiedzieć. Wypiła trochę alkoholu, ale niewiele. Była w pełni przytomna. Żadnych środków odurzających, usypiających i tak dalej. Sto siedemdziesiąt dwa centymetry, sześćdziesiąt trzy kilogramy, budowa prawidłowa, żadnych zmian chorobowych. Pełne uzębienie. Korzystała z dobrego dentysty. Używał standardowych europejskich materiałów wypełniających.

Trzydzieści pięć, czterdzieści pięć lat.

Mam czterdzieści cztery lata, pomyślała, i moje ciało nie ma już nic wspólnego z

tamtym, gdy miałam trzydzieści pięć. Wpadasz w dziesięcioletnią otchłań. Czarną dziurę, w której wszystko to, co się wydawało takie ważne przez całe dziesięć lat, okazuje się nieistotną pierdołą. Bo nie żyjesz latami, lecz dekadami. W dekadę możesz przecież urodzić od groma dzieci i zdeformować swoje ciało do oporu. Więc jak można zmierzyć historię ciała dekadami?

* Kiedy?

* W nocy. Przyjmijmy, że między dwudziestą drugą dnia poprzedniego a piątą dnia następnego. W dużym przybliżeniu. Każdy człowiek jest odrębny, ale my przecież musimy opierać się na tym, co jest typowe i powtarzalne. Więc im później jesz, tym wolniej trawisz. Zjadła późną kolację, od tego momentu upłynęło kilka godzin.

Pierwsza, druga w nocy?

Nie zdążyła zareagować, bo drzwi się otworzyły i wszedł Osiecki. Stał w miejscu, a jego wodniste i zaczerwienione oczka zapatrzyły się w nagie zwłoki kobiety.

Obserwowała go uważnie i była pewna, że na końcu języka zawisła mu fraza: niezła dupa, ale na szczęście zdążył spojrzeć na Bogdańskiego, który pozdrowił go skinieniem głowy, więc wyhamował i też tylko skinął w odpowiedzi. Wyjął notes, szybko przerzucił kilka kartek i znieruchomiał na chwilę. Laborant wyszedł.

Skończył myć narzędzia i poszedł się przebrać. Umówił się

z dziewczyną na kolację u Araba. Zjedzą shaormę z frytkami, wypiją trochę piwa, potem może pójdą do kina. Od pięciu dni grają nowego Bonda. Dziewczyna też jest nowa, poznali się cztery miesiące temu. Jeszcze nie wie, czym on się zajmuje na co dzień. Coś tam bąknął o służbie zdrowia. Kupiła i nie zadała więcej pytań. Nie kłam. Dlaczego? Kiedyś będziesz jej musiał powiedzieć, jeśli chcesz, żeby została z tobą. Zejdź ze mnie, jeszcze nie wiem, czy tego chcę.

* Mamy jego odciski * powiedział Osiecki i palcem wskazał ciało mężczyzny. *

Andrzej Gula, zaczął jako dealer, miał puszkę, wyszedł po dwóch latach i ośmiu miesiącach, wrócił na rynek, ale po pierdлу szybko się uzależnił. Plus minus dwa lata temu wypadł z rynku. Chyba śmieć. Był na szybkiej ścieżce. Jej u nas nie ma.

* Coś jeszcze możesz dorzucić od siebie? * zapytała Bogdańskiego.

Zawahał się.

* Wydaje mi się, że nie jest Polką * powiedział ostrożnie. * Ale to tylko wrażenie. Nie wierzę w pomiary antropometryczne. To zawsze pachnie tanim rasizmem. Zrobimy komputerową rekonstrukcję twarzy. To będzie tylko hipoteza, ale jednak.

* Na kiedy?

* Na jutro.

Zdjął okulary i palcami potarł zmęczone szare oczy.

Mgła oblepiła wszystko. Teraz, w ciemności, wydawała się jeszcze gęstsza niż za dnia. Usiadła wilgocią na piersi i przydusiła trochę. Osiecki zapalił papierosa.

* Pójdziemy na jednego? Pokręciła przecząco głową.

* Mam tylko jedno marzenie * powiedziała. * Zęby zdjąć z siebie ten mundur. I pozbyć się czapki z daszkiem.

* Nie widzę przeszkód. Mam taką jazdę, że lubię babki, które rozbierają się na ulicy. W pierwszej kolejności pielęgniarce, ale zaraz potem policjantki.

Zwinęła dłoń w pięść i lekko uderzyła go w żylaste ramię. Zasłonił się teatralnie.

* Osiecki, jesteś głupią, szowinistyczną świnią.

* Weź nie obrażaj zwierząt.

Małe oczka zwężyły się jeszcze bardziej i zarechotał. Wcisnęła mu w dłoń kluczyki.

* Odwieszysz mnie do domu?

* Jasne.

Biała wata wytlumiła miasto. Nawet smród spalin stał się jakby nieco mniej smrodliwy. Widmowe latarnie tliły się słabym, rozedrganym i wilgotnym blaskiem, ale nie rozświetlały niczego. Nie było widać miasta. I to było dosyć dziwne.

* Jesteśmy w dupie. * Osiecki w skupieniu prowadził samochód. * Dzień pierwszy jest dniem straconym.

* To nie pierwszy raz, kiedy tracimy pierwszy dzień. Zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić.

* Nie mamy żadnych świadków. Nikt ich nie widział. Ani jej, ani jego. Kamienia też nie ma. Natomiast pod drzewem, przy schodach, jest od chuja strzykawek. Trzeba z tym zrobić porządek.

* Mają skręcone karki. Oboje w ten sam sposób * powiedziała i w skrócie powtórzyła

słowa Bogdańskiego.

Osiecki się nie odezwał. Widziała, że informacja zrobiła na nim wrażenie.

* Więc to może nie być takie proste, jak byśmy sobie tego życzyli. Bądźmy cierpliwi.

Nadal milczał, ale wodniste i zaczerwienione oczka się zwężyły. Światła reflektorów

odbijały się od waty, z której od czasu do czasu wyłaniała się jakaś nierealna postać.

Agata nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz taka mgła zawładnęła miastem.

Ani kiedy ona opuściła to miasto na dłużej niż na jeden dzień.

Od pogrzebu taty ani razu nie wróciła do siebie na wieś. A więc od trzech lat. Ojciec

żył jeszcze, kiedy młodszy brat odważnie wziął na siebie te kilka marnych,

wyliniałych hektarów, jedną krowę i stadko kur z ospałym kogutem. Prawda była

taka, że nie lubiła szwagierki. Myślisz, że wszystkie się rwą, żeby zostać z brudnym

chłopem na ziemi, której tak naprawdę nie ma? Ale po co wam tyle dzieci? Nawet

zdania nie można dokończyć. Zrobiłaś się jakąś głupią cipą z miasta. Nie lubię cię za

to. Nie lubię małych dzieci, powinna była powiedzieć otwarcie. A twój to co? Cudo

na kiju? Boazerię w przedpokoju ułożył i potem dwa miesiące po tym sukcesie

odpoczywał. Czy on kiedyś, chociaż raz, uczciwie

zarobił jakieś pieniądze, siostró? Co ja mówię, uczciwie. A niechby i nieuczciwie, ale

czy zarobił! Żyliście z tej twojej glińskiarskiej pensyjki, z tych paru groszy, coś je

miesiąc w miesiąc do domu przynosiła. Ale na jego kawkę, na jego, kurwa mać, że

tak powiem, papieroski i koniaczek w knajpie z kolegami zawsze musiało być,

prawda? Piękny, warszawski Lolo z Dolnego Mokotowa, co to, kurwa, wybacz

siostró, nie wie, skąd się biorą pieniądze! A dziecko, jak już majstruje, to przez

niedopatrzenie. Ani razu tu nie przyjechał, bo mu gnój śmierdział. A gnój jest właśnie

od tego, żeby śmierdział! I co? I jak się zakończyła ta piękna historia, w której

śliczny Lolo z Dolnego Mokotowa puknął prostą dupę ze wsi spod Skierniewic?

* Zamknij się! * ryknęła.

* Masz jakiś pomysł? * zapytał Osiecki.

* Nie. Jeszcze nie. Zostawmy to do jutra. Zatrzymali się pod szaroburym, ponurym klockiem,

który udawał kamienicę ze spadzistym dachem, cofniętą od ulicy Gagarina. Kiedyś

na parterze był sklep. Dwie rubaszne ekspedientki, które tak otwarcie zaczepiały ojca Kaśki, że ciężko to było wytrzymać. Długo nosiła w sobie niepokój, czy przypadkiem nie przeleciał tej młodszej. Była w jego typie. Tak dziwnie na Agatę patrzyła i się uśmiechała, tak układała swoje usta, jakby piła mleczko z ptasiego dziobka, że to było więcej niż zwykle upokorzenie. Dlatego potem już ani razu nie przekroczyła progu tego sklepu. Na szczęście wkrótce padł, bo obok otworzyli „Żabkę”.

* Mam przecucia, ale zostawmy je na później. Wsiadła z samochodu. Nie miała żadnych przecuć.

Nie miała żadnego pomysłu. Miała kompletnie pustą głowę, w której kołatał się jedynie strach, że będą dreptać po omacku, jak, nie przymierzając, oni w tej mgle, że będą się

potykać, wpadać na siebie, aż się w końcu znienawidzą serdecznie na długie miesiące, jak to już wcześniej się zdarzało.

Otworzyła drzwi i zapaliła światło we wszystkich pomieszczeniach, począwszy od brązowego przedpokoju, a na łazience skończywszy. Wcześniej uniosła się do góry ciasną windą z lustrem, której nienawidziła, bo skrzypiała z wysiłku, była klaustrofobiczna i mogła zatrzymać się między piętrami. I też była brązowa.

Kaśki nie było jeszcze w domu, więc wetknęła korek do wanny, rozkręciła krany i nasypała soli.

10

* Liczyłam, że się ożenisz wreszcie i będziesz mieć dzieci * powiedziała mama i zaraz dodała: * a ja wnuki. Zawsze byłeś przystojny. Wiem, że podobałeś się kobietom. Myślę, że nadal się podobasz. Do twarzy ci z tą siwizną.

* Nigdy nic nie wskazywało na to, że chcesz zostać babcią. Odniosłem wrażenie, że nawet twoje macierzyństwo było problematyczne.

* Do wszystkiego trzeba dojrzeć. Co ja na to poradzę, że dojrzewam powoli?

Dzieci rzeczywiście żałował. Mógłby je mieć. Przynajmniej jedno. Nie wiedział po co, ale czuł, że to była jakaś strata. Dziura. Jak po zębie, który już nie odrasta.

Zdarzało się, że nawet potrafiło zaboć, kiedy w parku widział mężczyznę z dzieckiem. Ale co z żoną? Dla niej już nie było miejsca. Umówmy się, nigdy nie było.

* Dlaczego? * zapytała mama. Rozmawiali na rok przed jej śmiercią. Była już bardzo stara, bardzo znużona i niewiele do niej docierało. A ściślej, docierało to, co chciała, żeby dotarło. Ojciec nie żył od dwóch lat. Ale fortepian nadal stał w salonie. Czasami udawała głuchą, dla wygody.

* Nie zrozumiesz tego, mammo.

* Spróbuję. Daj mi szansę.

* Kobiety są częścią gry.

* Gry?

* Tak, gry, droga mammo. Posługuję się nimi.

Oczy, w których dopiero co niewiele było życia i zrozumienia, nagle odmłodniały.

* Nie można przecież posługiwać się i kochać jednocześnie, prawda? * zapytał.

Nie odpowiedziała, ale odmienione oczy wpatrywały się w niego czujnie.

* Uważasz, że można ożenić się bez miłości? Jeśli nie Kocham żony, to jakim cudem mogę kochać dzieci zrodzone z tego związku? Zresztą nie znam się na tym. Tak mi się po prostu wydaje.

Znów nie odpowiedziała i po chwili zasuszone twarz na powrót zamknęła się w sobie. Bóg świadkiem, że nigdy nie zapytał, czy kochała ojca. A jeśli tak, to czy kochała go do końca? Czy to była jeszcze miłość, czy już tylko cierpliwa tolerancja, która pozwoliła na to, by bez ustanku łomotał jednym klawiszem, którym raz na zawsze wypędził go z domu? Nigdy nie usłyszał, żeby powiedziała do ojca: Kocham cię. Nigdy też nie usłyszał, żeby w ten sam sposób ojciec zwrócił się do niej.

Próbował dogrzebać się w pamięci, kiedy ostatni raz usłyszał od matki: Kocham cię, synu. Nie dogrzebał się, a pamięć miał dobrą. Gdyby był mniej skromny, powiedziałby: niezawodną. Ale może jest tak, że miłość opiera się na czynach, nie na deklaracjach. Jeśli chodzi o czyny, nic nie mógł jej zarzucić. Na pewno w stosunku do siebie. A do ojca? Też chyba nie. Przynajmniej o niczym takim nie miał pojęcia. Z drugiej strony, to chyba jednak miłe usłyszeć: Kocham cię. Choćby raz na pół roku.

Jedli kolację oddzielną. W chambre separee. Nikt ich tu nie oglądał, więc dyrektor agencji się rozluźnił. Kartoflana

twarz z włościańskim, sumiastym wąsem. Nieco już ogłupiałe i stępione oczka po kilku kieliszkach wódki.

* Ja przepraszam, pan sobie może to winko, bardzo proszę, ale ja jednak zostanę przy wódeczce.

Zapomniał, że tu się lubi zdrabniać. Trzydzieści lat temu kolega z klasy, który poszedł na psychiatrię, powiedział mu, że skłonność do zdrabniania jest cechą osobowości patologicznej. Nieforemna, w gruncie rzeczy mocno komiczna postać. Otłuszczona. Był od niego młodszy o piętnaście, jeśli nie więcej lat, a znad paska od jego spodni wypływał bandzioch, że strach pomyśleć, co będzie później, gdy osiągnie jego wiek. Ilesztki jedzenia dyndały uczone przedwcześnie posiwiąłych wąsów, a serweta beczynnienie leżała na stole. Ale to cham*hre separee i nikt ich tu nie oglądał.

Miał tylko nadzieję, że rozluźniony dyrektor agencji nie zechce pójść na kurwy.

Wróciłeś na stałe, przynajmniej masz taki zamiar. Teraz ro jest klasa polityczna. Nie unosiłeś się przez tyle lat, to i nadal nie będziesz. To jednak dyrektor agencji.

Rządowej. Zresztą ci z drugiej strony też nie używają serwet. Też źledzą i łożą hektolitry wody. Też odlewają się byle gdzie i byle jak, nie bacząc na buty i nogawki spodni. Byle jakie bury i byle jakie spodnie, które skrywają opadające skarpetki i blade, bezbronnie łydki. Tak samo śmierdzą potem. Ich racja stanu też jest zdefiniowana grubością cudzych portfeli. Teraz stoją w poczekalni, ale za dwa lata mogą z niej wyjść. Sondaże dają im szansę. Zatem kiedyś też mogą być częścią gry. I może usiądziesz z nimi do kolacji. I też nie docenią rego, co masz na talerzu, ani tego, co masz w kieliszku. Bogiem a prawdą, żarcie było niestrawne, a shiraz smakował jak stara szmata.

* Chciałbym to jednak trochę zmienić * powiedział dyrektor agencji. * Ta sytuacja nie jest chyba dla mnie wygodna.

* Dlaczego?

* Jest... * Zawahał się i walnął kolejną lufę. * Niestabilna. Chodzi też o właściwe zaszeregowanie. Wtedy rozmawiamy o innych pieniądzach. Mam na to środki w

budżecie.

* Nie. Tak jest dobrze.

Dyrektor zamilkł zajęty swoim talerzem i kieliszkiem. Kieliszeczkim. Zmarszczył groźnie brew i coś tam mu się międziło w nie do końca przytomnej głowie.

* Szczerze, to ja pana nie rozumiem * odezwał się po chwili.

* Nie ma pan takiego obowiązku. Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

* Chodzi mi o Nabelaka. Jesteśmy jednak częścią resortu.

* Tylko się tak panu wydaje.

Znów się uśmiechnął i natychmiast spoważniał.

* Dochodzi jeszcze pałac. Nie mogę kłamać na okrągło.

* Na tym to przecież polega. Mam wrażenie, że jest pan w tym dobry.

Oczka znieruchomiały, podobnie jak ręka w pół drogi do gamoniowatych, rozwartych ust. Na serdecznym palcu prawej dłoni matowiało kółko złotej obrączki. Jakaż on mógł mieć żonę? A jakie dzieci? Jaka kobieta dała się uwieść beczce o rąsiach krótkich niczym płetwy foki? Jaka kobieta godziła się na to, żeby noc w noc miażdżył ją tym swoim pękatym brzuchem?

* Po pierwsze, trochę się boję...

* Zupełnie niepotrzebnie.

* Po drugie, dlaczego? Ja naprawdę nie rozumiem.

* Jestem patriotą i robię to dla swojej ojczyzny, nie dla mołojeckiej sławy.

* Pan sobie robi ze mnie jaja w tej chwili, prawda?

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się uprzejmie i odsunął lalerz. Był serdecznie znużony tym odpychającym, bezwstydnym człowiekiem i nie mógł już dalej przeżuwać tego okropnego jedzenia. Na stole położył pudełko ozdobione liczbą pięćdziesiąt siedem i wyjął z niego jednego papierosa. Obiecał sobie, że będzie wypalał tylko jednego dziennie z tej paczki i dzięki temu zachowa ją na dłużej. Taka opaczna wierność. Poza tym to jest jakaś forma. Jakiś rytm. Jakaś powtarzalność. A to nigdy nie szkodzi.

Naga schowała się w wodzie. Tyłko mokre kolana połyskiwały nad nieruchomą taflą. Dwie symetryczne wyspy o dziwnym, nierównym kształcie. Reszta ciała przepadła w rozpuszczonej soli. Nawet piersi. Jedynie ciemny trójkąt w miejscu, gdzie uda stykały się ze sobą, uparcie ciemniał pod powierzchnią. Zamknęła oczy. Chciała pomyśleć o czymś innym, ale to zwłoki przesunęły się pod powiekami. Wszystkie zwłoki jej życia. W równym szeregu, ułożone na stole, jednak białe i wyprostowane. Spróbowała je policzyć, było ich od cholery.

* Nie będę teraz tego analizować * powiedziała głośno i otworzyła oczy. Poczekamy na symulację twarzy. Może odbijemy się od tego? Jedyne, czego była pewna, to że oba ciała nie miały ze sobą nic wspólnego. Nie miała na to żadnych dowodów, to było tylko przypuszczenie, ale wiedziała, że ma rację. I muszę się tego trzymać, pomyślała.

* Muszę.

Usłyszała odgłos klucza w zamku i zza drzwi łazienki dobiegło przeciągłe: „Cześć”. Odgłos zamykanych drzwi, przekręcanych zamków, chwilę ciszy i głuchy łoskot, z jakim martensy uderzyły o podłogę w przedpokoju. Plecak upadł już nieco ciszej.

* Gdzie jesteś?

* Leżę w wannie.

Drzwi łazienki skrzypnęły głośno. Myślała o tym, żeby je naoliwić, ale nie wiedziała, jak to zrobić, więc dalej skrzypiały. Kaśka, w dżinsach i ciepłych, czerwonych skarpetkach w białe gwiazdki, które dostała od niej na dziewiętnaste urodziny, umyła dłonie nad umywalką i usiadła na opuszczonej klapie sedesu. Nie zapukała i nie zapytała, czy może wejść.

* Jak dzień? * zapytała Agata.

* Może być. A twój?

* Tak samo. Nie zrobiłam obiadu i w związku z tym jestem świnia.

* Nie jesteś. * Kaśka uśmiechnęła się ciepło. * Po pierwsze, wiedziałam, że nie zrobisz, bo szczerze nie lubisz gotować.

* Nie lubię. To fakt, niestety.

* Po drugie, i tak nie miałabym czasu, żeby się tu przytarabanić i zjeść.

* Przynajmniej zrobię jakieś kanapki na kolację.

W głębi duszy nigdy nie wierzyła w to, że jej własna córka dostanie się na wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W szkołach niczym nie błyszczała. Dostała się i radziła tam sobie bardzo dobrze. Była z niej dumna, choć nigdy jej tego otwarcie nie powiedziała.

* Chcesz piwa? * zapytała Kaśka.

* Nie, dziękuję. O ile wiem, w tym domu od jakiegoś czasu nie ma piwa.

* Kupiłam wczoraj wieczorem i schowałam do lodówki. W ogóle, do niej nie zaglądasz?

Nie odpowiedziała. Kaśka wyszła z łazienki i po chwili wróciła z otwartą butelką.

Zajęła to samo miejsce.

* Dlaczego rozwiodłaś się z tatą?

Agata przez kilka sekund wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w kratkę wentylatora pod sufitem. Była brudna.

* Nigdy wcześniej nie zadałaś mi tego pytania.

T'

* Teraz zadałam.

* Dlaczego właśnie teraz? Kiedy leżę goła w wannie? Bo właśnie teraz jesteś najbardziej bezbronna, idiotko, odpowiedziała sama sobie.

* Po prostu pytam, mamó. Nic więcej. Nie musisz mi odpowiadać, jeśli nie chcesz.

* Ludzie odchodzą od siebie, to chyba coś naturalnego, nie uważasz?

* Uważam, ale powiedz mi dlaczego.

Nie pozwalała na dystans. Sklinczowała i trzymała w zwarciu.

* Nie pasowaliśmy do siebie.

* To dlaczego wzięliście ślub, skoro nie pasowaliście do siebie?

* Byliśmy młodzi, kochaliśmy się. Takie rzeczy wychodzą dopiero po latach.

Ty byłaś zakochana, idiotko, tylko ty i twój brzuch, który rósł ci szybciej, niż to założył lekarz. Kaśka milczała. Nie patrzyła na nią.

* Wujek Staszek powiedział, że cię zdradzał * odezwała się dopiero po chwili, nadal nie patrząc jej w oczy. * Ze robił to notorycznie.

* Wujek Staszek nigdy nie lubił twojego ojca.

* Wiem. Zdradzał cię? Powiedz mi prawdę.

Wsparała się dłońmi o krawędzie wanny, stopami o jej dno i ciężko wyłoniła się z wody, bo tylko to przyszło jej w tym momencie do głowy.

* Możesz podać mi ręcznik?

Kaśka z wyraźną ciekawością zapatrzyła się na nagie ciało własnej matki. Ociekające wodą, połyskliwe. Rozluźnione kąpielą. I przez to bardzo dosłowne.

* Nie patrz na mnie w ten sposób * warknęła Agata. * A najlepiej wyjdź z łazienki i zostaw mnie samą.

Zapisała jedynie niepokój w oczach córki, która karnie I podała jej ręcznik, i bez słowa wyszła z łazienki. Nagła cisza. Sąsiedzi nie gapią się w telewizor, ich syn nie ćwiczy chwytów na gitarę, a sterana winda nie stęka w swoim szybie. W rurach nie szumi. Długo i cierpliwie wcierała krem w skórę, choć wiedziała, że to nie miało żadnego sensu, bo krem dużo obiecywał, ale był tani i każdy głupi wiedział, że żadnej z tych obietnic zwyczajnie nie dotrzyma. Na droższy nie mogła sobie pozwolić. Jak on mógł jej tak nagle wyjechać z tą wcześniejszą emeryturą?! Przecież jego żona jest starsza od niej. Ale ma płaski brzuch i szczuplejsze uda. Cycki za to większe. Powinna mu dać zwyczajnie w gębę. Dlaczego nie potrafi zapanować nad własną irytacją?

* Dlaczego nie potrafię zapanować nad własną irytacją? * powtórzyła szeptem.

Kaśka wkurwiła ją tą bezsensowną dociekliwością i tym, jak celnie jej przywaliała, ale, na litość boską, kobieto, masz czterdzieści cztery lata i panuj nad sobą. To jest twoja córka. Nie panuję i, co gorsza, wstydzę się przed własną córką. No to masz problem. A kiedy ostatni raz rozebrałaś się do naga przed mężczyzną? Zostawmy mężczyzn, ten temat nie jest mile widziany pod tym dachem. No to kiedy ostatni raz rozebrałaś się do kostiumu na plaży? Dwa lata temu wykupiła czternaście dni na południu Europy. Była promocja, bardzo tanio, ale i tak odkładała na to przez cały rok. Zdyszana, schowana za ciężką kotarą, w sklepie pełnym obcych kobiet,

naciągała na siebie dziesiątki radykalnie wyciętych kostiumów kąpielowych. Do ceny każdego doliczała cenę kremów do depilacji i tych cyfr było już tyle, że obojętna na wszystko, ciężko plasnęła tyłkiem na stołek w kącie maleńkiej przymierzalni i omal się nie rozpląkała, goła i zgarbiona. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo następnego dnia znaleźli pierwszą z sześciu ofiar Mielcarka i musiała odwołać swój pierwszy w życiu wyjazd na

południe Europy. Na szczęście nie robili trudności i zwrócili pieniądze.

Opatulona w szlafrok, weszła do pokoju, gdzie przy stole Kaśka pochylała się nad opasłym skryptem i ołówkiem robiła notatki na luźnych kartkach. Postawiła przed nią talerz z kanapkami, kubek z herbatą i położyła dłoń na jej głowie.

* Przepraszam.

Kaśka podniosła na nią wzrok, ale się nie odezwała. Agata usiadła na krześle obok.

* Oczy sobie popsujesz. To światło nie nadaje się do niczego. Przepraszam cię za to, ale prawie w ogóle nie siadam przy stole. Głównie używam lampy przy kanapie. W zupełności wystarcza mi do czytania, a ta tutaj wpędza mnie w depresję. Jesteś nadal z Jackiem?

Kaśka kiwnęła potakująco głową.

* Wszystko w porządku? Jeszcze jedno potakujące skinienie.

* Jeśli chcesz, zrobię w niedzielę jakiś obiad i możesz go zaprosić. Nie bój się, mam tu kilka książek kucharskich. Przecież wystarczy, że zastosuję się do przepisu.

Możemy zresztą razem zrobić ten obiad. Będziesz miała pewność, że niczego nie spieprzę.

* Nie chcesz o tym rozmawiać?

* Jest twoim ojcem * odparła i przypomniała sobie dziwny grymas, który tamtej nocy wykrzywił ptasią twarz Osieckiego. Schwyciła go za rękaw skórzanej kurtki, lekko pociągnęła w swoją stronę i wyszeptwała: Zostaw, to mój mąż. Latarki jednak nie zgasił.

Kwadrans po trzeciej usiadła w pościeli. Tym razem ani krzyk nie kołatał się echem po głowie, ani koszula nie lepiała do pleców. Bo tym razem tylko zobaczyła czwartą z sześciu. Siedziała rozparta na jej własnym krześle i trzymała nogi na jej własnym

biurku. Niedbale rozwarte. Paliła papierosa, choć w całej komendzie obowiązywał bezwzględny zakaz palenia. To nie był przyjemny widok, ze wszystkimi postąpił w jednaki, bardzo systematyczny sposób, ale zdążyła zobaczyć go już cztery razy, więc okrzepł i spowszedniał. Czwarta z sześciu nazywała się Karna Kukieł i z papierów wynikało, że nie paliła, więc nie wiedziała, dlaczego właśnie teraz postanowiła sobie zapalić. W dodatku w takim miejscu. Miała prawie dwadzieścia jeden lat, kończyła w listopadzie. Wywiad w miejscu zamieszkania potwierdził, nie była rozwiązła, żadnych śladów promiskuityzmu, od liceum z jednym chłopakiem, więc skąd te rozwarte zmysłowo uda? Nie mogłaś o niej wiedzieć wszystkiego. Narzeczony z pobliskiej piekarni był pewien i był gotów nawet położyć głowę, ale jego starszy i bardziej doświadczony brat, bez pracy, ale za to z trzynastoletnim audi, czarny metalik i po tuningu, soundsystem, wypas, zawahał się, miała coś w oku. To było dziwne i fajne, ale brat to brat, nie? I maleńki, filuterny uśmiech rozjaśnił arogancką gębę. Jej czujne spojrzenie niczego nie przegapiło, więc Osiecki na przemian z Grudą od początku do końca i na powrót, od końca do początku. Przy czwartej z sześciu wiadomo, że to lipa, ale nie będzie nam tu gnój oczkiem mrugał. Kozyra stał obok niej, ramię w ramię za szybą. Więc jeszcze raz i jeszcze raz, dorzucili mu trzy pozostałe z sześciu, aż rozkleił się, popłakał jak dziecko, popuścił ze strachu i wyznał, że tylko raz wzięła do buzi w czarnym audiku. Oni w tych rudkach są bardzo blisko siebie. Żyją jak na wsi. Za blisko. Kiedy z opóźnieniem dostrzegła, że zmoczył spodnie, odwróciła się plecami do tafli weneckiego lustra.

12

Każdy miał przed sobą swój własny egzemplarz jej twarzy. Była inteligentna i miała wyraziste, południowe rysy, wysokie, gładkie czoło, czarne, wielkie, migdałowe oczy. Nos wąski, lekko zgarbiony. Delikatne nozdrza, od których biegły w dół dwie mocne bruzdy, zamykając pełne i zmysłowe wargi. Drobny, ale stanowczy

podbródek. Długa, smukła szyja.

* Daliśmy jej czarne, bo przy tej karnacji i tych włosach to najbardziej prawdopodobny kolor oczu * zamruczał Bogdański w telefonie. * Ma duże zęby, więc dolna część twarzy to więcej niż hipoteza. Także nos. Trochę semicki.

Migdałowe oczy to fantazja, ale, moim zdaniem, też prawdopodobna. Niemniej to tylko przypuszczenie, pamiętaj o tym, bo o ile wiem, wcześniej nie miałaś z tym do czynienia. Nie daj się zwieść. Ona już nigdy nie będzie rzeczywista.

Rzeczywiste było tylko jej nagie ciało, bez twarzy. Zapamiętała gładką skórę na dekolcie. Pierwsze bruzdy na smukłej szyi. I tę jedną, która nieśmiało zaczęła przecinać brzuch na wysokości pępka. Musiała być już po czterdziestce. Ale i tak miała bezczelnie piękne ciało.

Siedzieli w ciszy, wpatrzeni w kartki papieru. Wcześniej wysłali jej odciski do Europolu. Trochę potrwa, nim dostaną odpowiedź.

* Niezła dupa * wymamrotał wreszcie Osiecki. Poczwała ulgę, że ma to za sobą. Gruda milczał. Siedział

pod oknem, przy kaloryferze. Wiedziała, że ona, Agata, była dla niego kimś uciążliwym, może nawet nieznośnym. Chował to, krył się z tym po kątach, ale zawsze, jak choćby teraz, jakoś to z niego wyłaziło. Rozumiała go, a nawet mu współczuła. Z jednej strony żona, która już była tylko wspomnieniem kobiety, z drugiej rozhisteryzowana córka, której seksualność przytłaczała go i zawstydziała. A pośrodku bezradny syn, niby już bardzo dorosły, a jednak ciągle dopiero zadatek na mężczyznę. Niewykluty. Więc jak tu przetrwać te kilka lat do emerytury pod babą? Niby też starą, ale jednak młodszą od żony. Może lepiej by to znosił, gdyby była suchą, płaską dechą jak Całka? Nie mógł się schować, jak Osiecki, za chamskim dowcipem. Nie mógł przecież zapytać wprost: Nosisz stringi? I rozmarzyć się, że cycki to jednak musisz mieć fajne. Biedny był.

* Jakie pomysły? * zapytała jak zwykle.

* Dziwka * powiedział Osiecki. * Z Bułgarii, z Rumunii, Albanii, Mołdawii... Pocięli jej twarz żyłką, czy tam czymś innym, ostrym, bo była niepokorna, bo się stawiała albo czegoś nie chciała zrobić, a potem ją zabili, bo i tak była bezużyteczna, bo z

pociętą gębą przecież nie zarobiłaby nawet pięciu groszy.

* Gruda?

* To się składa * mruknął i dwukrotnie skinął głową.

* Czy któryś z was spotkał w swoim życiu prostytutkę, która siwieje na potęgę i nie farbuje sobie włosów? * zapytała.

Nie odpowiedzieli. Gruda nawet się nie poruszył. Nie potrafiła dojść, na czym zaczepił wzrok. Osiecki fuknął przez nos i jednym ruchem przeczesał palcami rzadkie włosy.

* Czy któryś z was spotkał kiedykolwiek prostytutkę, która ma krótkie, równo przycięte paznokcie, niepomalowane?

Także na palcach u stóp? * zapytała po raz wtóry i znów nie usłyszała odpowiedzi. *

Chyba że to jest jakaś prostytutka intelektualistka, ale takiej to raczej nikt by nie szukał w Rumunii, Albanii, czy w Mołdawii * dodała złośliwie.

* A masz jakiś inny pomysł? * zapytał Osiecki.

* Nie * odparła szczerze.

* Andrzej Gula był ćpunem, który siedział za handel prochami. Te środowiska nakładają się na siebie.

* A ja uważam, że oba te ciała nie mają ze sobą nic wspólnego. Ze jedno znalazło się tam celowo, drugie przez przypadek.

* Dlaczego?

Spojrzenie rozmytych oczek Osieckiego wbiło się w jej oczy, ale wytrzymała je do końca.

* Bo taką mam intuicję.

Zmarszczył nos, a potem niespodziewanie się uśmiechnął.

* Nienawidzę cię za to.

* Sądzę, że rozebrał, rozebrali ją do naga, bo jej ubranie mogło być jakąś informacją na jej temat * ciągnęła. * Nie przypuszczam, żeby ubranie albańskiej prostytutki było jakąś informacją. Ciało nie nosi żadnych śladów przemocy seksualnej. Brak twarzy Bogdański określił jako żmudną dłubaninę. Trzeba także wziąć pod uwagę, że wyjął jej kolczyki z uszu. Po pierwsze, też mogły być informacją, po drugie, to może coś

mówić o nim, o nich.

* Na przykład co?

* A skąd ja to mogę w tej chwili wiedzieć? Trzeba porozumieć się z kolegami od prochów. Niech przynajmniej spróbują odtworzyć ostatnie dwa, może trzy dni życia Andrzeja Guli. Damy im symulację jej twarzy. Marciniak może się tym spokojnie zająć.

Marciniak nie miał jeszcze czterdziestki, ale za to irytującą, chłopięcą grzywkę przyciętą na pazia, spod której wyzierała szara, znużona twarz. Z roku na rok coraz chudsza i coraz bardziej szara. I wory pod oczami, też coraz większe. Zawsze ubierał się ciepło. Kilka warstw, podkoszulek, koszula, sweter i marynarka. Klamkę nosił na szelce pod pachą, jak w starych filmach. Rzadko się odzywał niepytany. Tylko jeden Kozyra wiedział, na co był chory.

* Więc tego, co powiedział Osiecki, nie możemy lekceważyć? * Gruda poruszył się przy kaloryferze.

* Oczywiście, że nie. Musimy zrobić kolędę z tą fotką po towarzystwie, ale poza protokołem uważam, że tylko przez ucholi. Tak będzie szybciej, bardziej dyskretnie i chyba skuteczniej. Zróbmy to pod stołem, bez ceregieli. Zgadza się ze mną? Obaj tylko skinęli głowami.

* Mamy jakichś ucholi? Tak lub nie, nic więcej mnie nie obchodzi.

* Mam jakieś zamierzchłe kontakty * powiedział Osiecki. * Mogę ruszyć Obarę z dworca. Dworzec i Wspólną ma w palcu, a wisi mi od sprawy Kosmali.

* Gruda?

* Nie wiem, czy Majda nie poszła już na emeryturę, ale zadzwonię do niej.

Opiekowała się nimi przez pół życia. Zna też kobiety z wolontariatu, które się nimi zajmują.

* Doskonale. Fotka faksem i mailem na wszystkie lotniska, które mają połączenia międzynarodowe, na przejścia graniczne, wszystkie hotele w Warszawie.

* Myślisz? * zapytał Osiecki.

Od kilku minut nerwowo bębnił palcami po blacie, bo godzina papierosa już dawno wybiła, a nogi pod biurkiem przemierzały trasę do męskiej toalety. Przy wszystkich

Sf"

sześciu sama nieraz stała z nim w toalecie przy otwartym oknie. Was pojebało z tym równouprawieniem, jęknął kiedyś Marciniak, gdy wpadł tam na nich. Nawet we własnym sraczu mam się odlewać przy babie?

* Tak. Tak właśnie myślę * powiedziała i rozeszli się do swoich zajęć.

Personel hotelu Sheraton współpracował, ale powściągliwie, z dystansem. Wystarczy, że rozeszło się, że ludzie z miasta tu przesiadują. A to przecież nieprawdziwa plotka. Jacy ludzie i jakie miasto? I jak ja mam to odkręcać? Dyrektor był spięty. Serial o gangsterach chcieli tu robić. Nie dałem zgody, bo wiem, że to konkurencja niszczy markę. Kciukiem prawej dłoni obracał kółko obrączki na serdecznym palcu. Miał damskie dłonie. Obrączka kręciła się szybko. Albo schudł, albo obrączkę kupił za dużą. Raczej to drugie, bo chyba nigdy nie miał zbędnych kilogramów. Drobnny, szczupły, pospieszny w ruchach, garnitur leżał na nim jak ulał. Obciął ją fachowo, jednym spojrzeniem. Szybko obliczył szerokość bioder, ciężar ciała, dodał wiek i był w domu. Już go nie lubiła. Założył nogę na nogę, a ona z satysfakcją wbiła wzrok w chudą łydkę, między mankietem czarnych spodni w delikatny prążek a skarpetką, też czarną. Był czujny i natychmiast poprawił spodnie. Te trupy nie mają nic wspólnego z naszym hotelem, więc proszę łaskawie dać nam spokój. Wszyscy jednak, jak jeden mąż byli pewni, że to charakterystyczna twarz. Na swój sposób nawet ładna.

Recepcjonista z nocnej zmiany powiedział „piękna”. Egzotyczna i bardzo interesująca. Nie była naszym gościem, powtórzyli za nim wszyscy inni recepcjoniści i recepcjonistki. To samo zdanie wyklepała reszta licznego personelu. Taką twarz się jednak zapamięta.

•* ,

Goście wyjeżdżali. Hotel pustoszał. W pośpiechu szykował się do szczytu. Nawet jeśli zabójca był wśród nich, to już wyjechał. Prokuratura nie dała zgody na ich prześwietlenie. Blisko trzy czwarte to cudzoziemcy. Hotel nie może tracić reputacji z tak błahej przyczyny. Przecież nie ma żadnych podstaw, by sądzić, że zabójcą mógł być ktoś zamieszkały w hotelu Sheraton. Zwłoki po prostu leżały w pobliżu. Nie mogę narażać swoich gości, mówił, tylko dlatego, że wy sobie nie radzicie. Bo nie

radzicie sobie, prawda? Pozostawiła to pytanie bez odpowiedzi. Oczywiście, że związek jest przypadkowy, dlatego nawet nie zadzwoniła do Swierczyńskiej. Zostawiła zdenerwowanego dyrektora i przespacerowała się korytarzami. Miękką wykładziną pod stopami tłumiła odgłos kroków. Lubiła hotele, choć nigdy w żadnym z nich nie zatrzymała się nawet na jedną dobę. Hotele zawsze były dla niej za drogie. Dwa dni i dwie noce w drogim, luksusowym hotelu, jej skryte marzenie, którym z nikim dotąd się nie podzieliła. Nie musiałyby nawet w tym celu wyjeżdżać z Warszawy. Bądźmy uczciwi, ten Sheraton jest przecież fantastyczny. Chociaż Bristol to byłaby dopiero jazda. Victoria też jest w porządku. Nawet lepiej, że w Warszawie, bo to byłoby cholernie ekscytujące * spojrzeć na miasto z takiej zupełnie nowej, hotelowej perspektywy. Usiadła w kawiarni, żeby przedłużyć chwilę przyjemności, i zamówiła kawę. Kelnerka miło się do niej uśmiechnęła. Pięć minut i rozeszło się, że policja myszkuje w hotelu. Bądźcie dla nich uprzejmi. Współpracujemy.

Przynajmniej pokażmy to. Zaraz potem zadzwonił telefon, który nosiła w torebce.

* Tomasz Weber * usłyszała i przypomniała sobie jego głos. * Prokurator

Swierczyńska poleciła mi, żebym zobaczył te ciała.

Spojrzała na zegarek. Zamówiła kawę, więc ją wypije. Spokojnie, bez pośpiechu.

* Za pół godziny pod hotelem Sheraton. Wyrobi się pan?

* Pod Sheratonem?

* Niedaleko znaleźliśmy zwłoki. Jaki pan ma samochód?

* Czerwona corolla, poprzedni model. Wyrobię się. Kiedy wyszła z hotelu, czerwona, zadbane corolla już

stała przed głównym wejściem. Wsiadł zza kierownicy, żeby się z nią przywitać.

Był szczupły, wysoki i bardzo młody. Trzydzieści lat, nie więcej. I ładny * ciemne, gęste i krótko przystrzyżone włosy, wysokie czoło, brązowe oczy i drobny nos. Ale usta wydatne. Skrojone jak u kobiety. Stworzone do całowania. Starannie wygolona, lekko oliwkowa twarz. Szary, rozpięty prochowiec, szara marynarka, niebieska koszula bez krawata, ciemne dżinsy i dobre buty. Generalnie, jak na swoją pensję, był nieźle ubrany. Wyciągnęła dłoń na powitanie, a on ją uścisnął. Niezbyt mocno. Jego dłoń była gładka i wypielęgnowana. Nie uśmiechnęła się na powitanie, bo

postanowiła być groźna, ale on się nie zraził, szarmancko, z uśmiechem otworzył drzwi, poczekał, aż wsiądzie, i zamknął je za nią. Za jej plecami, na tylnym siedzeniu był fotelik dla małego dziecka.

* Cieszę się z tej współpracy. Prokurator Swierczyńska sporo mi o pani powiedziała. Nie odezwała się. Prowadził dobrze samochód, ale złota obrączka na serdecznym palcu prawej dłoni była jednak za szeroka jak na jej gust. Pretensjonalna. Po co się tym aż tak chwalić?

13

Kozyra, ubrany w swój jedyny trzyczęściowy garnitur, starał się nie wiercić na krześle, choć nie było mu zbyt wygodnie. O trzeciej w nocy żona zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki, żeby zwymiotować. Nie zasnął już potem. Mężczyzna, który siedział po drugiej stronie biurka, był zdecydowanie młodszy, wyższy, szczuplejszy i lepiej ubrany. Na nosie okulary w delikatnej, niebieskiej oprawie. Dziwna twarz, trochę denerwująca. Jak gdyby kobieca. Nazywał się Dudek i czytał bardzo długo, powoli, bez pośpiechu. Czasami przerywał w połowie strony, żeby spojrzeć na fotografie lub szkice sytuacyjne. I też studiował je długo, z namaszczeniem. Nie odezwał się ani razu, o nic nie zapytał. Dobrze, że gmach żył swoim życiem, a za oknem samochody rozpędzały się do setki, bo Kozyra nie zniósłby tej ciszy. Wreszcie Dudek niespiesznie, pedantycznie zamknął papiery w teczce i podniósł znad nich głowę. Zsunął okulary na koniec nosa i w ten nieco protekcyjny sposób spojrzał na Kozyrę.

* To jest druga strefa. W gruncie rzeczy od jutra nie powinno was tam być. * Miał wysoki głos.

* Szczyt potrwa tylko trzy dni. Zabezpieczyliśmy wszystkie ślady, więc nie jest nam potrzebny jakiś nieograniczony dostęp. Potrafimy być dyskretni.

* Doprawdy * powiedział obojętnie, bez żadnej intonacji.

Nie było w tym pytania, ale też poświadczenia prawdy, i Kozyra poczuł się upokorzony.

* Nie macie pojęcia, co tam się stało i kim była ta kobieta. A w sytuacji, która zaraz zaistnieje, abwehra musi mieć na okragło wgląd w to, co robicie. Zresztą nie wiem, czy to się skończy tylko na abwehrze. Mamy tu pożar w burdelu, choć do was to pewnie nie dociera. To wszystko może się zrobić niepotrzebnie skomplikowane. A co, jeśli każdy świstek trzeba będzie powielić w pięciu, może sześciu egzemplarzach? Nie chcę wywierać żadnego nacisku, ale odpowiedz mi szczerze, tego właśnie chcecie? Bo ja bym starał się to uprościć. Poza wszystkim jest przecież jakaś hierarchia. Coś jest pierwszorzędne, coś jest drugorzędne. Wystarczy, że do tej teczki dołączysz własną opinię. Jesteś wodzem i do ciebie należy decyzja. Opinię możesz napisać tu i teraz, przy tym biurku. Dam ci kartkę i długopis.

Kozyra westchnął głośno przez nos. Dusił się w garniturze. Przyciasna kamizelka uciskała brzuch. Dudek miał tę łatwość mówienia, jakiej on nie nabył przez całe swoje życie. Mówił szybko, wyraźnie i klarownie. Kozyra chciał odpowiedzieć mu podobnie, ale zabrakło materiału. W głowie miał pustkę. Więc chwycił się tego, co mu zostało. Powtórzył jej słowa.

* To są nasze trupy. Są na naszym terenie. Wy też nie macie pojęcia, co tam się stało, prawda? * dodał na koniec od siebie.

Wymamrotał to bez emocji i bez wiary, więc był zaskoczony skutkiem, jaki mimochodem osiągnął. Dudek niespodziewanie szybkim ruchem zdjął okulary, podparł nos prawą dłonią i wbił w Kozyrę wzrok. To była długa chwila, ale Kozyra jakimś cudem znalazł w sobie kilka minut odwagi, żeby ją przetrwać. Skupił się w sobie, usztywnił kark, unieruchomił szczękę i spokojnie, może nawet obojętnie wytrzymał

spojrzenie. Dudek założył okulary i raz jeszcze otworzył teczkę. Znów zawisł nad kartkami papieru. Za oknem zapiszczały opony. Długo i przeciągle, a potem obaj usłyszeli łomot, z jakim samochody wpadły na siebie. Dudek nawet się nie poruszył.

* Jaka ona jest? * zapytał półgłosem.

* Zdolna dziewczyna.

* Nie jest żadną dziewczyną. Ma grubo po czterdziestce. I nie drukuj mi tu laurki.

* Uparta. Trudna * dodał Kozyra po chwili. * Nie mam z nią lekko, ale widać tak

musi być.

* Ma jakiś sukces?

* Zabiła Mielcarka.

Dudek spojrział znad okularów.

* Tego, który odzierał ze skóry?

* Tak. Właśnie tego.

* To dlaczego ja nic o tym nie wiem? * Był tak szczerze zdziwiony, że zaśpiewał bardzo wysoko i już bez namaszczenia zdjął okulary z nosa. * Dlaczego nie przeczytałem na ten temat żadnego wywiadu? Dlaczego nie jest gwiazdą?

* Nie wiem * skłamał Kozyra. Bo przecież nie mógł mu powiedzieć, że nie była zdolna udzielić żadnego wywiadu. Ze dał jej siedem dni urlopu i cieszył się, że ani dnia więcej, bo każdy z tych dni wykorzystywała bardzo skrupulatnie.

* Jak to się stało?

* Nie pasował jej pewien detal. Drobiazg. Zbagatelizowaliśmy go, to sama pojechała sprawdzić.

* Nie typowaliście go?

* Typowaliśmy, ale nie był w pierwszej piątce.

* Miał broń?

* Pistolet. Terroryzował nim dziewczyny.

Dudek westchnął, założył okulary i znów zapuścił żurawia w dokumenty. Kozyra miał już dość tego baletu z okularami,

tej wyciszzonej celebry. Tego otwierania i zamykania teczki. Pomyślał, że Dudek też musiał być tym znudzony, bo robił to codziennie, przynajmniej przez osiem godzin.

* Rodzina? * zapytał Dudek.

* Musisz to wiedzieć?

* Muszę znać odpowiedź na każde pytanie, które mogą mi zadać. Gwarantujemy im bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo ich współpracowników, asystentów, kancelarii, które ich obsługują, dziennikarzy, którzy dokonali akredytacji. Gwarantujemy. Jeśli tylko coś trochę zazgrzyta, nasze głowy potoczą się w pierwszej kolejności. Spróbuj oszacować liczbę i wagę ludzi, którzy tu zaraz zjadą. Na drugiej szali połów dwa

zafajdane trupy, z których jeden jest ćpunem, a drugi nagą kobietą w wieku średnim, o nieustalonej tożsamości i kraju pochodzenia.

To było efektowne. Zauważył, że Dudek nawet się chyba trochę zapędził, bo zachwycony wystukał rytm tych kilku zdań.

* Rozwiodła się z mężem wiele lat temu * odparł spokojnie. * Ma dorosłą córkę, która studiuje, chyba prawo, ale nie mam pewności. Zdaje się, że nie mieszkają już razem.

* Jest w stałym związku?

* Ona czy córka? * Zadał to idiotyczne pytanie, bo wiedział, że go tym zirytuje.

* Ona. * Oczywiście, że był zirytowany, i nawet nie zamierzał tego ukryć.

* O ile wiem, nie.

* To jak sobie z tym radzi? Często zmienia partnerów?

* Aż tak nie interesuje mnie intymne życie moich podwładnych.

* To niedobrze. * Dudek znów założył okulary i wbił wzrok w papiery. * Bo ja na ten przykład chciałbym wiedzieć, kto czyści komin babce, która będzie mi się plątać między nogami w samym centrum szczytu.

Kozyra wiedział, że cała wulgarność tego zdania była zamierzona.

* Chodzi o to, czy możesz mnie zapewnić, że nie podtyka tyłka jakiemuś szaleńcowi. Baby w tym wieku często tracą kontrolę nad hormonami.

Mężczyźni również, mógłby dodać Kozyra, ale nie dodał, niemniej i tak stała się rzecz straszna. Podniósł się z krzesła, na tyle wyraźnie i gwałtownie, że głośno przesunęło się po podłodze, a zaskoczony Dudek oderwał wzrok znad papierów. Z opóźnieniem, rozkojarzony, zdjął z nosa okulary, z opóźnieniem złapał ostrość, by zobaczyć wycelowany w siebie gruby i krótki paluch. I usłyszeć.

* Są granice, których nawet tobie nie wolno przekraczać, gnoju. Waliłeś w majty, kiedy ja już robiłem w tym szambie. Albo zaraz okażesz mi jakąś odrobinę szacunku, albo wyjdę stąd i nie będę słuchać twoich zasranych pytań. To są moje trupy i nie muszę mieć twojej zgody, żeby się dowiedzieć, kto mi je tam zmajstrował.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz wypowiedział tyle zdań naraz. Na jednym oddechu. W

dodatku z tym palcem. To było tanie, pierwszy lepszy mógłby to obśmiać, ale twarz Dudka jednak znieruchomiała. Żeby ta cholerna dupa mogła go teraz zobaczyć. Albo jego żona. A najlepiej obie.

* Przepraszam * wymamrotał Dudek głucho. * Chciałem jeszcze tylko zapytać o tego jej byłego męża.

* Od kilku lat nie ma go w kraju. I pewnie nieprędko wróci. Kopnęła go w dupę, bo to zero. Byłbyś takim samym zerem, gdybyś nie dostał tej posady, pedale.

Jeszcze raz, przerażony swoimi słowami, dźgnął palcem powietrze i wiedział, że po tym pedale zostało mu już tylko

trzasnąć drzwiami, dokładnie tak, jak ona to zrobiła w jego gabinecie. Przestronny, utrzymany w pastelowych barwach, wytłumiony wykładziną korytarz pokonał szybkim, usztywnionym krokiem, jak gdyby spieszył się do toalety. Ale na schodach się zachwiał. Uczepił się drewnianej poręczy i tylko dlatego nie runął w dół po krętych schodach.

14

Potem pomyślała, była nawet tego pewna, że już szuflada lodówki zrobiła swoje. Kiedy otworzyła się z hukiem. A drobny mężczyzna bez wieku, w zielonym fartuchu, nie ustalił z nią kolejności. I to była jej wina. To ona powinna uprzedzić go, że najpierw szuflada z nim, a dopiero potem ta z nią. Nie zrobiła tego. Więc szuflada z nią wyjechała z łoskotem pierwsza. I zatrzymała się głośno, z echem na zawiasach. Drobny mężczyzna w zielonym fartuchu nawet na nich nie spojrzał. Weber nie zachwiał się, nic z tych rzeczy, stał sztywno wyprostowany, tyle że jego twarz zbladła niebezpiecznie, a wysokie czoło się zmarszczyło. Usłyszała zduszony oddech, brązowe, ładne oczy znieruchomiały. Lewą dłońią dotknęła jego prawej dłoni, bo akurat tak stali, ramię w ramię. Chwyciła jego palce i ścisnęła mocno, najsilniej, jak potrafiła. Nie patrzyła na niego, ale poczuła, że całe jego ciało drgnęło. Mówiła nienaturalnie szybko, że nie ma sensu tu stać, zimno, drugie ciało jest bez żadnych obrażeń zewnętrznych, po co ciągać te lodówki, ona i tak ma swoją koncepcję, gdyby

jednak się z nią nie zgodził, zawsze może tutaj wrócić i je obejrzeć. Jak gdyby zapomniała, że ten przypadkowy i nieistotny świadek w zielonym fartuchu i tak miał to wszystko w dupie. Szybko złożyła swój podpis, on jakimś cudem też się podpisał i wyciągnęła go na dwór. Nie stawiał oporu, kiedy położyła dłoń na jego piersi i pchnęła go lekko, tak że oparł się plecami o zewnętrzną ścianę ponurego budynku.

* Proszę spojrzeć w niebo i po prostu oddychać * powiedziała, a potem znów chwyciła jego prawą rękę i pociągnęła go za sobą. Kawiarnia była po przekątnej. Od wieków ta sama i uparcie niezmienna. Żółtobeżowa i zapyziała. Tylko zestaw butelek na szklanych półkach się zmienił. Nie było już radzieckiej brandy Ararat, na którą Swierczyńska uparcie mówiła Arafat, kiedy przychodziły tu po każdej sekcji.

* Dwie kawy z arafatem * śpiewała swoim sopranem, ogromny biust usztywniony stanikiem unosił się i opadał. Już w podstawówce chodziła do ogniska muzycznego. Studiowała prawo i wciąż jeszcze uparcie wierzyła, że to tylko zmyłka, że jednak będzie śpiewać w operze.

Szybko zamówiła dwie kawy i kieliszek włoskiej brandy, która wyparła radziecką, i posadziła go przy stoliku. Milczał i nie patrzył na nią. Zatrzymał wzrok na oparciu ciężkiego, drewnianego krzesła, które stało obok. Ona też milczała, bo nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. Siedział nieruchomo, oddech wciąż jeszcze miał nierówny. Poruszył się, kiedy kelnerka postawiła przed nim filiżankę kawy i kieliszek brandy. Popatrzył na kieliszek i podniósł na nią bezradny wzrok. Mały chłopczyk. Mężczyźni przecież tacy są, kiedy im tak wygodnie.

* Odwiozę pana.

Był dobrze wychowany, więc otworzył usta, ale ucięła szybko.

* Dam sobie radę. * I ponagliła go ruchem głowy. Wypił duży łyk, szczęśliwy, że ktoś wziął za niego odpowiedzialność.

* Przepraszam * wydusił z siebie skrzywiony.

* Nie ma za co, to naturalne. Tylko jak pan sobie z tym radzi na co dzień?

* Takiego czegoś nie ogląda się jednak codziennie. * I dodał po chwili: * Już na studiach miałem problemy.

* Może trzeba było pójść w adwokaturę, albo coś w tym stylu?

* Nie dostałem się na aplikację. * Wlał w siebie resztę brandy i znów się skrzywił, ale jego ładna twarz wreszcie odzyskała swoją nieco oliwkową barwę. Szybko wypił łyk kawy. Zapomniał posłodzić, teraz roztargniony wsypał tego cukru od metra, bezładnie poruszał łyżeczką, gładkie dłonie wciąż drgały nerwowo.

* Przepraszam * wymamrotał. * Zachowałem się jak idiota. Jest mi wstyd.

* Nic się przecież nie stało. Powinam pana uprzedzić, nie zrobiłam tego, więc to trochę i moja wina.

I nagle położyła dłoń na jego dłoni. Nie miała pojęcia, po kiego diabła to zrobiła. Może po prostu chciała uspokoić tę drgającą zbyt natrętnie dłoń? Dłoń rzeczywiście się uspokoiła, ale on podniósł na nią wzrok, chyba nie spodziewał się tego gestu, i spojrzał jej prosto w oczy.

* A pani jak sobie z tym radzi?

Cofnęła dłoń, ale bez pośpiechu. No właśnie, jak pani sobie z tym radzi? Jak sobie z tym radzisz, babo? Uciekła ze wzrokiem i zagryzła dolną wargę, bo ni w ząb nie знаła odpowiedzi. Na szczęście brandy zrobiła swoje i Weber oprzytomniał do reszty.

* To przecież pani prowadziła sprawę Mielcarka, prawda? No i jest odpowiedź.

* Przepraszam pana na chwilę.

Wstała od stolika. Idąc do drzwi toalety, czuła na sobie jego spojrzenie.

Tym razem nawet nie przystanęła przed lustrem. Od razu weszła do pustej kabiny i usiadła na opuszczonej klapie sedesu. Znieruchomiła zgarbiona. Drzwi zostawiła otwarte. Jakiś ptak przespacerował się po blaszanym parapecie. Dwie kabiny dalej woda rzygnęła pod ciśnieniem w dół, do kanalizacji. Zamek w drzwiach szcęknął i przed lustrem nad umywalką wyrosła kobieta. Młoda, ładna i wysoka. Dobrze ubrana. Dopięła wąską spódnicę przed kolana i poprawiła czarne rajstopy na smukłych łydkach. Nie była zadowolona z rezultatu, bo zadarła spódnicę do góry i raz jeszcze naciągnęła rajstopy na każdej nodze z osobna. Nieruchome oczy Agaty patrzyły na wąskie biodra, maleńki, zgrabny tyłeczek i smukłe uda. Kobieta opuściła spódnicę, wygładziła ją i zadowolona z siebie spojrzała w lustro. I wtedy zobaczyła to w lustrze. To coś ciemnego na sedesie. Coś, co przypominało niezdarną podróbkę

rzeźby Rodina. Zdumiona spojrzała za siebie. Nieruchome dotąd oczy poruszyły się ciężko. Zimne, bezwzględne i nieprzyjazne. Tak zimne, tak bezwzględne i tak nieprzyjazne, że kobieta nie umyła rąk i w popłochu wyszła z toalety, postukując nieskładnie wysokimi obcasami. Nie pochylał się nad małymi chłopcami, pomyślała Agata. Nie matkuj im. Każdy z nich nosi w sobie dużego sukinkota, który odgryzie ci rękę. Nawet jeśli zrobi to tylko z głupoty.

Chyba był zakłopotany, bo nie spojrzął na nią, kiedy usiadła przy stoliku. Pił kawę małymi łykami i przesuwiał pusty kieliszek po blacie stołu. Już nie lubiła mężczyzn, którzy bawili się w ten sposób. Przesuwali długopisy i puste kieliszki po blacie biurka lub kawiarnianego stolika i udawali w ten sposób, że jednak myślą, i to nawet bardzo.

* Nie zapytałem, czy ma pani już jakąś koncepcję.

Odpoczął i doszedł do siebie. Znów zabrakło jej papierosa.

* Nie mam żadnej koncepcji, a pan?

* Obawiam się, że wiem mniej od pani.

* Obawiam się, że wie pan dokładnie to samo. Opisałam wszystko. Mam nadzieję, że ta makulatura leży na pańskim biurku. Symulację twarzy dostał pan dzisiaj rano faksem. Albo mailem. Więc ma pan jakąś koncepcję?

Pokręcił przecząco głową. Nadal na nią nie patrzył.

* A w ogóle spróbował pan mieć jakąś koncepcję? Nie odpowiedział.

Dopiero w samochodzie zerknął na nią, dyskretnie, żeby przypadkiem tego nie zauważyła. Sprawdzał, jak prowadzi jego wypicowane sześćioletnie czerwone autko. Oczywiście kusiło ją, żeby złośliwie zgrzytnąć po chamsku skrzynią biegów, ale uznała, że jak na jeden dzień wystarczyło mu przeżyć. Za to bez żadnych ceregieli, bez hamulców, wjechała na wysoki chodnik przy Kruczej, aż przerażony podskoczył na fotelu, i oddała mu kluczyki.

* Przepraszam * bąknął skruszonym głosem, gdy wysiedli już z samochodu.

* Za co?

* Za swoje zachowanie i... * zawiesił głos bezradnie * nie wiem. Pani tak nagle wstała od stolika. Uraziłem czymś panią?

* Pan się chyba upił. Mnie nie sposób urazić. Mam skórę grubszą od nosorożca. To chyba zresztą widać, nie? * Odwróciła się i ruszyła chodnikiem w stronę Jerozolimskich. Znów poczuła na sobie jego spojrzenie. Jestem, jaka jestem, pomyślała, nie będę się zmieniać. A tego, że mam wielki tyłek, już na pewno nie zmienię, palancie.

Szła przed siebie, bez żadnego celu. Powietrze było nadal szare i wilgotne. Otumanieni przechodnie wpadali na siebie. To przez tę jesień, która dłużyła się jak cięża słońca. Samochody na jezdni gęstniały, nie wyrabiając się przed zmianą świateł, ale najdalej za dwie godziny uformują ciężki korek, który sięgnie Mokotowskiej.

Za plecami, między Hożą a Wilczą, była pizzeria, do której zabierała nastoletnią Kaśkę w niedzielne popołudnia. Wtedy Krucza była pusta, wyludniona i dała się lubić. Jesienią wiatr hulał między wysokimi, ociosanymi budynkami. Wcześniej jednak wyrastał ponury obelisk dawnego hotelu Grand.

W marcu osiemdziesiątego siódmego, w jednym z jego pokoi na rogu Kruczej i Hożej spotkała swojego pierwszego trupa. Był nagim, mocno wyłysiałym, sześćdziesięciokilku*letnim mężczyzną. Dziwnie wykręconym, w połowie leżał na wąskim tapczanie przysuniętym do ściany, głową zapierał się już jednak o podłogę. Wnętrze ciasnego, jednoosobowego pokoju wypełniała ciężka zawieszona tytoniowego dymu. Rozdyskutowani mężczyźni z trudem się tu mieścili. Fotograf nie miał łatwego zadania. Miała ledwo dwadzieścia dwa lata i była jedyną dziewczyną w tym pokoju, niemniej bardzo, ale to bardzo chciała być mądrą Jolą. Starczyło ledwie na dwie, może trzy minuty. I bynajmniej nie chodziło o to zdziwienie na twarzy ani o wytrzeszczone oczy czy rozwarte usta, z których wypłynął obłożony, biały język. Wszystkie ciała, które oglądała wcześniej, były wygodnie ułożone na stole, wyjęte ze świata, z którym się pożegnały. Były definitywnie, raz na zawsze odseparowane od życia, które dopiero co wiodły. Jak eksponaty. Tu poszło o ten ciasny, pozbawiony właściwości pokój. O tę szafkę z lustrem w okleinie z jasnej sosny i szaro*burą, nijaką wykładzinę na podłodze. O te wiotkie ramiona, które rozrzucił bezładnie, biały brzuch, który przelał się na prawą stronę, i o te bocianie nogi. Wreszcie o tę lewą

piętę, która zawisała na ścianie, i o tę starczą, niedokończoną erekcję. Nie wyrobiła się i ramieniem walnęła we framugę drzwi maleńkiej toalety. Czubkiem buta zaczepiła o próg, kolana

stłukła na czarno*białych kafelkach, a mostkiem uderzyła w krawędź deski klozetowej, bo ramiona zostały gdzieś z tyłu, na klamce drzwi, które zdążyła zatrzasać za sobą. I puściła największego pawia swojego życia. Usłyszała tylko histeryczny wrzask, że jeszcze nie zabezpieczyli tam śladów, ale Kozyra w swetrze w ukośne wzory i tureckich džinsach, jeszcze bez nadwagi, uspokoił ich gestem i cierpliwie pod drzwiami pytał, czy na pewno nie potrzebuje pomocy. Od dwóch miesięcy była już w ciąży i jeszcze nie miała męża. Pochlipała sobie cichutko, wciśnięta między ścianę a muszlę sedesu.

Zawsze brał ten sam pokój. To był jego pokój. Cały personel hotelu wiedział, że to był pokój towarzysza Ś. Cały personel, ale nie żona z dwoma dorosłymi synami, wnukami i tak dalej. Chłopców zbierał z placu Trzech Krzyży. Niektórych wyłuskiwał z kawiarni vis*a*vis szaletu. To był zwykły atak serca. Pikawa nie uniosła emocji. Goły chłopczyk, gubiąc sztuki ubrania, przerażony potupał hotelowym korytarzem.

* Zróbmy swoje i zostawmy to ubolom * zdecydował Kozyra i uciał wciągającą dyskusję.

Tożsamość chłopczyka nigdy nie została ustalona. Pokojówka, która go widziała, zapamiętała jedynie, że miał zgrabną dupeczkę.

Czekała na zmianę świateł i patrzyła na McDonalda po drugiej stronie Jerozolimskich. Szare powietrze ciemniało, bo zmierzch już czaił się nad Wisłą. Spojrzała na zegarek. Najwyższa pora, żeby coś zjeść. Wgramoliła się na wysoki stołek, a przed sobą ustawiła czerwoną, plastikową tacę z hamburgerem, frytkami i coca*colą. Za szybą, która oddzielała ją od ulicy, gnali ludzie. Żuła bułkę z kotлетem, przegryzała frytkami i czuła się jak w kinie. Nie będę się odchudzać, pieprzę to.

Do komendy wróciła autobusem. Na blacie biurka wciąż leżała odtworzona twarz z komputera. Z prawej strony piętrzyły się wczorajsze raporty, z lewej teczki z zabójstwa Kamila P. Między nimi wałały się bezradnie raporty, które zdążyły spłynąć od rana. Nie było w nich żadnych rewelacji. Nadal nikt nigdzie ich nie widział, nie zapamiętał. Szybko podjęła decyzję. Usiadła do komputera, napisała prośbę z krótką informacją i osobiście rozesłała ją mailem do wszystkich gazet, których adresy miała w komputerze. Do prośby dołączyła symulację twarzy. Potem sięgnęła po teczki Kamila R, przesunęła je na środek biurka i przejrzała zawartość po raz ostatni. Był kruchy i delikatny, niewiele starszy od Kaśki. Jaki on piękny, przeszło jej przez głowę, gdy zobaczyła nagie ciało ułożone na stole. Zabójców było trzech i każdy przyłożył się do tego najlepiej, jak umiał. Tylko dlatego, że był taki kruchy i delikatny. Jak dziewczyna. To podkurwiało, przyznał wreszcie jeden z nich. I dlatego, że miał książki w plecaku. Tylko książki, nic więcej. No i dlatego, że bezmyślnie wybrał skrót od przystanku do bloku, zamiast iść jak Bóg przykazał chodnikiem obok bazarku. Siadła do wysłużonego komputera i poskładała wszystko do kupy. Żaden z telefonów się nie odezwał. A to znaczyło, że Gruda, Osiecki i reszta marnowali czas. Wzięła teczki pod pachę i powlokła się do Kozyry. Nie wyglądał dobrze. W koszuli i rozpiętej kamizelce, bez krawata, stał przy oknie, plecami do niej. Nawet się nie odwrócił. Położyła teczki na biurku.

* Przyniosłam Kamila P. * powiedziała. * Jutro zawiozę go do Swierczyńskiej, ale chcę, żebyś rzucił okiem. Czy czegoś nie przeoczyłam.

Nie odezwał się i nie poruszył. Odczekała chwilę i zapytała:

* Wymęczyłeś się?

* Trochę. Chyba przegiąłem.

* To dobrze. Kiedyś częściej przeginałeś i zawsze wychodziło nam to na zdrowie. Odwrócił się od okna i spojrzał na nią. Spod rozpiętej kamizelki wychynał ciężki brzuch. Złowił jej spojrzenie na brzuch, więc poklepał się po niebieskiej koszuli.

* Nie umiem tego zrzucić.

* Zostaw. Wczoraj ledwo dopięłam spódnice. Ale nie możemy się tak po prostu

zestarzeć.

Zakłopotany znów zerknął na okno, choć za szybą była już ciemność.

* Przepraszam cię za tę emeryturę.

To było miłe z jego strony. Wiedział, że się stąd nie wyrwie. Nie ma już takiej możliwości. Żaden spektakularny sukces, żadne medialne śledztwo i błysk fleszy nie zabiorą go z obtłuczonej kamienicy z początku dwudziestego wieku, w której ktoś kiedyś zaimprovizował na parterze peryferyjną komendę Milicji Obywatelskiej, ledwie kilka kilometrów od Wisły. Nowy porządek dodał tylko kilka pecetów i plakat, na którym dwie gołe blondynki z uśmiechem zachwalały wyroby ósmej zbrojovki. Oprawiony w ramę ze szkłem, wciąż wisiał na ścianie jego pokoju, na lewo od drzwi. Blondynki były bliźniaczo podobne. Miały drobne, jędrne piersi, sterczące sutki, wygolone łona, pasy z amunicją zaplecione na wąskich, chudych biodrach i oburącz trzymały cezetki, lufami do góry.

Spojrzał na teczki, które położyła na biurku, i zamyślił się. Usiadła. Nie zaproponował jej tego, ale znów poczuła ból w stopach. Otworzył pierwszą z teczek i leniwie przerzucił kartki papieru.

* Gnój pytał mnie o twoje prywatne życie.

* Trzeba mu było powiedzieć, że bzykam się na okrągło z całą fabryką.

Uśmiechnął się smutno i usiadł za biurkiem. Otworzył szufladę, wyjął z niej brązową kopertę z grubego papieru i pchnął po blacie w jej stronę.

* Są imienne, z funkcją i numerem szmaty. Dlatego pokazujecie przepustkę i machacie od razu szmatą. Chcieli zdjęcia, ale uparłem się, że nie ma czasu. Że nie będę was gonić po mieście, żeby zrobić fotkę. Obowiązują od północy, bo od północy zaczynają stawiać bariery. Macie wejście wszędzie z wyjątkiem pałacu.

* Wkurwili się?

* Tylko trochę. * Opadł plecami na oparcie fotela. * To teraz powiedz mi, kotku, co chowasz w środku.

* Nic. * Bała się, że znów zacznie turlać długopisem po biurku, ale nie zrobił tego.

* Nic a nic?

* Nie zrobił tego w afekcie.

* A intuicja?

Świnia, choć nie usłyszała cienia ironii. Powiedział to na poważnie.

* Zwłoki ćpuna są przypadkowe. Prawdopodobnie był świadkiem. Taka właśnie jest moja intuicja.

* To niewiele.

* Tak długo, jak nie ustalimy, kim była, tak długo nie ruszymy z miejsca.

* Od czego zaczęłaś?

* Czy nie była dziwką.

* Mogła nią być?

* Moim zdaniem nie.

* To dlaczego to w ogóle ruszyłaś?

* Mogę się mylić. Osiecki z Grudą uznali, że to jest jednak jakiś trop.

* Czy ty nie przesadzasz z tą demokracją?

* Chcę to wykluczyć. Przynajmniej na tyle, na ile mogę. Oboje wiemy, że sytuacja jest beznadziejna... * Zawiesiła głos, żeby zobaczyć jego reakcję, ale nie zareagował.

* Chwytają, co im się nawinie. Muszą się trochę pooszukiwać, bo nikt nie chce śledztwa, które jest beznadziejne. Ty też, prawda?

Nie odpowiedział. Nie tknął długopisu, za to zabębnił palcami po blacie i sapnął głośno.

* Poza wszystkim staram się utrzymać równowagę. Nie mają dwudziestu paru lat. To jest dla nich trudne. Osiecki nie ma z tym problemu, ale Gruda już tak.

* Nie zbiesi się * odezwał się wreszcie. * Za mało mu zostało do emerytury. Tylko to go trzyma.

* Może masz rację. Nie wiem. Nie myślę w ten sposób. Mogę już iść? * Wstała z krzesła i zabrała z biurka brązową kopertę z grubego papieru. Nie patrzył na nią.

* Masz kogoś?

Wymęczyli go jednak solidnie, że zatoczył aż takie koło.

* Gównu cię to obchodzi. * A przez głowę przemknęło, że to jednak przykre, że znów musi trzasnąć drzwiami jego gabinetu. Widać taka karma.

Nie mogła, nie chciała zostać w fabryce. Do domu też nie chciała pójść. Zadzwoiła do Osieckiego. Zaparkował przy Wspólnej i szwendał się po okolicy.

* Mogę przyjechać po ciebie.

* Zostaw.

Wybrała autobus. Zajęła miejsce w ogonie. Wozilo nim, bo autobus jechał szybko.

Potem, oparta o błotnik passata, którym przyjechał Osiecki, przeczekała po kolei wszystkie wydobyte z mroku, popękane twarze. Przetrącone kręgosłupy. Dobrze naoliwione stawy, ścięgni i panewki bioder. Sprytnie dłonie i rozciągnięte usta.

Wszystkie one, jak jeden mąż, sfalszowały historię. Jeszcze nie wiedziały, jaki będzie jej koniec, ale już zapomniały, jaki był początek. Na przykład Magda, dziewiętnaście lat, już nie pamiętała, że dwa lata temu po prostu wstała od stołu, przy którym siedziała z rodzicami i młodszym bratem, i wyszła z domu. Klatka schodowa wieżowca na osiedlu w Częstochowie, przy trasie do Katowic, jeszcze huczała histerycznym wrzaskiem ojca, a ona już siedziała w pociągu. Ojciec, podoficer z zawodu, bezsilnie rzucał krzesłem o podłogę, matka, sklepowa w osiedlowym mięsny, siedziała w szoku przy stole, otumaniony brat zwlekał z ucieczką do komputera,

a Magda już miała nowych przyjaciół na Dworcu Centralnym w Warszawie. Klient, którego wyłuskała godzinę temu, był bardzo miły i pachnący. Miał obrączkę i krawat. Na koniec wyznał, że musi uderzyć. O tym, żeby uciec, nie było mowy, więc skupiła się cała w sobie. Mocno uderzył. Aż świeczki stanęły w oczach. Puścił krew, chyba o to chodziło. Po czwartym ciosie upadła i trochę straciła przytomność. Potem powlokła się do dworcowej toalety i w lustrze zobaczyła przekrzywioną twarz. Strasznie dziwną. Nigdy wcześniej takiej nie widziała.

Osiecki wyłonił się z ciemności. Ciągnął się niespiesznie w stronę samochodu i palił papierosa. Agata znów poczuła, że bołą ją stopy. Zaraz później przyszło znużenie. I jakiś taki zupełnie niespodziewany smutek. Bezradna żałość, w nocy, w samym

środku wielkiego, napuszonego ponad miarę miasta, bez ładu i składu. Bez władzy, bez prawa, bez szacunku. Gdzie każdy robił to, na co miał właśnie ochotę. Gdzie jeden nie liczył się z drugim. Jakżeż to wszystko potrafiło ją nieźle zakurwić. Osiecki usiadł za kierownicą, Agata na fotelu obok.

* Skoczymy na jednego? * zapytał.

Tym razem się zgodziła.

Usiedli na wysokich stołkach. To był bardzo przyjemny bar i nie było w nim zbyt wielu gości. Specjalizował się w daniach kuchni amerykańskiej. Steki. Nie lubiła steków. Zawsze stawały jej w gardle. Z niewidocznych głośników płynęły dźwięki gitary hawajskiej. Było sporo brązowego drewna, ale zanurzonego w półmroku, więc to jej nie przeszkadzało. Poza tym to był inny niż u niej w domu, ciemniejszy i cieplejszy odcień brązu. Mieli przed sobą zgrabne, rżnięte szklaneczki, w których czysta wódka mieszała się z coca*colą, kostkami lodu i plastrami cytryny. Patrzyli na nie i milczeli. Osiecki palił kolejnego papierosa. Trzeba korzystać, zaraz tego zabronią.

* Przytrzymajmy się tego, że nie jest stąd * odezwała się pierwsza.

* To wątle * powiedział Osiecki.

* Nic innego nie mamy.

* To tylko przypuszczenie Bogdańskiego.

* Nigdy nas nie zawiódł. Ma dobrą intuicję.

I znów zamilkli na długą chwilę. Każdy nad swoją szklanką. Niemal w tej samej chwili unieśli je do ust.

* To nie jest pospolita twarz * powiedziała.

* Masz na myśli, że nie jest przeciętna?

* Mam na myśli, że to ładna twarz inteligentnej, dojrzałej kobiety. Z południa albo ze wschodu. Zadbane ciało. Bez nadwagi. Korzystała z gabinetów kosmetycznych.

Ładne, wypielegnowane dłonie. Ktoś zajmował się nimi fachowo. Ważne są paznokcie. Krótko przycięte, niepomalowane. I siwe włosy.

* A co to według ciebie znaczy?

* Obracała się w środowisku, w którym kobieta nie musi podkreślać swojej urody.

Zazwyczaj są to środowiska, w których inteligencja, osobowość kobiety jest ważniejsza od jej wyglądu. Myślę, że była wykształcona. * Przyłapała się, że mówi jak natchniona feministka. Albo że folguje marzeniom.

* Nawet bardzo wykształcone kobiety z Mołdawii przyjeżdżają tu, żeby się kurwić.

* Ufarbowałyby włosy, zapuściła paznokcie i je pomalowała. Ma prostą fryzurę, ale zrobił ją dobry fryzjer. Dobry fryzjer kosztuje. Wszędzie. W Paryżu, w Warszawie i w Bukareszcie. Bogdański powiedział, że korzystała z dobrego dentysty, który używał standardowych, europejskich

materiałów. Takie materiały i taki dentysta również kosztują. Nawet w Tiranie. Ty nie masz o tym bladego pojęcia, ale ja coś wiem na ten temat, bo od czasu do czasu muszę pójść do dentysty. Moim zdaniem miała pieniądze i nie musiała się kurwić, tym bardziej w Warszawie.

Skupił się i milczał zamyślony. Przeczesał szybko palcami rzadkie włosy i wypił. Też wypila i po kolejnym łyku wódki z colą wiedziała już, że z tej próby hartu ducha i woli wyjdzie przegrana.

* Daj papierosa * poprosiła, choć palił polskie i okropnie śmierdzące.

* Przecież rzuciłaś.

* Ale od tamtego dnia nie wypijałam kropli alkoholu. Poza tym tyję. Albo zrobię dietę, albo wrócę do palenia. Na dietę mnie nie stać. I nie mam na to warunków. Dieta wymaga stabilnego życia. Moje nie jest stabilne.

Z rozkoszą wciągnęła dym w płuca i poczuła przyjemny szum w głowie. Smród nie przeszkadzał. „Papierosy są boskie”, przeczytała kiedyś tytuł książki wystawionej w witrynie księgarni przy Wiejskiej. Jasne, że są. Miała sobie kupić tę książkę, ale zapomniała.

* Ale co z tego wynika dla nas?

* Mogła tu mieszkać od jakiegoś czasu * powiedziała. * Nie możemy tego przecież wykluczyć, prawda? Wtedy pomyśl z przejściami granicznymi, lotniskami i hotelami jest do dupy.

* A jeśli nie mieszkała?

* To przyjechała tu, żeby umrzeć. I w jednym, i w drugim przypadku jej śmierć nie

jest przypadkowa.

* Dlaczego wyklucasz, że padła ofiarą zwykłej napaści? I dlaczego czepiłaś się, że ten zaćpany śmieć nie miał z tym nic wspólnego?

* Jakiej napaści? Rzuć mi tło. * Spojrzała mu prosto w oczy.

Uciekł ze wzrokiem. Obracał szklanką na tekturowej podkładce z nazwą pszenicznego piwa. Pomysł z dziwkami nie wyszedł, więc był już zdenerwowany.

* Padła ofiarą gwałtu? * zapytała, nie oczekując, że odpowie. * Czy jakiegokolwiek innej przemocy seksualnej? Nie. Jej ciało, poza twarzą, nie nosi śladów żadnej przemocy. Żadnej. Kradzież?

* Tego to akurat nikt nie może wykluczyć * bąknął.

* To dlaczego rozebrał ją do naga? Jaki złodziej traci czas w ten sposób? Po jaką cholere miałby to robić? Poza tym złodzieje nie zabijają. Dobrze * dodała pojednawczym tonem. * Przyjmijmy, że miała majtki obszyte koronką ze szczerego złota, a stanik wysadzany brylantami, a złodziej na domiar złego był zafajdanym fetyszystą. Ale dlaczego pozbawił ją twarzy, zamiast rąbnąć, co miał rąbnąć, i dać w długą? Po jaką cholere dłuwał przy jej twarzy?

Wlał w siebie całą zawartość szklanki i zapalił kolejnego papierosa.

* Znajdź mi w tym wszystkim rozsądne uzasadnienie dla tego biednego ćpuna * dobiła go.

* Mielcarek dwa. * Nie dał się dobić.

* Że niby jest pierwszą z serii? Potwierdził skinieniem głowy.

* Usunął jej twarz. Tylko twarz. Oszczędził uszy, włosy i tak dalej. Według Bogdańskiego najpierw skrzył jej kark, a dopiero później to zrobił. Czyli nie brandzłował się jej cierpieniem. Zrobił to tylko po to, żeby opóźnić i utrudnić identyfikację. Żeby poplątać nam nogi. Nie dotknął jej seksualnie. I nie zaznaczył swojej obecności. Nie wyszczał się. Zawsze w jakiś sposób szczają. Podpisują się. To egoiści.

* Dlaczego zawsze jesteś tak beznadziejnie logiczną pizdą?

* Moja pizda nie jest w ogóle logiczna. Ani nadziejnie, ani beznadziejnie.

* Wydaje ci się, że w ten sposób jest łatwiej?

Nie odpowiedziała. Wypiła łyk, zaciągnęła się po raz ostatni i zgasiła papierosa. Nie patrzyła już na Osieckiego. Natomiast czuła, że on patrzył na nią. Małe wodniste oczka o zaczerwienionych spojówkach, wzmocnione wódką, uczepliły się jej. Ptasia twarz skupiła się i przybrała wyraz sępa.

* No to powiedz mi, mądra lalo, co teraz? Weź i narysuj mi tu punkt A. Ta barmanka musi mieć jakiś flamaster. Córka, masz jakiegoś pisaka?!

Przechylił się przez bar tak ryzykownie, że przestraszyła się na serio, że przeleci na drugą stronę. Barmanka, dwadzieścia kilka lat, drobna, chuda brunetka, na szczęście nie zareagowała.

* Punkt A. * Rozpędzony uderzał palcem w drewniany blat. * Namaluj mi go tutaj. Od niego zaczynamy. Od niego się odbijamy. Od czego my się tu, kurwa, odbijamy? Już to z nią ćwiczył wcześniej, wiele razy. Przerobili to na wszystkie strony.

* Odjechało ci?! * ryknęła, że chyba wszyscy w barze zamilkli. * Czy myślisz, że zawsze będą się zabijać w tym mieście zgodnie z wykresem, który trzymasz w szufladzie swojego obesranego biurka?!

Rzeczywiście kilka osób zwróciło na nich uwagę. Osiecki się uspokoił. Zapalił trzeciego papierosa z rzędu od chwili, gdy usiedli na tych stołkach. Wykonał ruch, że chce zamówić kolejnego drinka, ale zrezygnował.

* Odwiesz mnie do domu? Jesteś w stanie? * zapytała. Skinął głową.

* Przepraszam cię za tę pizdę.

Przejechali przez stację benzynową, gdzie kupiła paczkę ulubionych kiedyś papierosów i butelkę taniej brandy za niecałe czterdzieści złotych. Musiała wrócić, bo zapomniała

o zapalniczce. Osiecki prowadził samochód w milczeniu. Obserwowała go ukradkiem.

* Kozyra nigdy nie będzie po twojej stronie. Naciskają go * powiedziała, kiedy wjechali już w Gagarina.

Nie odpowiedział.

* Wiesz to na pewno? * zapytał dopiero pod jej domem.

* Wiem.

* Co zrobi?

* Wypchnie. Beznadziejna sprawa to ostatnia rzecz, o której myśli. Wciąż liczy, że się stąd wyrwie.

* Bzdura.

* Ty to wiesz, ja to wiem * powiedziała. * Ale on ma nadzieję. Wiesz, co to znaczy mieć nadzieję?

* Nie, ale potrafię sobie wyobrazić.

Wysiadł, obszedł samochód dokoła i otworzył drzwi z jej strony. Była w szoku, kiedy podał jej ramię.

* Chcą, żeby im to oddał?

* Tak. Dzisiaj zawalczył, ale od jutra rano będzie czekać na chwilę twojej słabości.

Nie błyśnie, ale przynajmniej zachowa statystykę. Czepia się, czego może. Nic z tego nie rozumiemy, Osiecki, ale mamy dwa trupy. Chcesz to oddać bez walki?

* Nie * odparł spokojnie i z przekonaniem.

* Dziękuję, to właśnie chciałam usłyszeć. Jutro jej portret będzie w gazetach.

Ominęła windę i wybrała schody. Bała się, że o tej porze nikt nie usłyszy jej krzyku, kiedy winda stanie między piętrami. Dzwonek alarmowy nie działał. Sprawdziła to i powiedziała dozorczy, ale ten pokazał jej plecy. Półprzeźroczysta foliowa siatka z pękatą butelką i paczką papierosów obijała się o kolana. Zdyszana wspięła się na trzecie piętro. Kaśka

jeszcze nie wróciła do domu. Szybko rozebrała się do naga, wskoczyła do wanny i wzięła prysznic, który przywrócił jasność umysłu. Potem, ubrana w szlafrok, usiadła na stołku w kuchni, wcześniej wyjęła z szafki szklanekę, nalała do niej brandy, wypła łyk i zapaliła papierosa. W tym stanie zastała ją Kaśka. Wróciła dwadzieścia minut później. Zaskoczona patrzyła na butelkę i dymiącego papierosa.

* Co ty wyprawiasz?

* Oblewam koniec eksperymentu. Nie powiódł się, ale przyniósł satysfakcję.

* Jak długo nie paliłaś?

* Trzy miesiące i dziewięć dni. Dziewiąty dzień minął wczoraj. Będzie ci to przeszkadzać?

* Trzy miesiące to już coś. * Wyjęła piwo z lodówki i usiadła na drugim stołku, po przeciwnej stronie stołu. * Jeszcze miesiąc, dwa, i miałabyś to z bańki.

* Być może, ale przez te trzy miesiące połowa mojej garderoby nadaje się do wymiany. Nie stać mnie, żeby za jednym zamachem wymienić pół szafy. Nie zrzucę już tych kilogramów, które mam, ale może nie złapię następnych. Jestem brzydka, czy muszę do tego jeszcze być grubym baleronom?

* Nie jesteś brzydka, mamó.

* Faceci nie oglądają się za mną na ulicy. I mam lustro.

* Bo nie dbasz o siebie.

* Bo na to potrzebne są pieniądze, których nie mam. Te, które mam, wydaję na dentystę i ginekologa. Zresztą nie pamiętam, czy w ogóle jakiś facet kiedykolwiek obejrzał się za mną na ulicy. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego twój ojciec ożenił się ze mną.

To akurat nie było żadną zagadką. Patrzyłaś na niego maślanym wzrokiem, idiotko, miałaś miękkie nogi i mokre

majty. A piękny Lolo z Dolnego Mokotowa miał kupę szczęścia. Bo głupia, młoda milicjantka ze wsi spadła mu jak z nieba. Była gotowa wyskoczyć z gaci, rozłożyć nogi i jeszcze wyciągnąć go z tarapatów, w jakie niechcący popadł z wymiarem sprawiedliwości. I zrobiła to. Na jedno pstryknięcie palcami. W rewanzu zrobił jej dzidziusia. Cudowną księżniczkę. Skarb.

* Porozmawiajmy o tym * powiedziała Kaśka.

* Dlaczego się ze mną ożenił?

* Dlaczego od niego odeszłaś.

Wypiła ogromny łyk brandy, zgasiła papierosa i zaraz zapaliła następnego, choć po tych dwóch, które wypaliła, czuła się najarana jak po solidnej trawie.

* Powiedziałam, jest twoim ojcem.

* A ty moją matką.

Napełniła szklanekę brandy, znów wypić, ale dym już nie szumił w głowie. Było dobrze po północy, kiedy usłyszeli zgłoszenie. Macie blisko, więc byłoby bardzo uprzejme z waszej strony, gdybyście chcieli rzucić okiem * wychrypiało radio. *

Chodzi o jakiś samochód. Osiecki, który wtedy siedział za kierownicą, był zdyscyplinowany. To zabawne, bo w gruncie rzeczy nikt nawet nie podejrzewał w nim tej cechy. Ona sama odkryła ją dopiero po roku. Zawrócił na podwójnej ciągłej, choć miał pełne prawo rzucić do sitka „pierdol się”. Było ciemno, wszystkie latarnie w okolicy wygaszono. Pierwsze, co pomyślała, że samochód, który tak zaniepokoił kogoś, że zadzwonił kilka razy, nie powinien stać tutaj, tylko przy ulicy Gagarina. Bo był taki sam. Identyczny. Osiecki wyjął broń, przeładował ją i zapalił latarkę. Podeszli do samochodu od lewej strony, od kierowcy. Ten, oślepiiony, zmrużył oczy i z ociąganiem uniósł lewe ramię do góry. Prawą dłoń wciąż trzymał na jasnowłosej głowie, która rytmicznie, skrupulatnie pracowała nad jego rozpiętymi spodniami. I w ten prosty sposób poznała odpowiedź na pytanie, dlaczego samochód nie stał przy Gagarina. Jasnowłosa nie od razu się zorientowała, że coś jest nie tak, choć piękny Lolo pewnie mruknął do niej „przestań”. Dlaczego miałyby przestać, skoro tak dobrze jej szło? Choć się zasłonił ramieniem, rozpoznała skurcz, który na chwilę odmienił jego twarz, bo mimo okoliczności jednak doszedł. Jasnowłosa z opóźnieniem, leniwie uniosła głowę znad rozporka i wierzchem dłoni otarła rozkapryszone wargi. I spojrzała prosto w obiektyw. Ptasia twarz Osieckiego skrzywiła się, a ona właśnie wtedy schwyciła go za rękaw skórzanej kurtki. Zaraz potem zwymiotowała, oparta lewym ramieniem o błotnik nieoznakowanego, policyjnego samochodu w kolorze szarym. Kaśka w milczeniu odstawiła piwo, a ona odstawiła brandy. Zgasiła papierosa i poszły spać. Zatoczyła się ciężko w drodze do sypialni. Tuż przed zaśnięciem pod powiekami znów zawirowały dni, gdy Mielcarek i jego sześć sarenek zadomowili się u niej na dobre. Gdy wypełnili wszystkie pokoje dusznym fetorem ciasnej piwniczki. Pełnej dziwacznych i tajemniczych przedmiotów. Gdy wilgoć i grzyb z drewnianego domku na działkach przy Wale Zawadowskim przeniknęły wszystkie ubrania, które tak starannie pochowała w szafach i komodach. Domek odziedziczył po mamusi, a ta rękę miała ciężką. Dobry, kruchy tatuś nie dożył tych trudnych dni. Gdy szary pumeks minuta w minutę i dzień w dzień wykrzywił się w tym samym uśmiechu. Zaparzę pani herbatę. Może być w

szklance? Tu, na działce, mam tylko szklanki. Dwie.

A półobrót ciała, ledwo zauważony kątem oka ruch prawego ramienia, bo pistolet, wysłużoną tetetkę z bazaru, trzymał zwyczajnie w szufladzie, też zapętlili się w film, który zdawał się nie mieć końca. Odpływała utulona, ale w głowie zahuczał głos Kozyry, który dobijał się do zamkniętych drzwi jej mieszkania. Szarpał klamką, że omal nie wyrwał. Wpadała w czarną dziurę, z której próbował wydobyć ją szcęk wytrychów. Osiecki dłubał nimi przy jej wysłużonych zamkach. Nie wchodzi, powiedział do Kozyry, gdy pikowała w dół, nabierając prędkości. Od progu pociągnęła za sobą Osieckiego, który rozciągnął się przy tym jak guma do żucia. Uczepiony stopami podłogi, która się oddalała, uparcie zbierał puste butelki, gdy ktoś łudząco podobny do niej leżał w szarym dresie w pół drogi do łazienki, dokładnie pośrodku brązowego, odpychającego przedpokoju. Pędząc w przepaść, na moment otworzyła oczy i zobaczyła biały sufit, to nie był jej sufit, i dobrą twarz doktora. Miał ładną, szpakowatą bródkę. Pięknie przystrzyżoną. Musimy panią trochę odtruć, ale to nie będzie bolało. I czarna dziura wessała ją na dobre.

Rano obudziła się wypoczęta. Twarz odbita w lustrze w łazience też była jakby nieco przyjemniejsza. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Z rozpędu zadzwoniła, żeby umówić wizytę u ginekologa.

* Ale doktor Rybicka nie przyjmuje u nas w tym tygodniu * powiedziała kobieta w słuchawce. * A w przyszłym nie ma już wolnych terminów. Mogę panią zapisać na dzisiejszy wieczór do doktora Góreckiego. Ma wolne okienko o dziewiętnastej.

* A nie ma żadnej innej pani doktor?

* Nie ma. Więc jak, zapisać?

* Zapisać * westchnęła ciężko.

Osiecki był na tyle uprzejmy, że zajechał po nią samochodem. Na tylnym siedzeniu leżała sterta gazet. Symulacja twarzy ukazała się we wszystkich dodatkach stołecznych, a dwie gazety zamieściły jej dziwną twarz także w wydaniach ogólnopolskich.

Miasto stało w korkach, bo w nocy wyrosły zapory z metalowych barier. Odcięły też połowę placu Trzech Krzyży i cały Sheraton wraz z przyległościami. Właściciele i kierownicy sklepów już dzień wcześniej zabili witryny dyktą i czym tam się dało. Hulał silny wiatr. Zerwał się w nocy. Poruszył leniwe, wilgotne powietrze i pędził chmury po niebie. Przemykały szybko, jedna za drugą, choć słońce ani na chwilę zza nich nie wyrzało. Lubiała taki wiatr. Poprawiał jej nastrój, bo coś się działo. Mózg budził się z letargu, myśli krążyły podniecone. Lubiała, kiedy targał włosy i łopotał połamami płaszcz. Zaglądał pod spódnicę i pieścił uda. Aż trzech przejętych policjantów w odblaskowych kamizelkach zbiegło się do bariery. Pokazali przepustki, machnęli szmatami i przeszli na drugą stronę. I nastała cisza. Byli sami. Nawet stali mieszkańcy, przepłoszeni barierami i mundurami, nie wyściubili nosa zza drzwi mieszkań. Jeśli wyszli, to tylko po to, żeby wyprowadzić psy. W opustoszałym hotelu buszowali ważni tajniacy i sprawdzali pokój po pokoju. Zeszli od Prusa i zatrzymali się tam, gdzie kiedyś leżały dwa ciała.

* W takim miejscu żaden alfons nie zabiłby dziwki * powiedziała. * Wywiózłby ją za miasto, do lasu, nad Wisłę. Ale nie tutaj.

Osiecki w szczelnie zapiętej kurtce, z postawionym kołnierzem, nie zaprotestował. Próbował wszystkich sposobów, żeby zapalić papierosa. Obracał się dokoła, ustawiał plecami do wiatru, ale ten złośliwie co rusz zmieniał kierunek.

* Nie wiem, kto przy zdrowych zmysłach wybrałby to miejsce na zabójstwo.

Wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Hotel, dwa teatry, po drugiej stronie Książęcej giełda, plac Trzech Krzyży, gdzie pełno knajp czynnych do ostatniego klienta. Rzut beretem stąd jest sejm, kancelaria prezydenta, ambasady. Nie musisz być stąd, żeby wiedzieć, że tu jest od pyty psów i straży miejskiej. To jest sam środek miasta.

* Zabójstwo w afekcie. * Osiecki wreszcie zapalił papierosa. * Po prostu znaleźli się tutaj. Tak wyszło. Ostra kłótnia, puściły mu nerwy i zabił. Potem się zorientował, że jest świadek, i też go zabił. Zdjął ubranie, żeby utrudnić identyfikację, i przerobił jej buzię. To się chyba zgadza z twoją logiką.

* Dusiłby * odparła. * Zadałby dużo ciosów. Tymczasem na spokojnie poskręcał im

karki. Ofiara się nie broniła, więc działał z zaskoczenia. Moim zdaniem to oznacza brak afektu. Bo ona się tego nie spodziewała.

* Miała we krwi alkohol * powiedział Osiecki.

* To nie było duże stężenie. Wypiła trochę wina do kolacji, której nie zdążyła strawić. Wiemy już, że zjadła baraninę. Trzeba sprawdzić, kto serwuje baraninę w okolicy. Myślę, że jest w jadłospisie hotelowej restauracji, ale tam nikt jej akurat nie zapamiętał.

Zamilkli na chwilę. Bezradnie rozglądali się po okolicy.

* Z której strony przyszli? Od placu Trzech Krzyży? Czy po tych schodkach? A może z dołu, od Powiśla? * zapytała.

* Czy to ma znaczenie?

* To jest jakaś ostentacyjna arogancja. Jakiś szczególny rodzaj bezczelności. Środek nocy, ale wszędzie dokoła byli przecież ludzie.

* Może zabił ją gdzie indziej, a tu tylko porzucił zwłoki? Przywiózł samochodem na przykład.

* Ze niby taka manifestacja? Jakiś znak? Dla kogo? Dla nas?

* Zabił ją w domu. Albo w jakimkolwiek innym miejscu, które mogłoby go zidentyfikować. Albo ją. Albo ich, jeśli było tu więcej osób. To najprostsza odpowiedź. I najbliższa prawdy.

* Wiemy, że pozbawił ją twarzy tutaj. Na miejscu. Dlaczego skreślił jej kark w domu, a zmuśniętą, krwawą dłubaninę wykonał tutaj?

* Bo to trudne ślady. Ciężko je usunąć. Krew, tkanki, włókna...

* Ale dlaczego tutaj? Jeśli wkładasz ciało do bagażnika, to chyba wieziesz je tam, gdzie masz przynajmniej jakąś pewność, że nikt cię nie przyłapie, prawda? Że masz święty spokój. Wieziesz je nad Wisłę, do Powsina, do Lasu Kabackiego, do Marek, kurwa, masz od chuja możliwości. Więc dlaczego wieziesz je kilkaset metrów od giełdy?

Nie odpowiedział. Ruszyła przed siebie. Posłusznie podreptał za nią. Zza bryły dawnej YMCA wyłonił się kompleks luksusowych apartamentów na skarpie. Też sprawiały wrażenie wymarłych. Przystanąła, w tej samej chwili na jednym z

ażurowych balkonów wyrosła czyjaś sylwetka. Zmrużyła oczy, to był mężczyzna, może nawet patrzył na nich, ale tego to już mogła się tylko domyślać. Do dentysty i ginekologa trzeba doliczyć okulistę. Jeszcze tylko parę lat i ginekolog odpadnie. A przynajmniej wizyty u niego nie będą już tak regularne. Więc zostanie jej dwóch specjalistów. Budżet domowy jakoś to wytrzyma.

* Dlaczego Andrzej Gula się nie bronił? * zapytała. * Dlaczego się po prostu nie schował? Nie uciekł? Jak zachowujesz się w sytuacji, gdy jesteś świadkiem porzucenia zwłok?

* Był naćpany.

* Nieprawda, był czysty. W chwili zgonu był czysty, tak wykazała sekcja.

* Było ich kilku i mieli przewagę. Zaskoczyli go... Nie wiem. Na litość boską, nie czepiaj się mnie. Jest wiele wytłumaczeń. Jakie jest twoje?

* Wyjął jej kolczyki z uszu.

Osiecki spojrzał na nią zdziwiony tym, co usłyszał.

* Uważasz, że to coś znaczy?

* Przyjmijmy, że kolczyki mogły być jakąś informacją. Ale pochłastał jej twarz.

Dlaczego ich po prostu nie wyrwał? Przecież tak byłoby prościej, nie? Jedno szarpnięcie, zgadzasz się ze mną?

Kiwnął głową. Zaciągnął się po raz ostatni papierosem i starannie rozdeptał go czubkiem buta.

* Więc co to znaczy? * zapytał.

* Że miał do niej osobisty stosunek. Że nie była mu obca. Nieobojętna. * Ostatnie zdanie niemal przeliterowała.

Wyjął następnego papierosa, ale nie zapalił. Chwilę ugniatał go w palcach, po czym schował do paczki, a paczkę w kieszeni skórzanej kurtki.

* Nie odpowiedział na moje pytanie.

* A o co pytałeś?

* Jakie jest twoje wytłumaczenie. Pytam o ćpuna.

* Andrzej Gula po prostu zesrał się ze strachu. Bo to, co zobaczył, sparaliżowało go. Bez wątpienia jego sponiewierany prochami mózg miał w tym swój udział, ale nie

decydujący.

Spojrzał na nią czujnie. Jego małe oczka zmrużyły się i przez to stały się jeszcze mniejsze.

* Straszysz mnie teraz.

* Nie straszę. Takie są fakty. Kto może być aż tak bezczelnie pewny siebie? Kto potrafiłby jednym ruchem skrócić dwa karki? Musisz się tego przecież nauczyć *
powtórzyła

słowa Bogdańskiego. * Była dla niego kimś ważnym. Miał do niej stosunek emocjonalny * dodała po chwili.

* To jesteśmy w dupie.

* Jesteśmy tam od dwóch dni. Zadzwoił telefon, który trzymała w torebce.

* Jest gość * odezwał się Gruda. * Twierdzi, że ją widział. Trzy dni temu. Portret zobaczył w gazecie.

To nie było daleko, ale pojechali na sygnale. Pomknęli w dół Książęcą, z Ludnej skręcili w lewo i zaparkowali tuż za mostem Poniatowskiego. Kiosk był na parterze wieżowca, który wyrastał obok mostu, zwrócony twarzą do szarej, siedmiopiętrowej kamienicy. Do drugiego boku wieżowca, od Solca, przykłęił się parterowy budynek dużego sklepu samoobsługowego. Gruda już na nich czekał. Kioskarz zamknął okienko, wywiesił w nim niedzisiejsze „Chwilowo nieczynne” i stanął obok Grudy. Miał co najmniej sześćdziesiąt lat i lekką nadwagę. Granatową, pikowaną kurtkę zapiał na wszystkie guziki, postawił kołnierz z ciemnozielonego sztruksu. Szyję owinał cienkim szalikiem. Dbał o siebie, bo przecież nie było aż tak zimno. Pachniał czymś słodkim, z odcieniem lawendy. Na serdecznym palcu prawej dłoni, gdzie inni mają obrączki, on miał dyskretny sygnet z herbem. Pokazała mu symulację twarzy w formacie A4 i skinął głową.

* Jest pan pewien? * zapytała.

* Oczywiście, że nie. * Miał dosyć wysoki, niemniej przyjemny, miękki głos. * Ale była bardzo podobna. Przecież inaczej nie zajmowałbym waszego czasu, prawda?

* Proszę mi o tym opowiedzieć.

* Nic szczególnego. Po prostu stała tutaj.

Wypielegnowaną dłonią wskazał na chodnik. W miejscu, które pokazał, była kwaciarnia na parterze szarej kamienicy.

* I tak po prostu pan ją tutaj zauważył.

* Ja siedziałem w swoim kiosku, a ona stała tam ze dwie godziny, droga pani. To znaczy, chodziła sobie i rozglądała się ciekawie. Zwróciłem uwagę na jej włosy, że takie czarno*białe. Dwie godziny to szmat czasu. Można się przyjrzeć drugiemu człowiekowi.

* A pan oczywiście nie miał w tym czasie nic do roboty?

* W tym supermarkecie, na alkoholach, mają prasę i tytonie. To mnie niszczy. Na szczęście jestem stary i nie muszę się tym aż tak bardzo przejmować. Mam tych klientów, którzy się przyzwyczaili. Choć ich też ubywa. Mówiąc krótko, umierają. My jesteśmy trochę inni. Mam na myśli nas tu, z Powiśla. Przyzwyczajamy się. Do miejsc, do ławek w parku, do sklepów, w których robimy zakupy. Myślę, że na Starym Mokotowie jest podobnie, ale rzadko się tam zapuszczam.

* Pamięta pan, która to mogła być godzina?

* Po południu. Między pierwszą a trzecią, mniej więcej. O drugiej pan Zdzisław z jamnikiem wychodzi. A ona już tu stała.

* Czy sprawiała wrażenie, że na kogoś czekała?

* Każdy człowiek, który dwie godziny stoi w jednym miejscu albo przechadza się w tę i nazad, sprawia takie wrażenie * odparł rezolutnie. * Ale nie zauważyłem, żeby patrzyła na zegarek * dodał.

* Pamięta pan, jak była ubrana?

* Skromnie, choć elegancko. Dużo czerni, trochę szarości. Trochę złotej biżuterii, niewiele. Podobnie jak pani była w spodniach. Miała buty na obcasie. I była cudzoziemką.

* Skąd to przypuszczenie?

* W Polsce kobiety tak się nie ubierają.

* Jest pan bardzo spostrzegawczy.

* Nic innego nie robię, tylko obserwuję ludzi. Oni mnie słabo widzą w tym kiosku, za to je ich doskonale. Jestem tam dobrze zamaskowany. Wszystko wiem o ich

twarzach. Patrzą

i wiem, o co poproszą. To zadziwiające, że ludzie są tak typowi. Ona też była typowa, tyle że ni w ząb tutaj nie pasowała.

* A do czego pasowała?

* Może do jakiejś Francji? Włoch? Hiszpanii albo Grecji? No o tym to mam, niestety, raczej mgliste wyobrażenie. Nie stać mnie na podróże.

Po lewej stronie od kwaciarni ulokowały się prywatne gabinety rehabilitacyjne, a po jej prawej stronie, bliżej mostu, witryny pośrednika w handlu nieruchomościami.

* Miała ze sobą jakiś bagaż? * zapytała.

* Nie zauważyłem. Chyba tylko torebkę na ramieniu.

* A może podeszła do jakiegoś samochodu? Albo stała w pobliżu samochodu?

Pokręcił przecząco głową.

* No dobrze, to co było dalej?

* Nic. Pan Zdzisław wrócił z jamnikiem i kupił u mnie zapalki. Całe duże pudełko. Zagadaliśmy się. Jak poszedł, jej już nie było.

Spojrzała na Osieckiego, a ten bezradnie wzruszył ramionami. Twarz Grudy nie zdradzała żadnych emocji. Myślami był już dwa miesiące do przodu. Liczył gości przy wigilijnym stole, choć tych na szczęście, jak na razie, nie przybywało. Teść odszedł dwa lata temu. Skupiony dodawał rentę żony do swojej pensji. Może Kozyra sypnie jakąś premią na koniec roku. Ale za co? Z tej baby bez twarzy żadnej premii przecież nie będzie. Sterczą tutaj i czas tracą, zamiast od ręki umorzyć, odłożyć, schować w szafie. I kiedy wreszcie te dzieci znajdą jakąś stałą pracę? Kiedy się wreszcie wyniosą z tego domu, przecież już żyć nie można na tej kupie. A co będzie, jak ta głupia zajdzie w ciążę?

W gabinetach rehabilitacyjnych nikt nie widział jej twarzy. Okna mamy szczelnie zasłonięte, wiadomo, a naszą

pacjentką na pewno nie była. W kwaciarni musieli odczekać, aż chuda blondynka w średnim wieku, z pasemkami i talią osy, zrobi bukiet i weźmie za niego pieniądze.

Potem spojrzała na portret i uśmiechnęła się pod nosem. Oryginalna, powiedziała, ale pokręciła przecząco głową. Pośrednik od nieruchomości, młody, prężny i elegancki,

ledwie rzucił okiem na portret. Zawodowy uśmiech ani na chwilę nie opuścił jego twarzy i też pokręcił głową na znak, że nigdy tej pani nie widział. Ale generalnie to mam słabą pamięć do twarzy, wyznał i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Na supermarket z góry machnęli ręką. Uwiązany przed rozsuwanymi drzwiami pies ujadł tęsknie i żałośnie. Skarżył się na swój los, ale nikt, kto wchodził i wychodził, nie użalił się nad nim. Z rozpędu odwiedzili wietnamski bar pod mostem. Jeszcze jedni pan i pani Nguyen uśmiechnęli się do nich, a ich ciemne, czujne oczy w zgodnym ruchu przesuwały się z twarzy Agaty na twarz Osieckiego i z powrotem. Portret kobiety tylko na moment zakłócił ten rytm, spojrzeli na nią też zgodnie, a zaraz potem znów ping*pong, Agata, Osiecki, Osiecki, Agata. Z uśmiechem wręczyli im jadłospisy i wskazali na puste stoliki. Nie odezwali się słowem.

* Nie jestem głodna * powiedziała Agata do Osieckiego i oddała mu swój jadłospis. Stanęli pod szarym filarem. Nad ich głowami huczał most. Osiecki zapalił kolejnego papierosa i poczuła, że teraz to już i ona musi zapalić. Wychodząc z domu, schowała przezornie do torebki napoczętą paczkę, którą kupiła wczoraj na stacji benzynowej. To nie było łatwe, bo wiatr nie zelżał ani na trochę. Tu, pod mostem, świstał chyba jeszcze bardziej. Przytuliła się ramieniem do filara, Osiecki zastawił ją plecami i jakoś się udało. Musieli śmiesznie wyglądać, stojąc ramię w ramię i dymiąc jak z komina. Twarz z komputera nabrała życia, zarumieniła się nieco, ale ani o krok nie posunęli się do przodu. Wiedziała, że tak będzie. Ze zaraz się pokłóca.

* Będziemy traktować to poważnie? * zapytał Osiecki.

* To jedyne, co mamy. Weźmiemy Suskiego, weźmiemy Marciniaka, może Kozyra da nam jeszcze kogoś i pójdziemy na spokojnie z kolędą.

* Ten klocek też bierzesz pod uwagę? * Osiecki ruchem głowy wskazał wieżowiec z kioskiem na parterze. * Wiesz, ile tu jest mieszkań? Chcesz przeczesać całą okolicę? Kwadrat po kwadracie?

* Czy mamy jakieś inne rozwiązanie?

Osiecki milczał wpatrzony w kioskarza, który stał obok Grudy i gadał do niego bez przerwy. Gruda zamknął już kwestię wigilii, więc po prostu zapadł się w siebie,

głuchy na potok słów. Mechanicznie przerzucał kartki notesu.

* A jeśli on to wszystko sobie wymyślił? * odezwał się po chwili Osiecki. * Zobacz, ile gada. Jeśli to jakiś popierdolony dziadek, któremu się nudzi? Zobaczył twarz w gazecie i wystarczyło. Rzeźbi jak na spidzie. Same gładkie zdania. Że Włochy, że Francja... Agata, to jest wariat. Tu nic nie jest prawdziwe.

* Niemniej spiszemy go na papier. Zazwyczaj jest tak, że ci, co konfabulują, nie przywiązują się do szczegółów. Zapominają o nich. Niech przyjedzie jutro z rana i jeszcze raz o wszystkim opowie.

* Mam to zrobić? * zapytał.

* Zrobicie to razem z Grudą * odparła po chwili zastanowienia. * Jest bardziej skrupulatny i ma to w dupie.

Gruda tylko fuknął przez nos.

W komendzie czekały na nią raporty z lotnisk i z przejść granicznych. Nikt jej tam nie widział. A przynajmniej nie zapamiętał. Andrzej Gula nie zostawił po sobie żadnych czytelnych śladów. Ostatnie trzy dni jego życia nie dały się złożyć w żadną całość z tych marnych strzępów, które zaległy na jej biurku. Komuś gdzieś przewinęła się jego twarz, ktoś, kiedyś rzucił mu jakieś słowo, ale nikt nie zapamiętał, by choć na sekundę towarzyszyła mu kobieta z komputerowego wydruku. Przegrał wyścig do taniej działki i już tylko trawiony straszliwym głodem błąkał się po mieście. Jak totalnie scwelony cwel, którego losu, przypieczętowanego raz na zawsze, nic już nie było w stanie odmienić. Chyba to wiedział, bo nawet się nie mył, powiedział uchol. Cepił, że rzygi same szły do gardła. Gnił. Rozkładał się. Kozyra zostawił kartkę z informacją, że dostał odpowiedź z Europolu. Nie mieli jej odcisków w swoim rejestrze. Więc zatelefonowała do niego i poprosiła, żeby wysłał im symulację twarzy. Może jest tak, że jednak ktoś jej szuka? Że zgubiła się komuś? A potem usiedli, każdy przy swoim biurku, i zrobili podsumowanie.

* Myślę, że pomysł z dziwką możemy już sobie darować, co? * zapytała i spojrzała na ich twarze, ale ani Gruda, ani Osiecki nie podnieśli na nią wzroku.

* Co zatem wiemy na pewno? * dodała, tym razem, żeby rozluźnić nieco atmosferę. Odpowiedziało jej milczenie, które dopiero po chwili przerwał Gruda.

* Dajmy sobie z tym spokój * powiedział, nie patrząc jej w oczy.

* Dlaczego? * Spodziewała się tego i była przygotowana.

* Bo nic nie wiemy. Bo nic z tego nie wyjdzie. Bo nawet nie wiemy, od czego zacząć. Gula, wiadomo, wszystko jasne, śmieć, chyba nikt po nim płakać nie będzie. Ale ta kobieta? Mamy jakieś zgłoszenie? Nic nie mamy. Myślę podobnie jak Osiecki, że ten kioskarz to wariat.

Spojrzała czujnie na Osieckiego, ale ten również uciekł ze wzrokiem. Cwana myszka. Już zwierzył się koledze, co mu leżało na wątrobie.

* Mamy podwójne zabójstwo. Co do tego chyba nie ma żadnych wątpliwości * powiedziała. * Mamy ściągnąć gacie i pokazać, że jaja to nam urwało już ze dwa wieki temu? Mnie nie miało co urwać, ale, o ile wiem, wy chyba coś tam sobie zgniatacie w tych spodniach, prawda?

Skutek był łatwy do przewidzenia, więc się nie zdziwiła, że nie usłyszała odpowiedzi.

* Zabójcą jest ktoś, kto potrafi zabijać. Tego możemy być pewni. To jest fachowe skręcenie karku. Od tego właśnie zaczynamy.

Gruda skulił się w sobie. Przegięła. Nie będzie go jednak przepraszać. Trudno. Taka praca. Taka karma.

18

Dziewiętnaście lat wcześniej Bruce 1 oparł się oburącz o balustradę tarasu i z troską patrzył w bezchmurne niebo.

* Nie będzie padać * powiedział Bruce 2. * Z wojskowej prognozy wynika, że nie będzie padać co najmniej do następnego wtorku.

Stał obok, z dłońmi w kieszeniach spodni, i kołysał się, przenosząc ciężar ciała z pięt na palce i z powrotem. W przeciwieństwie do Bruce a 1 nie chodził w butach do biegania. Zawsze wkładał solidne półbuty na skórzanej podeszwie. Zamyślony patrzył na trawnik ogrodu. Jutro od rana zaczną tu rozstawiać namioty. Popołudniowe zebranie skończyło się piętnaście minut temu i wszyscy rozjeżdżali się do domów. Albo szli do barów na drinka. Kiedyś wystarczały tylko poranne zebrania, o

dziesiątej, ale w obecnej sytuacji Wayne uznał, że wszystko musi być pod kontrolą, a przepływ informacji to priorytet, i pół roku temu zarządził zebrania popołudniowe,, zamykające dzień pracy.

* Te prognozy sprawdzają się wszędzie, tylko nie tutaj. W tej chwili świeci słońce, ale za trzy minuty może spaść z góry ściana wody. * Bruce 1 nie odrywał wzroku od bezchmurnego nieba.

* Będą namioty * powiedział Bruce 2.

* W namiotach nie rozegrasz zawodów.

* Wyścigi w workach?

* Debbie będzie osobiście wręczać nagrody. Przyjdiesz?

* Nie sądzę.

* Wayne powiedział, że wszyscy muszą się stawić. Z żonami i dziećmi.

* Nie mam żony, a dzieci są w Utah. To znaczy, Jackie jest w Utah. Philip pojechał na studia do Kanady.

* Michelle bardzo się w to zaangażowała. Przyjaźni się z Debbie. Seymour chce wziąć udział w wyścigu, a Samantha postanowiła, że będzie mu kibicować. Masz z nimi dobry kontakt? Mam na myśli Jackie i Philipa.

* Myślę, że tak. Mam taką nadzieję. * Bruce 2 uśmiechnął się niespodziewanie i zapytał: * Będzie ktoś z miejscowych?

* Jest dyrektywa, żeby ich nie zapraszać. Żeby się nie deklarować. Wayne się wściekł, bo to jest niedyplomatyczne, a on, do cholery, jest przecież dyplomata. Ale nie wiem, kogo zaprosił. Zaproszenia zostały wydrukowane w Waszyngtonie. Mam nadzieję, że zaprosił tylko profesorów i artystów. Że nie spotkam tu żadnego z tych krwiożerczych potworów.

* Byłem wczoraj na Terazije. * I co?

* To się coraz bardziej napędza. I skończy się gorzej niż dziewiątego marca. Ale nie wiem, .w jakim kierunku to wszystko zmierza.

* Odezwał się?

Bruce 2 pokręcił przecząco głową.

* Nie mamy z nim żadnego kontaktu * powiedział. * Tylko jakieś plotki, pogłoski.

Odpowiedzialność, która rutynowo to rozszerzała się, to zawężała. „Nie mamy z nim żadnego kontaktu”, ale wcześniej: „Pozyskałem go”. Nieprawda. To on go sobie wybrał i łaskawie zezwolił, by być pozyskanym.

* Jakie pogłoski? * zapytał Bruce 1.

* Dostyc makabryczne.

* Oszalał?

* Powiedziałem ci już, wydaje mu się, że jest bogiem.

A z bogami jest tak, że najlepiej ich zabić, ale tego już nie powiedział, bo Bruce 1 mógłby zapytać, dlaczego wcześniej nie zasugerowałeś mi tego rozwiązania, dupku. Ale Bruce 1 milczał. Znów podniósł wzrok ku niebu. Michelle bardzo źle znosiła ich pobyt tutaj. Chciała wrócić do domu i mówiła o tym głośno, przy dzieciach. Dwa lata temu ich małżeństwo przeszło kryzys. Musieli chodzić do terapeuty. Dlatego postanowił, że będą razem, gdziekolwiek zostałyby wysłany. Ukończył Maryland, z rekomendacją. Potem aż trzy długie lata w agencji solicitors, bardzo lewackiej, co uwierało, bo głosował na demokratów, ale nigdy na czerwonych. Palili skręty, siedząc na perepecie w ciasnej kuchni, której okno wychodziło na równoległą ulicę. Wstydził się tego po dziś dzień.

* Musimy to uczciwie przyznać * dodał po chwili Bruce 2. * On się nam po prostu urwał.

* Może trzeba porozumieć się z Kalajewem?

* A jeśli to jego robota? Jeśli ma z tym coś wspólnego? Skąd mam wiedzieć, że nie chcą tu mieszać? Kalajew wie, że on się do tego świetnie nadaje.

* Czy my w ogóle jesteśmy za niego odpowiedzialni?

* Ktoś musi być.

* Kalajew. On go wymyślił.

Znów pudło. Sam siebie wymyślił. I wyposażył w prawo, które go obowiązywało. Tylko jego.

O osiemnastej wyszła z fabryki, wsiadła do autobusu i pojechała na Górny Mokotów, do ginekologa. Dała sobie godzinę na dojazd, bo już od dwunastej w południe samoloty lądowały na Okęciu jeden za drugim. Kolumny czarnych samochodów, wyjąc i mrugając światłami, pędziły aleją Żwirki i Wigury, którą zamknęli już od dziesiątej. Miasto, codziennie uwięzione w pełzających leniwie korkach, teraz sprawiało wrażenie, jakby znieruchomiło raz na zawsze w monstrualnym klinczu. Wszędzie dokoła: w przepełnionym autobusie, za kierowcami samochodów, na siedzeniach pasażerów, widziała znużone, otepiałe twarze, które poddały się zrezygnowane. Spóźniła się pięć minut.

Doktor Górecki był niedużym rudzielcem. W okularach i z rzadką brodą. Miał brzusek, niski głos, ładny uśmiech i wesołe, niebieskie oczy. I niewiele ponad trzydzieści lat. Jeszcze to, jakby siedzenie na tym pierdolonym samolocie nie było już dość upokarzające.

* Miesiączkuje pani regularnie?

* Mniej więcej.

Wyszła karnie zza parawanu, jedynie w bluzce, od pasa w dół goła, szurając niezgrabnymi butami na bosych stopach. Zostawiła buty na zimnej podłodze i ciężko wgramoliła się na samolot.

* Według mnie wszystko jest w porządku * powiedział zza biurka, gdy opuściła już samolot i znów schowała się za parawanem.

* Proszę się do mnie zgłosić, kiedy bóle znów się pojawią. Spotkamy się w innym gabinecie. Na Muranowie. Tam mam USG. Ale proszę się nie denerwować. To może być zwykły stres, przemęczenie, brak snu. Czym się pani zajmuje?

* Ostatnio tak się złożyło, że trupami.

Ładny uśmiech doktora zgasł, a szczerze niebieskie oczy zaniepokoiły się otwarcie.

* Testem policjantką * wyjaśniła.

* To jesteśmy w domu.

* Miał pan policjantki?

* Na swój własny użytek nazwałem to buntem jajników. Nie używa pani spirali.

Mam przepisać tabletki?

* Dupa mi od nich rośnie, panie doktorze. Nie współżyję, więc niech mi przynajmniej zostanie taka, jaka jest.

* To jakieś założenie?

* Pyta pan o dupę?

* Ze pani nie współżyje.

* Mam czterdzieści cztery lata, wyglądam, jak wyglądam. Nikt już na mnie nie leci, doktorze. Spirala czy tabletki to zbyteczny wydatek. Nie stać mnie na to.

* Pochopna decyzja * powiedział doktor Górecki, gdy stała już ubrana w drzwiach jego gabinetu. I dodał: * Proszę do mnie zajrzeć na Muranów. A jeśli chodzi o wielkość dupy, to nie ma ona żadnego znaczenia. I nie jest żadnym usprawiedliwieniem.

Uśmiechnął się ciepło, a niebieskie oczka zaiskrzyły.

Telefon zadzwonił, gdy siedziała w autobusie, który wiozł ją z Górnego Mokotowa na Powiśle. Nie był już tak przepełniony.

* Tomasz Weber * usłyszała w słuchawce.

* Czym mogę panu służyć o tej porze? Doszedł pan do jakichś odkrywczych wniosków?

Ta ironia była zupełnie nie na miejscu, więc zamilkł.

* Jest pan tam?

* Jestem. Może pani rozmawiać?

* Tak. Siedzę w autobusie.

* W autobusie?

* Pan nie jeździ autobusami?

Znów zamilkł. Musiał być nielecho spięty, skoro byle czym mogła zbić go z tropu.

* Zostawmy autobusy * powiedziała pojednawczo. * Co się stało?

* Bo ja mam wrażenie, że jednak czymś panią uraziłem. Ze zrobiłem coś, powiedziałem nie tak, jak trzeba... Zauważyłem, że pani zachowanie się zmieniło.

* I przeżuwał pan to przez dwadzieścia cztery godziny? * Tak.

Było to szczere i tak bezradne, że wzruszyła się na chwilę.

* Zupełnie niepotrzebnie. Wszystko w porządku, panie prokuratorze. Proszę sobie

usiąść przed telewizorem i pomyśleć o dupie Maryni. Albo wziąć żonę za rękę.

Wykąpać dziecko, jeśli pan tego jeszcze nie zrobił.

* Chcę panią zaprosić na kolację.

* Pan chyba bredzi * powiedziała, rozłączyli się i schowała telefon do torebki.

Samoloty już nie lądowały, więc Puławska zdążyła się odkorkować. To była ta gorsza część Puławskiej. Zresztą diabli wiedzą, czy Puławska miała część gorszą i lepszą. Po prostu lubiła ten odcinek na wysokości Morskiego Oka, z kawiarnią Mozaika, która uparcie się nie zmieniała i dlatego musiała w niej usiąść od czasu do czasu i wypić kawę. Siadała przy dużym oknie wychodzącym na ulicę i znów miała dwadzieścia pięć lat. Właśnie skończyła pracę i kradła czas, który już powinien należeć do maleńkiej Kaśki zostawionej pod opieką pięknego Lola. Teściowa nigdy nie zajęła się dzieckiem, a jemu, gdy wróciła ze szpitala, już na zawsze wyrosły dwie lewe ręce. Ale z premedytacją kradła czas dalej i niespiesznym krokiem schodziła Morskim Okiem w dół, by wreszcie wejść w Gagarina, w połowie ulicy czekała na nią nora z dożywotnim wyrokiem.

Autobus skręcił w Dolną i zatrzymał się na przystanku przed jedynym tutaj apartamentowcem. Ledwie dwieście metrów stąd rok temu czterech białych mężczyzn skatowało na chodniku czarnoskórego azylanta. Skopali go na śmierć.

Dziewiątego listopada. O dwudziestej pierwszej piętnaście. Jeden z nich miał studia, był nawet kiedyś instruktorem w domu kultury na Wiolinowej.

Telefon znów zadzwonił. Nie wyjęła go z torebki. Zamilkł, ale zaraz potem znów się odezwał.

* Dlaczego? * zapytała.

* Chcę panią przeprosić.

* Upił się pan?

* W porządku. Chcę porozmawiać i zatrzeć niedobre wrażenie.

* Ile razy mam panu powtórzyć, że nic się nie stało? I o czym pan chce rozmawiać?

* O sprawie.

* To na razie nie ma o czym. Chciałabym obiecać, że nie jest beznadziejna, ale nie mogę tego zrobić.

* Jutro?

Był uparty. Milczała chwilę. Skąd mu się wziął ten upór?

* Halo?

* Oddzwonię. * Wyłączyła telefon.

Wysiadła na Soku i raz jeszcze stanęła pod przeszłem mostu Poniatowskiego.

Wietnamski bar był już zamknięty.

Podobnie jak supermarket. Wiatr pędził z jeszcze większą prędkością niż za dnia.

Schroniła się przed nim w bramie szarej kamienicy. Miniaturowe źródło w miniaturowym skalniaku pośrodku studziennego podwórka szemrało cicho. Tamto podwórko z gruzliczym drzewkiem, choć też studzienne, musiało być jednak inne. Tu dokoła drzemali banalni mieszczanie. Lub gapili się w swoje telewizory. Kładli spać dzieci. Ospale podskubywali żonki. Upijali się whisky i zasypiali na skórzanej kanapie. Niemniej chyba w żadnej z tych głów nie czał się pomysł, by systematycznie odrzeć ze skóry aż sześć zupełnie niewinnych sarenek. A skąd ty możesz to wiedzieć? Jeden diabeł znał tylko odpowiedź, ale ten akurat nie puszczał pary z gęby.

Nic jej tu nie trzymało. Natomiast ciągnęło ją do wieżowca. Więc stanęła przed nim i zadarła głowę do góry. Kobieta o czarno*białych włosach stała mniej więcej w tym samym miejscu. Jeśli w ogóle tu stała. Jeśli nie była, jak tego chcą Gruda z Osieckim, wytworem wyobraźni eleganckiego kioskarza, który pachniał lawendą. Jeśli tu stała, to po co? Umówiła się z kimś. To dlaczego stała tak długo? Ludzie spóźniają się na spotkania, ale zazwyczaj piętnaście minut, góra pół godziny. Według kioskarza miała stać bite dwie godziny, po których nagle zniknęła. Poszła sobie czy przyszedł ktoś, na kogo czekała? To było trzy dni temu. Nawet jeśli zostawiła po sobie jakieś ślady, on już je dawno usunął. Tak jak to zrobił z jej twarzą.

Gdyby był w swoim mieszkaniu na piętnastym piętrze i podszedł do okna, zobaczyłby ją. Nieefektowną, źle ubraną, bezradnie zagapioną. I może przypomniaby sobie, że trącił ją ramieniem, gdy mijali się w drzwiach, choć wówczas była w mundurze, a mundur zmienia człowieka. Nie mógł wiedzieć, że nogi jej zmiękły, gdy zadudnił swoim niskim, zmysłowym głosem. Ale

wiedział, że odwróciła się po długiej chwili, by spojrzeć na jego proste plecy, szerokie ramiona, siwe włosy i pewny siebie krok, którym oddalał się korytarzem. Bo najpierw sam spojrział na nią. Na jej skuloną postać. Zamkniętą w sobie. Zgarbiony kark. Na pewno zdziwiłby się, skąd się tutaj wzięła z głową zadartą do góry. Ale w tym czasie siedział już za kierownicą siedmioletniego peugeota z ateńskimi tablicami rejestracyjnymi.

Wieżowiec kusił ją, ale nie było w nim żadnego konkretnego. Jedyne rzędy zapalonych w oknach świateł. Tych okien było za dużo, by mogły uruchomić wyobraźnię. Więc znów wsiadła do autobusu i pojechała na Krakowskie Przedmieście.

Odgrodzone metalowymi barierami od reszty miasta, świeciło pustkami. Żywej duszy. Właśnie to chciała zobaczyć. Tylko po to tu przyjechała. Gdzieś z tyłu, za barierami, snuli się funkcyjni w czarnych mundurach i odblaskowych kamizelkach, ale nie widziała ich. Wiatr zaszumił i przywiał ten sam niespodziewany smutek. Tę samą bezradną żalność i wciąż nieoswojoną samotność. Była małą, bezradną dziewczynką, zaniepokojoną tym, że nie potrafiła udźwignąć ciężaru własnego życia. Ze nie stworzyła Kaśce domu. Bo egoistycznie utwierdziła się w myśli, że nora przy Gagarina przecież nie może być domem. Ale, kurwa mać, jest! To jedyny dom, jaki Kaśka знаła. Tam się urodziła, więc twoje bajdurzenia o jakichś apartamentach, na które nigdy nie będzie cię stać, są tylko twoimi bajdurzeniami. Kaśka nie bierze w nich udziału. Nie ma z nimi nic wspólnego. Nie waż się jej mieszać do tego. Poczula, jak bardzo ją kocha, i postanowiła jej o tym powiedzieć.

* To jest moje miasto * powiedziała głośno, dla odwagi, i wróciła do domu, ale mieszkanie było puste.

Zadzwoiła do córki. Jej telefon był wyłączony. Posiedziała na stołku w kuchni, oparta plecami o ścianę. Z nudów wypaliła drugiego tego dnia papierosa. Potem wzięła kąpiel i umyła włosy. Wcześniej jednak szczelnie zasłoniła wszystkie okna, rozebrała się i przez kilka minut chodziła po mieszkaniu całkiem goła, czekając, aż woda wypełni wannę.

Leżała, w wannie zagubiona, z pustą głową. Jak zwykle zagapiła się na własne kolana. Na niewyraźne ciało w wodzie z solą. Postanowiła zapytać Kaśkę o depilację.

I w tej samej chwili jej umysł się poruszył. Dlaczego pomyślała, że ślady usunął on? Dlaczego nie pomyślała * oni? Dwa trupy mówiły wyraźnie, że musiało być ich co najmniej dwóch. Więc skąd się zaległo w jej głowie, że on? Bo w tym była albo pogarda, albo szaleństwo. Czy dwóch mężczyzn może w tym samym czasie odczuwać i jedno, i drugie? Dwóch mężczyzn to zespół. A zespół to organizacja. Organizacja to logika. A w tym nie było logiki.

Ubrana w szlafrok, zadzwoniła do Kozyry. Odebrał po dłuższej chwili i miał dziwny głos. Roztargniony. Gdzieś w tle usłyszała muzykę.

* Czy możemy dostać na biurko wszystko to, co jest nienormalne? * zapytała skrótem.

* Co to znaczy nienormalne? * Był rozdrażniony. Nie lubił jej skrótów. Nie nadał za nimi.

* Sprzeczne z logiką. Z rutyną. Z tym wszystkim, do czego się przyzwyczailiśmy przez lata.

* Możesz podać mi jakiś przykład?

* Skradziony samochód, którego na zdrowy rozsądek nikt nie powinien kraść.

Piętnastoletni fiat. Nawet nie nadaje się na części. Facet, który się powiesił, choć tego dnia dostał awans i podwyżkę. Włamanie, po którym nic nie zginęło. Torba z kupą kasy porzucona w miejscu publicznym.

Dyrygent orkiestry, który z premedytacją zabił bezdomnego menela, choć nigdy wcześniej nie widział go na oczy. Wystarczy czy mam mnożyć?

Cisza. Tylko ta muzyka. Nie mogła jej ustalić.

* Jesteś tam? Możesz rozmawiać?

* Po co ci to? * Był już otwarcie rozdrażniony. Tak, żeby to usłyszała.

* Ona nie spadła z nieba. Zabił ją ktoś, kto umie zabijać. Miasto strzela, a tu mamy skręcenie karku.

Nie odpowiedział, ale czekała cierpliwie. To był jakiś stary przebój, tylko ni w ząb nie mogła sobie przypomnieć tytułu i wykonawcy. Młody, dziecinny głos.

Dziewczynka.

* Nawet jeśli jest tak, jak myślisz, to nadal nie rozumiem, o co ci chodzi.

* Nie zostawiają śladów i nie popełniają błędów. Jeśli je popełniają, są to błędy marginalne. Niewykrywalne, bo sprzeczne z naszą rutyną. O to mi chodzi.

* Nie sędzę, że bym mógł to osiągnąć. To nie jest priorytet. To jest tylko naga kobieta na trawniku i to są tylko twoje własne rojenia. Nie masz pół dowodu.

* Czego ty słuchasz?

* Niczego.

I nagle krzyk kobiety przebił się przez dźwięki muzyki. To był czysty krzyk, bez słów, bez przekleństw, bez błagania. Choć może brzmiał trochę rozpaczliwie.

Rozłączył się. Odłożyła telefon i siedziała chwilę nieruchomo. Joe le taxi. Kozyra słuchał Vanessy Paradis.

Miała wtedy dwadzieścia cztery lata. Joe le taxi. Niezgrabnie dreptała w miejscu, zarzucała szerokimi biodrami, fałszowała pod nosem i prasowała pieluchy z tetry.

Wcześniej prała je ręcznie i gotowała w wielkim garze. Nie mieli pralki. Matka pięknego Lola z Dolnego Mokotowa mogła się

dorzucić i załatwić poza zapisami, ale syn się zdeklasował. Milicjantka, w dodatku ze wsi. Na szczęście jego starsza siostra dobrze wyszła. Radca prawny. Rodzina od pięćdziesiątego drugiego na Żoliborzu Dziennikarskim. Partyjni, ale nie można mieć wszystkiego. Kaśka miała wtedy półtora roku. Od ośmiu miesięcy nie karmiła jej już piersią, więc cycki nie pękały od nadmiaru mleka. Joe le taxi.

Policjanci zadzwonili do drzwi, gdy otuliła mokre włosy turbanem z ręcznika.

Spojrzała przez judasza. Zobaczyła ich ze zniekształconej, zabiej perspektywy. Jeden był wyższy i chudy, drugi też bez nadwagi, ale niższy. Śmiesznie stykali się czubkami głów. Poprawiła szlafrok i uchyliła drzwi.

* Katarzyna Czarnecka. Podobno tu mieszka * powiedział ten wyższy. Obaj byli bardzo młodzi, zaskoczeni szlafrokiem i turbanem. Ona też czuła się dziwnie. Trochę goła, nieschowana za makijażem. Nie miała wyjścia, musiała zacząć z kopa.

* A mogę zobaczyć twoją szmatę, synku?

I już wiedzieli, z kim mają do czynienia, choć wyższy się zawahał.

* Nadkomisarz Agata Zawadzka * przedstawiła się. Wyższy pokazał swoją legitymację. Niższy, ponaglony jej

wzrokiem, też sięgnął do kieszeni.

* To moja córka. O co chodzi?

Ten wyższy wykonał ruch, że wolałby w mieszkaniu, a nie tak przez próg, ale ani na milimetr nie uchylila szerzej drzwi. Więc tylko westchnął ciężko, manifestacyjnie.

* Według umowy wspólnie z Martą Woźniak wynajmują kwadrat przy Siennej dwanaście. Lokal numer trzydzieści osiem. Tak się składa, że żadnej z nich tam nie ma. A ta Woźniak ma meldunek w Tarnowie.

* A szerzej? Córki nie ma w domu. Nie wiem, kiedy wróci.

* W mieszkaniu jest sześć osób. Ani pani córka, ani ta Woźniak nie zgłosili nam ich. Kwadrat jest w strefie. To cudzoziemcy i wszyscy są na liście.

Niższy otworzył notes i bez pośpiechu przerzucił jego strony.

* Mieli puszki podczas zamieszek w Pradze, Budapeszcie i w Davos. Za Davos dostali wyroki. Po trzy miesiące na zawiasach.

* Zostawcie wezwanie. Doręcę córce i dopilnuję, żeby stawiała się na przesłuchanie.

* Wystarczy, że pani komisarz osobiście pouczy córkę. Nic do nich nie mamy. * Zmiękła mu rurka, ale na koniec się odwinął: * Chyba że coś zmalują.

Z wrażenia naląła brandy do szklanki i zapaliła trzeciego papierosa. Wdrukowała sobie, że słomiane dredy, kolczyki i martensy to tylko wygląd. Ze nie ma w tym żadnej filozofii. Coś przegapiła? Infantylna idiotko, co mogłaś przegapić? Nie oglądasz jej od dwóch lat. Pytasz o buty, majtki, rajtuzy i skarpety. Co zjadła, gdzie i o której godzinie. Nie miałaś nawet odwagi, żeby zapytać, czy jest jeszcze dziewicą. Wynikło z kontekstu, że nie jest, więc masz to z bańki, ale nie zapytałaś, czy się zabezpiecza. Na szczęście pytasz, jak jej idzie na studiach. Nie powiedziałaś jednak, że seks oralny też jest niebezpieczny, bo można zarazić się HIV. Tobie też nikt tego nie mówił, ale jesteś ze wsi. Ona jest z miasta.

Kaśka przyszła pięć minut po dwudziestej trzeciej.

* Były dwa psy. Pytali o ciebie. Masz sześć notowanych osób w mieszkaniu. Mieli wyroki za Davos. * W ten sposób nie powiedziała jej, jak bardzo ją kocha.

* Komuś musi na tym zależeć. Ty masz to w dupie. O ojcu nie wspomnę.

* Tobie zależy?

* To jest mój świat. Żyję w nim. Kiedyś będę mieć dzieci. Moje dzieci też będą mieć dzieci. Nie jest mi obojętne, co się z nimi stanie * powiedziała Kaśka.

* Myślę, że musimy o tym porozmawiać.

* O czym? O moich poglądach? Są moje. Zmienię je wtedy, kiedy będę chciała.

* O ludziach, których wpuszczasz pod swój dach.

* Są tacy sami jak ja. Studiują lub już skończyli studia. Urodzili się w dużych miastach i pochodzą z przyzwoitych rodzin. Z bardziej przyzwoitych niż moja, bo żadne z nich nie jest dzieckiem policjanta.

Przełknęła tę zniewagę.

* Złamali prawo i zostali aresztowani.

* Twoje prawo, mamó. Przepraszam, nie będę cię w to mieszać, bo nie zasłużyłaś na to. Ich prawo.

* Prawo to prawo * powiedziała, choć czuła, że to żalosne i właściwie bez sensu, niemniej dodała: * Prawo to państwo.

* Nie bądź śmieszna. Nie mów mi, czym jest prawo, bo to ja je studiuję. Państwo jest tylko dodatkiem. Archaicznym zresztą, z którym tak naprawdę nie wiadomo, co zrobić. To jest prawo korporacji. Wychodzisz codziennie rano do pracy, żeby chronić ich dupy. Tyrasz cały dzień, żeby Shell mógł eksploatować swoje złoża, gwałcąc prawa człowieka i prawa natury. W wolnym czasie łapiecie gwałcicieli i seryjnych zabójców. Ale z miastem, jak wy to nazywacie, jest już mniej problemów, prawda? Bo miasto też weszło w ten biznes. Zlikwidowaliście Pruszków, Wołomin nakryliście czapką, w Markach jest spokój i siedzicie zdziwieni, dlaczego jest tak fajnie. Jest fajnie, bo włożyli garnitury od Gianfranco Ferre i usiedli w przeszklonych biurówcach. Już nie noszą klamek, bo to niemodne. Też chcą rządzić światem i ja im się wcale nie dziwię. Tyle że świat, który chcą nam urządzić z twoją pomocą, nam się nie podoba. Dlatego wychodzimy na ulice. Dlatego łamiemy prawo. Ich prawo.

* Powiedz mi więc, dlaczego studiujesz to ich prawo? Czy to nie jest hipokryzja?

* Nie. Robię to, żeby z nimi skuteczniej walczyć. Ci, którzy są w dupie, nie mają dostępu do drogich kancelarii adwokackich.

Kaśka zniknęła za drzwiami swojego pokoju. A ona została sama, w szlafroku, w turbanie, ze szklanką brandy i z papierosem, który zgaśł. I po raz pierwszy w całym swoim życiu poczuła, że jest głupsza od własnej córki. W sumie to naturalna kolej rzeczy. I to jest normalne, że człowiek w tym wieku ma poglądy. Nienormalne jest to, że ty ich nie masz. Do kościoła przestała chodzić prawie dwadzieścia lat temu. Przeszła przez to niezauważalnie. Po prostu przestała chodzić. Nic się nie wydarzyło. Nawet nie poczuła, że jest jakiś brak czegoś. Kaśka była w drugiej gimnazjalnej, kiedy oświadczyła, że nie chce już chodzić na lekcje religii i wybiera etykę, bo ją bardziej rozwija. Bo chce poznać islam i judaizm. Bóg, mamó, jeśli jest, to jest jeden. Nieważne, jak go nazwiesz. Czy ty wiesz, mamó, że wśród proroków islamu jest niejaki Isa ibn Mariam? Czyli Jezus, syn Marii? Skąd mogła to wiedzieć, ale już pogodzona z samą sobą powiedziała po raz pierwszy: twój wybór, córeńko. I poczuła ulgę.

Z tego wszystkiego zapomniała zapytać ją o depilację. Całka powiedziała, że to boli, kiedy po goleniu włosy odrastają na cipce.

20

Przechodzone, francuskie autko na ateńskich numerach opuściło granice stolicy i mknęło czarną, wyboistą szosą. Zaparkowała je blisko, na płatnym miejscu pod mostem Średnicowym. Nie zamierzała się tutaj kryć ze swoją obecnością. Więc to nie mogła być tylko wierność. Zostaw. Nie ruszaj tego. Nie czuleś nic, tak przecież było, prawda? Stanałeś w oknie, zapaliłeś papierosa, którego znalazłeś w jej torebce, użyłeś do tego jej zapalniczki i nie czuleś nic. Musi tak zostać.

* Może właśnie to jest najgorsze w tym wszystkim * powiedział mężczyzna w białym garniturze. * To jest kara za to, co robimy. Bo nawet my nie możemy być bezkarni. Myślę, że w tej jednej kwestii nie warto kłamać.

I melancholia na ułamek sekundy odmieniła jego tłustą, bezbarwną gębę. Siedzieli tam, gdzie zawsze, tyle że pora roku była inna. Było zimniej i wiał wiatr. A złoty rolex na grubaśnym przegubie nie mienił się w promieniach słońca. Mężczyzna w

białym garniturze zapalił kubańskiego papierosa z długim, tekturowym filtrem.

Zaciągnął się głęboko gęstym, słodkawym dymem, by zdusić melancholię. I to, że w tamtym ułamku sekundy nawet samemu sobie wydał się nieco żałosny.

Następnego dnia rano, o ósmej, opłacił parkowanie do dwunastej, bo rzeczywiście się upił i miał kaca. O dwunastej

wsiadł do samochodu i snuł się po mieście. Po dwóch godzinach znalazł przytulny plac na Szmulkach i tam zostawił peugeota. Pewien, że ktoś go ukradnie. Chociażby ze względu na greckie tablice rejestracyjne. Dawno tu nie był, bo od kiedy opuścił Saską Kępę, prawy brzeg Wisły niezmiennie go odpychał. Dzisiaj, dwa dni później, samochód stał w tym samym miejscu. Więc włożył stare dżinsy, buty z cholewką, ręcznie szyte, w których można swobodnie przejść dwadzieścia kilometrów, czarną bluzę z dużym kapturem i co najmniej czterdziestoletnią skórzaną kurtkę, dwurzędową, którą kupił w osiemdziesiątym dziewiątym w second handzie w Berlinie Zachodnim, na Kreuzbergu, rzut beretem od Goerlitzer Bahnhof, niespełna cztery miesiące przed zburzeniem muru. Dwie przecznice dalej, nad kanałem, był Moskau Bar. Pięciolitrowy kanister z plastiku kupił w dużym sklepie przy Grójeckiej. Wrócił na prawy brzeg, żeby napełnić go benzyną. Niewielka stacja na starym Grochowie. Tylko dwie kamery. Samochód zostawił ulicę wcześniej i przyszedł pieszo. Po drodze naciągnął kaptur na głowę i ustawił się plecami do jednej z dwóch kamer. Był poza zasięgiem tej drugiej. Nie ogolił się rano, a na nosie miał okulary w dużej i grubej oprawie. Ich szkła nie miały żadnych właściwości optycznych, ale sprawił je sobie, bo mężczyzna w białym garniturze powiedział mu kiedyś, że szczególnie, który nie pasuje do człowieka, zapada w pamięć. A te okropne okulary w żaden sposób nie pasowały do niego. Za benzynę, podobnie jak za kanister, zapłacił gotówką.

Początkowo zamierzał tylko przestawić samochód w inne miejsce. Wywieźć do Radomia, Kielc czy Pułtuska. Siedmioletni peugeot, własność zmarłego przed rokiem sefardyjskiego Żyda, profesora literatury hebrajskiej na uniwersytecie w Atenach, nie był tropem.

Profesor skojarzył mu się z Pepperkornem, choć w głowie snuło się jedynie mętne

wyobrażenie, które przetrwało trzydzieści pięć lat po lekturze. Po prostu profesor przy stole zachowywał się głośno i wylewnie. Bębnił grubymi paluchami o blat i napierał nań brzuchem. Cały czas mówił. Dudnił basem, by wszyscy słyszeli. By nikt nie miał odwagi mu przerwać. Śmiał się też głośno. Tak samo wycierał nos.

Ostentacyjnie. Niecelegancko. Z pasją układał listę win i potraw. Rządził w kuchni. Rodzinny Lewant wymieszał mu się ciekawie z tradycją aszkenazyjskich emigrantów i potrafił zaskoczyć gości na przykład takim gęsim pipkiem, który wychodził mu za każdym razem fantastycznie. Czy właśnie taki mógł być Pepperkorn?

Jovana podparła dłonią policzek i rozluźniona przy długim, kuchennym stole w Atenach zagapiała się, gdy wielki i gruby, z siwą brodą do pasa, przepasany fartuchem niczym tałesem, tańczył sobie radośnie z garnkami, patelniami, z oliwą, winem, szafranem i czosnkiem. Podśpiewywał albo gadał sam do siebie. Tak czy siak, nieustannie wydawał jakieś dźwięki. Zapachy, które rozsiewał, zalatywały dzieciństwem i ostatecznie zatarły graniczną ulicę między meczetem taty, do którego i tak nigdy nie weszła, a synagogą, po której nie zostały nawet fundamenty. Mama, wierna federalnej tradycji, nigdy się nie zadeklarowała. Ale babcia z jej strony była prawosławna. A młodszy brat? O nim nie rozmawiało się przy stole. Zresztą wówczas jeszcze był w Splicie i tam handlował z kim popadło. Nawet z Polakami.

Profesor gościnnie wykładał na uniwersytecie w Stambule. Latał tam dwa razy w miesiącu. Pod koniec życia rozkochał się w tym mieście i pomyślał, że mogliby w nim zamieszkać, w jego europejskiej części. Nie zdążył już zrealizować tego marzenia, a ona nie była jego entuzjastką. Trzypokojowe mieszkanie w Atenach, w dzielnicy Eksarchia,

z graffiti szczelnie pokrywającym parter kamienicy przy Navarinou, było i tak pięknym prezentem, na który zwyczajnie nie zasłużyła. Choć miało być na odwrót, to on uwiódł ją pierwszy, był tego pewien. Widział to w oczach Jovany, kiedy opowiadała mu o profesorze. Nie zrobiła tego tylko dla greckiego paszportu i nowego nazwiska. Po tylu latach wiedział, że miała słabość do nieprzeciętnie inteligentnych sybarytów.

Spotkali się w hotelowym barze, w Sofii, dobrze po północy. Był środek tygodnia,

bar był pusty. Barman był trochę poirytowany, bo zaplanował sobie, że wcześniej pójdzie do domu. Niemniej z uśmiechem postawił przed nią dżin z tonikiem. Ze wszystkich ponad osiemdziesięciu hoteli wybrała czterogwiazdkowy Dedeman Princess Sofia. Ogromny i ciężki, który w niczym nie przypominał żadnej księżniczki. Na który w gruncie rzeczy nie było jej stać. Pamiętała jednak jego własne słowa * jeśli liczysz, że coś może cię spotkać w jakimś miejscu, pamiętaj, miejsce nie może być banalne. Cztery gwiazdki, pomyślała, nie są chyba banalne, gdy nie ma się za wiele pieniędzy. I gdy ucieknie się w ostatniej chwili spod więziennej bramy.

Nie mogła wrócić do wioski nieopodal Prijedoru, kiedy porzucił ją na szosie, choć od rodzinnego domu dzieliło ją ledwie czternaście kilometrów. Jedyne, co jej zostało, to umrzeć z godnością lub ukrywać się z Milanem. Wybrała to drugie. I to nie była jakaś wielka filozofia, gdyby tak naprawdę ktoś chciał ich namierzyć. Parterowy domek z ogródkiem w Viroviticy po chorwackiej stronie, który Mile odziedziczył po babce. To było zabawne, bo nigdy się nie przyznał, że jego ojciec też był muzułmaninem. Babka, która zmarła ledwie półtora roku wcześniej, była chorwacką ultrakatoliczką. Przez całe nudne życie nie opuściła ani jednej mszy.

Udawali małżeństwo, aż zadusiło ją to prostackie, pozbawione finezji kłamstwo. Kłamstwa, którym jeszcze wczoraj służyła, które wypełniały jej codzienność, nawet w połowie nie były tak prostackie. Drażnił ją dźwięk katolickich, kościelnych dzwonów i całkowity brak minaretów. Drażnił ją apetyt seksualny Milana i puste butelki. Ale szef lokalnej policji zawsze kłaniał się nisko, z atencją. W sklepie, na ulicy i na placu. Więc zakapowała Milana. Wiedziała, że włos z głowy mu nie spadnie, bo się wykupi, ale dla szefa policji to był podwójny zysk, więc szybko ustaliła cenę. Nie była wygórowana. Dziesięć tysięcy marek niemieckich i nowy paszport. Z nowym imieniem, z nowym nazwiskiem, z nową tożsamością. Tożsamość nie była dopracowana, żyć z nią było raczej trudno, ale do czterogwiazdkowego Dedeman Princess Sofia na niej dojechała. A tam, w pustym barze, po północy, stał się cud.

Profesor przyleciał z Aten do Sofii o dziesiątej rano. W samo południe odebrał na

uniwersytecie doktorat honoris causa, bo cztery lata temu opublikował książkę, właściwie broszurę o cadyku z Pleven, którego złote myśli rozlały się w siedemnastym wieku po całych Bałkanach i dotarły też na półwysep helleński. Po ceremonii był lunch, potem kawy z koniakiem, wywiady, bankiety i kolacje. Do hotelu dotarł na trzy minuty przed północą, wściekły, bo upatrzył sobie trzydziestosiedmioletnią czarnulkę z piękną dupcią, w spódnicy przed zgrabne kolana, zgrabne łydki i z biustem, który zapowiadał się całkiem fajnie bez stanika. Z fryzurą w stylu lat sześćdziesiątych, z czarną grzywką tuż nad błyszczącymi oczami. Miała tytuł doktora i obrączkę na serdecznym palcu prawej dłoni, ale dałby sobie rękę uciąć, że wysłała mu czytelny sygnał. To było fiasko, bo zniknęła między kawą z koniakiem a bankietem, w trakcie wywiadu. Zły na siebie nie mógł się skupić, gdy rektor uniwersytetu wygłaszał mowę na początek wystawnej kolacji. Fukal gniewnie przez nos i fałszywie pomrukiwał Trammarsch z piątej Maniera, której wysłuchał w samolocie. Royal Concertgebouw z Amsterdamu. Bernard Haitink. Wszystkie inne wykonania można sobie wsadzić. Israel Philharmony pod Zubinem Mehtą zagraли kiedyś Adagietto tak, jakby spieprzali przed atakiem Hezbollahu. Podobno Mariner gdzieś w Stanach na wsi chce nagrać całego Mahlera i to może być ciekawe. Mahler i orkiestra z Oklahomy. No, ale Mariner to brzmi ekscytująco. Już zdążył się dobrać z wiejską orkiestrą do Wagnera. Tylko uwertury, ale to było bardzo miłe dla ucha.

Paluchami wybijał na stole ponury rytm, nie bacząc, że innych to rozpraszało. Więc kiedy wkurwiony usiadł w hotelowym barze, na wysokim stołku, zażądał whisky i zobaczył jej wielkie, wspaniałe zęby odsłonięte w szczerym, bałkańskim uśmiechu, zapomniał o wszystkim. Nie tylko o Mahlerze, Marinerze, Haitinku i Levinie. Nawet o tym, że był sefardyjskim Żydem. Bo jakkolwiek na to by spojrzeć, w połowie była muzułmanką z urodzenia. Rozluźnił się. Mężczyźni w takich sytuacjach zazwyczaj się spinają. Gromadzą zasoby, by nimi błysnąć. On się zawsze rozluźniał. Nie udawał bynajmniej, że nie ma pięćdziesięciu ośmiu lat i że nie jest gruby. Pokazał to, co miał najlepsze. Czyli mózg. A ją mózg zawsze podniecał.

Siedmioletni peugeot sprawnie mknął nocną szosą do Maciejowie, a wdowa po

zmarłym śmiercią naturalną profesora literatury hebrajskiej ateńskiego uniwersytetu też nie była tropem. Kto mógłby jej szukać, skoro nie zostawiła żadnych śladów? Nawet dzieci. Dopiero teraz dotarło do niego, że zawsze się zabezpieczała. Nigdy nie pomyślał o niej, że mogłaby zostać matką. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że po którejś z rzędu spędzonej wspólnie nocy mogłaby mu powiedzieć: jestem w ciąży. Będziemy mieć dziecko. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jej fizjologia to coś więcej niż egoistyczny akt seksualny. Ze zbudowana była tak, by mógł ją zapłodnić i żeby mogła ukołysać w swoim łonie ich dziecko. Ze, mówiąc prościej, miała macicę, której broniła przed takimi jak on. Przed wszystkimi, którzy ją wykorzystywali tylko dlatego, że sama urodziła się w niższej kategorii. Dlaczego nigdy jej nie zapytał, czy chce mieć dzieci? Pewnie dlatego, że sam nie potrafił udzielić poprawnej odpowiedzi na to pytanie. Dotknęła go ta refleksja i poczuł się podle. Aż musiał zapalić papierosa i szybko wrócić do pionu.

Kto zatem mógłby jeszcze jej szukać? Pierwsza żona profesora? Czy w ogóle miała pojęcie o jej istnieniu? Rozstali się w zgodzie i wybaczyła mu wszystkie zdrady, choć było ich od groma. Więc pewnie mógł zadzwonić i pochwalić się, że właśnie ożenił się z dziewczyną młodszą o ćwierć wieku.

* Może to cię wreszcie usatkuje * mogłaby mu odpowiedzieć.

Była anestezjologiem na emeryturze. Nie zmarłby tak młodo, gdyby trochę bardziej dbał o siebie. Przede wszystkim mniej jadł i pił. Pilnowałam go tak długo, jak mogłam. Poznali się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, gdy służyli w wojsku. Wcześniej od niego przeszła do rezerwy. Po rozwodzie została w Hajfie. Nie piniaczył się o przyzwoity dom z niewielkim basenem. Jasne, że z przyjemnością położyłaby rękę na apartamencie w Atenach. Podobnie jak ich już bardzo dorosłe dzieci, które nie wyszły im tak, jak by sobie tego oboje życzyli.

Czterdziestopięcioletni dziś syn ukończył stanowy uniwersytet w Karolinie Północnej i ugrzązł tam na resztę życia w prowincjonalnym handlu nieruchomościami. Ożenił się z jankeską krową, jej tępi rodzice nie przepadali za Żydami, która jednak jakimś cudem ukończyła ten sam

uniwersytet, ale już po pierwszym wnuku zrobiła się ciężka i rozlazła. Po dwóch następnych rozlazła się do rozmiarów wieloryba. Nawet dresy były dla niej za ciasne. Czterdziestodwuletnia dziś córka wybrała się do Amsterdamu, by studiować tam fotografię. Amsterdam jest piękny, ale to nie były żadne studia, tylko jego własne, solidnie zmarnowane pieniądze. Na szczęście miała talent do języków, więc została sekretarką notariusza we Fryburgu. Notariusz był porządnym facetem i zostawił dłonie na biurku, ale urodzony w czechosłowackiej Pradze nieudolny imitator Koudelki już tego nie zrobił. Poznali się na cudzym wernisażu, bo on wymyślił sobie ten Fryburg, że właśnie tu nawiedzi go geniusz i duch święty, i wszystko, czego nie dała mu własna, zeświecczona do cna ojczyzna, choć na to, Bóg mu przecież świadkiem, zasłużył. Zakochała się w nim na śmierć i życie, bo jakże mogło być inaczej. Fotografowali jak opętani, głównie siebie nawzajem, aż profesor uznał despotycznie, że dosyć już tego fotografowania, i przestał wysyłać jej pieniądze. Na szczęście się nie rozmnożyli. Trzy lata temu wreszcie wzięli kredyt, kupili bliźniak w Mikulovie i otworzyli w nim pensjonat. Rozreklamowali się w Internecie i mają stałych klientów. Polaków, którzy jeżdżą latem na południe Europy.

Więc co robił tu, teraz, w nocy, na szosie do Maciejowie? Rano kupił gazetę i w stołecznym dodatku zobaczył jej twarz. Była podobna do siebie. Nawet bardzo. Powinien był to przewidzieć, niemniej trochę go to zapiekło. Bo to już nie pierwszy raz, kiedy poczuł się stary. Uklepany w innych, prostszych czasach. Tyle żmudnej pracy, dziadziu, w trudnych warunkach, a tu masz i komputer wszystko ci skasował. Biedny jesteś, staruszk. To było upokarzające, ale też bliskie. To była bliskość przypadkowa i wirtualna, jak ta twarz w gazecie. Ale była. Podeszli bliżej, niż to założył. Każdy

normalny człowiek w takiej sytuacji poczułby, rzecz jasna, strach. Przynajmniej się zdenerwował. Ale on nie był normalny. Chyba nigdy nie był. Nawet w podstawówce. Więc jedyne, co poczuł, to przyjemne drganie w środku. Bo prawda była taka, że od jakiegoś czasu znów nie czuł się tutaj dobrze. Dawny entuzjazm, który nawiedził go w kopenhaskim hotelu, wyparował. Jej przyjazd sprawił, że poczuł się jeszcze gorzej. Przypomniała mu, że nie był już bogiem, i zmusiła, by zawstydzony kłamał

niezręcznie i ukrywał, że teraz jest nikim. Że tylko sprząta po sobie, zmiata ulice i udaje. Bo i ten marny kraj też tylko udaje. Udaje, że bierze w czymś udział, udaje, że ma własne zdanie, że wysyła gdzieś swoich żołnierzy, bo tak chce, a nie dlatego, że życzą sobie tego starsi koledzy, którzy i tak na koniec walną z liścia, żeby mały za bardzo nie wyrósł. Zrozumiał, jak z górą trzydzieści lat temu, że znów nie lubi siebie samego w tym kraju. Dlatego postanowił, że jednak spali siedmioletniego peugeota. Nie tyle po to, żeby zatrzeć wszystkie ślady, ale żeby przedłużyć tę grę*

Od samego początku wiedział, że jej śmierć była głupim rozwiązaniem. Choć nie mógł przecież z nią żyć tutaj. Ani w jakimkolwiek innym miejscu. Procedury mówiły, że powinien był ją zabić tam i wtedy. Piętnaście lat temu, na szosie, którą jechali do Prijedoru. Ale wówczas pomyślał: pieprzmy procedury. Więc musiał to naprawić lata później, w miejscu, które się do tego nijak nie nadawało. Pozostawała zatem nadzieja, że może przynajmniej w ten sposób otworzył nową grę. Nieważne, kto w niej wygra. I jaka jest wygrana. Ważna jest sama gra. Wytrawny gracz wcale nie marzy o tym, żeby wygrać. Wygrana oznacza bowiem koniec gry.

* Kluczysz * powiedziałyby jego inteligentna matka, gdyby żyła.

* Tak sobie to wymyśliłem * odpowiedziałby jej.

* Głupio wymyśliłeś swoje życie.

* Z mojej perspektywy jest zajmujące i pyszne.

* Miałeś tylko tłumaczyć. Pamiętam, że bredziłeś coś o laureatach Nobla.

Przetłumaczyłeś jakiegoś?

* Nie zdążyłem. Może to jeszcze nadrobię. Chciałem być nikim.

* To akurat chyba nigdy nikomu się nie udało.

* Jestem bliski ideału.

* Jesteś próżny.

* Tak mnie wychowałaś. Chciałem się was pozbyć, mamó. Mówiąc krótko.

* Dlaczego?

* Nie ułatwialiście mi życia.

* To przykre i niesprawiedliwe słowa.

* Kiedyś musiałaś je usłyszeć. Może to jest ten właściwy moment?

Plim*plim*plum*plum*plam*plam. Tak na te słowa zareagowałby jego ojciec, gdyby żył. Ale zmarł wcześniej niż matka. A on był pewien, że nawet teraz, tyle lat po własnej śmierci, ojciec miał w dupie to, co działo się z jego jedynym synem. Tak jak za życia miał w dupie to, gdzie on mieszkał, co studiował i kim zamierzał zostać. Ważne były tylko klawisze. Plim*plim*plum*plum*plam*plam.

21

Samochód płonął. Wraz z nim płonął grecki paszport i wszystko inne, co zabrała ze sobą do tej dziwnej Polski. Niemniej to chyba nie miało związku z tym, że w nocy Agacie przyśniło się krzesło. Zwykle. Proste. Tyle że zaraz potem też stanęło w ogniu. Całe. Od czterech nóg po oparcie. Ruszyła w jego stronę, bo choć płonęło, wiedziała, że to krzesło jest właśnie dla niej. Czekają na nią. Bała się ognia, ale nie miała odwrotu. Więc bezsilna zaczęła krzyczeć, z głupią wiarą, że krzyk ją ocali. Tym razem krzyk był prawdziwy, bo gdy usiadła w pościeli, zaniepokojona Kaśka stanęła chwilę później w drzwiach sypialni. Miała na sobie ten sam kusy T*shirt. Spociała się cała. Nawet uda miała spocone. I biust. Machnęła dekoltem, żeby wpuścić trochę powietrza. A potem, nie bacząc na obecność córki, odrzuciła kołdrę i poderwała nocną koszulę do góry, by schłodzić uda i tę resztę, której nie będzie jednak depilować. Tak postanowiła przed snem.

* Co się stało? * zapytała Kaśka.

* Wracaj do łóżka.

Wsunęła stopy w rozdeptane kapcie i poczłapała do kuchni. Usiadła na nieśmiertelnym stołku i przytuliła rozgrzane plecy do chłodnej ściany. Zapaliła papierosa. Z przyjemnością zaciągnęła się dymem. Teraz już można sobie cierpieć na bezsenność. Jest fajnie. Podniosła się ze stołka i z papierosem podeszła do okna. Popatrzyła na śmietnik i stare garaże. Na sto procent zabójstw osiemdziesiąt popełnia ktoś, kto w jakiś, jakikolwiek sposób był powiązany z ofiarą. Takie są statystyki. Prowadzi się je od lat. Dlaczego miałyby im nie zaufać? Dlaczego

właśnie teraz miałyby ją zawieść? Dlatego rozebrał ją do naga i wyjął kolczyki z uszu. Dlatego tego drugiego nie tknął. Był mu obojętny. Przypadkowy. Znowu automatycznie myślisz: on. Bo tak się, kurwa, automatycznie składa. Przyjechali samochodem? Nie. Musiałby zaparkować na górze i nakłonić ją, by zeszła po czterdziestu czterech wyszczerbionych i nierównych stopniach w dół. Dlaczego miałyby się na to zgodzić? Przy Książęcej samochód rzucałby się w oczy o tej porze. Przyszli pieszo. Od dołu. Od Powiśla. Była mgła, ale wieczór nieszczerbienie chłodny. Więc zaproponował jej skrót. Ze wejścia w spowitą mgłą dolinę, której środkiem biegł jednak regularny chodnik. I były latarnie. Zapewnił, że jeśli pokonają te czterdzieści cztery wyszczerbione i nierówne stopnie, znajdą się obok Sheratona. A słowo Sheraton mogło uśpić. Bo Sheraton nie buduje swoich hoteli w podłych miejscach, gdzie ludziom skreca się karki, w bezwzględny sposób. W Sheratonie pije się dobrą kawę i drogie drinki. Więc weszła w tę mgłę. Musiała mu cholernie ufać. Zatem decyzję o zabójstwie podjął po drodze. Objął ramieniem, przytulił i nagle uśmiechnął się do swoich myśli. Zmierzył jej włosy rozradowany. Jakimż bezwzględnym musi być skurwysynem. W życiu chyba takiego nie spotkała. Ale nie myśl sobie, nie będę cię, kutasie, podziwiał.

22

Dziewiętnaście lat wcześniej o szóstej rano ktoś wystrzelił z kałasznikowa. Trzy razy. Nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od hotelu. Okno pokoju na pierwszym piętrze było szeroko otwarte i Marcin K., nie podnosząc głowy z poduszki, mógł zobaczyć, że na widocznym z tego miejsca kawałku nieba nie ma ani jednej chmury. Odwrócił się twarzą do ściany, zamknął oczy, ale już nie zasnął. Po pięciu minutach wstał z pościeli, nogą potracił pustą butelkę po winie, która potoczyła się pod sąsiednie łóżko, i wyszedł z pokoju na korytarz. Drewniane i wyschnięte klepki podłogi, przykryte brudnym, ciemnoczerwonym chodnikiem, skrzypiały pod ciężarem bosych stóp. Royal był stary i bez godności. Ledwie po jednej łazience na piętrze, w końcu

korytarza. Tani, a jednak mało kto chciał w nim mieszkać. Może dlatego, że każdy kął cuchnął kurzem i trupem. Marco, dwa pokoje dalej, w stronę schodów, oszalał i zniknął.

Większość mieszkała w tym drugim, wysokim, z betonu i szkła, gdzie w recepcji wydawali akredytacje. Sterczał przy równoległej ulicy. Jak chuj, powiedział Żelijko, który był portierem w Royalu i nosił granaty w kieszeniach spodni, po jednym w każdej. Żeby do niego dojść, nie trzeba było wychodzić z Royala głównymi drzwiami. Wystarczyło przejść przez wąską i mroczną restaurację, a potem przez patio otoczone wysokim murem z furtką, która była zawsze otwarta. Kilka długich stołów z desek, pośrodku sadzawka z mętą wodą i wysepką do tańczenia, wyłożoną mozaiką z potłuczonego, kolorowego szkła. Już pierwszej nocy zobaczył ich, gdy tańczyli na niej przytuleni, on z kałasznikowem na plecach, ona w niebieskiej sukience z gołymi ramionami. On chyba nawet trochę niższy od niej. Bez munduru, jedynie z naszywką z biało*czerwoną szachownicą na rękawie. Piosenka była włoska i obrzydliwie sentymentalna, jak ten kałasznikow na plecach.

Kiedy czekał na swoją akredytację, a ziemia drżała i cały hotel trzął się i podrygiwał wraz z nią, nagle wyrósł obok niego Horst, który przyjechał dwa dni temu. W białej koszuli i czarnych dżinsach, szarpnął go za ramię i pociągnął za sobą. Wpadli do baru, na lewo od recepcji, trochę po skosie, gdzie za ścianą ze szkła, wychodzącą na taras, woda Dravy unosiła się wysoko do góry białymi słupami i opadała w dół, rozkładając dokoła kielichy spienionych kwiatów.

* Bawią się tak już od dwóch dni. * Horst usiłował przekrzyczeć huk wybuchów. Mówił po angielsku z twardym, niemieckim akcentem. Zdarzało się, że „w” wymawiał jak „v”.

Łazienka była bez okna. Zapalił światło i spojrzał w lustro nad umywalką, na odbicie banalnej twarzy o zapuchniętych powiekach i kilkudniowym zaroście na twarzy. Nie golił się, bo nie miał już na to siły. Szybko policzył dni, które dzieliły go od trzydziestych trzecich urodzin. To nie był strach. Raczej znużenie. Wszedł pod prysznic. Nie było ciepłej wody i zatrzął się z zimna, ale na zewnątrz stuletnich murów gęstniało już gorące powietrze. Nieznośne i nieruchome. Można je kroić

nożem, powiedziałaaby jego mama. Drgnęło dopiero koło południa, poruszone niespodziewanym podmuchem wiatru, który przyniósł smród. Wcześniej jednak były gnijące w upale owoce, które rozgniatali butami, gdy weszli z Horstem do ogrodu przez skrzypiącą furtkę. Samochód zostawili pod płotem, wzdłuż którego wyrastał las grubych i wysokich łodyg kukurydzy.

Dom stał na skraju wsi, od północy. Horst szedł pierwszy i jego biała koszula to znikła, to pojawiała się między rzędami gęsto posadzonych, owocowych drzew.

* Ile on ich zabrał, że codziennie w świeżej?

* Ciekawe, kto mu je prasuje. Sprzątaczką?

* W tym hotelu już nikt nie sprząta...

* Sam je sobie prasuje, skurwysyn.

Ciężki brzuch Adriana zatrząsał się od serdecznego śmiechu. Wiedeński Rumun. Duży i ospały.

Potknął się o rowerek na trzech kołach, zanurzony w trawie. Jedno z kół, poruszone, zakwiliło cicho. Obok wyrastał taras, wysoki i masywny, więc wspiał się na palce, by zajrzeć przez żeliwne pręty balustrady. Białe, przewrócone krzesło, rąbek zwisającej ze stołu czerwonej serwety, ciemnozielona szyjka otwartej butelki.

Jedli kolację. Szara godzina po upalnym dniu, zanim wieczorna mgła otuli wzgórze wokół wioski, zanim włączą telewizory, zanim zaczną skrzypieć łóżka, zanim odezwą się podbite głosy. Zanim niektórzy przemieniają się w wilki. Rozstawiła talerze i pogoniła Bożo, by zawołał syna i otworzył wino. Czarne włosy sięgające ramion, spłowiła od słońca, ściągnięta w pasie sukienka, sandały na dużych, zniszczonych stopach. Szeroka w biodrach. Urodziła dopiero jednego chłopaka, ale piersi takie, że przecież wykarmiłaby kilku. Zgarbiony kark pachnący mlekiem. Furtka * już tyle razy prosiła, by ją naprawił * skrzypnęła.

Chciał wejść po stopniach tarasu, zajrzeć w talerze, gdy na języku usiadł, przygnany podmuchem gorącego wiatru, słodkawy smak gotowanego karmelu. Przedostawał się na

ulicę, kiedy w drodze do szkoły przechodził pod płotem fabryki cukierków. Łzy wypełniły oczy, odwrócił głowę i poczuł bolesne ukłucie, bo słońce odbiło się od

tarczy zegarka na lewym przegubie Horsta, który wsparty ramieniem o pień drzewa, powoli opadł najpierw na jedno, potem na drugie kolano i pochylił się nisko nad ziemią tak, że czołem dotknął trawy. Podobno trzymał W.H. Audena pod poduszką. Tak mówił Adrian.

Były jak gąbka. Stara, o chropawej, dziurawej powierzchni i postrzępionych brzegach, pociemniałych i zeszywniałych od brudu. Starannie ułożone w sterty, piętrzyły się w górę, skryte między niskimi pniami owocowych drzew. Wszystkie bez wyjątku były nagie, a ramiona i nogi leżały obok. Niektórym odcięto także głowy, a głowom wydłubano oczy. Dziury wypełnione czarną mazią, która zastygła w kapryśnych, rokokowych reliefach, połyskujących w słońcu tam, gdzie nie sięgały konary drzew. Wiele pozbawiono płci. Czarna, po chamsku wyrąbana dziura i czarne skrzepy, które zatrzymały się w pół drogi do kolan. Tylko płaski tors, pokryty pierścieniami skręconych włosów, i łysiejąca czaszka mówiły, że kiedyś był mężczyzną. Nieposłuszna pamięć przywołała ryciny z czeskiego atlasu anatomicznego dla artystów doktora Zrzawy, który oglądał, gdy miał jedenaście lat. Smród szarpnął jelitami, ale zdążył troskliwie zasłonić ramionami oba zawieszona na szyi aparaty fotograficzne. Pluł żółcią, bo nie zdążył zjeść śniadania. Ledwie wypił kawę. Horst pełził na kolanach i wierzchem dłoni usiłował przeciąć nitkę śliny, która uparcie dyndała uczepiona dolnej wargi. Wysoki, szczupły, siwy i niemiecki. W białej koszuli

i czarnych dżinsach. Zorganizowany i niewagnerowski. Trochę żaloszny na kilka minut przed Panem Bogiem, do którego wzniesie się nadszarpnięty i dziurawy. W zasadzie protestancki, choć ekumeniczny.

Jeśli zmrużysz oczy, wtedy może to być na przykład Bacon. Rozwarta szeroko gęba, której wyrwano język i wybito wszystkie zęby tak, że została tylko czarna, zeszywniała czeluść. Można zmrużyć, ale co z tym smrodem? Bacon nie śmierdzi. Boże odpuść nam.

* Ja i tak wiem, że nie odpuści * powiedział Adrian. * Najgorsze, że wszystko pamiętam. Także smród, zdomowiony między górną wargą a końcem nosa, jak to lekarstwo na katar dla niemowląt. Masz dzieci?

Pokręcił przecząco głową.

* Smarujesz im pod nosem, żeby sobie wdychały. I ja to właśnie wdycham. W hotelu w Belgradzie, w hotelu w Osijeku, w Zagrzebiu, w mieszkaniu w Wiedniu.

Początkowo nacierałem sobie to miejsce wodą toaletową, ale nie masz nic gorszego niż cacharel wymieszany z trupim smrodem.

Nie mógł już ustać na nogach, ale bał się, że gdy upadnie, zamieni się w nagie, poćwiartowane i cuchnące ścierwo. Jak gdyby to ziemia je rodziła i każdy, kto jej dotknie inaczej niż obutymi stopami, stanie się trupem. A przecież nawet dzieci wiedziały, że rodziła je noc. Układała w sterty na rozstajach dróg, na rogatkach wiosek, w trawie ogrodów.

* Bo nocą niektórzy zamieniają się w wilki * powiedział stary Pero, jedyny, który został w Laslovie, gdzie wszystkim psom odrąbano siekierami łby.

Gdy zapada zmrok, Dragiša wyjmując spod podłogi skórę wilka, a na głowę nakłada wilczą czapę z kłami. I wychodzi w noc. Nie trzusi się zbytnio. Zaczyna od najbliższej zagrody, gdzie mieszka Božo, któremu obiecał pomóc naprawić furtkę. Najpierw przegryza mu gardło, potem wrywa język i odrąbuje głowę, której na koniec musi wydłubać oczy, żeby nawet po śmierci nie widziały wilka. Wkrótce dołączają do niego inne wilki. Ściągają z całej okolicy. Watahy wygłodniałych wilków.

Uściskał dłoń staremu Pero, bo w całej wiosce nie było już żadnego innego żywego człowieka, a potem sfotografował go, gdy siedział na ławce przed parterowym domem i spokojnie liczył psie kadłuby bez łbów.

Kiedy wypluł już z siebie całą żółć i został mu tylko kaszel, sięgnął po aparat, a trzask migawki, która zawsze otwierała się i zamykała w jednaki sposób, wyrównał oddech i uspokoił drżące, wylęknione nogi.

* Fotografia to jednak czyste kurewstwo. Sunnici chytrze przewidzieli jej nadejście. *

Gough zachwiał się, gdy pochylony usiłował odczytać jego nazwisko z akredytacji uczeptionej kieszeni koszuli.

* To polskie nazwisko * powiedział Marcin.

Colm Gough. G*O*U*G*H. A Colm? Od Malcolm.

* I robisz te obrazki dla Polaków?

Marcin skinął potakująco głową. Była już noc i hotel znów drżał wraz z całą ziemią.

* Pewnie tego nie wiesz, ale tylko słowo jest nosicielem prawdy * powiedział Gough.

Chudy, długi i komicznie wygięty, jak znak zapytania narysowany niewprawną ręką dziecka. Bez wieku. * Bo jest abstrakcyjne, obojętnie jak byś je wyraził, dźwiękiem czy literą. Bezwzględne, jak cyfra o dowolnym nominale. Czysty i upojny abstrakt. Możesz sfotografować piekło?

* Fotografuję to, co widzę.

Poczuł nagły ciężar znużenia i lęk, że znów będzie trudno zasnąć. Że chyba jednak trzeba się napić, choćby trochę, na sen. To nawet nie chodzi o te wybuchy. Piwa, a jeszcze lepiej czegoś mocniejszego, żeby sen przyszedł szybciej i został obojętnym. Oni tutaj, w Sławonii, robią rakiję, że, wyobraź sobie, wchodzi jak nóż w masło. Ale i tak największe wrażenie robi ta kukurydza.

* Widzisz gnój i fotografujesz gnój. Wsiadka! Dalej jadą ci z wyobraźnią, a ty nie masz wyobraźni. Ty masz narzędzie. Wiesz, co jest nie tak z twoim piekłem? Jest trywialne. Mogę się mylić, ale mam wrażenie, że jestem tutaj jedynym, który pisze. Piórem! Wyobrażasz sobie?! Nie mam laptopa! * Drzwi rozsunęły się i Gough chwiejnie wkroczył do szwedzkiej windy, która uwiozła go na piąte piętro.

Komuniści uwielbiali szwedzkie windy.

Pierwszą szwedzką windą w jego życiu była ta w Pałacu Kultury i Nauki, który już nie nosił imienia Wielkiego Językoznawcy. Tamtego dnia ojciec zabrał go na pierwszą wycieczkę do Warszawy. Osiem dni po jego dziesiątych urodzinach. W nocy przyśnił mu się Pałac. Leżał na plecach, z głową wciśniętą w poduszkę, i nie mógł dojrzeć sufitu, tak wysoko był sklepiony, a ze ścian i masywnych kolumn osypywał się szary piasek. Kątem oka, bo nie mógł ruszyć głową, widział półbuty. Toporne, o tępych nosach i grubych podeszwach, wyciosane w kamieniu. Bez sznurówek. Nad nimi wznosiły się nogawki kamiennych spodni, które znikały w fałdach kamiennych tunik udrapowanych na muskularnych ramionach, również osypujących się szarym piaskiem. Identyczne półbuty nosił pan Krubski z narożnej kamienicy, którego syn Mirek chodził z nim do jednej klasy, aż zsikał się na lekcji

przyrody i psycholog uznał, że jest niedorozwinięty. Pan Krubski przez osiem godzin codziennie, na trzy zmiany pracował w fabryce firanek, dlatego co drugi dzień trzeba było wypić tyle, żeby zebrało się dość odwagi na oczyszczający taniec pośrodku ulicy, przy otwartej kurtynie kilkunastu ospałych twarzy, bez zbytej jednak ciekawości, bo to przecież rutyna, jak w kalendarzu, a i taniec jakby ten sam każdego dnia. Firanki, które robił, były ze sztucznego włókna, co ostatecznie chyba nie miało żadnego znaczenia, podobnie

jak wyłupiaste i wylęknione oczy Mirka w drzwiach klatki schodowej, opartego o ścianę, na której ktoś pieczołowicie wydłubał w tynku „the beach boys”. Nad ranem sufit obniżył się na tyle, że mógł go wreszcie zobaczyć, ale na poduszce, wokół jego głowy, urosła mokra plama potu i mama postanowiła, że nie pójdzie do szkoły.

* Ja też piszę * mógłby powiedzieć Horst, gdyby tam był.

* Jest jeszcze Czech. Też pisze. Sam widziałem * powiedział Steiner, który robił obrazki i właśnie stał obok ze swoim ef trzy na ramieniu. Pewnego dnia nie przedarł się do Ernestinova i pewnie dlatego czuł uraz do Marcina, któremu się udało.

* Nie mogę poważnie traktować Czecha * odpowiedziałby Gough, gdyby już nie siedział pijany w swoim pokoju na piątym piętrze. Pił tylko single mak. Malt * a jego gęba wydłużała się komicznie, gdy wymawiał to słowo.

* Diabli wiedzą, skąd ją tutaj bierze.

* Cechą Anglików jest ich ukryty alkoholizm * powiedział Steiner.

* Gough to irlandzkie nazwisko * odparł Adrian. * A u nich nie jest ukryty.

* Podobnie jak u Polaków.

Marcin udał, że nie poczuł się dotknięty.

* Dobrze, że nie ma tu Rosjan.

* Dwóch zaginęło trzy dni temu w Krajinie.

* Serbowie nie zrobią im krzywdy.

* Jeśli to Serbowie.

Telefon dopadł ją w kiblu, na sedesie. Robiła siku i myślała o wielkim marszu, który w samo południe miał ruszyć z ronda ONZ.

* Błagam cię, tylko nie wyłączaj telefonu.

* I tak nie usłyszę dzwonka * powiedziała Kaśka. Spuściła wodę, w pośpiechu podciągała spodnie, gdy po

całej fabryce niosło się jej imię, nazwisko i stopień. Telefon, który zostawiła na biurku, też dzwonił jak oszalały. Umyła dłonie i wypadła z toalety na korytarz.

Gruda stał obok biurka, wyprostowany jak na warcie, a w prawej dłoni, na wysokości brzucha, trzymał słuchawkę telefonu.

* Dzień dobry * powiedział męski głos w słuchawce. * Nazywam się Uwe Meyer.

Jestem dziennikarzem, korespondentem, i sędzę, że chyba musimy się spotkać.

Głos był miły dla ucha. Mówił płynnie po polsku, z nieusuwalnym, twardym akcentem. Wszystko wskazywało, że był to akcent niemiecki.

* Nadkomisarz Agata Zawadzka. O co chodzi?

* Wczoraj w gazecie pokazali twarz kobiety. Symulacja komputerowa.

* Wszystko jasne. Kiedy?

* Za godzinę?

* Doskonale. Gdzie?

* Proponuję hotel Intercontinental. Będę w kawiarni.

* Jak pana rozpoznam?

* Mam pięćdziesiąt sześć lat. Jestem siwy. Mam kręcone włosy i rudą marynarkę.

Będę mieć komputer na stole. I będę czytać „Tageszeitung”.

Odłożyła słuchawkę. Migdałowe oczy się poruszyły. Ospale, może nawet niezauważalnie, ale się poruszyły. Nabrały życia. Gruda wpatrywał się w nią skupiony.

* Co robi Osiecki? * zapytała.

* Zbiera tego kioskarza na papier.

* Powinieneś być razem z nim.

* Ktoś musiał podnieść słuchawkę. Dzwonili na moją komorę, że nie odbierasz.

* Powiedz Osieckiemu, że ma go traktować poważnie. Chyba już nie jest wariatem.

Wróciła do toalety i oparta o parapet zapaliła pierwszego papierosa od chwili, gdy wstała z łóżka. Kaśka spała jeszcze, kiedy wychodziła z mieszkania. Uniwersytet znalazł się w zakazanym mieście, więc na trzy dni odwołali zajęcia. Spojrzała na zegarek. Jeszcze dwie godziny. Maksymiuk był odpowiedzialny za prewencję. Wielki misiek. Sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Poznali się, gdy jeszcze dowodził plutonem AT. Mówił śmiesznym, wysokim głosem, który pozostawał w jawnej sprzeczności z groźnym rozmiarem jego ciała. Od dwóch godzin sięgała po telefon, by zadzwonić i powiedzieć mu, że Kaśka też tam będzie. Nie zrobiła tego jednak. Przecież nigdy nie widział Kaśki. Jak mógłby ją rozpoznać. Zwłaszcza w takim tłumie.

Trzydzieści minut później siadła za kierownicą dziewięcioletniej hondy i przedarła się do zakazanego miasta. Rano postanowiła wreszcie ruszyć auto spod domu. Na wjeździe

pokazała przepustkę i legitymację. Przenikliwy wiatr nie zelżał od wczoraj, więc miała dobry humor. Wyjąwszy to, że martwiła się o Kaśkę. Rozwieszane dokoła unijne flagi trzepotały z hukiem. Na kilka minut nawet słońce wychyliło się zza posiniałych chmur, które rozpędzały się na niebie. Raz jeden przyszło jej kiedyś do głowy, że wiatr jest erotyczny. Ale to było dawno temu. Zdziwiła się, że przed hotelem było tak pusto. Trzy furgonetki trzech różnych stacji telewizyjnych z talerzami anten satelitarnych na dachach. Trzy kamery telewizyjne na statywach, trzech znudzonych operatorów, trzech dźwiękowców ze słuchawkami zarzuconymi niedbale na szyje. Trzech dziennikarzy, niemal identycznych. Wszyscy snuli się po chodniku. Palili papierosy, gadali przez telefony, jedli kanapki z fast foodów, które ktoś im przyniósł ze Złotych Tarasów. Wiatr fikał sobie swawolnie między nimi. Za to policjantów było dużo. Jeden z nich natychmiast wyrósł obok jej samochodu, gdy chciała zaparkować przy Emilii Plater. Raz jeszcze machnęła szmatą, zasalutował i poprosił, żeby zjechała na parking w podziemiach hotelu Intercontinental. Telefon odezwał się, gdy wysiadła z samochodu i zamknęła go.

* Obiecała pani, że oddzwoni * powiedział Tomasz Weber.

Jaki z niego upierdliwy gnojek.

* Powiedziała, że oddzwonię. Nie obiecałam. I nie powiedziałam, że zrobię to natychmiast. Nie przeszkadza panu to, że zaczyna mnie pan irytować?

Cisza.

* Jest pan tam?

* Jestem.

* O co panu, do jasnej cholery, chodzi? Mam zadzwonić do Świerczyńskiej i powiedzieć, że pieprzę takiego prokuratora?

* Proszę tego nie robić. * Jego tenor załamał się szczerze i wysoko.

* Więc o co panu chodzi? Pracuję. Właśnie idę na spotkanie w sprawie naszego śledztwa. Jeszcze dzisiaj dostanie pan ten materiał na biurko. Czy to panu nie wystarczy?

* Chciałem panią zaprosić na kolację. To wszystko.

* Po co?

* Czy to dla pani takie dziwne?

* Tak * odparła i dodała: * Proszę mi wierzyć, nie musi mnie pan przepraszać za to, że zzieleniał pan przy trupie. To był szczególny trup i zapewniam, że parę osób też by przy nim zzieleniało. Więc proszę sobie nie robić wyrzutów.

* Chcę panią zaprosić na kolację * powtórzył bladym głosem.

* Kiedy?

* Jutro?

* Dobrze. Niech pan tylko nie wymyśli jakiegoś sushi. Nienawidzę sushi.

Wsiadła do windy i uniosła się na poziom zero. A tam, w hotelowym lobby, kłębił się już znacznie większy tłum znudzonych dziennikarzy. Wszystkie języki świata mieszały się ze sobą. Długa lada recepcji miała bursztynowy, podświetlony front. Była zdziwiona, że tu jest tak kameralnie i pastelowo. I dotarło do niej, że była beznadziejnie ubrana, ale na szczęście nikt nie zwracał na nią uwagi. Zaraz potem ktoś wysiadł z innej windy i tłum w całości zwarł się i skupił. Wycelował obiektywy, mikrofony, dyktafony. Więc niezauważona mogła przejść przez pijalnię czekolady i wspiać się do baru na piętrze.

Tu panował większy spokój, choć wszystkie stoliki były zajęte. Zobaczyła go od

razu, bo usiadł w kącie, skąd miał widok na całą kawiarnię. Wszystko się zgadzało, otwarty laptop, „Tageszeitung” w dłoniach, tytułem do wejścia.

Natychmiast podniósł się ze skózanego fotela i wyszedł na spotkanie. Wysoki, dosyć ciężki, ale świetnie ubrany. Silnie uściśnął jej dłoń. Siwe, gęste i kręcone włosy, kwadratowa twarz, ale ładne niebieskie oczy dodawały jej lekkości. Uśmiechnął się szeroko i pokazał drobne, idealnie białe zęby. Miał zadbane dłonie. I ładnie pachniał. Chyba drzewo sandałowe.

* Przepraszam, że wymusiłem to miejsce, ale za godzinę przy rondzie ONZ zacznie się demonstracja, która ma iść przez miasto. Z punktu widzenia mojej gazety to jest ważniejsze niż cały ten cyrk, który tylko marnuje pieniądze podatników.

Kaśce by się to spodobało. Usiedli przy stoliku i zamówiła espresso. Nigdy tu wcześniej nie była.

* Świetnie pan mówi po polsku * powiedziała.

* Dziesięć lat, jak jestem w Warszawie. Mam nadzieję, że policja zachowa się rozsądnie podczas demonstracji.

* Nie odpowiadam za moich kolegów z prewencji, ale też mam taką nadzieję. Moja córka tam będzie. Pewnie już jest. W jej mieszkaniu nocuje sześciu alterglobalistów z wyrokami za Davos.

Spojrzał na nią z wyraźnym zainteresowaniem. Tak wyraźnym, że trochę się speszyła. Zmrużył oczy, jak gdyby w ten sposób mógł łatwiej dojrzeć, co skrywała w środku. Dawno żaden mężczyzna nie patrzył na nią w ten sposób, więc zakłopotana nawet uśmiechnęła się, ale też tylko trochę.

* Kocham ją i bardzo szanuję jej poglądy * powiedziała. * Ale nie traćmy czasu.

* Miałem krótki urlop przed szczytem. Na trzy dni poleciałem do Berlina, wróciłem wczoraj i dopiero dzisiaj przejrzałem zaległe gazety.

Odwrócił laptopa ekranem w jej stronę. Fotografia była czarno*biała i nie zrobił jej amator. To był starannie skomponowany kadr, doskonale naeksponowany. Klasyczny podwójny portret. Stali obok siebie, ramię w ramię, widoczni od pasa w górę. Gołym okiem było widać, że nic ich ze sobą nie łączyło. Po prostu zostali tak ustawieni do fotografii. Każde z nich patrzyło prosto w obiektyw, ale robili to osobno. Mężczyzna

był szczuplejszą wariacją na temat Uwe Meyera. Choć fotografia była czarno*biała, spoglądały na nią te same niebieskie oczy. Włosy były gęste, kręcone i siwe. Tylko twarz nie tak kwadratowa. Bardziej pociągła, z drobniejszym podbródkiem, mniej stanowczym, bardziej uległym. Był wyższy od niej o pół głowy. Przeszył ją dreszcz, bo to była ona. Młodsza o kilkanaście, dwadzieścia lat, ale ona. Zmysłowo wykrojone wargi skrywały duże zęby. Lekko zgarbiony, trochę semicki nos. Czarnych włosów nie przetykały jeszcze pasma siwizny, ale oczy były migdałowe. I prawdziwe. Żaden komputer ich nie wymyślił. Były żywe. Chmurne, czał się w nich mrok. Z wyraźną niechęcią patrzyła na Agatę. Nie chciała tej fotografii. Mężczyźnie to było obojętne. Jeśli czuł nawet jakieś emocje, schował je głęboko. Stał przed obiektywem, żeby nie robić problemu, skoro tak sobie zażyczył fotograf. Ale ona z dumą pokazała swoją niechęć. Zostawiła ślad swojej niezgody. W tle, za ich plecami, majaczyło jakieś miasto. Czuła na sobie skupiony wzrok Uwe Meyera. Pewnie odłoniła się za bardzo.

* Ten mężczyzna to mój starszy brat Horst * powiedział. * Był dziennikarzem, jak ja. Zginął na Bałkanach, dziewiętnaście lat temu.

* A ta kobieta?

* Nie mam pojęcia. Woził ze sobą tom wierszy Audena. Fotografii używał jako zakładki.

* Jak zginął pański brat?

Nawet nie spojrzała na niego. Nie mogła oderwać oczu od ekranu komputera.

* Został zastrzelony przez Serbów. W drodze z Osijeka do Vukovaru. Strzelanie do dziennikarzy to była norma podczas tamtej wojny. Ciało i wrak samochodu znalazł oddział chorwackiej gwardii narodowej. Zawiadomili ambasadę, ambasada powiadomiła mnie. Poleciałem po brata do Belgradu. Na miejscu korespondent DPA pokazał mi egzemplarz gazety „Glas Slavonije”. Było w niej zdjęcie, na którym widać dwóch żołnierzy w serbskich mundurach, którzy pozowali obok ciała mojego brata. Ich twarze były oczywiście nieczytelne. Ktoś anonimowy wysłał zdjęcie do redakcji. Nie wziąłem tej gazety. To była makabra. W ambasadzie odebrałem jego rzeczy. Razem z nimi tom wierszy W.H. Audena, a w nim znalazłem tę fotografię.

Zeskanowałem ją, bo to ostatni ślad po moim bracie.

* Wie pan, kto ją zrobił?

* W dziewięćdziesiątym siódmym poznałem Adriana Parvulescu z wiedeńskiego oddziału AP. Był wtedy razem z moim bratem w Osijeku. Opowiedział mi o polskim fotoreporterze. Mówił na niego Martin. Nie zapamiętał nazwiska. Horst podobno przyjaźnił się z nim. Mogli nawet współpracować. Parvulescu był pewien, że ten Martin zginął razem z moim bratem. W ambasadzie nikt mi jednak nie powiedział, że było tam też ciało tego Polaka. Na zdjęciu w gazecie był tylko mój brat. Może to ten Martin jest autorem fotografii?

Agata wreszcie podniosła wzrok na Uwe Meyera.

* Domyśla się pan, gdzie została zrobiona?

* Moim zdaniem to Belgrad.

* Kiedy zginął pański brat?

* Ciało znaleziono ósmego września dziewięćdziesiątego pierwszego.

* Czy ona mogła być jego kochanką? Meyer się uśmiechnął.

* Nie sędzę. Horst był już dawno rozwiedziony, ale to nie było w jego stylu. Nie mieszał tego. To nie była jego pierwsza wojna i nigdy wcześniej nic takiego mu się nie przydarzyło. Proszę mi dać swój adres e*mail. Wyślę pani fotografię.

Przesunął po blacie w jej stronę „Tageszeitung” i położył na niej czarny, plastikowy długopis. Odwrócił komputer ekranem w swoją stronę i połączył się z Internetem. Zapisała adres. Przysunął gazetę do siebie, a jego palce szybko i lekko przebiegły po klawiaturze. Nie umiała tak pisać.

* Dlaczego zrobiliście symulację?

* Wyciął jej twarz.

Uwe Meyer spojrział na nią znad komputera, jak gdyby nie zrozumiał słów, które powiedziała. Potem opadł plecami na oparcie skórzanego fotela i przeklął pod nosem po niemiecku. Z kieszeni rudej marynarki wyjął paczkę papierosów. Zaraz jednak schował ją z powrotem. Z innej wyjął wizytówkę i wręczył Agacie.

* Sądzi pani, że to ma związek?

* Tak. Na tym etapie wszystko ma związek. Leżała naga, bez twarzy, w centrum

Warszawy.

Zanim zjechała na podziemny parking, wyszła przed hotel, żeby zapalić papierosa, ale oficer BOR* u w czarnym, służbowym garniturze, ze słuchawką w uchu, bez dyskusji zagonił ją z powrotem do środka. Na odchodne mruknął coś o waleniu taniej wiochy. Nie obraziła się.

W fabryce otworzyła maila, zapisała fotografię w dokumentach i natychmiast wysłała ją do Wawrzyniaka. Od trzech lat opiekował się pecetami w fabryce. Nie był wirtuozem, ale Osiecki, który znał się na tym trochę lepiej od niej, utrzymywał, że chłopak ma przyszłość. Najpierw wezmą go do pałacu, a stamtąd do CeBoSia.

Gówniarz miał dwadzieścia osiem lat i dyplom politechniki. Wygolony na łyso, konsekwentnie pokrywał swoje ciało abstrakcyjnymi tatuażami. I dziurawił je pod kolejne kolczyki. Wyłącznie srebrne. Albo stal chirurgiczna.

* Mam alergię na złoto.

Bzdura, ale niech mu będzie. Wolny czas spędzał na siłowni.

* Skąd ci przyszło do głowy, że dupy polecą na tatuaże i bicepsy?

Odwrócił się obrażony. Przez telefon poprosiła go, by przeciął tę fotografię. Tak powiedziała: przetnij ją. Chodzi mi o to, żeby na fotografii była tylko dziewczyna.

Nie chcę tego faceta, on nie jest mi do niczego potrzebny. Rozumiesz, o co mi chodzi?

* Nie mów do mnie jak do debila.

* Świetnie. I wydrukuj mi tę fotografię z dziewczyną. Na początek pięćdziesiąt egzemplarzy.

Wysłała SMS*a do Kaśki. Dziesięć minut później dostała odpowiedź. Idą przez miasto i jest OK. Spokojnie, nie martw się. Twój kumpel trzymają nazioli na dystans.

Potem jesteśmy na Polu Mokotowskim, a wieczorem w jadalni przy Dobrej.

Nigdy wcześniej nie informowała jej tak dokładnie o rozkładzie swojego dnia. Nigdy wcześniej tyle nie rozmawiały ze sobą. Tyle lat musiało upłynąć, żeby została dobrą matką? I tylko na kilka dni? Wczoraj zrobiła pranie. Z czułością wyjmowała z pralki jej skarpetki, majtki i staniki

i rozwieszała na suszarce.

Wielotysięczny tłum w barwach motyla węzem ciągnął środkiem szarego miasta. Rozjaśniał je. Bębnił, dzwonił, dał w trąby, saksofony i piszczałki. Piękne dziewczyny uderzały tamburynami o uda. Ona w tym wieku dusiła się w ohydny swetrze, który matka zrobiła na drutach i który gryzł, w wełnianej spódnicy i grubych, prążkowanych rajtuzach.

Sięgnęła po słuchawkę telefonu i zadzwoniła do MSZ**etu. Przedstawiła się i powiedziała, o co jej chodzi. Młody męski głos zawahał się chwilę. Dziwne, zawsze w takich miejscach przy telefonach siedzą kobiety. Ten nie dość, że miał nieprzyjemną barwę głosu, to jeszcze lekko zniekształcał r. Ale wahanie szybko minęło i zaczął ją łączyć. Nie był w tym dobry, bo ze trzy razy przedstawiła się i wyjaśniła,

o co chodzi, gdy wreszcie trafiła do właściwego departamentu. I tam usłyszała głos kobiety. Pięćdziesięcioletni i lodowaty. Obrażony na świat cały.

* Prawdopodobnie zaginął we wrześniu dziewięćdziesiątego pierwszego. Chcę wiedzieć, czy ambasada się tym zajmowała. Jeśli tak, to muszę znać szczegóły. I jego dane.

* Mogę to sprawdzić na jutro, ale bez nakazu prokuratora i tak niczego nie udostępnię * powiedziała lodowata pięćdziesiątka, z naciskiem na „niczego”.

* To jest zabójstwo. Mam nakaz, więc proszę mi to zrobić na dzisiaj. Ile to zajmie pani czasu? * I dodała w myśli: stara, zimna pizdo. Wawrzyniak wślizgnął się do pokoju. Położył na biurku stos czarno*białych fotografii w formacie A4, dał znak, że Agata ma już ją z powrotem w swoim komputerze, i zniknął. W kadrze został maleńki kawałek ramienia Horsta Meyera. Dopiero teraz zauważyła, że miał na sobie białą koszulę, gdy jej ramię w szarym T*shircie było nagie.

* Pracę kończymy o siedemnastej.

* Będę przed siedemnastą.

Nie odłożyła słuchawki, tylko od razu wybrała numer do Webera. Chyba przestraszył się trochę, gdy usłyszał jej głos.

* Muszę mieć nakaz, na teraz.

Szybko wyjaśniła mu dla kogo i po co. Odetchnął z ulgą.

* Już siadam do komputera * powiedział z nagłą radością.

* Odbiorę w drodze do MSZ*etu.

Gruda i Osiecki weszli razem. I od progu spojrzeli na stos fotografii. Każdy z nich wziął swój egzemplarz. Patrzyli na twarz i milczeli. Agata obserwowała ich.

* Ładna dziewczyna.

Pierwszy odezwał się Osiecki. Tylko w rzadkich i wyjątkowych chwilach nie był w tych sprawach wulgarny.

* Ile mogła mieć lat na tym zdjęciu? * zapytał Gruda.

* Jeśli przyjąć za podstawę wiek, który ustalił Bogdański, dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Może mniej.

A więc ledwie dwa, góra trzy lata więcej od jego rozhisteryzowanej córki. Która nawet w połowie nie była tak dojrzała jak twarz na fotografii.

* Sypnij się do kioskarza i pokaż mu ją * powiedziała do Osieckiego.

Gruda bez słowa usiadł za biurkiem i włączył komputer. Fotografie starannie położył na biurku, obok wysłużonej klawiatury. Włamanie do antykwariatu i kradzież.

Ciągnęło się za nimi od siedmiu miesięcy. Antykwariusz plątał się w zeznaniach, a ślady, które zabezpieczyli, były wątpliwe. Gruda odkrył, że antykwariusz wziął duży kredyt na nieruchomości w Zalesiu Dolnym i przestał go spłacać. Sam zrobił włamanie, pozornie skradzione przedmioty sprzedał na lewo i wystąpił o odszkodowanie. Był dobrze ubezpieczony. Gruda wierzył w tę hipotezę, więc dzień w dzień z uporem analizował dowody, spisywał wnioski i wysyłał je Swierczyńskiej. Gdyby to zamknął jeszcze w tym miesiącu, byłaby premia.

Napisała krótki, lakoniczny komunikat, dołączyła do niego fotografię, całość wysłała Kozyrze i poszła do jego gabinetu.

W dwuczęściowym, brązowym garniturze, który kupił co najmniej siedem lat temu, patrzył w ekran swojego komputera. Był bez krawata. Chciała zapytać o ten kobiecy krzyk, który zagłuszył w telefonie Vanessę Paradis i Joe k taxi, ale pomyślała, że Całka miała rację i po prostu męczył się z żoną. Że nie było w tym żadnej metafizyki czy wyższej wartości. Że zwyczajnie kochał ją, był wierny i cierpliwy. Bronił jej.

Ukrywał przed synem, który przyszedł w niedzielę na obiad. Wcześniej wyniósł puste butelki.

* Możesz coś zmienić. Napisać jeszcze raz, ale to powinno wyjść od ciebie. Chodzi o rangę * powiedziała.

* I komu mam wysłać?

* Ambasady Serbii, Chorwacji, Bośni i Hercegowiny, Macedonii. Fotografia została zrobiona prawdopodobnie w Belgradzie. Dziewiętnaście albo dwadzieścia lat temu.

* Wierzysz w to?

* W coś trzeba przecież wierzyć, nie?

Wsiadła do samochodu i pojechała do pana Nguyen na sajonki. Potem, paląc papierosa, przechadzała się chodnikiem. Wiatr zelżał, a szare chmury definitywnie zakryły niebo. Tyle że już się tak nie rozpędzały. Od chwili, gdy spojrzała w migdałowe oczy, nie opuszczał jej stan delikatnego podniecenia. Nie mogła się już doczekać. Rozdeptała papierosa czubkiem buta i zadzwoniła do Webera.

Czekał na nią pod drzwiami prokuratury. Bez płaszcza, w samej marynarce. Chodnik przy Kruczej był zapchany samochodami, więc zatrzymała hondę przy krawężniku i włączyła światła awaryjne. Ktoś ją obtrąbił z tyłu. Pokazała mu fucka.

* Zmarznie pan.

Uśmiechnął się i wręczył jej tekturową teczkę na dokumenty.

* Rozszerzyłem zakres nakazu. Na wypadek, gdyby pani coś jeszcze chciała dostać od nich w tej sprawie; żeby nie biegać z nowymi nakazami.

* Bardzo mądre z pańskiej strony.

Otworzyła teczkę i przebiegła wzrokiem po zadrukowanych kartkach papieru. To był bardzo solidnie przygotowany nakaz. Ze szczegółowym uzasadnieniem. A on miał ładny, staranny podpis.

* To co z kolacją?

* Niech pan się nie wbija w koszty. Po prostu chodźmy na solidnego drinka.

Siadła za kierownicą i pojechała w aleję Szucha.

Uszło z niej powietrze, bo przygotowana na zderzenie czołowe, zamiast lodowatej pięćdziesiątki zobaczyła niespełna trzydziestoletnią blondynkę z kucykiem, w

urzędniczym kostiumie, która na domiar dygnęła przed nią.

* Pani dyrektor poprosiła mnie, żebym się tym zajęła. Przedstawiła się jako Kozówna. Spotkały się w archiwum MSZ*etu, w specjalnie przeznaczonym do tego pokoju. Miała wysoki, dziecinny głosik i z ciekawością patrzyła na Agatę.

* We wrześniu dziewięćdziesiątego pierwszego otrzymaliśmy trzy zgłoszenia o zaginięciu obywatela polskiego na terytorium dawnej Federacyjnej Republiki Jugosławii. Wszystkie dotyczą tej samej osoby.

W ten sposób Agata Zawadzka dowiedziała się o istnieniu Marcina K. i o tym, że urodził się w Zgierzu koło Łodzi ponad pięćdziesiąt lat temu.

* Był... * zaraz się poprawiła * jest dziennikarzem. Jedno zgłoszenie wpłynęło od jego rodziny, drugie od jego wydawcy. Waldemar Pieniek, dyrektor wydawnictwa Neue Passauer Verlag w Łodzi. Trzecie od osoby prywatnej. Marianna Pawlak, zamieszkała w Łodzi. Wszystko pani skserowałam. Są jeszcze dwie notatki konsula.

W jednej informował ministerstwo, że współpraca z miejscowymi służbami w sprawie poszukiwań zaginionego jest w zasadzie niemożliwa ze względu na chaos, jaki tam panował. Ta pochodzi

z września dziewięćdziesiąt jeden. W drugiej, z lutego dziewięćdziesiąt dwa, sugerował, żeby Marcina K. uznać za zaginionego, bo dalsze jego poszukiwanie nie było możliwe. To też skserowałam. Nie mamy żadnych informacji, by ktoś z naszego przedstawicielstwa trafił na jego ślad. Lub został powiadomiony o znalezieniu ciała. To wszystko.

* Czy możliwy jest kontakt z tym konsulem? Blondynka spojrzała na dokumenty.

* Andrzej Szpak. Ustalę, co się z nim dzieje, i zadzwonię. Nigdy bym nie pomyślała, że pani jest policjantką. To musi być fascynująca praca, prawda?

Para nieruchomych, złowrogich oczu zgasiła przyjazny i szczery uśmiech panny Kozy, blondynki z kucykiem.

* Zaręczam, że pani zajęcie jest bardziej fascynujące. Wróciła do fabryki, gdy zapadł już zmrok, a miasto

powoli rozpalalo nieliczne światła. Wiatr osłabł do reszty, chmury zastygły w

bezruchu i pozostała tylko głupia nadzieja, że deszcz spadnie dopiero w nocy, kiedy wszyscy pójdą spać. Nie tęskniła za zimą, bo nienawidziła tych wszystkich warstw ubrań, które codziennie rano trzeba naciągać na umęczone ciało, a w nocy je z niego na powrót zdejmować. Ani krótkich dni. I śniegu, który zawsze paraliżował miasto. Ale ta permanentna jesień zaczynała ją już zwyczajnie nużyć. Osiecki siedział w pokoju, z nogami na biurku. Kioskarz jak zaczarowany wpatrywał się w jej fotografię. Podniecony niczym dziecko. Biedak czuł, że nikt mu nie wierzy.

* Czas wyostrzył jej rysy, ale w oczach miała taki sam blask jak tutaj. Myślę, że teraz była dużo ładniejsza niż na tej fotografii.

Gruda już dawno poszedł do domu. Syn miał tego dnia rozmowę. Może pójdzie wreszcie do jakiejś pracy. Usiadła za biurkiem i rozłożyła przed sobą skserowane dokumenty.

* Pracował w „Kurierze Łódzkim”. Wydawca niemiecki, ale dyrektor polski. Trzeba się z nimi porozumieć. Poprosicie kolegów z Łodzi, żeby ustalili, czy jego rodzice jeszcze żyją. Powinni, więc niech ich przesłuchają.

* O co mają pytać?

* O wszystko. Może dzwonił i opowiadał, co robił w tej Jugosławii. Mariannę Pawlak biorę na siebie.

* Idziemy na szluga?

Tym razem zamknęli się w damskiej toalecie, bo o tej porze ona była już jedyną kobietą w całej fabryce.

* Powiedz mi, dlaczego mamy tracić na to czas? * zapytał Osiecki, gdy już zapalili papierosy.

* Mniej więcej dziewiętnaście lat temu sfotografowała się w towarzystwie niemieckiego dziennikarza. Prawdopodobnie w Belgradzie. Dziennikarz został zastrzelony na wojnie. Niewykluczone, że zdjęcie zrobił polski fotoreporter z Łodzi, który zaginął w tym samym czasie, na tej samej wojnie. Dziewiętnaście lat później znajdujemy jej trupa w centrum Warszawy. Jest naga, ma zmasakrowaną twarz i profesjonalnie skręcony kark. Widzisz jakiś błąd w moim rozumowaniu? Wskaż go.

* Myślisz, że to sięga aż tak daleko?

* Rozesłaliśmy symulację jej twarzy po całej Europie. Pierwszy ślad, jaki wypłynął, domowe archiwum Uwe Meyera, pochodzi sprzed blisko dwudziestu lat. Po jaką cholere przyjechała do tej naszej obesranej Polski, skoro możemy mieć niemal pewność, że nie była stąd? Bo tu, kurwa, jest ktoś, do kogo przyjechała. Kogo chciała zobaczyć.

* Dlaczego zakładasz, że czekała na to dziewiętnaście lat? Może przyjechała tu dziesięć lat temu i żyła z nim? Robiła zakupy w spożywczaku, aż coś im się popierdoliło, zabrał ją na spacer i wkurwiony skręcił jej kręgosłup.

* Nikt jej nigdy nie widział w spożywczaku. Tylko kioskarz ją widział. Stała na chodniku przez dwie godziny. Jeśli mieszkasz tu przez dziesięć lat, to powiedz mi, w jaki sposób nikt cię nie rozpoznaje w twojej własnej okolicy?

* A jeśli to nie była jej okolica?

* To po jaki chuj stoisz dwie godziny na chodniku, zamiast iść do domu albo do kawiarni? Właśnie dlatego zdjął z niej ubranie. Gdyby je zostawił, od razu byśmy wiedzieli, że żadnej ze sztuk tego ubrania nie kupiła tutaj.

* Motyw?

* Osobisty.

* To znaczy?

Wzruszyła obojętnie ramionami.

* Była śladem. Tropem. Miała jakąś informację o nim. Skąd mam to wiedzieć?

* Nienawidzę cię.

* Wiem.

Przed wyjściem pochyliła się nad listą czynności do zrobienia. Ginekologa wykreśliła z ulgą, przy dentyście się zawahała i postawiła znak zapytania. Dopisała fryzjera. Musi rozjaśnić i skrócić włosy. Tak czy siak, trzeba położyć farbę, bo porobiły się solidne odrosty. I zrobić przegląd samochodu. Na koniec zapisała * zrób sobie hennę. Wróciła do mieszkania i runęła do wanny. Po kąpieli zadbała o paznokcie u stóp, a potem pomalowała je na wściekloczerwony kolor.

Jednak się zachwiał. Marcin K. zdążył szepnąć: dobry Boże, i upadł na ziemię, choć nie wypuścił z dłoni aparatu. Jej noga, zatopiona w trawie, wystawała zza sterty porąbanych ciał. Siedziała oparta o pień drzewa. Bielsza od innych, pewnie przez tę czerń włosów. Przysnęła znużona. Łuki czarnych, kapryśnie wywiniętych rzęs starannie odrysowane na bezkrwistych policzkach. Duże piersi, ciężkie i mleczne na białym brzuchu, sięgające przecinającej go fałdy, a masywne, niedbale rozwarłe uda odsłaniały wypukłe podbrzusze pokryte nitkami skręconych w nieregularnym trójkącie czarnych włosów. Tylko pręga na szyi, ozdobiona bąblami zakrzepłej krwi, zaświadczała o mistrzowskim cięciu. Najpierw zgwałcił, potem poderżnął gardło, a wreszcie, nagle zawstydzony, zamknął jej oczy. Niby czemu miałyby się wstydzić? Dziwna żałość i byle jaki strach, niktzemny i osowiasty, które zawsze przysiadły na karku, gdy stał widoczny od pasa w górę, w kuchennym oknie, i przedłużał szarą godzinę, odwlekając moment, by zapalić światło. Za oknem czaił się już deszcz. Duży, nieprzejrzysty i szary, jak ten, który spływał po szybie samochodu i umarł tak nagle, jak nagle się narodził, a z szarości wypełzły szare prostopadłości z betonu, wzniesione do szarego nieba, na niczyją chwałę, bardziej pewnie na upokorzenie, zaludnione szarym, przyczajonym lękiem. To był Belgrad, który dziewiątego marca też spływał wodą wystrzeliwaną pod ciśnieniem, splukującą z powierzchni placu Republiki skulone sylwetki.

Na matówce jego aparatu pięćdziesięcikilkuletnia kobieta w żółtym płaszczu i berecie na głowie potknęła się o krawężnik i upadła, upuszczając transparent, na którym z trudem odczytał „Seulement les deux côtés de medaille donnent la verite”. Przesłonił ją opancerzony transporter z numerem dziewięćset czterdzieści, napisem cyrylicą „Milicja” i z godłem kraju, który wówczas jeszcze istniał. Trzask migawki zapisywał niemal każdy ruch chłopaka w skórzanej kurtce i z kozią bródką, który długimi susami sadił śladem transportera, obie dłonie zaciskał na drzewcu czetnickiego sztandaru. Sztandar, choć mokry, łopotał hałaśliwie na wietrze. Chłopak zdołał odbić się od ziemi, wskoczyć na burtę transportera, gdy w róg kadru wcięła się głowa milicjanta, który gniewnym ruchem zrywał maskę przeciwgazową skrywającą

operetkowy, starannie przycięty wąs i fałdy podwójnego podbródka. Dłoń w rękawiczce, w samym środku kadru, szarpnęła kurtką, a czarna pałka wygięła się, pokonując opór wilgotnego powietrza, i spadła na splecione ramiona osłaniające głowę. Natychmiast dołączyli inni. Tłukli go w równym tempie, jak urzędnicy, na przemian, aż znieruchomiał skulony.

Petardy z gazem znaczyły ślady na szarym niebie i spadały na moką powierzchnię placu, gdzie godzinę i piętnaście minut wcześniej, o dwunastej w południe, chrypiał, bo megafon był niesprawny, głos Chrystusa z długimi włosami, skręconą w pierścienie brodą i w białym prochowcu. Uczepionego kamiennego konia na cokole pomnika i podtrzymywanego przez dwóch gorliwych studentów. Jak przez dwóch łotrów. Ta sama twarz, powiększona i powielona na czarno*białych fotografiach, jak ikona, kołysała się nad głowami zbitego tłumu obok napisu „Serbia needs freedom”.

* Mówią, że tu nikt nie czyta jego książek * powiedział Adrian.

* A ile ich napisał?

* Dużo. Dziewięć?

* Dziewięć, to bardzo dużo.

Lodowaty tunel zamiast gardła. To gaz, którym się zachłysnął. Mieli czarne kurtki, brezentowe i niezgrabne, sięgające kolan, ściągnięte pasami, kałasznikowy przewieszony przez plecy, gdy ciągnęli po ziemi starca w czetnickiej czapie na głowie. Niektórych dowieziono autokarami. Niespiesznie tworzyli grubiejący szpaler. Ten o dużym, mięsistym nosie i ciężkich, znużonych powiekach, w zsuniętym na tył głowy hełmie, spojrzął za siebie, przez ramię, i warknął coś niezrozumiałego, co jednak bardzo rozbawiło jego kolegów. Potem włożyli maski. O trzynastej piętnaście byli jeszcze ci na koniach, ale szybko zniknęli. Pewnie ze względu na gaz i wodę. Zapamiętał szeroki zad jedyne konia, który był srokaty, i niską kobietę w zniszczonym płaszczu, która przystanęła, żeby go nakarmić kawałkiem chleba. Siedzący w siodle milicjant, zażenowany, zerknął ukradkiem w obiektyw. I tak już został.

Ruszyli bez pośpiechu. Chudy mężczyzna w popielatej kurtce i bez prawej nogi

umykał w szerokim planie na swych aluminiowych kulach przed białą chmurą, która ospale pełzła po placu. Nie miał wolnej dłoni, by zasłonić usta i nos. Ci młodszy zakrywali je szalikami i chustami, wyrwali kamienie z bruku i odrzucali petardy. Tratowali się nawzajem, uciekając przed wodą i gazem. Na dwudziestej pierwszej klatce negatywu starzec w partyzanckiej, titowskiej furazerce i z czarnym parasolem pod pachą, obojętny na tłum i wodę, długo wydłubywał kamień z bruku, by potem cisnąć nim niezgrabnie. Na dwudziestej szóstej gruby milicjant w hełmie i brezentowej kurtce, spod której niespodziewanie wychylił się koniec wełnianego, ręcznie dzierganego szalika, wyjął z kabury pistolet i wycelował jego lufę prosto w obiektyw. Właśnie zaczęli przewracać samochody. Dwie dziewczyny, nie więcej niż po szesnaście lat, obie w bliźniaczych ortalionowych kurtkach, skuliły się za prostopadłościanem ulicznej studzienki, kryjąc się przed strumieniami wody.

* To rzeczywiście nieludzkie * powiedział Adrian. * Rozpędzili tłum pod Radio Televizije Beograd. Byłeś tam? Dotarłem na sam koniec. Nie było już co zbierać. Całe miasto sparaliżowane, nigdzie nie można dojechać. Bydło. Jednego dopadli chyba w pięciu. Potem się już nie ruszał. Zostawili go przy krawężniku. Skulił się tylko. Czekałem, aż się poruszy, ale się nie poruszył. Pomyślałem nawet, żeby mu pomóc, ale właśnie była ta dziewczyna, cała mokra. Polewali ją wodą, a ona nic. Stała z ręką do góry. Bajka, na pierwszą stronę. Miała wystające kości policzkowe. Zgubił Jovanę. Porwał ją tłum na drugi koniec placu. Na trzydziestej czwartej klatce negatywu długowłosego chłopak w wełnianej szubie zapinanej na pętelki demonstracyjnie pokazywał swój rozerwany podbródek. Pod dolną wargą dyndały zakrwawione strzępy skóry. Na trzydziestej dziewiątej klatce stara kobieta, wsparta o laskę, na widok obiektywu naciągnęła na twarz wełnianą czapkę. Na czterdziestej szóstej zgarbiony mężczyzna przysiadł na przewróconym, betonowym gazonie. Końcem szalika zakrył usta i patrzył na pustoszejący plac, polewany wodą. Ta woda powoli wsiąkała w szarą wykładzinę podłogi hotelowego pokoju, gdy mokry sweter Jovany opadł na nią ciężko, z głośnym plaśnięciem. Była już noc i odnajdowali swoje ciała po omacku na wąskim tapczanie przyklejonym do chropawej tapety, której wzór odcisnął się na jego plecach. Jej nagi brzuch był wciąż jeszcze zimny.

Wcześniej marzła, stojąc na skraju placu w mokrej kurtce, w mokrym swetrze, z mokrymi włosami. Jeszcze raz ten sam gest zrywający z twarzy maskę przeciwgazową i palce w skórzanej rękawiczce obróciły jego akredytacją.

* Jest dziennikarką. Pracuje ze mną.

* Serbka?

Milicjant, nie patrząc na niego, oddał mu akredytację. Kiwnęła potakująco głową, choć wiedział, że kłamała. Milicjant wierzchem rękawiczki potarł zażwawione od gazu oko.

* Gdzie to jest? * Palce w rękawiczce delikatnie rozkleiły przemoczone kartki jej dokumentów.

* Obok Prijedoru.

* Muzułmanka?

Piersi też były zimne i wilgotne, gdy dotykał ich wargami. Nie wypowiedzieli ani jednego słowa, a wpadające przez okno światło czerwonego neonu wydobyło z mroku pulsującą na skroni bladoniebieską żyłkę, którą po raz pierwszy zauważył w sali, gdzie za najeżonym mikrofonami stołem siedział premier rządu. Światła lamp odbijały się w grubych szklach okularów Ante Markovicia, dlatego nie miał ochoty na zdjęcia. Więc patrzył na tę pulsującą żyłkę. Podobały mu się jej duże zęby, czarne, błyszczące oczy i ładne biodra. I angielski, który miał dziwny, nieznany mu wcześniej akcent.

* Ona ci załatwi wywiad z Kneževiciem * powiedział mu Vladan ze „Studia b”. * I jeszcze przetłumaczy. Bo on słabo mówi po angielsku.

* Dlaczego załatwi?

* Ma do niego dojście. Normalnie musiałbyś czekać dwa tygodnie. Nic więcej nie wiem, ale to dziwna dziewczyna. Uważaj na nią.

* Potrzebuję tłumacza.

Krzesło obok niej było wolne. O Kneževicia postanowił zapytać później.

* Nie stać cię. Polacy nie mają pieniędzy * odpowiedziała.

* Skąd wiesz?

* Mój brat handlował z nimi w Splicie.

* Masz brata?

* Wzięli go za Serba i polubił ten pomysł. Zastrzelił go Rosjanin, z którym był w jednym oddziale. Grali w karty. Ten Rosjanin podobno był Żydem i pracował dla Mosadu.

* Nie lubisz Żydów?

* Goran za nimi nie przepadał. Tata jest muzułmaninem. Jesteś Żydem?

* Dlaczego pytasz?

* Mógłbyś nim być.

* Pewnie tak.

Wieczorem spotkali się tam, gdzie wszyscy, na Terazije.

* Znasz tę pizzerię na placu Marksa i Engelsa? Tę pod parasolami, naprzeciwko dawnej biblioteki?

Parasole były rzeczywiście duże. Dawały cień, gdy dokoła w słońcu kleiły się znoszone ciała mieszkańców Belgradu. Ale dzieci piszczwały radośnie, iskrzyły się śmiechem i biegały wokół fontanny. Zamówił kieliszek białego wina i patrzył na ich drobne sylwetki, które migotały w obłoku wirujących kropel. Szum wody tłumił ich głosy. Zniekształcał ryk silników i trąbienie klaksonów. Łoskot wiertła, które pręły ściany dawnej biblioteki Komunistycznego Związku Jugosławii, by naprędce, pospiesznie, wypłenić przeszłość i zadowolić nowych gospodarzy, choć w mrocznych, wysoko sklepionych korytarzach wciąż jeszcze stały rzędy szafek z małymi, ale długimi szufladami, a w nich nadziane na metalowe pręty gniotły się kartonowe fiszki z wypisanymi na maszynie tytułami, nazwiskami i imionami autorów, ze skrótowym, lakonicznym streszczeniem. W palcach obracał amerykańskiego papierosa i odwlekał moment, w którym włoży go do ust i zapali. Na rozgrzanych kamieniach ulicy płowiały ciała i włosy pięknych i młodych dziewcząt, pochylonych nad uniwersyteckimi skryptami. Wąskie talie i chłopięce biodra. Kragłe biusty uczipione spadzistych ramion. Jej piersi były równie pyszne, ale biodra stanowczo szersze. A i ramiona nie tak spadziste. Takie biodra to skarb. Można rodzić i rodzić. Jeszcze tego samego dnia, po zmroku, ustawią się w zdyscyplinowanej kolejce do jej rozwartych przemocą ud, a

mistrzowskie cięcie noża zakończy tę szampańską noc, zostawiając ozdobę z krwi, która dyskretnie zakrzepnie maleńkimi bąblami na jej długiej szyi. Niespełna siedemdziesiąt kilometrów od tego parasola. Żadna głowa nie drgnęła. Nikt nawet nie podniósł wzroku, kiedy krzyczała, a właściwie się darła, tak powiedziała by jej babka, jak stare prześcieradło.

* Czego się drzesz jak stare prześcieradło?! * krzyczała na nią, kiedy płakała i łzy strumieniami spływały po jej pyzaty policzkach, bo spadła z werandy, a zardzewiały gwóźdź, zaklepany niezdarnie młotkiem przez dziadka, rozdarł jej skórę na kolanie aż do krwi. Ale potem babcia łaskawie pozwoliła jej wtulić zapłakaną buźkę w fałdy kuchennego fartucha i wdychać daleki zapach krochmalu, który czaił się gdzieś z tyłu, schowany za wszystkimi innymi, domowymi zapachami. Rana szczęśliwie się zagoiła, ale została niewielka blizna, która długo nie chciała zniknąć. Gdy skóra brązowieła od słońca, mała, zakrzywiona, lekko wypukła kreska bieliła się agresywnie. Bogiem a prawdą, nikt na nią nie zwracał uwagi, niemniej wołała sukienki dłuższe, trochę za kolana. Szeleściły, gdy szła główną drogą, kręcąc rozłożystymi biodrami, a Bożo patrzył na nie chciwie, no i na te bujne, mleczne balony uwięzione w sztywnym, najeżonym fiszbinami staniku.

* Ależ ona ma dupę * szepnął Dragiśa, który siedział obok Bożo i patrzył równie chciwym wzrokiem. Już wtedy trzymał pod podłogą wilczą czapę z kłami, tyle że nikt we wsi jeszcze o tym nie wiedział. No, prócz innych, jemu podobnych wilków. Teraz, gdy trzymali ją we trzech, jeden za ramiona, a dwóch za szeroko rozwarte nogi, mógł się wreszcie nasycić widokiem tego, co trzymała pod sukienkami trochę za kolana, schowane tylko dla Bożo. Więc darła się jak stare prześcieradło, a on opuścił spodnie i powiedział, że ma większego niż Bożo.

Znoszone ciała rodziców pozostały w błogim bezruchu, aż słońce skryło się za nierównym horyzontem wysokich domów. Dzieci wokół fontanny po prostu niczego nie zauważyły. Przecież rodzice im o tym nie powiedzą, prawda? Wstydił się? Nigdy w to nie uwierzę. Zamknął jej oczy w normalnym, ludzkim odruchu. Nie nadużywaj przymiotnika „ludzki”. Dziwnie brzmi tutaj. Nieswojo. Wilk jest „wilczy”, a nie „ludzki”. A może ty jesteś trochę przewrażliwiony, co?

* Więc usiadł pod parasolem tylko na chwilę * powiedziała Jovana. * Nawet nie miał takiego zamiaru, żeby coś zjeść. Pewnie chciał wypić tylko jedno piwo. Między stolikami chodził mężczyzna w przetartych bryczesach, z plecakiem, i rozrzucał czetnickie gazetki. Sięgnął po nią z nudów. Może dlatego, że właściwie nigdy niczego nie czytał? Nawet kryminały były dla niego za trudne. Przeczytał ją sam, od początku do końca. Tylko tata strasznie się zdenerwował. Bo jednak jest muzułmaninem.

Potem już zawsze milczeli. Nawet tej nocy, po której rano miał jechać na linię frontu. Obudził się z policzkiem przyklejonym do jej nagich pleców. Byli spoceni. Wstał tak, żeby jej nie zbudzić, i w lustrze przytwierdzonym do ściany zobaczył swoje nagie ciało. Oprosti nam. Ovo je moja molitva. Nieważne, czy jestem Żydem, Serbem, czy niewiernym karłem z aparatem.

25

Niebieskie oczy dawno już wyblakły, ale wciąż czaiła się w nich siła. Skupione wpatrywały się w nią długo, aż Agata poczuła się dziwnie. Choć podparty laską, poruszał się zaskakująco sprawnie. Szybko pokonał drogę od drzwi wejściowych do wysłużonego fotela. Wysoki, chudy i zgarbiony. Miał już tylko resztkę siwych włosów na głowie, które fryzjer przyciął starannie. Gładko wygolone, zapadnięte policzki. Za dwa miesiące będą trzy lata, gdy drzwi bmw, od strony pasażera, w zasadzie zmiażdżyły mu prawą nogę. Czterdzieści trzy dni wcześniej stuknęła mu siedemdziesiątka i przeszedł na emeryturę. Powiedział, że sam przyjedzie, ale chcieli go uhonorować i przysłali samochód. Gdyby, jak każdy normalny człowiek, usiadł na tylnym siedzeniu, nic by mu się nie stało. Ale za każdym razem, kiedy korzystał ze służbowej mazdy, zawsze siadał obok kierowcy. Taki nawyk. Zresztą trudno, żeby siadał z tyłu, skoro był po imieniu z kierowcą. Żona kierowcy sprzątała ambasadę przy Kneza Miloša trzydzieści osiem. Właściwie wszyscy byli po imieniu, z wyjątkiem ambasadora. Współwłaściciel firmy, która na przedmieściach Otwocka

produkowała kostkę bauma, był trzeźwy. Po prostu zagapił się za kierownicą wysłużonego opla frontiera. Zapomniał, że jest na podporządkowanej.

Pierwszy z chirurgów chciał amputować nogę, ale drugi się uparł, żeby ją ratować. No i uratowali.

* Zdejmę buty * powiedziała Agata.

Deszcz zaczął padać po północy. Obudziła się przed drugą, bo Mielcarek nie chciał, żeby spała. W kuchni zapaliła papierosa i patrzyła na wodę, która spływała po szybie i rozmywała widok na śmietnik i stare garaże. Kiedy wróciła do łóżka i wstała z niego o siódmej rano, deszcz nadal padał.

* Oszalała pani. To niepoważne, policjantka bez butów * zachichotał rozbawiony. *

Sama pani widzi, jaki tu bajzel. Jutro przyjdzie synowa i trochę to ogarnie.

Przychodzi raz w tygodniu. Napije się pani kawy? Uwaga, parzę w tygielku.

* Nie, dziękuję.

* Pani strata, bo ja to robię najlepiej w tym kraju. Trwały wkład cywilizacji bałkańskiej w moje życie.

Ciasne, dwupokojowe mieszkanie w samym środku Muranowa. Byle jak urządzone.

Owdowiał jeszcze przed wypadkiem. Miała raka trzustki. Dotarł do fotela i usiadł w nim, ale nie odstawił laski. Oparł się na niej oburącz.

* Zdziwiła się pani, że wszystko pamiętam. Był w wieku mojego syna. Obaj urodzili się w tym samym miesiącu. W listopadzie. Ale nic nie mogłem zrobić. Ambasada była w Belgradzie, a ostatnim miejscem, gdzie zarejestrowano jego obecność, był Osijek. Formalnie to była jeszcze Jugosławia, ale de facto to już Chorwacja. Wybory były demokratyczne. W opinii międzynarodowej Franjo nie był uzurpatorem.

Uruchomiłem konsula w Zagrzebiu, ale też nic nie wskórał. Tam panował totalny chaos. Rozwalało się całe państwo, zaczynała się prawdziwa wojna, a dziennikarze padali jak muchy. Jeden zaginiony dziennikarz więcej czy mniej, na nikim nie robiło to już wrażenia. Mieliśmy do dyspozycji tylko oficjalne kanały dyplomatyczne, a te w tamtych warunkach były do niczego. Nic nam nie zostawili po sobie. Mówię o tych, którzy byli przed nami. Nie mogłem prywatnie umówić się na wódkę z jakimś watażką i powiedzieć: stary przyjacielu, to polski dziennikarz, zrób wyjątek i pomóż.

Polskie państwo będzie ci wdzięczne. Nie znałem żadnego watażki. Poprzednia rezydentura zniszczyła całą swoją dokumentację. Wówczas nie zastanawialiśmy się nad tym, ale później to pytanie wróciło do nas. To znaczy do ambasadora i do mnie.

* Dlaczego?

* Jakkolwiek by na to spojrzeć, do dziewięćdziesiątego pierwszego to była raczej peryferyjna placówka.

* To znaczy?

* Ze może jednak rozgrywali coś wstydliwego.

* Powiedzieliście o tym komuś?

* Ambasador dyrektorowi departamentu w randze wiceministra, podczas wspólnej kolacji.

* Były jakieś reakcje?

* Nie. Więc zgodnie doszliśmy do wniosku, że byliśmy przewrażliwieni.

* Co mogło być tak wstydliwie, że musieli to zniszczyć? Wzruszył wspartymi na łasce ramionami.

* Może czuli, że to się może źle skończyć? Wbrew pozorom powodów do myślenia o analogii było dosyć. U nas też komunizm się kończył. Nie wiem. Proszę mi wybaczyć, nie lubię czerwonych. Nie chcę wnikać w ich duszę. Do czego jest to pani potrzebne?

Pokazała mu fotografię. Tę, na której byli oboje, ona i Horst Meyer. Rozmarzył się.

* Ten budynek w tle to hotel Bałkan. Była tam bardzo dobra restauracja. Pewnie jest po dziś dzień. Mam taką nadzieję. O co chodzi z tym zdjęciem?

* Prawdopodobnie je zrobił. Tę kobietę znaleźliśmy martwą w parku między Książęcą a Prusa. Ktoś ją zabił. Bardzo fachowo. Marcin K. to jedyny konkret, który łączy ją

z naszym krajem. Rozumiem, że jednak nie żyje od blisko dwudziestu lat. Więc może był jeszcze jakiś Polak w tej sytuacji?

Nie odpowiedział. Długą chwilę wpatrywał się w fotografię, a później, podparty łaską, odprowadził ją do drzwi. Schowała się pod szklanym daszkiem, który dwa lata

wcześniej założyli nad drzwiami klatki schodowej, wraz z nowoczesnym domofonem. Zapaliła pierwszego papierosa i popatrzyła na bezbarwny Muranów, który w strugach deszczu był smutny. Potem rozpędziła się i skulona pobiegła do samochodu.

* Dziewięć lat temu Neue Passauer Verlag wycofał się z naszego rynku. Część tytułów sprzedali, reszta poszła w likwidację * powiedział Osiecki. * „Kurier Łódzki” został zlikwidowany. Zespół się rozproszył. Ustaliłem komórkę tego Pieńka, który był ich dyrektorem w Łodzi.

Gruda dzwonił do łódzkiej fabryki w sprawie jego rodziców, a telefon tego Pieńka milczał. Odezwał się dopiero, kiedy po raz szósty wybrała numer. Kobieta po drugiej stronie była wyraźnie zdenerwowana.

* Mąż jest ciężko chory, nie może rozmawiać. * Połączenie zostało natychmiast przerwane.

Agata otworzyła tekturową teczkę i wyjęła z niej zgłoszenie o zaginięciu Marcina K., które MSZ przyjął od Marianny Pawlak. Urodziła się piątego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku w Zduńskiej Woli, co oznaczało, że o całe dziewięć lat była starsza od Marcina K. Blisko dwadzieścia lat temu mieszkała w Łodzi, przy ulicy Wandy Wasilewskiej. Obok adresu był numer telefonu. Zadzwoiła, ale nikt nie podniósł słuchawki. Doliczyła się ośmiu długich sygnałów, gdy wreszcie odezwała się automatyczna sekretarka. Młody, trzydziestoparoletni męski głos powiedział krótko: Proszę zostawić wiadomość po sygnale. Rozłączyła się.

* Pogrzeb w Internecie * powiedziała do Osieckiego. * Stań, na czym chcesz sobie stanąć, ale znajdź mi kogoś z tego „Kuriera”. I dzwoń do Pieńka. Co to znaczy, że jest chory? Język sobie odgryzł, że nie może rozmawiać przez telefon?

Zaparkowała hondę przy Książęcej. Ze schowka wyjęła składaną parasolkę i weszła w dolinę, na jej końcu były czterdzieści cztery stopnie prowadzące do chodnika przy Prusa. Deszcz wyhamował i teraz siąpił monotennie. Nieruchome powietrze było ciężkie od wilgoci. Gruby dywan mokrych, brązowych liści połyskiwał, choć słońce ani razu nie wyszło zza chmur. Raptem dwa dni, a już zdążyły zbrązowieć. Zgniją tutaj. Zawsze w ostatniej chwili biorą się do ich sprzątania. Zaraz spadnie pierwszy

śnieg i zostaną tu do wiosny. Tym razem nikt nie stał na żadnym z balkonów luksusowych apartamentów. Pewnie większość z nich jest pusta. Podobno są najdroższe w całej Warszawie. Przyjechała tu, żeby się z nim spotkać. Z nimi? Dobrze, przyjmijmy, że było ich dwóch, bo tak mówi logika. Zjedli razem kolację. Gdzie? Mogli zamówić jagnięcinę w Sheratonie. Ale jakim cudem nakłonili ją do tego, żeby zeszła tutaj, w dół po tych cholernych schodach, na których nawet w dzień można sobie wybić zęby albo złamać nogę? Sama z trudem zeszła po nich pierwszego dnia w pantoflach na podwyższonym obcasie. Co jej powiedzieli? Ze tu jest jakiś fajny klub? Fajerwerki? Goli faceci na rurach? Była noc, mgła. Widoczność na dwa metry. Nie ogłuszyli jej, nie poddusili, nie otumanili. Bo cokolwiek by zrobili, Bogdański by to odkrył. Bo jest uparty jak koza w kapuście. Więc była w pełni przytomna. Weszli w dolinę od Książęcej. Przyjeżdżasz do miasta, spotykasz się z kumplami, których dawno nie widziałaś. Pijecie trochę wina i idziecie na spacer. Kumple mówią: chodź, zrobimy sobie skrót przez ten park i wdepniemy na małego do Sheratona. Ale jest ich dwóch, a ty jesteś jedna. Ufasz im? Ja bym im za Chiny ciężkie nie zaufała. Więc mówisz: pierdolcie się, dawno niewidziani koledzy. Pójdę sobie ulicą pod górę, choćby mnie to miało kosztować pół godziny dłużej. Dlaczego nie założysz, że jednak była głupią krową? Bo nie była. Teraz, kiedy zobaczyła jej prawdziwe, czarne i nachmurzone oczy, które patrzyły na nią z jawną niechęcią, w których czaił się dziwny niepokój, wiedziała to już na pewno. Odwróciła się i spojrzała na Powiśle. Jesteś gdzieś tutaj. I było tak, jak sobie to powiedziała dwie noce wcześniej. Byli tylko we dwoje. Ona i on. Dlatego mu zaufała. Bo objął ramieniem, przytulił i uradowany zmierzwił włosy. Bo mgła tak prosto wszystko ułatwiła. Rozwiązała jego problem. Stanął za jej plecami. Czule wtulił twarz w jej czarne, gęste i ciężkie, przetykane siwizną włosy. Prawą dłonią dotknął twarzy. Rozluźniła się jak dawniej. Poczowała jego zapach. Przesunął dłoń na lewy policzek, tuż pod wydatną kością. Szepnął coś oryginalnego do ucha. Ale jego lewa dłoń czekała już gotowa do użycia. Przyłgnęła niespodziewanie do prawej skroni. Co ty wyprawiasz, głuptasie, mogło jej przemknąć przez głowę. A może nie? Może od razu zeszywniała w lodowatym strachu, który mogła już znać, i zobaczyła

czerwony napis: koniec? I cały film się przewinął? To straszne, kiedy przewija ci się taki film. Krzyknęła? Nie dał jej na to czasu. Napięte, silne ramiona wykonały na zimno jeden szybki, stanowczy ruch. Z lewej strony do prawej. Coś chrupnęło cicho i zwiotczała. I Agata w tym właśnie momencie przypomniała sobie zajęcia z patologii na oficerce w Szczytnie. Zwiotczała, tak to musiało wyglądać. Po cichu. Bez rozgłosu.

Znalazła miejsce przy Mokotowskiej i kuląc się przed deszczem, pod ścianami monumentalnych kamienic podreptała do maleńkiej włoskiej restauracji. Nigdy w niej nie była, ale wiele razy przejeżdżała obok i miała na nią apetyt. Wyglądała jak kawałek Toskanii w Warszawie. Nigdy nie była w Toskanii, ale wiele razy widziała ją w kinie i na ekranie własnego telewizora. To było przedłużane z roku na rok marzenie, żeby tam wreszcie dojechać. Więc poczuła, że właśnie teraz musi sobie zrobić ten prezent. Zamówiła pastę z oliwą, bazylią i kieliszek białego wina, które solidnie rozcieńczyła wodą. Siedziała samotnie przy stoliku w kącie. Chłopak i dziewczyna, tylko oni jeszcze byli w tej knajpce, obżerali się ogromną pizzą na spółkę. Dziewczyna ukradkiem popatrywała na nią. A ona poczuła, że przemoczyła buty. Znajdę cię. Chyba że już zwiąłeś stąd tchórzliwie. Mam jednak dziwne wrażenie, że tchórzem to ty nie jesteś. Jeszcze nie wiem, jak wyglądasz. Ile masz lat i co zwojowałeś w życiu. Nie wiem, dlaczego właśnie tam zostawiłeś jej zwłoki. Grasz ze mną? Wysłałeś sygnał? Pokaż, że jesteś cwana myszką i złap mnie, jeśli potrafisz? Powiem ci otwarcie, pragnę, żeby to była gra. To butne z mojej strony i pewnie cię to obraża, sukinkocie, ale Mielcarek też grał. Bezcelnie. Rozrzucił swoje odarte ze skóry sarenki po całym mieście. I nikt w stołecznej nie mógł się w tym połapać. Gdyby on to usłyszał, na pewno by się obraził. Jak możesz, wiejska suko, porównywać mnie do tego prymitywnego Mielcarka, którego nawiedził odpustowy diabeł? Może nie użyłby słowa suka. Ale ona wówczas odpowiedziałaby mu w sposób, który by go jeszcze bardziej zaskoczył. Obaj jesteście w moim rewirze.

* Niech Marciniak i Suski ruszą swoje dupy * powiedziała do Osieckiego, kiedy wróciła do fabryki. * Wezmą dzielnicowego i najpierw prześwietlą tę kamienicę przy

Trzeciego Maja, a potem wieżowiec na rogu Trzeciego Maja i Potockiego. A potem wszystkie budynki w całej okolicy.

* Odjechało ci? Cały Solec?

* Odjechało mi. Cały Solec. Może najpierw całą Trzeciego Maja? I pół Kruczkowskiego?

Wcześniej zajrzała do Kozyry, bo zadzwonił, gdy była jeszcze we włoskiej knajpce.

* Chciałaś, to masz. Może ci to do czegoś przypasuje. Dwie noce temu ktoś zjarał cały wózek do spodu na leśnym parkingu między Maciejowicami a Dęblinem.

Wydrukowałem ci to.

Popchnął w jej stronę tekturową teczkę. Przyjrzała mu się uważnie, ale nie kpił z niej. Powiedział to na serio.

* Jakbyś nie wiedziała, to jest wąska szosa z Warszawy do Dębina, bez pobocza, dalej już tylko do Puław, Kazimierza i chyba na tym koniec. Szkielet karoserii wskazuje na małego peugeota, poprzedni model. Odholowali go do fabryki w Rykach. Twierdzą, że nie ma mowy o jakimś samozapłonie. Wózek musiał być dokładnie zlany benzyną z zewnątrz i od środka. Zjarało się wszystko, co było do zjarania. Możesz sobie tam pojechać i go obejrzeć.

* A mogę go ściągnąć tutaj?

Zamyślił się na chwilę i zabębnił palcami o blat biurka.

* Musiałbym powypisywać jakieś bzdury. Poza tym idziemy w koszty. To ja muszę zapłacić za lawetę.

* Może zachowały się numery.

* Oni tam też mają techników i laboratorium. Wystarczy, że ich o to poprosisz.

Osiecki nic nie znalazł w Internecie, a telefon Pieńka był po prostu wyłączony. Zdjęła pod biurkiem przemoczone buty i raz jeszcze wybrała numer telefonu Marianny Pawlak. Tym razem podniosła słuchawkę. Jej głos był niski i matowy. Trochę zachrypnięty. Po przejściach. Po dwóch paczkach papierosów na dobę. I miał swoje głęboko, definitywnie przeżyte sześćdziesiąt jeden lat.

* Dlaczego mi to robisz, głupia pizdo? * powinien był zapytać głos w słuchawce, gdy Agata wypowiedziała to sakramentalne: Marcin K. Ale głos tylko pomilczał długą

chwilę.

* Był moim partnerem * odezwała się wreszcie. * Żyliśmy ze sobą.

* Muszę z panią porozmawiać. Przyjadę do Łodzi. Może być jutro? O dwunastej w południe?

Agata usłyszała głucho „tak” i rozmowa została zakończona.

* Sprawdź mi poranne połączenia z Łodzią * powiedziała do Osieckiego. *

Podrzucisz mnie jutro na Centralny?

* Jasne.

* To sprawdź jeszcze, kto z polskich dziennikarzy był wtedy na tej wojnie. Chodzi nam tylko o rok dziewięćdziesiąty pierwszy.

Włożyła przemoczone buty i poszła do kibla, bo już chciało się palić. W drzwiach minęła się ze Struzik, która zostawiła po sobie kłęby dymu. Wtedy zadzwonił Weber. Nie wymyślił sushi. Wymyślił prosty bar na Starym Mokotowie, który był poza granicami zakazanego miasta. Spojrzała na zegarek. Miała dwie godziny. Muszę się przebrać. Tylko w co.

Na szczęście Kaśka była w domu. Jeszcze była, bo już powiedziała, że zaraz wychodzi. I wróci bardzo późno. Nie czekaj.

* Nie możesz iść w spodniach i butach, które służą do chodzenia po górach.

* Jest zimno i pada deszcz.

* Mamo, idziesz na randkę.

* Oszalałaś? Jaka randka, do jasnej cholery? Mam czterdzieści cztery lata, a on może z trudem trzydzieści. Oraz żonę i małe dziecko.

* Zaprosił cię na drinka.

* Boi się mnie i próbuje to oswoić. Prawie zemdlał w prosektorium i wstydzi się tego.

* Dlatego pójdziesz na to spotkanie ubrana jak kobieta, a nie jak zdobywca bieguna północnego.

Kaśka otworzyła szafę, a potem dobrała się do komody.

* Włóżysz czarne rajstopy, tę wąską spódnicę...

* Mam w niej tyłek jak armata.

* Podkreśli ci biodra i talię. Białą bluzkę, rozjaśni twarz, ten żakiet albo któryś z tych dwóch kardiganów. Kiedy ostatni raz miałaś je na sobie?

Wszystko ułożyła na łóżku w sypialni.

* I pantofle na obcasie. Na wierzch włożysz ten czarny płaszcz z wełny, z paskiem.

W ogóle go nie nosisz. Koniecznie szalik, który kupiłam ci dwa lata temu na urodziny. I umalujesz się tak, jak dawno tego nie zrobiłaś. Mam ci pomóc?

* Jeszcze potrafię się umalować.

* Na twoim miejscu włożyłabym jakąś seksowną bieliznę.

* Pogięło cię do reszty? Mam się rozebrać przed nim w tej knajpie?

* Poprawi ci to samopoczucie.

* Powiedział to ktoś, kto ma pół tony dredów na głowie, szesnaście kolczyków i chodzi w martensach.

* Jak słusznie zauważyłaś, masz czterdzieści cztery lata. Masz seksowną bieliznę? Przepraszam, nie buszowałam w twoich szufladach.

* Nie mam.

* To musisz sobie kupić.

* Dla kogo?

* Dla siebie. Na przykład stringi.

* Wydaje mi się, że chodzenie ze sznurkiem w dupie jest mało komfortowe.

* Kiedy ostatni raz byłaś u kosmetyczki?

* Znam lepsze sposoby na marnowanie pieniędzy. Piętnaście minut spędziła przed lustrem w łazience, które zawiesił piękny Lolo.

* Może być * oceniła Kaśka i wyszła.

Bar był śmieszny. Wszystko w nim było niedzisiejsze. Pachniał czymś starszym niż lata osiemdziesiąte i kawiarnia Mozaika. Pachniał Warszawą, jakiej nie znała.

Zasuszony, stuletni staruszek, który wdrapał się na wysoki, barowy stółek, by dostać codzienną kawę z koniakiem, w wełnianej marynarce w kratkę, z niebieskim fularem pod szyją, z sygnetem i złotą bransoletą na prawym przegubie, przed wojną był właścicielem jednej trzeciej Górnego Mokotowa. Nie tyle on, ile jego ojciec, założyciel pracowni futer, czterech garbarni, dwóch pracowni krawieckich, a na

koniec składu fortepianów. Miał dwie starsze siostry, którym udało się wyjechać po powstaniu. Lila wylądowała w Argentynie. Umarła w Buenos Aires trzy lata po mężu, żydowskim skrzypku, który urodził się w Bukareszcie. Sabina dotarła do pępka świata, czyli do Nowego Jorku, ale się tam nie przyjęła. Szamotała się cztery lata i wróciła do Europy. Została sekretarką właściciela niewielkiej firmy spedycyjnej w południowym Londynie. A potem jego żoną. Też już nie żyła. Mieli domek w Croydon. Ładnie śpiewała. Tata zawsze uważał, że powinna szkolić głos. On sam schował się w spółdzielczości i przetrwał w niej cały PRL. Na emeryturę przeszedł z tytułem prezesa. Nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci.

* Przepraszam za ten oldskul. Bardzo dawno tu nie byłem. Urodziłem się trzy dorny stąd. Pomyślałem, że to dobra okazja. Ten szczyt jednak trochę utrudnia życie. A tu jest cisza i spokój. Można dojechać.

Warszawiak z Górnego Mokotowa. Dobrze się ubrał. Na dzień dobry nieśmiało obciął ją z góry do dołu. Bardzo nieśmiało. Chyba nawet trochę zawstydzony.

* Ładnie pani wygląda. Powinna się pani tak ubierać na co dzień.

Nie wiedziała, jak zareagować. Zamówiła wódkę z tonikiem i opowiedziała mu o wszystkim. Słuchał jej jak dziecko. Na koniec pokazała mu fotografię, tę, na której byli oboje, ona i Horst Meyer. Dzień wcześniej wysłała mu ją mailem, więc tylko rzucił okiem. Pił whisky, czystą, bez lodu, bez wody.

* Oczywiście, to może być jedna wielka lipa * powiedziała. * Twarz z tej fotografii jest ładząco podobna do naszej symulacji komputerowej, ale to jest tylko symulacja komputerowa. Więc to mogą być dwie różne kobiety. Jest jeden świadek, który utrzymuje, że ją widział, i twierdzi, że to ta sama twarz, która jest na zdjęciu. Ale to jest tylko jeden świadek.

Zawiesiła głos i spojrzała na Webera.

* Cokolwiek pani zrobi, uznam za słuszne. To moje pierwsze zabójstwo. Nie będę niczego przed panią udawać.

* Więc to wszystko, co mamy. Czyli z punktu widzenia materiału dowodowego nic.

* Uważa pani, że to jest jakiś ślad?

* Nie wiem. Skręcił lub skręcili jej kark. To ciche i profesjonalne. Nie mam na myśli

zabójcy, który za pieniądze musi oddać do dziesięciu strażaków, żeby wreszcie trafić jakiegoś Kiełbasę czy innego Budzika. Mam na myśli ludzi, którzy zostali nauczeni sztuki zabijania. Nawet bez broni. Szczególnie bez broni. A tam wtedy, kiedy ktoś zrobił tę fotografię, była wojna.

* Nie rozumiem.

* Na wojnie zawsze szwenda się trochę ludzi, którzy potrafią zabić pana za pomocą sznurówki. Albo pudełka zapalek. Wobec czego skrócenie karku to dosyć chamskie rozwiązanie.

* Rozumiem, że tego narkomana już pani skreśliła.

* Dostał pan od nas wszystko, co zgromadziliśmy na jego temat. Mam nadzieję, że zdążył się pan z tym zapoznać. To pan musi podjąć decyzję.

Zamyślił się. Wypił solidny łyk whisky i przesunął szklankę po blacie od lewej dłoni do prawej i z powrotem. Dlaczego mężczyźni ciągle muszą czymś szurać i turlać? To musi mieć związek z brakiem pewności siebie. Patrzyła na jego ładną, oliwkową twarz, malinowe usta i nie mogła rozgryźć, dlaczego zaprosił ją tutaj. Czy chodziło tylko o poczucie winy? Wstyd? Wszystko, o czym mu opowiedziała, mogli załatwić przez telefon, nie wstając zza biurka.

* Jestem chyba bezradny * wyznał szczerze.

* Nic na to nie poradzę, że Swierczyńska wpakowała pana w to gównno. Chłopiec czy dziewczynka?

Spojrzał na nią zaskoczony.

* Fotelik w pańskim samochodzie jest jeden. Dlatego pytam o pleć.

* Syn.

* Duży?

* Dwa lata. A pani ma dzieci?

Gdzieś z tyłu głowy zaczała się myśl, żeby przejść z nim na „ty”, wystarczy, że stukną się szklaneczkami. Ale rozsądek mówił: nie brataj się z gówniarzem.

* Mam dorosłą córkę. Jest na drugim roku prawa.

* Nie nosi pani obrączki.

* Rozwiodłam się wieki temu. Swierczyńska nie powiedziała panu?

Pokręcił przecząco głową.

* Czym się zajmuje pańska żona?

* Czy to ma jakieś znaczenie?

* Po prostu zapytałam.

* Ale dlaczego?

* Bo taka jest natura policjanta. Myślałam, że pan już to wie.

Uśmiechnął się.

* Pracuje w telefonii cyfrowej. Odpowiada za marketing.

* Nieźle. Czym jeździ?

* Służbowym audi.

* A kto się zajmuje dzieckiem?

* Wynajmujemy niańkę. No i ja. Zazwyczaj wcześniej wracam do domu.

* To jest pan trochę mężem swojej żony, co?

Nie odpowiedział. Może nawet zapadł się w sobie, zgarbił. Przywaliła poniżej pasa.

To nie było fair, ale z drugiej strony, przecież nie będzie się z nim pieścić. Wypił solidny łyk.

* Ile pan ma lat?

* Dwadzieścia dziewięć.

* Więc o co chodzi? Dlaczego tutaj siedzimy? Dlaczego traci pan czas i pieniądze?

* Chciałem przeprosić za swoje zachowanie.

* Już o tym rozmawialiśmy.

* Nie chodzi mi o to, co stało się w prosektorium. Chociaż za to muszę podziękować.

Gdyby na pani miejscu był policjant, na bank bym zemdlał albo puścił pawia. Albo jedno i drugie. Pani zwyczajnie się mną zaopiekowała.

* To rutyna. Jestem dużo starsza i bardziej doświadczona. Można tutaj palić?

* Chyba tak, chociaż ja nie palę. Z tego, co pamiętam, tutaj można wszystko. W granicach rozsądku, rzecz jasna.

Ręką dał znak kelnerce. Zanim do nich podeszła, wlał w siebie resztę whisky, zamówił następną, a dla niej kolejną wódkę z tonikiem i popielniczkę.

* Wiem, że coś naruszyłem. Że przekroczyłem granicę, której nie wolno mi było

przekroczyć. Za to chcę przeprosić, bo to było wyjątkowo głupie z mojej strony.

* Niczego pan nie przekroczył, niczego pan nie naruszył. Pan po prostu ma słabą głowę, prokuratorze. Dlatego pan bredzi. I to rzeczywiście jest głupie. Poza tym przydaje pan sobie zbyt duże znaczenie.

Odchylił się do tyłu na krześle i patrzył na nią. W jego zmętniałych oczach zobaczyła coś dziwnego. Niepewność i jednoczesną melancholię. Może nawet smutek. Zapaliła papierosa.

* Nie powiem panu, czy dobrze pan zrobił. Między aplikacją adwokacką a prokuraturą jest spora przestrzeń. O jednym mogę pana zapewnić, z czasem przywyknie pan do tego. Zamówi pan taksówkę?

Mieszkał teraz na Bielanach, więc sam zaproponował, że najpierw odwiedzie ją na Gagarina. Żona dostała awans rok temu, ale już zaczęli myśleć o powrocie na Mokotów. Przy jej zarobkach bez trudu dostaną kredyt. Albo Powiśle. Dużo ładnych apartamentowców, choć ceny wyższe niż na Mokotowie.

W taksówce nie odezwali się do siebie ani razu. Ukołysany podwójną whisky patrzył na ciemne i opustoszałe miasto. Obserwowała go. Raz jeden odwrócił twarz od szyby i spojrzał na nią. Jego ciało zasygnalizowało zamiar jakiegoś ruchu, ale na tym się skończyło. Znowu patrzył w okno. Deszcz przestał padać godzinę wcześniej i wszystko było wciąż jeszcze mokre.

Zatrzymali się przed blokiem przy Gagarina i dopiero wtedy stało się coś dziwnego. Wysiadł za nią z taksówki.

Powinna była mu powiedzieć, żeby w niej został, bo zna przecież drogę do domu, ale nie zrobiła tego. Odwróciła się, by odejść, wtedy schwycił ją stanowczo za ramię i przyciągnął do siebie. Nie był silny, ale poddała mu się, a on objął ją w pasie i przywarł do jej pleców. Fakt, nie złapał za cycki, ale to jednak nie jest fajne, kiedy obcy facet trzyma cię za schaby. Mogła wyswobodzić się bez trudu, mogła mu zadać ból albo zwyczajnie cisnąć nim o glebę, ale nie zrobiła tego. Dzisiaj mogę wrócić bardzo późno, powiedziała Kaśka. Dzisiaj mogę wrócić bardzo późno... i płyta się zacięła. Bo przez wszystkie warstwy ubrania, które miała na sobie, poczuła szczerze zdziwiona, jak bardzo jej pragnął. Może niekoniecznie jej, ale ogólnie jakiejś kobiety.

Więc powiedziała tylko: zapłać mu, bo taksówkarz obserwował ich otwarcie.

Już w windzie przyparł ją do ściany i próbował zadrzeć spódnicę do góry, ale nie pozwoliła. Więc dyszał nad uchem, ocierał się o nią i ugniatał jej pośladki. Może lubi duże dupy, pomyślała. Z ciekawości dotknęła go przez spodnie i po raz wtóry zdziwiła się, że nadal trwał w swym zamiarze. Roztargniona, pocierała go dłonią, zasłuchana w stękanie windy, i zagłuszała strach, że właśnie teraz stanie między piętami. Jak huragan wpadli do mieszkania i przetoczyli się przedpokojem. Piętą domknęła drzwi, lewą ręką przekręciła zamek. Nie zapaliła światła, więc potknął się, zachwiał i uderzył barkiem o ścianę, zanim runęli na łóżko w sypialni. Wtargnął pod spódnicę, wepchnął dłoń między uda i wymacał ją przez czarne rajstopy.

* Zaczekaj, Tomek, zaczekaj * mamrotała pod nosem i w pośpiechu gubiła majtki.

Po omacku odkryła, że był już bez spodni. Zaraz potem jej powieki zamknęły się w nagłym skurczu, a twarz wykrzywiła w brzydkim grymasie.

* Aua * pisnęła cichutko.

Łóżko z hukiem uderzało o ścianę, guziki jej bluzki strzelały na strony jak łuski kałacha. Ostatnia myśl, by zostać w staniku, odpłynęła, bo zapięcie samo puściło z nadmiaru emocji. Obląpiła go za szyję, nosem zapała się o jego ramię, choć głowa leciała do tyłu po każdym pchnięciu. Wdychała zapach obcego ciała, które narzuciło jej swój nerwowy, nieposkładany rytm, i zagryzała dolną wargę, żeby powstrzymać te wszystkie kompromitujące dźwięki. Żeby zachować jakiś fason. Choć trochę godności. Ale już nie myślała o tym, że w tej pozycji robią się walki na brzuchu. A idźże do diabła, kretynko głupia! Jakie wałki? Jaka godność? Był o piętnaście lat młodszy, miał słodką dupeczkę i dmuchał ją jak oszalały, aż wszystko się trzęsło. Nie tylko uwolnione cycki. Nawet mózg podskakiwał zachwycony. Dlaczego masz popiskiwac jak szara myszka? A ryknij sobie, żeby sąsiedzi usłyszeli. A nawet powiedz jakieś świństwa. I kto wie, może i tak by się stało, gdyby nie to, że nagle, gdzieś z boku, popłynęło światło.

To nie mogło dobrze wyglądać. Ani zadarta po pępek spódnica, ani te rozwarte szeroko, jak u dziwki, uda. Stopy zawieszony w powietrzu, jak gdyby zapierała się o nie, piętami do przodu, lewa łydka w rajstopie, zmięte majtki, które zawisły pod

kolanem. Ani jego spodnie splątane na kostkach. Na szczęście na żal było już za późno, bo połyskująca w ciemności słodka dupeczka właśnie spięła się po raz ostatni, szczerką krótko, wcisnął się w opór, do końca, i nic już nie mogło zatrzymać gorącego strumienia. Więc pogodzona z losem opadła głową na poduszkę, jęknęła wreszcie głośno, przeciągle, z brzucha, i z ulgą pozwoliła fali, by przetoczyła się leniwie od jej własnego krocza aż po czubek głowy. Obrysowany światłem kontur Kaśki zniknął za drzwiami, które zamknęły się cicho. Wtulił twarz w miękką pierś, która wypłynęła spod rozpiętego stanika, i oddychał ciężko, przez nos. Tuż obok jej własny sutek wciąż sterczał zawadiacko. Położyła dłoń na jego włosach i poczuła, że były wilgotne od potu.

* Przepraszam. Powiedziała, że wróci późno. To moja córka.

Chwilę później zaplątał się we własne nogawki i upadł z hukiem na podłogę.

* Zapal światło * poprosił skruszonym głosem.

* Nigdy w życiu.

Bosa, w zmiętej spódnicy, ciągnąc za sobą odwłok czarnych rajstop, w bluzce bez guzików, wyrzuciła go do przedpokoju, gdy usiłował dopiąć spodnie i upchnąć w nich koszulę.

* Tylko nie odwracaj się i nie patrz na mnie * warknęła. Oczywiście, że próbował się odwrócić, więc sprawnie założyła mu chwyt lewą ręką, jęknął unieruchomiony nisko nad podłogą, prawą otworzyła drzwi i wypchnęła go na klatkę schodową. Usłyszała jeszcze, jak uderzył o poręcz, i natychmiast runęła do łazienki. Szerokim łukiem ominęła lustro, w którym czyhał na nią stary upiór z rozmazanym makijażem, i ciężko klapnęła na deskę klozetową. Znieruchomiła zgarbiona. Zagapiona na prawą stopę, bosą, bo lewa wciąż była jeszcze w rajstopie. Na wściekłą czerwień, którą pokryła paznokcie. Za nic nie mogła pojąć tego, co się stało. Potem wzięła prysznic. Usiłowała zmyć go z siebie, ale to nie było łatwe.

Kaśka siedziała z butelką piwa, gdy weszła w szlafroku do kuchni.

* Przepraszam cię * wyszeptała do córki martwym głosem, jak w kościele.

* Za co chcesz mnie przepraszać? To ja cię powinnam przeprosić, bo wcześniej wróciłam do domu.

* To nie powinno się wydarzyć. Przepraszam. * Nalała sobie brandy, zapaliła papierosa i opadła na stołek.

* Trzasnę drzwiami, jak jeszcze raz powiesz przepraszam. Poszłaś do łóżka z młodym chłopakiem, a minę masz, jakbyś wróciła z pogrzebu. Ile ma lat?

* Dwadzieścia dziewięć. Jest żonaty. Ma dziecko.

* Już mi to mówiłaś. Dwadzieścia dziewięć lat. Fantastycznie. Zaczynasz wreszcie dbać o siebie.

* Daj spokój, to jakieś dziwaczne nieporozumienie. W ogóle tego nie rozumiem.

* Ty go zaciągnęłaś do łóżka czy to był jego pomysł?

* Jego. Przecież mnie by to nigdy do głowy nie przyszło.

* Bomba! Jestem z ciebie dumna, mamó. Chcesz mi wmówić, że dużo młodszy facet rzucił się na ciebie, bo mu się nie podobasz, tak?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

* Jaki jest? * zapytała Kaśka.

* A wiesz, że chyba całkiem spory? * odparła i obie jednocześnie parsknęły śmiechem.

26

* O ile wiem, do tej pory głównie fotografował gołe dupy. Myślisz, że to są odpowiednie kwalifikacje?

Dziewiętnaście lat temu Pieniek stał przy oknie i z siódmego piętra patrzył na polskie miasto zatłoczone samochodami i miniaturowymi figurkami przechodniów. Podłe. Trzeba mieć końskie zdrowie, żeby tu wytrwać. Nikczemność czaiła się w każdej odrapanej bramie i w każdym studziennym podwórku. Odbijała się echem od jego mrocznych ścian. Wypatroszyli miastu duszę. Teraz w jej miejscu prują asfalt, żeby położyć kostkę i postawić latarnie. Ale chyba nie będą importować Żydów, co? Zresztą jaki Żyd chciałby tutaj przyjechać. Bary przy głównej ulicy będą wyrastać jeden obok drugiego, a fabryki pustoszeć. Im więcej barów, tym więcej pustych fabryk. Aż przerobią je na centra handlowe. Może chociaż fasady zostawią? Na co

komu takie fasady? Bez duszy. Łysina okolona wiankiem ciemnych włosów. Wylęknione oczka. Wąs, który maskuje jawnie tchórzliwy uśmiech. Zabawna postać na pensji u Niemca. Po prostu administrator. Nawet trochę zakurzony, jak na urzędnika przystało. Poważnie zatroskany liczbą zwrotów. Szmatowaty jakby, bo i gazeta przecież też szmata. Szmaciła się z miesiąca na miesiąc i z tygodnia na tydzień. Każdego kolejnego dnia coraz bardziej szmatowata, coraz intensywniej wydzielająca woń padliny, którą się karmiła. Mówiąc krótko, hiena. Nawet ten skowyt, gdy byli pijani, też taki hienopodobny. Nie, nikogo nie podglądam. Nawet nie mam takich obiektywów. Zresztą kogo? Tu, w tym mieście? A jednak wizytówki rozdawał niechętnie. Chyba że dziewczynom. Bo łatwiej powiedzieć, dźwięk umyka, nie zostawia śladów. Większość to jednak wzrokowcy. Mały wstyd. Po prostu płacą nie najgorzej, ale to wciąż margines, naprawdę. Robię masę innych rzeczy, a to mi daje niezależność. Kurwa, zmęczyłem się tym trochę. Szarpiesz się o każde stypendium, o każdy grant. To upokarza.

* Ma żonę?

* Żyje z jakąś kobietą, ale nie wiem, czy to żona. Naczelny, który udawał, że coś pisze, podniósł głowę znad kartki papieru. Nosił krawaty do dżinsów i pocił się o każdej porze roku, nikt nie miał dość odwagi, by powiedzieć mu, żeby nie zdejmował marynarki. Poczzerwieniała twarz nad rozpiętym kołnierzykiem żółtej koszuli i poluzowanym, grubym węzłem włochatego krawata w czerwoną kratę. Męczył się samotnie w hotelu, bo nie był stąd, bo wciąż głęboko wierzył, że Bóg powołał go do innych celów, a tymczasem palący wstyd trzeba było jednak jakoś ugasić, więc codziennie rano doskwierały mu ból głowy i suchość gardła.

* A dzieci?

* Nic o tym nie wiem.

Dopiero południe. Jeszcze tyle godzin do zmroku. Bo zmrok jest regułą i przyjacielem. Najpierw drzwi hotelowego pokoju w ohydnej okleinie imitującej sosnę, a potem szafka pod lustrem, a w nim rozmazane odbicie twarzy najlepszego

kumpla.

* Sprawia wrażenie niezbyt rozgarniętego. To prawda.

* Zresztą jakie to ma znaczenie, co fotografuje. Gołą dupę czy jakiegoś faceta w mundurze. Fotografia to fotografia. Tak myślę.

Najgorszy był ten moment, gdy musiały się rozebrać. Choć nieźle im płacili. Te, które robiły to po raz pierwszy, garbiły się zawsze, bo nie umiały udawać. Spętane wstydem i upokorzeniem, jak ta chuda, o smutnych i wylęknionych oczach sarny, która w ciasnym hotelowym pokoju, w świetle małej, blaszanej lampki na nocnym stoliku, niezgrabnie zdejmowała z siebie brzydkie, brązowe ubranie. Podskakiwała na jednej nodze, odwrócona tyłem, by wyplątać się z grubych, brązowych rajstop. Zapach jej nagiego ciała też był brązowy. Kości obojczyków zarysowane pod białą, nieomal przejrzystą skórą. Kelnerka w kawiarni Hawana, w mieście średniej wielkości na południu Polski, tuż obok płaskiego parku, w jego sercu wyrastał rozpadający się, granitowy pomnik z gwiazdą, wzniesiony ku czci poległych żołnierzy sowieckich. Siedział sam przy stoliku ze szklanym blatem na czarnych, metalowych nogach i patrzył na wysokie palmy w grubych donicach, które do połowy przesłaniały kolorowe ściany pustej kawiarni. Zapytał ją, o której kończy pracę, i usłyszał, cichym, spłoszonym głosem, że kawiarnię zamykają o dwudziestej drugiej. Nie podobała mu się, ale szklany blat, palmy w donicach i słowo „Hawana” miały zapach delikatesów przy głównej ulicy, które odwiedzał z mamą przynajmniej raz w tygodniu. To był zapach egzotycznych owoców w okolicach świąt i ziaren kawy mielonych w dużym, elektrycznym i hałaśliwym młynku, stojącym na końcu długiej sklepowej lady. Obsługiwała go karlica w białym fartuchu. Miał pięć lat, kiedy zapytał głośno: Mamo, dlaczego ta pani jest taka mała? A mama chwyciła go mocniej za dłoń, pochyliła się nad nim i szepnęła: Później ci to wytłumaczę, synku. Półtora metra nad głową karlicy rozciągało się ścienne malowidło. Murzyni z koszami na głowach, w których piętrzyły się banany, ananasy i pomarańcze, przemierzali pustynie i dżungle, by przynieść te owoce w koszach tu, do Łodzi, właśnie dla niego. Byli ładem i harmonią. Raz na zawsze ustalonym porządkiem świata, który dawał ciepłe poczucie bezpieczeństwa. Podobnie jak list, który

przekazywany z rąk do rąk, od Eskimosa do Chińczyka, od Chińczyka do Hindusa, od Hindusa do Araba, od Araba do Murzyna, wieziony na grzbiecie wielbłądów i słoni wymalowanych na ścianach poczty u zbiegu dwóch ulic w jego dzielnicy, zawsze trafiał w dłonie jasnowłosego chłopczyka w mundurze listonosza, a ten wkładał go do jego przegródki w skrzynce pocztowej. Wędrowce zaklejonej koperty towarzyszył zapach kawy mielonej w młynku na końcu długiej lady w delikatesach przy głównej ulicy. Czuć go było jeszcze przed dużym oknem salonu kosmetycznego w podcieniach, gdzie przystawał, gdy miał czternaście lat, by popatrzeć na ogromnych rozmiarów czarno*białą fotograficzną reprodukcję Wenus Botticellego, a właściwie jej głowy powiększonej tak, że z bliska było widać tylko kropki rastra. Tuż za rogiem, trochę cofnięty od ulicy, stał szary i przygnębiający budynek teatru, do którego chodził z babcią, gdzie znany z telewizji i ernerdowskich westernów aktor kołysał się na linie, udając Robin Hooda. Potem szli do kawiarni, jedynej w całym mieście, gdzie można było wypić gorącą czekoladę. Ten sam zapach unosił się przed witryną Peweksu przy Sienkiewicza. W lewym rogu stała nadmuchana do wielkich rozmiarów plastikowa butelka cointreau. Z dużego, barwnego motyla wymalowanego na sąsiedniej, ślepej ścianie kamienicy zostały teraz ledwie ślady. Zamarynowane w pamięci szarością późnej jesieni, wilgocią zawieszoną w powietrzu, wonią taniej benzyny i wyslizganej, plastikowej tapicerki taksówki marki „Warszawa”, z półotwartą popielniczką w oparciu przedniego siedzenia, którą miał zawsze na wysokości oczu, gdy siedział tam z mamą, a oddechy zaczynały już parować, ale przygnębiający, brudny śnieg jeszcze nie leżał w pryzmach na skraju wąskich chodników, choć neon „Głos Robotniczy Zawsze z Tobą” na dachu wieżowca naprzeciw cmentarza zapalał się już o piątej po południu.

Nad ranem, zawstydzony, pospiesznie cofnął ramię, którym przez całą noc obejmował skulone, chude i nagie ciało kelnerki.

* Chce jechać, niech jedzie * powiedział Naczelny i przestał udawać, że pisze.

* To kosztuje.

* Może podnieść nakład. I to jednak prestiż.

* Pierdolę taki prestiż * powiedział Pieniek.

Błada, plamista cera, gdy odwrócił twarz od okna. Chyba nie miał kłopotów z wątrobą. Naczelny nigdy go nie widział z wódką. Nawet z piwem. Więc skąd te plamy? Po prostu znikał na tydzień, czasami nawet na dwa. Zimą przepadał na dłużej. Latem upał pozwalał tylko na tygodniowe czarne dziury. Zamknięty w domu z żoną troskliwie pilnującą, by nie odbierał telefonów.

* Mamy zwroty, a ja wiem, że czytelnicy mają w dupie informacje. Chcą, żeby im powiedzieć, co jest dobre, a co złe.

* To informacja.

* Nie, to komentarz. Żeby go napisać, nie musisz wstawać zza biurka. Wystarczy, że włączysz telewizor o właściwej porze. Czy chociaż wiadomo, dlaczego chce jechać?

* Chyba sam tego nie wie. Takie mam wrażenie. Wydaje mi się, że to może być niebezpieczne. Nie znam się na tym, ale tak mi się wydaje.

Wszystko przez tę pręgę na szyi. Inaczej można by rzeczywiście pomyśleć, że śpi. Zdarli z niej ubranie siłą. Nawet Bożo nigdy nie zobaczył jej aż tak nagiej. No przecież nie rozbierała się przed nim, bo to wstyd. Zawsze była w koszuli. Zadzierał ją pod kołdrą do góry, a ona chichotała. Lubiła zapach skóry na jego mocnym ramieniu, które ocierało się o jej nos i wargi. Zapach słońca i potu. A teraz można sprzedać jej gołe i martwe ciało wszystkim gazetom na świecie. Zwłaszcza że fotografia nie cuchnie. W gruncie rzeczy to przecież piękna, naga kobieta.

27

Pejzaż, który przesuwiał się za oknem wagonu, był tak płaski, jak gdyby ktoś wygładził go na siłę. A przy tym szary, nudny i po prostu brzydki. Jak szare i nudne było jej życie, zanim skończyła osiemnaście lat i wyrwała się wreszcie do upragnionej oficerki w Szczytnie.

* I będziesz chodzić w mundurze? * zapytał wtedy młodszy brat.

* Jasne * odparła z dumą.

Czy było brzydkie? No, piękne też nie było.

Pociąg zbliżał się do Skierniewic. Wystarczyło przesiąść się w pokaes, by pół godziny później stanąć przed drzwiami rodzinnego domu. Trudno powiedzieć, czy brat by się ucieszył. Raz, dwa razy w miesiącu odbywały z mamą tę samą drogę, tylko w przeciwnym kierunku. Pekaesem do Skierniewic, na dworzec, a stamtąd do Łodzi. Nigdy nie zapytała jej, dlaczego nie jeździły do Warszawy, choć to przecież podobna odległość. Przez cztery lata, pięć dni w tygodniu dojeżdżała pekaesem do liceum w Skierniewicach. Mama wolała technikum gastronomiczne, bo nie wierzyła, że dostanie się na jakiegokolwiek studia. Zresztą na co komu studia? A technikum to technikum, fach masz w ręku. Gastronomia to świetna przyszłość. Nie dla kogoś, kto nienawidzi gotowania. Dla kogo zrobienie kanapki jest wyczynem. Więc uparła się i postawiła na swoim. Pociąg był prawie pusty, kiedy o dziesiątej pięć wyruszył z Centralnego w stronę Łodzi. Miał się zapełnić dopiero tu, w Skierniewicach. A od Kuluszek może być nawet bardzo tłoczno.

W nocy długo nie mogła zasnąć, bo wciąż nie potrafiła pojąć tego, co się stało. Bo tuż pod nosem wciąż czuła jego zapach. Bo generalnie wciąż go czuła. W sobie. W dłoni. Jego dłoń na swoim udzie. Jego dłonie na swoich piersiach, bo jak tu nie czuć pierwszego od tylu lat mężczyzny. Więc onanizowała się jak wariatka. Jak dawno tego nie robiła, aż biało zrobiło się pod powiekami. I wreszcie zasnęła spełniona. Nie odebrała żadnego z jego telefonów. Pierwszy raz zadzwonił, kiedy siedziała w passacie obok Osieckiego, który przedzierał się w stronę dworca. Deszcz nie padał, ale niebo było chmurne, wiał lekki wiatr, a w powietrzu unosiła się wilgoć. Jeszcze dwa dni szczytu. Wszystkie manifestacje, które przeszły ulicami i wypełniły place, odbyły się bez zamieszek, niemniej ściągnęli dodatkowe oddziały z Poznania na te ostatnie dwa dni. Po których znów będzie się dało jako tako żyć w tym mieście. Koledzy z Łodzi ustalili, że oboje rodzice Marcina K. już nie żyli. Byli nauczycielami. Matka uczyła polskiego, tata muzyki. W Łodzi mieszkał już tylko młodszy brat z żoną i dziećmi, który wyniósł się z rodzinnego Zgierza. Podobnie jak matka został polonistą i teraz był dyrektorem gimnazjum. W gruncie rzeczy nie miał nic do powiedzenia. Siostra, najstarsza z czwórki rodzeństwa, blisko czterdzieści lat temu

wyjechała za mężem, wojskowym, do Szczecina. Skończyła rusycystykę. Od ośmiu lat była osobistą tłumaczką Niemca, który w pobliskim Neubrandenburgu produkował drzwi i okna. Jakimś cudem wdarł się na rynek rosyjski i za wszelką cenę chciał się tam utrzymać. Niemieckiego nauczyła się sama. Starszy brat grał na waltorni w orkiestrze łódzkiej filharmonii. Trzy lata temu zginął w wypadku samochodowym. Czterdzieści siedem kilometrów przed Wrocławiem. Nie mógł wyjechać razem z orkiestrą na pięć koncertów do Drezna, bo żona nagle zachorowała. Miał do nich dołączyć dzień później, kiedy lekarze coś zdiagnozują, a córka weźmie przynajmniej dwa dni wolnego w pracy, żeby zająć się matką.

Drugi raz zadzwonił, gdy już siedziała w wagonie. Trzeci raz, gdy z niego wysiadła i szła peronem Łodzi Fabrycznej. Na końcu peronu czekała młodszy aspirant Dagmara Kowalczyk z miejskiej. Czwarty raz już nie zadzwonił.

Dagmara Kowalczyk miała trzydzieści dwa lata, była niewysoką, ale zgrabną i całkiem ładną naturalną blondynką o niebieskich oczach. Nosiła okulary w cienkiej, czerwonej oprawie. Obcisłe džinsy, buty na obcasie i krótka skórzana kurtka. W uszach duże koła złotych kolczyków. Skórzana ramoneska sięgała bioder, więc gdy Dagmara pochylała się lub wykonywała zbyt gwałtowny ruch, spod niej ukazywała się kabura z glockiem, czym Dagmara Kowalczyk zdawała się w ogóle nie przejmować. Przyjechała po nią nieoznakowanym radiowozem wyprodukowanym w Korei. Milczała za kierownicą, więc Agata mogła przyjrzeć się miastu, które ostatni raz widziała dwadzieścia sześć lat temu. Mijała odrapane, złuszczone fasady i pomyślała, że teraz było jeszcze brzydsze, bardziej odpychające. Podobno Piotrkowska bardzo się zmieniła, ale prosto z dworca pojechały na Widzew. Prawie nie było wiatru, a i powietrze nie tak wilgotne jak w Warszawie.

Ulicy Wandy Wasilewskiej już nie było. Jej miejsce zajął Grot*Rowecki, ale płaskie i ponure wieżowce z wielkiej płyty były takie same jak z czasów czerwonej Wandy. Całkiem niedaleko, na parterze biurowca, który wyrósł niespodziewanie przy ogródkach działkowych, był kiedyś sklep firmowy fabryki odzieży. Przyjeżdżały tu z mamą, żeby kupić płaszcze i kurtki. Do sklepu

zawsze stały długie kolejki. Miała trzynaście lat, był listopad i już ciemno, kiedy wyszły wreszcie ze sklepu z dwiema opakowanymi w brązowy papier kurtkami na zimę. Dla niej i dla brata. Mama spojrzała na zegarek i powiedziała: Chodź, pójdziemy sobie do kina. Wrócimy ostatnim pociągiem. Poszły do kina Włókniarz na włoską komedię. Główną rolę grał Alberto Sordi. Mama śmiała się jak mała dziewczynka. Pociąg stanął w polu na dwadzieścia minut i to wystarczyło, żeby spóźniły się na ostatni pociąg w Skierniewicach. Więc szły pieszo z tymi paczkami przez pograżone w ciemności miasto do cioci Joli. Ciocia Jola była kuzynką taty, urodziła się w tej samej wsi, ale wyszła za wujka Wieska, chłopaka ze Skierniewic, który był bystry i zapisał się do ZSMP, a potem do partii. Więc najpierw został kierownikiem w sklepie z nawozami, a zaraz potem dostał przydział na ładne mieszkanie i talon na pierwszego malucha. Mieli jedno dziecko, córkę, po której ciocia Jola zrobiła się pulchna.

Chciała im pościelić w stołowym, ale wujek Wiesiek się zaoferował, zapakował je do malucha i zawiózł do domu. Zdenerwowany tata chodził po podwórku i palił papierosa za papierosem. Pierwszy raz zobaczyła, jak objął mamę i mocno przytulił. Winda, którą Agata wznosiła się na ostatnie, jedenaste piętro, dudniła głucho. Dwa razy stalowe liny zgrzytnęły nieprzyjemnie, ale winda się nie zachwiała. I nie zatrzymała.

* Chcesz, żebym poszła z tobą? * zapytała Dagmara Kowalczyk.

* Nie. Chcę być z nią sama.

* Będę się kręcić po mieście. Zrobię sobie zakupy. Zadzwoń, jak skończysz.

Kobieta, która jej otworzyła drzwi, miała piękną twarz. Choć schowaną za gęstą siatką zmarszczek i bruzd. Jej ozdobą były zielone, tylko trochę zmatowiałe oczy. Kąciki ciężkich, znużonych powiek opadały w dół. Poprzeczne bruzdy przecinały wiotką skórę długiej, smukłej szyi. Gęste, równo przycięte włosy, które kończyły się tuż poniżej uszu, były całkiem siwe. Miała wąskie ramiona. Wysoka, szczupła, zgrabna, o irytująco długich nogach, to było w niej bezczelne, miała przecież ukończone sześćdziesiąt jeden lat. Wręcz ostentacyjnie bezczelne, bo stała przed Agatą ubrana jedynie w męską koszulę z bawełny. Niegdyś niebieską, teraz prawie

białą, spłowiałą od wielokrotnego prania. Zapiętą ledwie na dwa guziki. Która nawet do połowy nie zakrywała jej nagich ud. Co z tego, że skóra nie była już jędrna i gładka. Co z tego, że widoczny spod koszuli dekolt też zwiotczał i się zmarszczył, pewnie jak całe ciało, skoro wiek tylko wyostrzył wszystko to, co było w niej najpiękniejsze. I dodał szlachetności. Była bosa. I to też było bezczelne, że nie wstydziła się swoich dojrzałych stóp. Miała duże stopy. Nie wiadomo dlaczego Agata pomyślała nagle, że ciało Marianny musi ładnie pachnieć. I że nigdy nie wtuliła się w ciało własnej matki. Z opóźnieniem pokazała legitymację i wymamrotała imię, nazwisko i funkcję. Marianna odwróciła się do niej plecami i tym gestem zaprosiła ją do środka.

To nie było zwykłe mieszkanie. To była rozległa pracownia malarska. Bo Marianna Pawlak była artystką. Malowała obrazy. Dostała ją od miasta trzydzieści trzy lata temu, w siedemdziesiątym siódmym, gdy miała dwadzieścia osiem lat i odniosła pierwszy duży sukces. Marcin K. miał wówczas dziewiętnaście lat i kto wie, może nawet nie wiedział o jej istnieniu. Bo jeszcze nie interesował się sztuką.

Obrazy były wszędzie. Było ich zdecydowanie więcej niż mebli. W większości stały na podłodze, odwrócone do ściany. Dwa z nich wisały na ścianie, kilka stało opartych o nią. Były duże, szaroniebieskosinoczarne, z rzadkimi przebłyskami jasności i opowiadały ponurą, postindustrialną historię. Opuszczone hangary, w których ktoś powybił szyby niemal we wszystkich oknach. Rozległe, wylane betonem podłogi zarzucone pojedynczymi, nikomu już niepotrzebnymi narzędziami. Fabryczne lampy, które dyndały na poprzecznych, obwisłych drutach rozpiętych między blaszanymi barakami. Opustoszałe magazyny zwieńczone wyszczerbioną rampą. Obrosłe sinymi chwastami kolejowe bocznice, które prowadziły donikąd. Wszędzie hulał bezkarny wiatr i niósł za sobą puste, plastikowe torebki namalowane kilkoma pociągnięciami pędzla. Ludzie opuścili te miejsca i nie zamierzali do nich powrócić.

Zza niedomkniętych drzwi łazienki dobiegał szum lejącej się do wanny wody. Pod jedną ze ścian stała szeroka na dwa metry, głęboka szafka z wąskimi szufladami. Części ubrania zawisły na dwóch krzesłach. Pusta butelka po whisky wciąż stała na

dużym, kreślarskim stole. Także pełna niedopałków popielniczka z czarnego szkła obok fajansowych kubków i glinianych wazoników pełnych pędzli, kredek i ołówków. A na sztaludze zagruntowane płótno. Zamknięte drzwi prowadziły zapewne do sypialni.

* Przepraszam, dopiero wstałam. Trzymałam się przez te całe dziewiętnaście lat, ale wczoraj, po tym, jak pani zadzwoniła, wszystko wróciło i nie uniosłam tego. To było bez sensu, tyle że nic innego nie przyszło mi do głowy. Wiem, że to żałosne, i nie będę się usprawiedliwiać. Nigdy już tego nie powtórzę.

Agata wyjęła z torebki fotografię i położyła ją na stole. To była ta, na której ona i Horst Meyer stali ramię w ramię na tle hotelu Bałkan w Belgradzie.

* To zbrodnia, wydruk zdjęcia z komputera. Ale to on zrobił tę fotografię. Może to dobrze, że nie dożył czasów fotografii cyfrowej.

* Jest pani pewna?

* Jak tego, że wiem, kim jestem. Skąd pani ją ma? Agata opowiedziała o swoim spotkaniu z Uwe Meyerem.

Marianna sięgnęła po paczkę francuskich papierosów. Zapięta na dwa guziki koszula na moment odsłoniła jej nagą, drobną pierś. Miała bardzo ładne dłonie, choć ich delikatna, półprzeźroczysta skóra była już wiotka i pomarszczona. Dłonie starzeją się najszybciej. Wąskie, o długich i smukłych palcach i krótko przyciętych niepomalowanych paznokciach. Zapaliła papierosa, nie odrywając wzroku od fotografii.

* Na co dzień robił straszne gówna, dlatego musiał to odreagować. Podwójny portret, tak to sobie wymyślił. Stawiał obok siebie ludzi, których sam wybierał, których zazwyczaj nic nie łączyło, wyłącznie jego własna, egoistyczna i arbitralna decyzja. Może pani tego nie wie, ale artysta jest, kurwa, próżny.

Z papierosem w ustach, mrużąc podrażnione dymem zielone oczy, podeszła do szerokiej szafki, otworzyła jedną z szuflad i wyjęła z niej dużą tekę z grubej tektury. W prawym górnym rogu ciemniał wytłoczony napis „arte”. Położyła tekę na podłodze i kucnęła obok. I teraz Agata już nie miała wątpliwości, że była całkiem naga pod tą męską, spłowiałą koszulą. Poczowała się nagle skrepowana, bezradna i

zwyczajnie zawstydzona. Jej matka, gdyby żyła, miałaby dzisiaj sześćdziesiąt pięć lat. Tylko cztery lata więcej. Ale zmarła banalnie w wieku pięćdziesięciu trzech. Wracając z pola, poślizgnęła się w błocie i upadła, uderzając głową o kamień. Pęknięcie kości podstawy czaszki ze skutkiem śmiertelnym natychmiastowym. Marianna otworzyła tekę i wyjęła z niej fotografie. Było ich bardzo dużo, wszystkie takie same jak ta, którą przywiozła z Warszawy. Czarno*białe, identycznie skadrowane. Tylko ludzie się zmieniali i tło za ich plecami. Raz był to plener, innym razem wnętrze. I były większe. Odbite na połyskliwym papierze fotograficznym wysokiej klasy.

* Wie pani, kim jest ta dziewczyna na fotografii?

* Nie i umówmy się, nie chcę wiedzieć. Miałam czterdzieści dwa lata, kiedy przepadł na tej parszywej wojnie. Prawie dwa lata czekałam na niego. To nie jest fajny wiek, żeby układać sobie życie od nowa. Nawet nie mieliśmy psa.

Dwa lata. Tylko zakochana kobieta może mieć taką wiarę. Nie powiedziała jej, że zaledwie po upływie pół roku konsul Andrzej Szpak uznał, że już nie ma sensu go szukać, bo na bank nie żyje. Piękny Lolo nie czekałby nawet trzech miesięcy.

* A dzieci? * Już wiedziała, że to najgłupsze z możliwych pytań.

* Litości. Mężczyzna, który wiąże się z kobietą starszą o dziewięć lat, nie robi tego po to, żeby mieć dzieci. Proszę mi wybaczyć, upiłam się i zapomniałam, że ma pani przyjechać. Obudziłam się na straszliwym kacu i postanowiłam wziąć kąpiel. Zaraz woda mi się przeleje.

Marianna odwróciła się do niej plecami tak, jak zrobiła to w drzwiach wejściowych, i zgrabnym krokiem zniknęła w łazience. Po drodze zgasła papierosa w przepelnionej popielniczce. Drzwi łazienki zostawiła szeroko otwarte. Szum wody ustał. Agata została sama w dużym, wysoko sklepionym wnętrzu wypełnionym dziwnymi obrazami. Podwójne, czarno*białe portrety leżały rozrzucone niedbale na podłodze. Jeden portret nie robił wrażenia, ale teraz, gdy było ich tak wiele, poczuła niepokój. Nie wiedziała, co ma zrobić. Gdzie się podziała nadkomisarz Agata Zawadzka, słynna z okropnego charakteru? Uparta, knąbrna i upierdliwa. Zimna jak lód suka. Beznadziejnie logiczna pizda. Zagubiła się. Gdzieś w pół drogi, między

nieoznakowanym radiowozem a ostatnim, jedenastym pięciem wieżowca z wielkiej płyty. Najpewniej w windzie. Zdjęła kurtkę, którą położyła na oparciu krzesła zajętego przez stanik Marianny. I niepewnie stanęła przy otwartych drzwiach łazienki.

* Dzwonił do pani? * zapytała.

* Raz, dwa razy w tygodniu. Proszę sobie usiąść na kłocie. Przecież nie zjem pani. Agata weszła do łazienki i posłusznie usiadła na opuszczonej klapie sedesu, a zielone oczy spojrzały na nią przenikliwie.

* Chyba że masz z tym problem, co?

Nie знаła poprawnej odpowiedzi na to pytanie. Męska koszula leżała na podłodze. Marianna nie użyła płynu, więc woda była przezroczysta. Agata zawsze myślała, że nagie ciało kobiety w tym wieku jest już tylko bezbronne. Nie przyszło jej do głowy, że może być piękne. Nie potrafiła się oprzeć i zagapiła się na nią.

* Opowiadał o tym, co się tam działo? Co robił?

* Opowiadał, ale nic z tego nie pamiętam. Powiem szczerze, gównie mnie to obchodziło. Nienawidziłam tej pieprzonej wojny. To była chora zabawa posranych facetów, którzy nigdy nie wyrosli z chodzenia w krótkich spodenkach. I on zachował się tak właśnie. Jak małe dziecko w krótkich gatkach. Znienawidziłam go za to, że tam pojechał i mnie zostawił. I że tak dobrze się bawił.

* To znaczy?

* Po prostu dobrze. Czułam w jego głosie, że nie zamierzał wracać. Ze się tam odnalazł. W tej zgrai podjaranych facetów. Nie sądzisz, że to oznaka albo dzieciństwa, albo spedzenia? Bo albo wracasz do czasów silnego podziału na chłopców i dziewczynki, albo staję ci, bo dokoła są sami faceci. W dodatku, kurwa, w mundurach, z jakimiś strasznymi karabinkami. Przecież oni malują się na tę wojnę, jak baby na randkę. Możesz mi teraz wyjaśnić, o co chodzi? Dlaczego tu jesteś?

* Znaleźliśmy jej ciało w Warszawie. Mówię o tej kobiecie z fotografii.

* Nie oszczędzaj mnie. Już raz powiedziałaś o niej „dziewczyna”. Nie jestem ślepa. Na fotografii jest dziewczyna, nie kobieta. Nie traktuj mnie jak idiotki. Niczego mi

nie drukuj.

Zamilkła na chwilę. Jej zielone oczy przestały być czujne i zmatowiały jeszcze bardziej, zamyślane, a Agata nagle, na ułamek sekundy poczuła, że nie ona tu siedzi na opuszczonej klapie sedesu, ale Kaśka. A ona leży naga w wannie zamiast Marianny. A może to nie była ona czy jakaś Marianna, ale jej własna matka?

* Dlaczego tam pojechał?

* Jego najbliższy przyjaciel zmarł na raka. To był jedyny przyjaciel, jakiego miał. Wiem, że bardzo to przeżył. Był autentycznie przerażony, kiedy zobaczył go pierwszy raz po chemioterapii. Miał parcie, żeby się zderzyć. Z czymkolwiek. Chodzisz w spodniach, bo uważasz, że masz w nich mniejszą dupę?

* Spódnice są mało komfortowe w mojej pracy. Chyba mnie nie bierze, kiedy obcy faceci oglądają moje majtki.

* Możesz nosić dłuższe.

* Czuję się w nich jak walec drogowy. Czyj jest ten męski głos nagrany na sekretarce?

Zaśmiała się głośno. Z powodu tego walca.

* To syn mojej koleżanki. Mam obsesję na punkcie zboczeńców. To taki sygnał, że nie jestem tu sama. Gówno prawda, bo oczywiście, że jestem tu sama. Umyjesz mi plecy?

Agata usiadła na krawędzi wanny i wzięła gąbkę, którą podała jej Marianna.

* Masz męża? Dzieci? * zapytała Marianna.

* Rozwiodłam się. Mam dorosłą córkę.

Chciała ją zapytać o tę różnicę wieku. O te całe dziewięć lat. Dziewięć to nie piętnaście, ale to też duża różnica. Jednak znów zapytała o dzieci.

* Nie chciałaś mieć?

* Chciałam. Chciałam urodzić mu dziecko. Specjalnie się nie zabezpieczałam. Pomyślałam, że zajdę w ciążę i się zaprę, nie usunę, choćby mnie błagał. Choćby miał odejść ode mnie. Ale już kiedyś usunęłam, więc szansa, że zajdę koło czterdziestki, była znikoma.

Nie wiedziała, czyje plecy myje. Swoje własne? Matki? Nigdy nie umyła mamie

pleców. Nigdy nie widziała jej nagiej. Ale Marianna rozwiąła te wątpliwości. Bo wcześniej zgarbiona, nagle wyprostowała szczupły i kruchy tułów w wannie. Odwróciła do niej twarz, a zielone, ekscytujące oczy, otoczone siatką zmarszczek, spojrzały znad nagiego, połyskującego wodą ramienia. Uniosła piękne, stare dłonie do góry, położyła je na policzkach Agaty, która poddała się w zaparowanej łazience i pozwoliła Mariannie, żeby przyciągnęła jej twarz do swojej. I żeby pocałowała w usta. Delikatnie. Czule. Ale głęboko. A on nawet nie próbował jej pocałować, kiedy pieprzyli się minionej nocy.

* Idź już. Zamek jest zatraskowy. Więc po prostu trzaśnij drzwiami.

Trzasnęła. Po drodze minęła rozsypane na podłodze podwójne portrety. Na chodniku przed blokiem zapaliła papierosa. Pierwszego tego dnia. Szumiało jej w głowie. Dłonie drżały, gdy dzwoniła do Dagmary Kowalczyk, żeby przyjechała. Zaraz potem, żeby nie myśleć, wybrała numer Pieńka. Odebrał wreszcie. Głos, który usłyszała w słuchawce, był straszny. Przepity do spodu. Więc tak chorujesz, koteczku. Nie pamiętał Marcina K. Może nigdy nawet nie widział go na oczy. W ogóle słabo pamiętał czasy, kiedy kierował łódzkim oddziałem Neue Passauer. Zwolnili go, zanim sami zwinęli się z polskiego rynku. Człowiek bez talentu ma ciężko w życiu. Cały czas pod górę. W tyłki musi się wkręcać. A tych tyłków, w które musiał się wkręcić, było od pyty i ciut, ciut. Więc nic dziwnego, że w głowie zrobił się mętlik. Już w czasach PRL* u opanował sztukę wkręcania. Na przykład przez niemal dekadę był prezesem studenckiej spółdzielni pracy. Tyle że wtedy wkręcanie było łatwiejsze. Niosło ze sobą mniej upokorzeń. Bywało, że wystarczyła legitymacja członkowska PZPR. No i odpowiednia znajomość w Komitecie wojewódzkim. Ale często kończyło się na obaleniu flaszki z towarzyszem sekretarzem, co, bądźmy szczerzy, nie było upokarzające. Już na przednim siedzeniu radiowozu, obok Dagmary Kowalczyk za kierownicą, przypomniała sobie Naczelnego. Oni na pewno dobrze się znali. Mieszka w Warszawie. Jeśli jeszcze żyje. Mieszkał przy Balonowej. To dziwne, że wciąż to pamiętam. Ale człowiek różne głupie rzeczy pamięta. Na ten przykład taką Balonową. Więc w drodze do Łodzi Fabrycznej zadzwoniła do Osieckiego, podała

nazwisko i powiedziała o Balonowej, żeby coś ustalił. Cokolwiek, co nas choć trochę zbliży. Może żyje i nie zmienił adresu.

W jednym z barów, które rozpleniły się wokół dworca, zjadła okropnego hamburgera z frytkami, zapiła go colą i z ulgą wyjechała z Łodzi. Zniecierpliwiona mijała Koluszki i Skierniewice, Żyrardów, żeby wreszcie zobaczyć Pałac Kultury i Nauki. Nie chciała myśleć o tym, co stało się niespełna dwie godziny wcześniej. I uparcie nie chciała myśleć o tym, co wydarzyło się minionej nocy. Tyle że zapach jego ciała został, przynajmniej na chwilę, wyparty przez zapach powietrza, które Marianna wydychała przez nos w trakcie pocałunku. I smak jej ust. Śliny. Języka. Trzy miesiące po tym, jak skończyła szesnaście lat, Agata pierwszy raz pojechała sama do Warszawy. Poszła do kina Skarpa, które zostało jej ulubionym kinem, aż zrównali je z ziemią. Film był węgierski, ale aktorki, które zagrały dwie lesbijki, były polskie. Wróciła do siebie na wieś i długo nie mogła zasnąć. Cztery miesiące później przestała być dziewicą. Na wytartym dywanie kupionym od wędrownych Cyganów. Nie zadbał wtedy o nią. Zrobił swoje i poszedł. Nawet nie przytulił. Została z tym wszystkim sama. Z udami, na których zasychała krew.

Weber czekał na peronie. Zobaczyła go, gdy stała już przy drzwiach, czekając, aż zatrzyma się wagon. Wpadła w panikę. Nie była przygotowana na taką okoliczność. Coś dziwnego się z tobą dzieje, kobieto!

* Skąd wiedziałeś, że tu będę?

* Zadzwoiłem do komendy. Powiedziałem, że muszę się z tobą pilnie zobaczyć. Powiedzieli, że wracasz pociągiem z Łodzi. Podali godzinę. Nie odbierasz moich telefonów.

* Bo nie chcę ich odbierać. * Szybkim krokiem rzuciła się w stronę ruchomych schodów.

* Agata, musimy porozmawiać.

* Nie mamy o czym. To jakieś fatalne nieporozumienie. Chyba wypijeś za dużo, to wszystko.

* Nieprawda. Chciałem tego.

* Chciałem tego * powtórzył w samochodzie. I patrzył na nią błagalnie, gdy po

zaledwie kilkuset metrach zjechał corollą na chodnik i wyłączył silnik.

Nie chciała wsiąść do jego samochodu. Opędzała się od niego jak od natrętnej muchy, ale był zaskakująco uparty. Zdeterminowany. Więc wreszcie ustąpiła i stanęła przed wejściem do Dworca Centralnego, czekając, aż przyprowadzi samochód z parkingu. Zapaliła drugiego papierosa.

* Chciałem tego! * wybuchnął po raz trzeci i walnął otwartą dłonią w kierownicę, bo uparcie milczała od chwili,

gdy usiadła na przednim fotelu. Nadal milczała, kiedy wyłączył silnik.

* Mam czterdzieści cztery lata. Zaraz będę mieć czterdzieści pięć. A ty nie masz nawet trzydziestu. * Postarała się, by zabrzmiało to spokojnie i na zimno. * Masz do cholery żonę i dziecko.

* Przeszkadza ci to?

* Chyba tak. Mój mąż mnie zdradzał, dlatego się z nim rozwiodłam.

* Nie kocham jej * powiedział i odwrócił twarz w stronę samochodowej szyby po swojej stronie. Był szczery. Na granicy płaczu. Może nawet łzy stanęły mu w oczach, ale nie mogła tego zobaczyć.

* I pieprzę to, ile masz lat. Czterdzieści cztery czy czterdzieści pięć. * Głos mu się załamał. * Możesz mieć nawet sześćdziesiąt. Chciałem tego. I chcę nadal. Więc przynajmniej odbierz, kiedy do ciebie dzwonię.

* Dlaczego jej nie kochasz?

* Bo jest głupia. Za późno się przekonałem, że właśnie taka jest.

* Jak możesz tak mówić o matce swojego syna?

* Widać mogę, skoro mówię.

Wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami. Bez wątpienia to jej zawsze wychodziło najlepiej. Mam dość waszych chujów, które stają z byle powodu, ale dzieci robią bardzo konsekwentnie, tak właśnie powinna była mu powiedzieć, ale nie powiedziała. Bo to do końca nie było prawdą.

* Agata? * Wysiadł zza kierownicy i bezradny stał po drugiej stronie samochodu. * Przepraszam. Przepraszam za wszystko, co powiedziałem. Wsiądź. Zawiozę cię, dokąd chcesz. Po to przyjechałem.

* Co to ma być według ciebie? Mały romans na boku? Dobrze, to było naprawdę fajne bzykanie. Nie zaprzeczę. Zrobię ci solidną laskę. Należy ci się jak psu kość za to pierdolenie. Ale chcesz mi wmówić, że oszalałeś dla brzydkiej baby w średnim wieku z dużą dupą?

* Nie musisz być wulgarna. Nie jesteś brzydka. Uwielbiam twoją dupę. I nie wiem, czy oszalałem. Ale zapragnąłem cię. I było mi cholernie dobrze. Pragnę cię nadal, Agato. Dokąd chcesz jechać?

Na ulicę Balonową, bo Naczelnny rzeczywiście tam mieszkał, w bliźniaku z małym ogródkiem. Osieckiemu z Grudą wystarczyła ledwie godzina z małym hakiem, żeby ustalić jego adres. Naczelnny bardzo się ucieszył. Rok temu przeszedł na emeryturę i siedział w domu. Czekał na nią.

* Odbierzesz, kiedy zadzwonię?

* Zrobię to tylko dla ciebie. Rozbiorę się i obiecuję ci, wtedy ci minie. Mam to zrobić?

* Tak.

Bliźniacze segmenty z lat sześćdziesiątych zajmowały prawą pierzeję wąskiej, przytulnej uliczki w sąsiedztwie Fortu Mokotowskiego.

* To skandal, że tak szybko przerwali poszukiwania * zahuczał tubalnym głosem. Był więcej niż średniego wzrostu, masywny, zwalisty. I nie wyglądał na swój wiek. Miał czerstwą, rumianą, gładko wygoloną twarz, ładnie sklepioną, kompletnie łysą czaszkę i niebieskie oczy. Z energią poruszał się po zagraconym saloniku na parterze bliźniaka. Pomyślała, że Bogdański będzie wyglądać tak samo, gdy już przejdzie na emeryturę. Imbryk z pyszną czarną herbatą i dwie zgrabne filiżanki wniosła jego żona. Dla kontrastu drobna, starsza pani, siwiuteńka jak gołębek. Postawiła tacę na rzeźbionym stoliku, wokół którego rozłożyły się kanapa i dwa fotele. Agata usiadła w jednym z nich. Drugi był zajęty przez starego jamnika o posiwiąłym pysku. Który tylko na chwilę uniósł łeb do góry, wyciągnął nos w jej stronę, zmarszczył go, obwąchał na odległość i znów zapadł w sen, zwinięty jak precelek.

* Miałem wtedy przełożenia na Pałac Prezydencki, więc naciskałem ich, żeby użyli wszystkich sposobów, bo przecież nikt nie znalazł jego ciała. To znaczyło, że mógł

jeszcze żyć, prawda? Ale oni w kółko swoje.

Machnął ręką i położył przed nią niewielki stos pożółkłych, czarno*białych gazet sprzed blisko dwudziestu lat. Papier, jakiego dzisiaj już nikt nie używał. Maszyny, na których je wydrukowano, też dawno poszły na złom. Patrzyła na niewyraźne, czarno*białe fotografie, które Marcin K. przysyłał z linii frontu. Zatrzymała się przy jednej, dużej, zamieszczonej na pierwszej stronie „Kurier Łódzkiego”. Zrobił ją obiektywem o szerokim kącie. Siedząc w okopie. Lewą stronę kadru zapełniły sylwetki żołnierzy w mundurach, ale bez głowy, którzy zapewne do kogoś strzelali. A w środku kadru siedział młody chłopak w za dużym hełmie. Oparty plecami o zamykającą okop ścianę z ziemi, obie dłonie zaciskał na lufie kałasznikowa i przerażonym wzrokiem wpatrywał się w obiektyw.

* To okolice Vukovaru * powiedział Naczelny. * Ostatnie zdjęcie, jakie nam wysłał.

* Czy jego aktywność ograniczała się tylko do wysyłania fotografii?

* Był fotoreporterem. Niczym innym się nie zajmował.

* Kontaktował się z redakcją?

* Miał taki obowiązek. Musiał zadzwonić przynajmniej raz na dwa dni. Pojechał na wojnę.

* Pamięta pan, o czym wtedy mówił przez telefon?

* Pamiętam bardzo dobrze naszą ostatnią rozmowę. Jestem w takim wieku, że doskonale pamiętam, co wydarzyło się trzydzieści lat temu, a z trudem przypominam sobie, co

robiłem wczoraj. Zapytał mnie, czy redakcja zapłaci ekstra za tekst niemieckiego dziennikarza, którego poznał w Belgradzie i z którym zaczął współpracować w Osijeku. Zapytałem go, o czym miałby być ten tekst. Nie odpowiedział. Był bardzo podekscytowany. Powiedział tylko: Mamy rewelacyjny trop. Poczekaj na wyniki. Zadzwonię pojutrze. Już nie zadzwonił.

* Nic więcej nie powiedział?

* Powtórzyłem pani całą rozmowę. Dodał jeszcze, że świetnie się czuje, że wszystko w porządku i tak dalej. Smakuje pani herbata? To assam. Już nie powinienem pić takiej mocnej i czarnej, ale nie mogę bez niej żyć.

* Jest świetna. Nie domyśla się pan, o co mogło chodzić?

* Nie. Nie pamiętam, żeby wcześniej cokolwiek sygnalizował. Siedział w Osijeku jak inni i niemal codziennie przedzierał się do Vukovaru. Tam, zdaje się, było nieźle piekło. To taki chorwacki Stalingrad. Chociaż chyba w porównaniu z tym, co działo się później w Bośni, to małe miki.

* Dobrze go pan znał?

* Naczelnym musi znać swój zespół. Nie izolowałem się zresztą. Pijaliśmy wspólnie wódkę. Ze dwa razy napiłem się z nim indywidualnie. Wszyscy tego wówczas łoiłiśmy.

* Rozmawiałam przez telefon z Pieńkiem. To znaczy, wreszcie udało mi się do niego dodzwonić.

Naczelnym uśmiechnął się rozbawiony.

* On jest odrębną kategorią. Chyba już trzydzieści lat, jak ma regularne ciągi. To taka gnida, którą jednak coś pewnie gryzie. Myślę, że to go oczyszcza w jakiś sposób. Wie pani, urodziłem się w Warszawie. Żona i córka tu zostały, a ja tam, w tej strasznej Łodzi.

* Myśli pan, że jest straszna?

* Dla mnie przyjazna nie była. Dziesięć godzin w redakcji, a potem już tylko hotel z widokiem na dworzec kolejowy.

Przyzna pani, że to sprzyjające okoliczności. Na szczęście nigdy nie utraciłem kontroli i mam już to od dawna za sobą. Teraz to już tylko assam.

* Dlaczego tam pojechał?

* Myślę, że chciał. Sam do mnie z tym przyszedł. Z naszej strony to był prestiż.

Lokalna gazeta, która ma własny serwis fotograficzny z wojny na Bałkanach.

Wydawca dopiero wchodził na polski rynek, więc chętnie sypał groszem. Z drugiej strony, to było ryzyko. W dniu, kiedy wyjechał, ważniejsza była Moskwa. Pucz Janajewa. Pieńki, kiedy wytrzeźwiał, dostał histerii, że wyrzucam pieniądze jego pryncypała na jakiś lokalny konflikt. Pucz Janajewa trwał kilka dni, a wojna na Bałkanach kilka lat. I to była prawdziwa trauma tego kontynentu.

Zamilkł zmęczony. Przywołany wspomnieniami.

* Jaki był?

Odparł dopiero po chwili.

* Prosty. Nawet bardzo. Trochę wycofany. Wydaje mi się, że nie lubił skupiać na sobie uwagi. Był trochę przezroczysty. Ale to jest akurat dobra cecha dziennikarza. Fotoreportera też. Robił świetne zdjęcia. Z najbardziej banalnego gówna potrafił zrobić dzieło sztuki. Mało mówił.

Agata wyjęła z torebki wydrukowaną z komputera fotografię i położyła ją na rzeźbionym stoliku.

* Zrobił to zdjęcie. Prawdopodobnie w Belgradzie. Ten mężczyzna to Horst Meyer, niemiecki dziennikarz, o którym wspomniał pan przez telefon. Został tam zastrzelony. Nie wiemy, kim jest ta kobieta. Prawdopodobnie znaleźliśmy jej ciało w centrum Warszawy. Prawdopodobnie, bo miała zmasakrowaną twarz, więc mamy tylko jej hipotetyczną rekonstrukcję. Ale czegoś muszę się trzymać. To o nią tu chodzi. Ona jest ofiarą.

Długą chwilę wpatrywał się w fotografię.

* Mogła być jego tłumaczką.

* Po co mu była tłumaczka, skoro tylko fotografował?

* To był mój pomysł. Pomyślałem, że wszyscy opowiadają o tej wojnie w czasie teraźniejszym. A przecież ona miała swoją historię. Zapuşciła korzenie pół wieku wcześniej. Poprosiłem go, żeby zrobił wywiad z Kneżevicem. Sam ułożyłem pytania i wysłałem faksem. Miał je tylko zadać, nagrać odpowiedzi, spisać i wysłać do Polski. No i zrobić przynajmniej jedno zdjęcie. Kneżević mówił słabo po angielsku, a Marcin nie znał innego języka. Dwa dni później zadzwonił z Belgradu, że ma tłumaczkę, która w dodatku miała jakieś ekstradojście do Kneżevicia.

* Kto to jest Kneżević?

* Był. Jeden z ojców założycieli Jugosławii. Jedyne, który wówczas jeszcze żył. Rozłożył przed nią kolejną pozółkłą płachtę zadrukowanego papieru. Jej środek zajmował czarno*biały pojedynczy portret we wnętrzu. Dobiegający osiemdziesiątki, groźny i siwy starzec siedział za dużym stołem na krześle. Stół był goły i odbijał światło. Za plecami starca wisiał na ścianie ogromny, pewnie olejny pejzaż.

Monumentalne, nieco kiczowate i poszarpane szczyty gór. Wszystko było wyraźne, mimo starych maszyn, bo tym razem też użył obiektywu z szerokim kątem. Czasami naśladował Billa Brandta, powiedziała by Marianna. Najwyraźniej nie mógł się zdecydować, bo te portrety były trochę jak z Avedona.

* Był Czarnogórcem * powiedział Naczelnny.

Przytulną uliczkę rozświetlało ledwie kilka latarni. Powietrze było jeszcze bardziej wilgotne niż za dnia. Skręciła w prawo, w Raławicką. Jej sześć pasów, po trzy w każdą stronę, było zakorkowane. Minęła Wołoską i weszła w Odyńca. Szła prawą stroną, wzdłuż wysokich i ponurych, stalinowskich domów, identycznych jak ten, w którym mieszkała. Od ogródków działkowych ciągnęło chłodem. Za każdym razem, kiedy mijała boczną uliczkę, dopadał ją podmuch silniejszego wiatru. Czy to się w ogóle składa do kupy? Czy to wszystko ma jakiś sens? Może to tylko taka zabawa? Rozpaczliwie bawię się w archeologa, zamiast wziąć się do jakiejś normalnej roboty. Bo przecież co z tego, że ten pachnący lawendą kioskarz rzeczywiście widział ją, gdy stała na Powiślu, obok mostu Poniatowskiego? Jaki to miało związek z tym, że blisko dwadzieścia lat temu Marcin K. sfotografował ją w Belgradzie w towarzystwie Horsta Meyera? Niemniej wyjęła telefon i wybrała numer jego brata. Był zaskoczony, ale nawet nie zapytała, czy ma czas i może rozmawiać.

* Czym zajmował się pański brat przed śmiercią?

* Prawdopodobnie zbierał materiały do reportażu. Horst pracował dla tygodnika. Nie wysyłał newsów.

* Chodzi mi o to, czy wie pan, o czym lub o kim miał być ten reportaż.

* Czy to jest ważne?

* Nie wiem. Po prostu czepiam się wszystkiego. W słuchawce zapadła cisza.

* Może pan to sprawdzić? * zapytała.

* Nie bardzo wiem, jak.

* Nie zostały po nim żadne notatki?

* Są w Berlinie. A ja jestem tu, w Warszawie, i nie mogę się stąd ruszyć.

* Próbuję ustalić, kim była ta kobieta. Przepraszam, nie będę już panu zawracać

głowy.

* Odezwę się do pani.

Zatrzymała się na rogu Odyńca i Puławskiej. Mimo późnej godziny zewsząd otaczał ją tłum ludzi. Powinna była coś zjeść, ale łódzki hamburger z dworca wciąż leżał w żołądku.

Zadzwoiła na strzelnicę, ale od razu powiedziała, że nie ma przy sobie broni służbowej. Coś tam się znajdzie dla pani komisarz. Zapraszamy.

Złożyła podpis, odebrała naboje i napełniła nimi magazynek wysłużonej beretty. Z przyjemnością objęła dłonią kolbę. Poczła nawet lekki dreszcz podniecenia.

Przeładowała i spojrzała na tarczę. Nie było już na niej twarzy Mielcarka. Nie było na niej żadnej twarzy. Tylko czarny schemat sylwetki. Więc wycelowała odważnie i nacisnęła spust. Poczła nagły spokój. Rytmiczny, niespieszny huk wystrzałów zabrzmiał jak kołysanka. Uśmiechnęła się. Po pierwszej serii dowiedziała się, że skupienie ma wciąż dobre, ale zwyczajnie wyszła z wprawy. Przy drugiej serii poprawiła skupienie, a przy trzeciej wróciła pewność ręki. Rozluźniona i zrelaksowana pojechała do domu. Czekając na autobus, cichutko zagwizdała pod nosem Joe le taxi. Oczywiście okropnie fałszując.

Kaśki jeszcze nie było. Ledwo zdjęła kurtkę, buty i zaczęła rozpinać spodnie, zadzwonił jej telefon.

* Cześć, tu stara lesba z miasta Łodzi * usłyszała zachrypnięty głos Marianny. *

Masz siłę, żeby ze mną rozmawiać, czy już mnie tylko nienawidzisz?

* Mam siłę.

Uśmiechnęła się. Weszła do salonu i dociskając ramieniem telefon do ucha, zdjęła spodnie, których już miała szczerze dosyć po całym dniu.

* Pamiętasz takie stare sekretarki automatyczne? Duże pudła podczipione drutem do telefonu? Z kasetą w środku?

* Pamiętam.

W skarpetkach i majtkach podreptała do łazienki, zatkała wannę i odkręciła oba krany.

* Kiedy mnie zapytałaś o ten głos na mojej sekretarce, coś mi zaświtało, ale jeszcze

nie wiedziałam co. Przypomniałam

sobie kilka godzin temu. Zachowałam ostatnią kasetę, na której zostawił swoje wiadomości. Odsłuchałam ją tylko raz i nie pamiętam, co mi tam nagrał. Drugi raz nie będę jej słuchać. Nie chcę sobie przypominać barwy jego głosu. Poza tym nie mam już takiego sprzętu. Ale tobie może się do czegoś przydać. Chcesz ją czy mam wyrzucić do śmieci?

* Chcę. * Spojrzała na zegarek. * Jutro ktoś do ciebie podjedzie. Prawdopodobnie będzie to młodszy aspirant Dagmara Kowalczyk. Po prostu dasz jej tę kasetę.

Dziękuję, że zadzwoniłaś.

* Czasami jeżdżę do Warszawy. Mam tam przyjaciół. Chodzę na ich wernisaże. Pójdziemy na kawę?

* Pójdziemy.

Od razu zadzwoniła do Dagmary Kowalczyk. Nie ma sprawy. Zajrzę jutro do niej. Kasetę wyślę najbliższym pociągiem.

Zasnęła w wannie. Obudziła ją Kaśka przeciągłym cześć, gdy weszła do mieszkania. Woda wciąż była ciepła, więc nie mogła spać zbyt długo, ale zdarzyło się to pierwszy raz. Starzeję się i jestem coraz bardziej zmęczona. Może Kozyra miał rację z tą wcześniejszą emeryturą?

* Mogę wejść?

Tym razem zapytała przez drzwi.

* Oczywiście, kochanie.

Kaśka weszła do łazienki, umyła nad umywalką dłonie i usiadła na opuszczonej klapie deski klozetowej.

* Pojutrze wracam do siebie. Już nie będziesz się męczyć.

* Czy ja ci powiedziałam, że się męczę? Bardzo się cieszę, że znów mogłam z tobą pomieszkać. Może zostaniesz? Chciałabym, żebyś została.

Kaśka spojrzała na nią zaskoczona.

* Właśnie teraz?

* Nie rozumiem.

* Nakryłam cię z facetem w łóżku. Fantastyczna sprawa, ale na dłuższą metę to może

być krępujące i dla ciebie, i dla mnie. Może się zdarzyć, że będziesz chciała, żeby został na noc. Chyba nie chcę go oglądać rano w gatkach.

* Jeszcze raz przepraszam cię za ten incydent, ale obiecuję, że on już się nie powtórzy.

* Bo co? Nie zadzwonił?

* Dzwonił jak oszalały. Czekał na mnie na dworcu i odwiózł tam, gdzie chciałam.

* Ja pierdolę! Zakochał się w tobie. Musisz mieć wolną chatę. Przecież nie będziecie się włóczyć po hotelach.

* Kaśka, wróć! Byłam notorycznie zdradzana przez twojego ojca. Mam teraz sprawić, że inna kobieta będzie zdradzana? Czy to jest według ciebie uczciwe?

* Nigdy nie sądziłam, że jesteś feministką.

* Ale za to ty jesteś, prawda? Bo to się spójnie składa z twoimi poglądami na życie i na świat.

* Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa, mamo.

* Życie nie sprowadza się do czyszczenia komina. Czasami jestem samotna, to wszystko. I to jest fajne, kiedy wiem, że wcześniej czy później, ale wrócisz do domu. Kaśka była szczerze zakłopotana.

* Jestem z Jackiem. Poza tym Marta nie da rady sama z opłatami za mieszkanie. To, że jej stary ma dwa tartaki, nie znaczy, że ją rozpieszcza.

* Wiem. Tak tylko powiedziałam.

Kaśka wyszła z łazienki. Agata wytarła się i poszła do sypialni. Zasnęła jak dziecko. Nikt jej się nie przyśnił.

28

Szesnaście lat temu spotkali się w tej samej kawiarni, w której on spotykał się z mężczyzną w białym garniturze. To był czysty przypadek, ale ustronne, położone na uboczu miejsce w sposób naturalny przyciągało takich jak on i jemu podobnych. Był ciepły, letni wieczór. Zmierzchało się. Bruce 2 przyszedł pieszo, bo uznał, że wyczerpujący marsz pod górę, która królowała nad tą częścią miasta, dobrze zrobi na

brzuch, który zaczął go wreszcie irytować. Zasapany usiadł na maleńkim tarasie z pięknym widokiem i poprosił o piwo. Bruce 1 przyjechał samochodem cztery minuty później i zamówił capuccino.

Jakiś czas temu postanowili obaj, że o pewnych sprawach nie będą rozmawiać na terenie ambasady. Bo choć wcześniej Wayne tylko oficjalnie o niczym nie wiedział, to od jakiegoś czasu prywatnie, w cztery oczy i przy drinku utrzymywał, że naprawdę nic nie wie. Nie opowiadaj mi bajek, nawet nie chcę ich słuchać, śmiał się głośno i poklepywał biednego Bruce'a 1 po plecach. I choć obaj wierzyli bezgranicznie w lojalność, wierność i tak dalej, to jednak podsłuchana przypadkiem rozmowa, nie daj Bóg nagrana, byłaby ich osobistą katastrofą. Klęską, która nieodwracalnie zmieniłaby ich życie. Tylko Michelle byłaby zadowolona, że wracają do domu.

* Zabiłbym go * powiedział Bruce 2. * Zrobiłbym to z największą przyjemnością.

* Już od dawna jest w tym lepszy od nas. Poza tym co zrobisz z ciałem? Czego chce? Pieniądzy?

* Tych to ma chyba tyle, że mógłby nas kupić. Nie mam złudzeń, że zbił fortunę na tej wojnie.

Bruce 1 posłał mu zdziwione spojrzenie.

* Nie rób z siebie głupka * powiedział Bruce 2. * W Szczecinie w ciągu jednego tygodnia odprawili dwa statki z bronią i żaden nie dopłynął do portu przeznaczenia. I myślę, że to jest wierzchołek góry lodowej. Chce nowej tożsamości.

* Zrób mu ją. Starannie i precyzyjnie. Przyłóż się. Zęby wyjechał i więcej tu nie wracał. Niech uczy dzieci w Niemczech. Albo we Włoszech. Nie, Włochy są za blisko. Daj mu trzy paszporty i trzy życiorysy. Żaden nie może być jednak amerykański.

29

Nie mógł spać. Poszedł do swojej ciasnej kuchni i wypił dwa kieliszki rakii. Zapalił serbskiego papierosa. Potem ubrał się i wyszedł z mieszkania. Włączył się bez celu ulicami szarego Powiśla, aż znużony wspiał się na skarpe. Wszystkie trzy bary

wzdłuż północnej pierzei placu Trzech Krzyży były jeszcze otwarte. Usiadł w pierwszym z nich i zamówił czystą whisky. Dochodziła pierwsza w nocy i bar był prawie pusty. Patrzył na samotną dziewczynę pod ścianą, blisko trzydziestki, która wysyłała SMS*a. Była szczupła i drobna. Miała jasne włosy, czarne rajstopy i krótką spódnicę. I buty na obcasie z marszczoną cholewką, która sięgała połowy zgrabnej łydki. Na blacie stolika stał drink zabarwiony grenadiną, a w popielniczce dopalał się cienki, smukły papieros. Podniosła wzrok znad telefonu i spojrzała na niego.

Odwrócił głowę. Choć żałośnie banalne, ale jedynie to właśnie słowo oddawało stan, w jakim się znajdował. Pustka. Wsiadł do pierwszej z czterech taksówek, które cwanie zaparkowały przed trzema barami przy placu Trzech Krzyży. Kazał się zawieźć na drugi brzeg, na Saską Kępę. Wysiadł dwie ulice wcześniej. Przeszedł pieszo te kilkaset metrów, wystukał kod w domofonie i wszedł na klatkę schodową. Kluczem otworzył drzwi mieszkania.

Sześć miesięcy, jak tu nie był. Pół roku. Wtedy wytarł kurze i uruchomił archaiczny odkurzacz z lat osiemdziesiątych, który swoim wyglądem przypominał robota R2D2 z Gwiezdných wojen Lucasa.

Wszedł do salonu i zdjął białe pokrowce, którymi po śmierci mamy nakrył kanapę, trzy fotele, mahoniową komodę. I czarny fortepian. Pod ścianą stał mały stolik na kółkach, a na nim dwie pokryte kurzem karafki z rżniętego kryształu, przywiezione ze Związku Radzieckiego. W jednej z nich był francuski koniak. Nalał go do pękatego kieliszka, który stał w kredensie. Zamieszał, wciągnął nosem aromat i wypił łyk. Ale nie odważył się, by podnieść klapę czarnego fortepianu. Usiadł z koniakiem na stylowej kanapie i poczuł nagle zapach nagiego ciała pulchnej i szerokiej córki pani Z., która dwadzieścia pięć lat temu narysowała mu czerwone serduszko. I dopisała: Tęsknię za tobą. Bardzo. Listy wysyłała na szczęście rzadko, ale i tak zapychały skrzynkę pocztową pod jego nieobecność. Każdy spalił zaraz po przeczytaniu. Dlaczego mi to robisz? Dlaczego taki jesteś? Przecież ja niczego nie chcę od ciebie, płakała nad żółtą kartką papieru w delikatną, czerwoną kratkę, którą wyrwała z zeszytu kupionego w hipermarkecie na północnym przedmieściu Montrealu. Chcę tylko, żebyś odpisał. Może zadzwonił, chociaż raz, żebym mogła

usłyszeć twój głos. Opanowała wreszcie francuski, poszła na kurs i definitywnie zakończyła swój nużący marsz z mopem po cudzych biurach, mieszkaniach i domach. Angielski też opanowała razem z komputerem i usiadła, nieco zagubiona, za skromnym biurkiem na szarym końcu ogromnego blaszanego magazynu, którego przepastną czeluść wypełniały gwoździe, śruby, śrubki i nakrętki importowane ze wschodniej Europy. Schudłam, ale tylko trochę, zachichotała, zaraz jednak spoważniała. Nie wiem, dlaczego tak tęsknię za tobą, ale mógłbyś to jakoś zrozumieć, prawda? Jakoś uszanować. Pojedyncze kropelki zasychały na żółtym papierze. Zdarzało się, że odkrywał ślad po większej plamie i to już nie mogły być łzy. Wówczas jej staranny, trochę ciężki charakter pisma, typowy dla osób bez wykształcenia, rozjeżdżał się. Stawał się po męsku zamaszysty. I potrafiła być wtedy wulgarna. Pisała o mężczyznach, którzy ją rznęli. Tak właśnie napisała, rznęli mnie. Streszczała ich lakonicznie, prostym językiem, który sprowadzał ich do rozmiaru i czasu, jaki zużyli na rżnięcie. Nie pisała o brzuchach, pocie i brzydkich zapachach. Muzułmaninowi, który wielką ciężarówką rozwoził gwoździe, śrubki i nakrętki, poświęciła kilka linijek więcej, bo był obrzezany. Nie miała wcześniej obrzezanych. Tych mężczyzn było kilku, ale widać żaden nie zastąpił tego, za którym uparcie tęskniła. Bo w następnym liście znów padało to nieprzyjemne słowo, samotność. Wreszcie zamilkła. Miała już wtedy pięćdziesiąt sześć lat i chyba zrozumiała, że to było żałosne. Może jednak nie, skoro wciąż pamiętał zapach jej ciała. Jego miękkość. Jej drobne stopy. Brak pewności w naiwnych, brązowych oczach. I to, jak bardzo była zakłopotana własną nagością.

Spróbował policzyć i uporządkować trupy, które zostawił za sobą. Był słaby z rachunków i nic z tego nie wyszło. Więc pomyślał o żywych, których też zostawił. Którzy podobno mu zaufali. Tak przynajmniej mówili. I wierzyli głęboko, że kara ich ominie. Ze jeśli nawet jest, to on ją weźmie na siebie. Za wszystkich. Jakżeż się pomylili. Szczerze zdziwieni, że wszystko zostawił na głupiej głowie tego biednego Milana ze śmiesznym wąsem, który już do końca życia będzie opłacać się równie głupim policjantom, żeby tylko udawali, że jest niewidzialny. Jeśli jeszcze w ogóle żyje. Wdowa po profesorce literatury hebrajskiej z uniwersytetu w Atenach nie miała

na ten temat żadnych informacji. Każdy z nich uciekał i chował się, potem plątał w zeznaniach, budując obraz człowieka, którego nigdy nie było.

* Chcesz mi powiedzieć, że to jest właśnie twój sukces? * zapytała jego nieżyjąca matka.

Po raz pierwszy nie odpysknął jej. Spojrzała na niego z troską. Była pomarszczona jak suszona śliwka. Rozhuśtane niegdyś pod letnią sukienką balony o wyrazistych sutkach zamieniły się w obwisłe naleśniki.

* Jesteś sam. Nie masz nikogo. Czy to cię nie boli? Zaraz będziesz stary. Czy ty wiesz, jakie to straszne umierać w samotności? Kiedy nie masz siły, żeby wstać z łóżka, i kiedy jej nie masz, żeby w nim leżeć? Kto cię, kurwa mać, wspomni, jak już umrzesz? Ci, których tak bezmyślnie zabiłeś? Śmiejesz się z innych, ale ty też upiłeś się tą wojną. I teraz nie wiesz, co masz począć ze sobą, tak?

Tak.

* Jesteś bezradnym potworem. Mechagodzilla, która już nie ma żadnej mocy. Jakże żałuję, że nie urodziłam jeszcze jednego dziecka. Fakt, byłam na to za stara. Kłamiesz. Urodziłaś mnie tylko dla poprawy własnego wizerunku. Nigdy nie byłem wam do niczego potrzebny. Miałaś pięćdziesiąt trzy lata i powiem ci to właśnie teraz, wiem, że majtek też nie wkładałaś. Myślisz, że tego nie widziałem?

Zawiózł ją samochodem ojca na działkę towarzysza X z Komitetu Centralnego, gdzieś na skraju Puszczy Kampinoskiej. Wyniosły i zasepiony towarzysz X, na co dzień w ciężkim, dwurzędowym garniturze jak ze stali, był tym, dzięki któremu mogła odrobinę więcej niż inni. Asekurował ich zbiorowe siedzenie okrakiem, od którego ból był ciut mniejszy. Tylko po dziś dzień nie mógł pojąć, czy chodziło o niego, czy o jego siedemnastoletniego syna. Bo był czerwiec, niedziela, godzina trzynasta, i rozproszoną grupą spacerowali środkiem leśnej drogi. Szła przodem, pogrążona w dyskusji. Więc widział, jak ciepły i niespieszny wiatr przykleił cienką sukienkę do ciała i odrysował gołą pupę jego własnej matki. Nie mógł w to uwierzyć i nie mógł oderwać wzroku od tych pośladków, które pozbawione formy przelewały się przy każdym kroku. Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego znów musiałem być na to narażony? Tym razem na tę kepe

szarobrązowych kłaków między twoimi udami, które rozwarłaś na okamgnienie, przekładając jedną nogę na drugą, gdy usiedliśmy wreszcie na werandzie, zatopieni w wiklinowych fotelach, a letnia sukienka za bardzo podjechała do góry.

Siedemnastoletni syn, który dwa lata później pojedzie na studia do Moskwy, jak zaczarowany wgapił się w jej łono. Myślisz, że nie zauważyłem, że mu stanął? Więc nie pierdol mi tu o macierzyństwie. Wiem, że nigdy tak naprawdę nie zdradziłaś ojca, ale wiem, że w redakcji, wieczorem po zebraniu, przy szybkiej wódce, w gorączce dyskusji o perspektywach eurokomunizmu, o Berlinguerze, leniwie poruszałaś dłonią zanurzoną pod stołem w spodniach sekretarza redakcji. Zgoda, był zdecydowanie młodszy od ojca, ale na litość boską, jak wyglądał? Ugniatałaś tę jego żalną mizериę, potrząsałaś nią w nadziei, że wreszcie podniesie się i urośnie. Tych kilka szarych kropli, które spadły na twoją dłoń, to było całe чудо. Na nic więcej nie było go już stać. Bo pił na umór. Więc powiedz mi, dlaczego to robiłaś? Nie usłyszał odpowiedzi. Już nie chciała z nim rozmawiać, obrażona. Nalał sobie jeszcze koniaku, wypalił serbskiego papierosa i zasnął na kanapie. Nie zdjął nawet ubrania. O czwartej nad ranem poczuł chłód, nieprzytomny zwlókł się z kanapy, sięgnął po biały pokrowiec, który wcześniej przykrywał czarny fortepian, opatulił się nim i zasnął natychmiast, skulony jak niemowlę.

30

* Novinar?

Marcin K., znużony upałem, kiwnął jedynie głową. Chorwacki gwardzista długo czytał napis „Poljska Press” na przedniej szybie samochodu, a lufa przewieszzonego przez ramię kałasznikowa stuknęła o drzwi samochodu. Siedział bez koszuli i czuł nieznośne swędzenie spoconych pleców przyklejonych do oparcia fotela.

* Osijek? Bum*bum. * Gwardzista zaśmiał się i przyłożył krawędź dłoni do szyi w geście, który w każdym języku znaczył mniej więcej to samo. Usłyszał ciche skomlenie. Do nóg gwardzisty łąsił się mały kundel. Spod drelichowych spodni camouflage wystawały znoszone trampki. Jovana pewnie już się obudziła. Leniwie

podniosła się z pościeli i naga, rozgrzana snem stanęła przed lustrem. Jeszcze nie zauważyła tej kartki na stole, na której napisał, że pokój i rachunki telefoniczne zostały już opłacone, więc po prostu wystarczy wyjść, zatrzaskać drzwi, a klucz zostawić w recepcji. Vladan ze „Studia b” powiedział, że mogła być kochanką Kneževicia. Nie uwierzył.

* Mógłby być jej dziadkiem.

* Władza daje siłę.

* On już nie ma władzy.

* Ale miał. Większą niż ktokolwiek dzisiaj. Wiem jedno, trzeba na nią uważać. Także na tego dziwnego człowieka, z którym się ją widuje. Podobno to jakiś uniwersytecki goguś, ale słyszałem, że to nie do końca prawda. Ktoś mi powiedział też, że mówi po polsku. Ze w ogóle ma dziwny akcent. Powinno cię to chyba zainteresować.

Kundel zjeżył się nagle i zaczął warczeć, bo na górnej warstwie worków z piaskiem ułożonych wzdłuż szosy pojawił się kot. Dzieci, które biegały między żeliwnymi krzyżakami przegradzającymi szosę, rzuciły się z wrzaskiem w stronę kota. Jeden z tych trzech, rozebranych do pasa, którzy siedzieli na ziemi oparci plecami o worki, tuż pod sterzącą w niebo lufą ciężkiego karabinu maszynowego, krzyknął coś do dzieci, po czym wyciągnął w stronę Marcina prawą rękę i rozczapierzył dwa palce tak, że stworzyły literę „V”. Marcin ruszył, a we wstecznym lusterku samochodu zobaczył nagle skrzywioną z niesmakiem twarz gwardzisty.

Wąska szosa wiodła przez płaski i nudny teren. Tylko na drgającej w rozgrzanym powietrzu linii horyzontu ciemniało kilka sklejonych ze sobą zabudowań. Z przydrożnego rowu wystawał kuper rozprutego pociskami transportera, na jego burcie ktoś wypisał białą farbą „hrvatska cesta”, a niżej, czerwonym sprayem „NDH”. Zatrzymał się, wysiadł z samochodu i usłyszał odgłosy wybuchów, które wzbijały do góry wodę Dravy, tuż przed tarasem hotelowego baru pełnego pijanych dziennikarzy.

* Jestem bydlę niegodne uwagi * mamrotał Czech, który też pisał i który właśnie oparł czoło o blat barowego stolika.

* Dlatego, że się boję * powiedział Horst.

* Właśnie dlatego schowam się w swoich papierach, bo one są jak arka. * Czech płakał. * A ja sam jestem tylko misiem o bardzo małym rozumku i już nigdy się nie dowiem, dlaczego on klęczał i tak na mnie patrzył.

* Rzeczywiście na niego patrzył?

* Wskoczył z kukurydzy. Mógł go zastrzelić. Miał broń. Nie zdążył, bo zaraz zjawili się Chorwaci. Wyrosli jak spod ziemi.

* Podobno od razu upadł przed nimi na kolana.

* Musiał się zesrać. Wiedział, że już jest trupem.

* Skurwysyn chciał się wyrwać z okrążenia jego samochodem. To jednak czyste skurwysyństwo.

* OK, widział jego oczy...

* Kiedy klęczał przed Chorwatami.

* OK, kiedy klęczał przed Chorwatami. I co z tego? Widział, jak do niego strzelili? * spytał Gough.

* Czy wszyscy Anglicy są tak pedantyczni?

* Tylko ci, którym płacą za każde zdanie.

* Jego gazeta płaci mu za każde zdanie.

* Kłamstwo!

* I jęknął, padając na kolana: eli lama sabachtani! Miał oczywiście na myśli wielkiego Słobo.

Tej samej nocy Marco wyniósł się z Royała. O piątej nad ranem oddał w recepcji akredytację. Nikt nie zauważył jego zniknięcia, aż do dnia, gdy zawisł na chuście, którą zwykł nosić na szyi.

* Pamiętam ją * powiedział Adrian. * Była czerwona.

* Była brudna * rzucił Gough. * I zadawała kłam powszechnej wierze w czystość Szwajcarów. Była obrzydliwie brudna, a on sam oglądał prysznic tylko w filmach pornograficznych.

* Czy ktoś pamięta jego nazwisko?

* Marco.

* To imię * powiedział Marcin.

* Szwajcarzy nie potrafią pisać.

* A Max Frisch?

* Był Szwajcarem? Ledwo dobrnąłem do połowy jego powieści, tej, no...

* Homo faber!

* Może. Nie pamiętam. Nie można pamiętać tytułu powieści, której się nie przeczytało.

* Ja pamiętam tytuły powieści, których nie czytałem. Homofaber.

Jak on mógł mieć na nazwisko? Szwajcarzy mają takie dziwne nazwiska.

* W ogóle go nie pamiętam * mruknął Czech.

* Powiesili go na gałęzi. Straszna śmierć. Ile miał lat?

* Dwadzieścia trzy * powiedział Marcin.

Skąd wiedział, że był Szwajcarem? Chyba pokazał mu swój paszport.

* Karmen powinna wiedzieć, kiedy oddał akredytację.

* Myślisz, że ją przeleciał? Ktoś mi mówił, że ona lubi młodych.

* Sama nie jest jeszcze taka stara. Tu w ogóle są ładne kobiety.

* Uwielbiam takie zgrabne rude czterdziestki jak ona. Kiedy siedzę na konferencji prasowej i widzę tę jej surową minę, te maleńkie zmarszczki wokół oczu i w kącikach ust, ten jej cholernie urzędowy garniturek, jak słyszę tę jej połamaną angielszczyznę, od razu mi staje.

Karmen czterdziestoletnia. Karmen w zielonoszarym kostiumie, spódnica przed zgrabne kolana, gdy siada, widać uda. Karmen rudowłosa. Karmen, rzecznik prasowy burmistrza. Karmen o karminowych ustach i zielonych oczach. Warta grzechu, zwłaszcza o dziewiątej rano, w zimnym, wysoko sklepionym wnętrzu miejskiego prosektorium, gdy jednym, zadziwiająco silnym i niespodziewanie stanowczym ruchem szczupłej dłoni o białej skórze, pod którą rysowały się drobne kości, ściągnęła z obitego blachą stołu płachtę brezentu, by zademonstrować zaproszonym ułożone starannie trupy ośmiu serbskich terrorystów w mundurach. Nigdy nie używała innego słowa jak „terrorysta”. Czasami wymknęło się jej „czetnik”, ale zawsze się poprawiała, serbski terrorysta. Miała jeszcze jakąś, ułożoną wcześniej, powtarzaną za każdym razem metaforę o koniu i jego tylnych kopytach, ale nie

potrafił jej przytoczyć z pamięci. Karmen, przedmiot pożądania.

* Zawsze myślę o tym, żeby zadrzeć do góry tę jej spódnicę. Myślisz, że tam, między nogami też jest ruda? Im więcej widzę trupów, tym bardziej chce mi się seksu. To mnie solidnie wkurwia.

* Powiesili go, bo się połapali, że nie jest jednym z nich.

* Szprycował się?

* A jakie to ma znaczenie?

* Jones też włożył mundur.

* Ale nie wziął broni i nie oddał akredytacji.

* Ale się szprycował.

* Brak profesjonalizmu. U Jonesa zaczęło się w Vukovarze, opowiedział mi o tym. Najpierw zobaczył jakieś zwęglone zwłoki na starówce i porzygał się...

* To normalne.

* A potem wlaź do tej piwnicy z beczkami na wino. Zobaczył te kobiety na składanych łózkach, pod kocami. Jedna z nich siedziała na takim maleńkim, wędkarskim stołku, a on był tylko w T*shircie, i dotknęła palcem jego nagiego ramienia, kiedy przechodził obok, i zapytała, czy nie jest mu zimno. Wtedy mu puściło. Popłakał się. Ja palę brown sugar. To bardziej bezpieczne niż szpryca. Pomaga, a nie odbiera rozumu. I możesz mieszać z brandy.

* Co mu, kurwa, strzeliło do tego szwajcarskiego łba, żeby przyłączyć się do oddziału najemników? Mieszkaliście w jednym hotelu, prawda?

* Na tym samym piętrze * powiedział Marcin. * Poza nami chyba tam już nikogo nie było.

* Gówniarz. To było widać gołym okiem. Nie szło mu. Siedział tydzień i nie wysłał ani jednej korespondencji. Za dużo hotelu i za dużo wszystkiego innego. To się musiało tak skończyć. Samotność i brak profesjonalizmu.

Oszalał, to było pewne. Szaleństwo czaiło się w ciemności hotelowego korytarza, który tamtej nocy zdawał się nie mieć końca. Bomby potrząsały miastem, a on siedział w pokoju, przy zgaszonym świetle i butelce taniego, dwuletniego wina, póki szyba w oknie nie rozprysła się na kawałki. Wówczas wypełził na kolanach z pokoju.

Mimo huku wybuchów usłyszał jego śmiech. Śmiał się sam do siebie, gdy dwa pokoje dalej, w stronę schodów, leżał w korytarzu, na plecach, palił i pił, a jego nogi wciąż były skryte za otwartymi drzwiami pokoju.

* Afghan rebel * powiedział i podał mu jointa.

* Dlaczego rebel? * zapytał Marcin.

* Pociągnij, to zrozumiesz * i cały hotel zadrżał od tego jednego pociągnięcia, a kolejne szyby posypały się z drewnianych framug.

* Chorwaci są dobrzy, a Serbowie źli. * Upity Duńczyk o zmroku w barze miał swoją skandynawską pewność. Duńczyków była dwójka: on i Mona R. Oboje pracowali dla jednej agencji. On pisał, Mona robiła zdjęcia.

* Czy jest w nich coś z Kierkegaarda?

* Protestancka paranoja.

* Katolicka jest ciekawsza * powiedział Czech. * Bardziej radosna.

* A Gough? * spytał Marcin. * Powinien być katolikiem, skoro jest Irlandczykiem.

* Szwajcarzy to chyba też katolicy.

* Wszyscy, których znałem, byli ateistami.

* Nic z tego nie rozumiem * mamrotał pijany i protestancki Horst.

* Moja babka ze strony matki była Żydówką, więc kim jestem? Żydem?

* Szabes gojem.

* Wśród Serbów ciężko spotkać antysemitę, tak mi się wydaje. Inaczej niż u Chorwatów. A Chorwaci to katolicy.

* Rosjanie też są prawosławni, a jednak żydożercy.

W którego z Bogów wierzył stary Pero? I któremu z tych Bogów podpadły psy, że odrąbano im łby? Który z tych Bogów sycił się ich krwią? Bo przecież pies nie chodzi do kościoła, tylko czeka przed drzwiami i merda ogonem. Więc nie może się zadeklarować. Czy zatem pies katolika jest też katolikiem i prawosławny Bóg zezwala, by odrąbać mu siekierą łeb? Powiesz, pies nie ma duszy, a ja ci odpowiem, nie byłbym tego aż tak bardzo pewien.

* Chińczycy jedzą psy.

* Ale oni, na szczęście, jeszcze nie należą do tej wojny.

Mona R. była zakłopotana, bo lokalna gazeta wydrukowała jej zdjęcie na pierwszej stronie. To było sprzeczne z etyką, podobnie jak chodzenie w mundurze. Pulchna kluseczka o dużym biuście. Miał ochotę na te dwa ogromne balony. Flirtowali w nocy na schodach, gdzieś w połowie drogi między faksem a salą pełną komputerów i maszyn do pisania. Była bardzo rzeczowa i nie chciała iść do jego hotelu. Więc zrobili to pośpiesznie i byle jak w męskiej toalecie na parterze, a noc czerniała wszystko dokoła bez opamiętania. Czarny asfalt, czarny czador i czarne oczy. Czarno*białe fotografie, które robił, bo jeszcze nie przeszli na nowe maszyny.

* Sprzedaj mi chociaż trzy klatki * poprosił Adrian, gdy o ósmej rano stali pod hotelem i Adrian nie przedarł się do Laslova, a on obiecał mu, że się przedrze.

* Niby jak?

* Na papieża. Papa Vojtila, to ich zawsze bierze.

Nawet dali mu kartkę z pieczęcią i gryzmołami „propustite ovog čoveka za Laslovo”. I pozując do fotografii, ucałowali duże krzyże z figurą Chrystusa, zawieszzone na szyjach.

* Ale robię tylko czarno*białe.

* Płacą mi za kolorowe. Ten baran nawet nie chciał ze mną rozmawiać. Wpycham mu swoją akredytację, a on, żebym ją sobie w dupę wsadził. Barykady, że nie przejedziesz. Zresztą rzeczywiście rąbią równo. Prosto w krzyż, czerwony na białym tle, który wymalowali na dachu szpitala. Zęby nie strzelali. A dla nich to, kurwa, doskonały cel. Podobno tam są tylko kobiety i dzieci. Tak powiedział jeden, który był szefem obrony cywilnej, ale zwiął, bo już nie mógł wytrzymać. Mówi, że dwa dni przedzierał się przez kukurydzę. I zostawił te kobiety z dziećmi. Jeśli to prawda. Jeden diabeł wie.

Ten akurat w tym czasie zatańczył na czetnickim weselu. Ogonem i kopytami rozbił butelki, a czerwone wino było jak krew panny młodej. Kapitan Dragan nie wyszedł jednak na balkon, żeby pokazać prześcieradło. Upozowany do fotografii w groteskowym, operetkowym mundurze, z pomadą na włosach. W gruncie rzeczy to przecież zwykły morderca. Ożeniony z szansonistką.

* Wiesz, ilu on ma żołnierzy?

* To psychopaci. Ucinają głowy, wrywają języki, wydłubują oczy.

* Skurwysyn nazwał ich kninja. Kninja! Jak nin*ja! Urodził się w Kninie. Nigdy nie zrozumie ich poczucia humoru. Cały czas przerzuca przez granicę bmw, mercedesy i audi. Inne go nie interesują. Wojna wojną, a to dobre serbsko*niemieckie auta, mówi. One zmażą wszystkie faszystowskie zbrodnie wobec serbskiego narodu. Niebezpieczny idiota, ale ma wdzięk. Przypomina mi pewnego Żyda z Treviry, którego znam. To wybitny artysta, rzeźbiarz, w prostej linii wnuk rabina Bukaresztu. Uwielbia

wiolonczelę, choć straszliwie fałszuje, i jest przekonany, że geniusz Bacha równoważy Auschwitz. A ta jego żona, jakież gówna ona wyśpiewuje, ale piekielnie ładna. I jaka młoda! Widziałem ją w obcisłych džinsach. Śpiewała na scenie w centrum Belgradu. Co za dupa! Pieprzy ją co noc, potem skok na linię frontu, wytłucze Chorwatów, powrót, i znów ją pieprzy. Rzeźnik.

Zaczynał skromnie, jako ochroniarz pana V., który lubił otaczać się jugolami. A było ich wtedy w Paryżu bez liku, choć nikt jeszcze wprost nie mówił o mafii. To było nawet dobrze widziane w towarzystwie, pochwalić się, że ochrona osobista to sami jugole. Niekwestionowany gwiazdor francuskiego kina też lubił się nimi otaczać. Choć w przeciwieństwie do pana V. udawał, że nie wiedział, czym zajmowali się po godzinach. Pan V. najbardziej lubił mieszkać w szesnastce, w blisko pięciusetmetrowym apartamencie na ostatnim piętrze pięknej kamienicy u zbiegu Avenue Foch i wąskiej Villa Said, aczkolwiek w samym tylko Paryżu miał jeszcze co najmniej pięć równie prestiżowo położonych nieruchomości. Nosił solidne francuskie nazwisko, ale wszyscy dokoła wiedzieli, że w jego żyłach płynęła również cygańska krew, która pewnie sprawiała, że gdy wpadał w gniew, tracił nad sobą kontrolę, i wtedy bywało groźnie.

Kapitan Dragan zaliczył dwie odsiadki we francuskich więzieniach i po każdej wychodził wzmocniony. Chociaż niemal w całości przeniósł swoje interesy na południe i do Niemiec, i kupił posiadłość w Alzacji, miłość do Paryża nie wywietrzała. Więc teraz, gdy wrócił do rodzinnego Knina, by wesprzeć rodaków, nadal miał przyjemny apartament w szesnastce i modny klub przy rue de Charenton

w dwunastej dzielnicy, rzut beretem od placu Bastylji. I opery, której jak dotąd nie odwiedził.

Marco oszalał i Marcin K. powinien był to zauważyć już tamtej nocy, kiedy piekło podeszło pod mury hotelu tak blisko jak nigdy dotąd, a on chodził na czworakach po korytarzu, nie bacząc na szkło, które sypało się z okien, pił i palił, pił i palił, i bełkotał, że dziewczyna ma go w dupie.

* Przez dziewczynę? * Horst zdziwiony i pijany rakiją, trzy piętra wyżej, w swoim własnym pokoju. * Nie wierzę. Bzdura.

* Ale interesująca * powiedziała by Gough.

Marcin też był pijany. Podobno ktoś strzelał z dachu wieżowca, w którym mieszkały rodziny oficerów Armii Federalnej. Poza tym noc była cicha. Jak w niemieckiej kolędzie. Więc dobrze było ją spędzić w chorwackim pokoju niemieckiego pismaka. Z chorwacką rakiją. Serbska jest lepsza. Prawosławni robią zdecydowanie lepszą wódkę niż katolicy. Nie zapominaj o irlandzkiej malt.

* Co z tą dziewczyną?

Nie pamiętał. Na pewno mówił coś o pustce. Czy chociaż raz wymienił jej imię? Chyba nie. Ani razu.

* Czy ktoś wie, do jakiego oddziału się przyłączył?

* W sztabie powinni wiedzieć. Musiał to chyba jakoś załatwić. Formalnie.

Ale tam zużyte ryje. Otepiałe i znużone, zryte bólem i napuchnięte wódką, przytulone do oksydowanych luf oprawnych w wyslizgane drewno, wspartych na kolanach camouflage. A grube palce o wyschniętej i spękanej skórze, która podobno przechowywała ziemię wszystkich kontynentów, mechanicznie ugniatały amerykańskie papierosy. Ramiona, też camouflage, chełpiły się naszywkami sławy, jak walizki na Okęciu. Zanzibar, Angola, Mozambik, Azja, Afryka, Afryka, Azja, Azja. Ale oczy rozbiegane, tylko pozornie poźółkłe i wyliniałe, raz a dobrze wprawione w ruch strachem, nie mogły się już zatrzymać. Jedyne znak życia w tych znieruchomiłych i zgarbionych górach mięsa, które obsiadły drewniane ławki wokół kwietnika w samym środku dawnej poczekalni. Podłoga z rudych płytek terakoty skrzypiała pod podeszwami masywnych butów.

* Najważniejsze, żebyś nie widział oczu, bo te są najstraszniejsze * powiedział Sasza, który był Rosjaninem. Ten obok miał francuski paszport, ale mówili, że urodził się w Wojwodinie.

* Bogu dzięki, rzadko je widzisz. Ja ich jeszcze nie widziałem. Tylko słyszałem, że są straszne. Tak mówią. Na szczęście chuj jeden wie, do kogo strzelasz i kto kogo trafia. Dzięki Bogu.

Któremu?

* Myślałem, że Rosjanie są u Serbów.

* U Serbów jest Oleg Trofimowicz, też z Omska. Chyba go nie zabiję, nie?

Taka nadzieja. Rozpuszczona w strachu, jak aspiryna. A strach, choć nużył, bo nigdy się nie kończył, wciąż potrafił zaskoczyć w zbyt płytkim rowie między łodygami przerośniętej kukurydzy, gdy próbował policzyć ilość długich kroków w poprzek piaszczystej drogi, do niebieskiej ściany z szyldem „London Bar”, która właśnie od tej strony wyznaczała roгатkę Vukovaru. Nie potrafił ich policzyć, więc przynajmniej chciał się rozplakać z tej bezsilności, ale tylko popuścił w spodnie. Jak pierwszego dnia w szkole, a matka, Zoja Stiepanowna z Omska, sprzątaczką, ojciec NN, krzyczała i biła otwartą dłonią w nagi, poczerwieniały tyłek. Z tym Afganistanem to łgarstwo. Nigdy tam nie był. W jednej chwili dzieciństwo i starość. Złał się w spodnie i nie mógł płakać, bo oczy suche jak u starca.

* Widziałem takie zdjęcie Avedona. Ezra Pound. Płakał bez łez. Suche oczy * powiedział Adrian.

* Syn mu umarł.

* Mój też * mógłby powiedzieć stary Pero. Ale mówił tylko o psach i wilkach.

* Heroina u mnie po czterdzieści marek za gram. Turecka. * Sasza pokazał zbrązowiałe słupki połamanych zębów. * A kałasznikowy węgierskie, wyśmienite jak ciepłe bułki. Od Greków.

* Chcesz o nim pisać? * zapytał Marcin.

* Może taki Szwajcar, z dziewczyną czy bez, jest ciekawszy od bombardowania? * powiedział Horst. * Bo detal, a w detalu jest dramat. W tych bombardowaniach nie ma już dramatu. Mam dość Vukovaru. Mam już ten Vukovar w dupie. Nawet jeśli

umierają tam tysiące.

Nie zapytali jednak w sztabie o oddział. Nie było takiej potrzeby, bo jeszcze przed zmrokiem zjawił się Tomislav H., który wiedział wszystko. Zasobny sprzedawca wieści z umieralni, skąd codziennie wracał przerdzewiałą dacją, zdezynfekowany po drodze tanim winem. Jego wieści były drogie, ale prawdziwe. Miał ich zawsze tyle, że starczało dla każdego, kto był przy forsie. Kosztowne i ekskluzywne zapowiedzi jutrzejszych nekrologów, nęka ti hrvatska zemlja budę lagana, którymi z lekka nawet zalatywał, choć może nie do końca świadom tego fetoru. Za dodatkową opłatą rozdawał jeszcze święte obrazki. Dwie enerdowskie praktyki, trochę obtłuczone, z kompletem obiektywów, upchnięte w zniszczonej torbie z imitacji skóry. Marcin K. chodził do szkoły, gdy podobne kusiły wzrok na wystawie sklepu „Kangur”, obok zamyszowych butów z Chełmka.

Nawet nie myśl o tym, co przechowuje jego głupia pamięć. Lepiej tam nie zaglądać. Papieros bez filtra w pomarszczonej i wiotkiej bibułce, który dopalał się między brudnymi palcami o skórze tak grubej, że nieczulej na żar ognia, i czarne od zakrzepłej krwi widoki wschodniej Sławonii. Choć też nie mógł zasnąć. Bogiem a prawdą, wszyscy pijemy z tej samej przyczyny. Żywy wyrzut sumienia bez sumienia, bo to jednak też hiena, tyle że miejscowa, więc odór trupa złamany perfumą cierpienia i współczucia. Uwodzicielski na swój sposób. Choćby te długie włosy i oczy. No i ta babka, która była Chorwatką, Węgierką, Czeszką, Polką, a nawet i Austriaczką, w zależności od tego, kto płacił za butelkę. Ciekawe, czy była też Dunką, bo to on umieścił zdjęcie Mony R. na pierwszej stronie „Glas Slavonije”. Mógł im się podobać, nawet duńskim, niskim kluseczkom z dużym biustem. Może zrobił to ociężale i leniwie, z brzuchem pełnym niestrawionej jeszcze baraniny, gdy jasnowłosa głowa oparła się czołem o dłoń przyklejoną do spękanych kafli toalety na parterze, na lewo od żółkłego i obtłuczonego pisuaru, do którego później oddał mocz.

* Nie znajdziecie tego oddziału w żadnej ewidencji * powiedział. A do Marcina rzucił: Zdziwisz się, kto go stworzył i kto nim dowodzi. Może się ucieszy, jak cię pozna. Na koniec mruknął w pokoju Horsta na trzecim piętrze: Oko za oko, ząb za

zab. I zasnął pijany.

31

Obudziła się wcześniej rano. Kaśka jeszcze spała, bo uczelnia była nadal zamknięta. Więcej czasu niż zwykle spędziła przed lustrem w łazience. W skupieniu studiowała każdą zmarszczkę i bruzdę na twarzy, skórę na szyi i dekolcie. Zrobiła staranny makijaż. Kiedyś uwielbiała się malować. Nawet nie wiem, kiedy to ze mnie wyparowało. Potem włożyła czarne rajstopy, wąską spódnicę i pantofle na podwyższonym obcasie. Nie zjadła śniadania. Wypiła tylko kawę, a kurtkę, która świetnie maskowała kształty, zostawiła w przedpokoju na wieszaku. Z szafy wyjęła płaszcz z czarnej wełny, który włożyła, idąc na spotkanie z Weberem, i stanęła przed lustrem. Tym samym, przed którym bała się stanąć nago. Niepewnie spojrzała na odbicie kobiety. Kaśka miała rację. Nie może być tak, że od faceta odróżnia mnie już tylko to, że mam piersi i pochwę.

W drodze do fabryki zatrzymała samochód przy starej Czerniakowskiej. Weszła do parku z Pomnikiem Sopera. Park był pusty o tej porze. Znow wiał silny wiatr, a ciemne chmury szczelnie zakrywały niebo. Szła główną aleją, obcasy przyjemnie stukwały na popękany asfalcie, i patrzyła na brązowe, przegniłe liście, które unosiły się nad ziemią i wirowały w powietrzu. Lepiej, żeby ta jesień jednak została i niech się nawet ciągnie do oporu. Do wiosny. W głębi duszy lubiła jesień, bo takie szare i bezbarwne miasto było chyba prawdziwsze. Przecież nie była dzieckiem, żeby tęsknić za śniegiem.

Minęła sylwetkę klęczącego sopera, zniszczonym przejściem podziemnym przeszła pod huczącą Wisłostradą i zeszła nad brzeg Wisły. Na końcowej ścianie przejścia podziemnego rozłożyła się ogromna, szara i ciężka płaskorzeźba. Żołnierze ludowego wojska wraz z Armią Czerwoną szturmowali rzekę, a nad ich pomyślnością czuwała warszawska Syrenka, bojowo wymachując mieczem.

Stanęła nad otwartą śluzą, oparła się plecami o balustradę i z trudem zapaliła papierosa, bo tu wiatr był jeszcze silniejszy. Głębiej naciągnęła beret na czoło. Z tej

perspektywy oba brzegi Warszawy wyglądały inaczej, bo biegnąca środkiem dziwna rzeka nie należała do żadnego z nich. Była odrębna. Eksterytorialna. Miasto, czy to z lewej, czy z prawej strony, nie miało dla niej żadnego znaczenia i nie wywierało na nią żadnego wpływu. Odkryła to jakieś dziesięć lat wcześniej i od tamtej chwili musiała tu przyjść, choćby na krótko, choćby raz w miesiącu. Bo właśnie tu czuła się dobrze. Bezpiecznie. W tym miejscu miasto nie było już takie żarłoczne. W oddali duży rudy pies myszkował szczęśliwy w nadbrzeżnych krzakach w towarzystwie zgarbionej, wysokiej sylwetki. Pojedynczy wędkarze bez pośpiechu rozkładali swoje akcesoria na pokruszonych, betonowych stopniach. Saperą nie było widać. Zastłoniły go drzewa. Odwróciła się i spojrzała na przystań Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Stare barki leciutko kołysały się na wodzie, ocierały o drewniane pomosty i skrzypiały. Obojętne na samochody, które pędziły Wisłostradą i Trasą Łazienkowską.

W fabryce usiadła przy biurku i sięgnęła po słuchawkę telefonu. Grudy i Osieckiego jeszcze nie było. Zadzwoiła do fabryki w Rykach i zapytała o spalony samochód.

* Jeszcze jest u nas * powiedział starszy aspirant Sebastian Krupa. * Ale za dwa dni mają przyjechać z wojewódzkiej i zabrać go do siebie. Więc musisz dzwonić do Lublina, koleżanko.

* Możesz go opisać?

* A co tu opisywać, koleżanko. Zjarany po całosci. Według naszych ustaleń to się musiało stać o drugiej, trzeciej w nocy. O tej porze nie ma tam ruchu. Mniej więcej o szóstej piętnaście świadek zawiadomił straż pożarną. Więc miał lekko ze trzy godziny, żeby się sfajczyć. Po trzech godzinach nie ma już co zbierać z wózka.

* Masz jakiś pomysł?

* Usuwał ślady. Ale musisz mieć akcję, żeby tak zjarać wózek. Ani u nas, mówię o powiecie, ani u nich w miejskiej i wojewódzkiej tej nocy, minionego dnia i minionej nocy nie było akcji.

* U nas też nie było.

* Myślałem, że dzwonisz w jakimś konkretnym temacie.

* Mam dziwnego trupa NN. Zbieram wszystko, co jest dziwne.

* To powiem ci, koleżanko, że to był wrażliwy człowiek.

* Możesz szerzej?

* To jest taki stary, wylany betonem parking. Duży. Muszę zjarać wózek, to go jaram i nie dbam, czy przy okazji puszcze z dymem pół lasu i wioskę, nie? Ale on zrobił fajne ognisko tak, żeby ocalić przyrodę i ludzkie życie.

* To bardzo cenne, co powiedziałaś.

* Odwiedź Ryki, piękne miasto, napijmy się wódeczki, bo coś czuję po głosie, że jesteś bardzo fajną koleżanką.

Był cwany w śmieszny sposób i to się jej spodobało. Choć słyszała tylko nijaki, trochę skrzeczący głos, już potrafiła go sobie wyobrazić. Miał niewiele ponad trzydzieści lat i na

pewno był w mundurze. Bo lubił swój mundur i lubił w nim chodzić, choć nie dbał o niego przesadnie.

Włączyła komputer. Zebrała wszystkie minione dni do kupy i spisała je na papier.

Napisała o wojnie, o Marcinie K. i o tym, że zabójca wiedział, jak zabić. Ze wszystko wskazywało na to, że musiał się tego nauczyć. Wkleiła czarno*białą fotografię, na której tamta stała obok Horsta Meyera.

Osiecki przyszedł w trakcie. Spojrzał na nią zaskoczony. Obciął z dołu do góry, usiadł za swoim biurkiem, oparł nogi

o jego blat i czekał, aż skończy, by zadać jedno ze swoich ulubionych pytań. Od razu postanowiła, że tego dnia nie ma ochoty na nie odpowiadać, więc ani na chwilę nie oderwała wzroku od ekranu peceta, mozolnie składając słowa na jego klawiaturze.

Przeczytała raport dwa razy, poprawiła szyk wyrazów

i błędy, wysłała go do Webera, który na szczęście nie dzwonił, i do Kozyry, który przerzucił go ledwie wzrokiem i rozesłał dalej, bo obostrzone procedury

obowiązywały go jeszcze przez dwa dni. I dopiero wówczas spojrzała na Osieckiego, pogodnie uśmiechnięta. Wyspana, wypoczęta, zrelaksowana. I w ten prosty sposób sprawiła, że nie zadał jej żadnego ze swoich ulubionych pytań. Zadał jednak inne, bardziej zaskakujące.

* Żołnierz czy pies?

W popłochu poszukała odpowiedzi.

* Upierasz się, że ta fotografia jest jakimś tropem * ciągnął. * Ale widzisz, ja tego nie rozumiem. Pomyślałem sobie, odciąć się od tego. Może i robili sobie zdjęcia w Belgradzie w dziewięćdziesiątym pierwszym, ale ta wojna trwała do dziewięćdziesiątego piątego. W końcowej fazie mieliśmy tam kilku żołnierzy w ramach UNPROFOR, a do Kosowa załapali się nawet nasi koledzy. Według mnie to jest logiczny trop. Żołnierz albo pies.

* Żołnierze byli skoszarowani.

* Chodzili na dupy, a kadra miała wolną rękę. Ze nie wspomnę o psach. Zrobił jej dziecko. Dlatego tu przyjechała.

* Nigdy nie rodziła.

* Wiemy to na pewno?

* Taki jest wynik sekcji.

Zafrasowany przeczesał palcami rzadkie włosy.

* Dobrze, ale przyznasz, że to jest trop.

* Chcesz się tym zająć?

* To nie jest wielka filozofia sprawdzić, kto od nas był w Kosowie. To są konkretne nazwiska. Nawet znam jednego z nich osobiście. Był kiedyś w pałacu, zanim trafił na Rakowiecką. Gorzej z tymi żołnierzami, ale jak mi dasz mocny kwit od proroka, zajmę się tym. To nie będzie łatwe, oni się strasznie kryją, sama dobrze wiesz, ale ofiara jest cywilna i nie ma zmiłuj, muszą się otworzyć.

* Czego się spodziewasz? Zobaczy fotografię i zacznie się jąkać?

* Zacznie się jąkać i mylić. Może zasypie kolegę. Było ich co najmniej dwóch.

* Dobrze. Masz coś jeszcze dla mnie ciekawego?

* Na razie ustaliłem jedno, wtedy, w dziewięćdziesiątym pierwszym był tam budapeszteński korespondent PAP. Nazywa się Kalicki. Tadeusz Kalicki. Jest na emeryturze, mieszka w Warszawie i pisze książki kucharskie.

Zadzwoiła do niego, miał czas, może się spotkać. Był bardzo uprzejmy przez telefon. Mówił płynnie, pełnymi, starannie skomponowanymi zdaniami, które przychodziły mu z naturalną łatwością. Zaraz potem zadzwonił jednak Uwe Meyer.

Umówili się na Nowym Świecie. Samochód zostawiła obok, na Smolnej. Teraz, w czasie szczytu, było tu pełno wolnych miejsc parkingowych, choć południowa granica zakazanego miasta kończyła się na Świętokrzyskiej i Nowy Świat tętnił normalnym, codziennym życiem. Idąc chodnikiem, minęła trzy młode muzułmanki w barwnych hidżabach, które szczelnie zakrywały ich włosy i otulały szyje. Wszystkie trzy były modnie i drogo ubrane. Obcisłe dżinsy, buty na wysokich obcasach, drogie płaszcze i kurtki, markowe torebki ze skóry. Na palcach i przegubach błyszczała złota biżuteria. Ich głośną rozmowę w chrapliwym, gardłowym języku co rusz przerywały wybuchy śmiechu. Zbliżała się do kawiarni, gdy zadzwonił jej telefon. Dagmara Kowalczyk powiedziała, że za godzinę i czterdzieści minut będzie mogła odebrać kasetę na Dworcu Centralnym. Trochę dziwna ta Marianna Pawlak. Widać, że artystka. Kiedyś musiała być niezłą szprychą.

Uwe Meyer też obciął ją wzrokiem, gdy wstał od stolika, ale bardziej dyskretnie. Uśmiechnął się, pokazał drobne, perfekcyjnie białe zęby i mocno uścisnął dłoń. I powiedział o Marco P.

* Kto to jest?

* Był. Szwajcarskim dziennikarzem. Zdaje się, bardzo młodym. Przyłączył się do oddziału najemników i włożył mundur. Powiesił się na drzewie albo jego powiesili. Nad tym pracował mój brat, zanim zginął. * Położył przed nią dwie kartki papieru wydrukowane z komputera, ale zapisane odręcznym, drobnym i pochyłym pismem po niemiecku. * Zadzwoniłem do swojego syna. Zeskanował notatki Horsta i wysłał mi je mailem. Na końcu Horst dopisał: oddział widmo.

Wskazał niemieckie zdanie, dwukrotnie podkreślone, zakończone znakiem zapytania i wykrzyknikiem. Miał mocne dłonie, ale na żadnym krótkim i muskularnym palcu o zadbanych paznokciach nie było obrączki.

* To są jego ostatnie zapiski. Nie wiem, co może znaczyć to zdanie. Mogę się tylko domyślać, że dotyczy oddziału, do którego przyłączył się ten Marco P.

Dłonie Webera były bardziej smukłe, może mniej męskie, a palce dłuższe. Zapewne nie miały takiej siły jak dłonie Meyera, ale były sprawne. I delikatne. Choć na

serdecznym kołatało się kółko irytująco dużej obrączki.

* Czy coś z tego wynika? To jest informacja? Pokręciła przecząco głową, a zaraz potem wzruszyła bezradnie ramionami.

* Nie wiem * odpowiedziała po chwili.

* Nic z pani nie wycisnę, prawda?

* Czy wtedy brat w ogóle nie kontaktował się z panem?

* Byłem korespondentem w Moskwie. Pucz Janajewa. Z tamtej perspektywy wydawało mi się, że Horst pojechał na jakąś nieistotną, prowincjonalną wojenkę. Zjemy razem lunch?

Zaskoczył ją tym.

* Myślałam, że jest pan zajęty szczytem.

* Nic się nie dzieje. Jest, jak wy to mówicie, nudny jak flaki z olejem. Jak zwykle wydali na siebie kupę forsy i nie rozwiązali żadnego problemu. Za dwa lata spotkają się w Wilnie, w Paryżu albo w Bukareszcie i wygłoszą te same deklaracje. To żałosne. Idziemy coś zjeść?

* Nie mogę tego zrozumieć * odparła szczerze.

* Czego?

* Dlaczego zaprasza mnie pan na lunch?

* A jeśli powiem, że jest pani interesująca, uwierzy mi pani?

* Oczywiście, że panu nie uwierzę. * Wstała od stolika. * Ale dziękuję za zaproszenie. Niestety, nie mam czasu.

Ruszyła do drzwi, ale Uwe Meyer poderwał się z krzesła.

* Myli się pani * powiedział głośno.

Kilka osób spojrzało to na nią, to na niego, więc wróciła do stolika.

* Dlaczego miałbym panią okłamywać?

* Bo jak każdy człowiek z zachodu jest pan dobrze wychowany. W przeciwieństwie do moich rodaków.

Uśmiechnął się.

* Nie interesuje mnie to śledztwo, choć chciałbym znać prawdę o śmierci mojego brata. Po prostu wierzę, że jak pani się czegoś dowie, to mi o tym powie, prawda?

Kiwnęła potakująco głową.

* Gdy się skończy ten szczyt, wyciągnę panią na piwo. Na peronie trzecim Dworca Centralnego odebrała od kierownika składu niewielką paczkę w grubej, brązowej kopercie. Pojechała do fabryki. Przenośny odtwarzacz sprzed dwunastu lat, z kieszenią na kasety, stał zakurzony na pancерnej szafie w pokoju, który zajmowali Suski i Marciniak. Wspięła się na palce, żeby go zdjąć, i schowała się z nim we własnym pokoju. Grudy i Osieckiego nie było, więc zamknęła się od wewnątrz. Z brązowej koperty wyjęła kasetę i włożyła ją do odtwarzacza. Uwolniła obolałe stopy z pantofli i z ulgą położyła nogi na blacie biurka. Podciągnęła spódnice do połowy ud. Poruszała palcami w czarnych rajstopach, żeby wyrównać krążenie. Pierwszy głos należał do młodej dziewczyny. Mańka, zaczekaj na nas, przyjedziemy po ciebie. I nie martw się, odwieziemy cię po wszystkim. Klocek powiedział, że dzisiaj nie pije. Chwilę później ten sam głos zapytał rozpaczliwie: Mańka, odbierz, gdzie jesteś? Właśnie jedziemy po ciebie. Drugi głos należał do mężczyzny. Był młody, ale przyjemnie niski. Nie wiem, gdzie jesteś. Spędziłem dzień na południu miasta. Ta dzielnica nazywa się jug dwa. Ostrzeliwiają się, ale chyba nic z tego nie wynika. Sprawiają wrażenie takich sklinczowanych zapaśników. Jutro pojedę do Vukovaru. Horst ma jakiś plan, ale nie chcę o nim słyszeć. Kocham cię. Klocek się upił i musiałam prowadzić. Po trzech drinkach. Ja pierdolę, Mańka. Mogłam stracić prawko. Dobrze, że nie pojechałaś z nami. Było strasznie nudno. Tu Kołodziejki z BWA. Pani Marianno, ja to przemyślałam i ma pani rację, zrobimy ten wernisaż o dziewiętnastej. Ta dwunasta w południe to rzeczywiście głupi pomysł. W ogóle nie pasuje do pani płócien. Katalog zaprojektuje Tadek Piechota, tak jak pani chciała. Odezwie się do pani. Marianno, powiedział starszy mężczyzna, mam nadzieję, że pamiętasz, Wacław ma w tym roku sześćdziesięciolecie. Adek szykuje perfbrnance z tej okazji. Jest tak, że wszyscy chcemy poznać również twoją opinię. Byłaś jego ukochaną studentką. Zadzwoń jutro rano, może cię złapie. Mari, to wciąga. To jest jakiś pojebany oddział. Nie wiem, dlaczego to robimy. Wróć, nie wiem, dlaczego ja to robię. Wiem, że ta wojna głównie cię obchodzi, ale jestem tutaj.

Marianna, jeśli jesteś i to słyszysz, podnieś słuchawkę! Mari? OK. Nie ma cię. Nie chcesz podnieść słuchawki. Podniesiesz jutro? Cisza. Szum taśmy. Nie mam z kim rozmawiać. Muszę rozmawiać. Inaczej zwariuję. Marianna? Błagam cię, do cholery, i głos się załamał. Maniutka, tu Jolka Kuna, pogrzeb Ewki będzie w piątek. Jej mąż nie przyjeżdża, nie dali mu wizy, więc będą tylko sami swoi. Joaśka wzięła wieniec na siebie, ale wiesz, nie ma samochodu. Jakbyś mogła po nią zajechać i do kwiaciarni. Oddzwoń. Mańka, przypominam ci tylko, że jutro są nasze tradycyjne śledzie z ziemniakami. Nie wyobrażam sobie, że ciebie nie będzie. Klocek już mrozi wódkę i obiecuje, że się nie upije. Będzie Borys. Więc się zastanów. Cześć, tu Tadek. Mam już wszystko, projekty zaproszenia i katalogu. Więc oddzwoń, to jakoś podjadę do ciebie. Kołodziejski już widział i podoba mu się. Maniutka, tu jeszcze raz Jolka. Wiesz, że Wieśka wróciła? Będzie na pogrzebie. Jest po mastektomii. Ucięli jej pierś. To straszne. Kurwa, poryczałam się.

Oddzwoń. Mari, przepraszam cię, ale to nie było w porządku, co powiedziałaś wczoraj. Nie jestem aż takim egoistą. Ale przepraszam cię. Cisza. Szum taśmy. Dlaczego nie ma cię o tej porze w domu? Pani Marianno, tu Kołodziejski. Chodzi o listę gości i adresy. Najlepiej byłoby jutro, koło południa. Czekam na telefon. Borys, dzień dobry, Marianno. Dzwonię, bo to było bardzo miłe spotkanie. Chciałbym cię zaprosić na kolację. Zadzwoń wieczorem. Ten głos nie był miły. Nie spodobał się jej. Imię też, przynajmniej jak na tamte czasy, lekko pretensjonalne. Mari, nie chcę, żebyśmy kłócili się za każdym razem, kiedy dzwonię. Jest głupia pora, wiem, że cię nie ma. Chcę ci powiedzieć tylko, że dowiedziałem się czegoś dziwnego. Bardzo dziwnego. Tomi, wiesz, który Tomi, nie? Tomislav H., opowiadałem ci o nim. Więc Tomi twierdzi, że tym oddziałem kieruje jakiś strasznie porypany Polak. Nie chce mi się wierzyć, ale Tomi ma zazwyczaj dobre informacje, choć wtedy był w dupę pijany. Nie gniewaj się na mnie. Kocham cię. Zadzwoń jutro. Marianno, powiedziała kobieta, po prostu tęsknię za tobą. Jej głos był miękki, niski i ciepły. Dojrzały. To może idiotyczne, ale taka jest prawda. Ciężko mi z tym. Chyba się pogubiłam. Przyjedź do mnie. Proszę cię. Bardzo cię proszę. Chwila ciszy, szum

taśmy i nagle usłyszała jej zduszony szloch. Taśma się skończyła. Magnetofon wyłączył się samoczynnie.

Agata założyła, pantofle, poprawiła spódnicę i poszła do toalety. Zapaliła papierosa, oparta o parapet okna. Zadzwoił Weber.

* Co robisz?

* Palę w kiblu.

* Spotkamy się?

* Spadaj.

Weszła do gabinetu Kozyry i postawiła mu na biurku przenośny, zakurzony odtwarzacz. Znów miał na sobie trzyczęściowy garnitur. Spojrzał na nią zdziwiony. Na bluzkę, na kardigan, spódnicę, łydki w czarnych rajstopach i pantofle na podwyższonym obcasie.

* Ładnie wyglądasz.

To było podwójnie miłe, bo jednak trochę znał się na rzeczy. Wszak rudowłosa, szykowna żona miała gust. Jej fantastycznie wydekoltowane kiecki były zawsze super.

* Ale gołe cycki już takie super nie były * powiedziała kiedyś Całka i wskazującym palcem prawej dłoni poprawiła okulary na nosie.

* Naprawdę je pokazała?

* Wszystkim. No nie ma z nią lekko i już. Przewinęła taśmę i odtworzyła nagranie.

Kozyra w skupieniu wysłuchał ostatnich słów Marcina K.

* W jakich kategoriach mam to traktować?

Nie przygotowała się do tej rozmowy, przyszła tu spontanicznie, więc milczała, szukając właściwej odpowiedzi. Gdyby się przygotowała, takiej odpowiedzi też by nie było. Wzruszyła ramionami.

* To jest jednak trop * powiedziała. * Ślad.

* To nie jest żaden ślad, Agato.

Rzadko zwracał się do niej w ten sposób. Agato.

* Będę to powtarzała z uporem maniaka. Do zerzygania. Kluczem jest to, jak została zabita. Jej ciało nie nosi żadnych innych oznak przemocy. Nie została zgwałcona. Nie

pierdoliła się nawet dobrowolnie. Nie ma żadnego tła seksualnego. Nie wyszczał się na nią. Nie spuścił się na nią. Nie zaznaczył swojego ego. Nie zostawił podpisu dominującego samca*po*twora. Nie ma śladów afektu. Skręcił jej kark, a potem starannie usunął twarz. Andrzejowi Guli też skręcił kark, bo był świadkiem. Widział wszystko, ale nie uciekł. Dlaczego? Bo się zesrał ze strachu. Zobaczył kogoś, przed kim nie da się uciec. Kioskarz ją rozpoznał. Potwierdził, że dziewczyna na fotografii to kobieta, którą widział. Fotografię wykonał polski fotoreporter, który zaginął na tamtej wojnie. Przed chwilą usłyszałaś nagranie, które zostawił na sekretarce swojej dziewczyny. Czy widzisz jakiś błąd w moim rozumowaniu? Wyczerpała się. Milczał chwilę. Zostawił trójkolorowy długopis w spokoju i nie bębnił grubymi paluchami o blat biurka. Nawet nie zmarszczył czoła.

* Jak zwykle nie widzę żadnego błędu. To jest bardzo logiczne. Pokaż mi tylko jakiś bezpośredni związek między trupem nagiej kobiety w średnim wieku o zmasakrowanej twarzy a tym nagraniem na sekretarce sprzed dziewiętnastu lat. I nie wyjeżdżaj mi z kioskarzem. Masz tylko symulację jej twarzy i to jest najslabszy punkt. Więc nie masz świadka.

Milczała, bo oczywiście nie było żadnego bezpośredniego związku i doskonale wiedziała, że tu są tylko słabe punkty.

* Powiedz mi przynajmniej, jaki ma być twój następny ruch.

* Konsul Andrzej Szpak powiedział, że ci, co byli przed nim, zniszczyli wszystko.

* Oszalałaś? Jeśli oczekujesz, że otworzą przed tobą swoje dusze i archiwa, to jestem poważnie zatroskany twoją naiwnością. Tu nie ma pół złamanego dowodu. Nie sądzę, żeby na tej podstawie Swierczyńska wystawiła nakaz.

* Swierczyńska nie ma z tym nic wspólnego. Zdziwił się szczerze.

* A kto?

* Tomasz Weber. Jest młody i ambitny. Chyba.

* Rozumiem, że już sra żyłkami na twój widok. Ale i tak pokażą ci wała. Ja mówię: logika, ale ktoś inny może powiedzieć: spekulacja. A nawet: fantazja.

* Trup nie jest fantazją. Jest bardzo konkretny. To jest zabójstwo. Muszę znaleźć zabójcę. Za to biorę kasę. Czepiam się tego, co mam.

* Agata, nic nie masz. To są twoje fantazje. Pogódź się z tym. Nie masz materiału, żeby to choć trochę pchnąć do przodu. Nie wiesz, kim była ofiara. Jak się nazywała. Takich konkretnych trupów mamy od groma i ciut*ciut. Nie musimy ich mnożyć. Obciążają statystykę. Nie ma z nich żadnych pieniędzy. A z tej nie będzie na premie przed świętami.

* Wybacz, ale pierdolę premie.

* Wybaczam, ale inni ich nie pierdolą. Nie miej do mnie pretensji. To jest policja państwowa, a nie prywatne biuro detektywistyczne, w którym możemy się bawić, w co chcemy i jak chcemy. Zrobiłaś, co mogłaś, ale teraz zostaw to.

* Czy to jest już polecenie?

* Nie, to jeszcze rada.

Zakurzony odtwarzacz zabrała do siebie. Ani Suski, ani Marciniak nie korzystali z niego. Kasetę schowała do torebki i wyszła z fabryki.

Czy to były już naciski, czy tylko jego własna mimikra? Robił to wcześniej. Tyle że taki Mielcarek na przykład był zajebiście konsekwentny. Rozrzucał swoje sarenki z regularnością szwajcarskiego zegarka. Tego zwyczajnie nie dało się nakryć świąteczną premią. Ale nijak nie mogła uwolnić się od pary czarnych, nachmurzonych i kapryśnych oczu wpatrzonych w obiektyw. Od dużych zębów i wyrazistego nosa. Zazwyczaj nie dotykała trupów. Nie dotknęła żadnej z sarenek. Bo takie obnażone tkanki i włókna, delikatne trzewia, choć Bogdański stwierdził, że martwe, mogły być jednak wciąż jeszcze wrażliwe na dotyk. Mogły się nagle boleśnie skurczyć. Jęknąć strasznie i przeciągle. Tego się bała. Więc tylko jeden diabeł wiedział, dlaczego niespodziewanie dla samej siebie pod pokracznym budynkiem dawnego YMCA dotknęła palcem obleczonym w gumową rękawiczkę skóry jej nagich pośladków. I poczuła ich miękkość. Wsiadła w samochód i pojechała do parku.

Łazienki Królewskie były puste. Pora młodych matek z dziećmi już minęła, a zachmurzone niebo było groźne, więc tylko nieliczne staruszki zapuściły się tutaj, z dala od domu. Nie było słońca, w którym mogłyby się grzać pod przeszkloną ścianą Nowej Pomarańczami. Szła główną aleją. Gdzieś blisko rozległ się przesywający

krzyk pawia. Może banalnie to Osiecki miał rację?

Główną bramą wyszła z Łazienek i wkroczyła w Agrykołę. Przy Myśliwieckiej, vis*a*vis ambasady hiszpańskiej, był przytulny bar w dawnej wozowni. Zamówiła czerwony barszcz i kroiety z kapustą i grzybami. Brązowe, powiększone fotografie Warszawy z początku minionego wieku, zawieszane na ścianach, ukołysały ją. Była zła na siebie, że powiedziała do Webera spadaj. Coraz gorzej znoś swój parszywy charakter. Jeszcze raz zadzwoniła do Kalickiego.

* Proszę bardzo. Jestem w domu i czekam.

Miał ładne, duże mieszkanie wysoko na skarpie, przy Bartoszewicza, skąd rozciągał się widok na całe Powiśle. Umeblował je antykami. Może zresztą to nie jego decyzja, bo obecność kobiety była silnie zaznaczona, choć jej w mieszkaniu nie było. Został też widoczny ślad po dzieciach, które przecież musiały stąd wyjść przynajmniej dobre dwadzieścia lat temu. Miał zaskakująco gęste, siwe włosy, krótko przystrzyżone. Żywe, rozbiegane i wesołe oczy, brązowe, które nijak nie pasowały do jego wieku. Niewysoki i drobny. Elegancki w wyglądzie i zachowaniu. Pół życia, które spędził za granicą, wychodziło z niego na każdym kroku. Nie zaproponował kawy. Po prostu ją zrobił. W tyglu. Była diabelnie mocna, gęsta jak smoła, ale wyśmienita. Małe ciasteczka ułożył starannie na dużym talerzu z kolorowej porcelany.

W kilka dni poznała trzech mężczyzn na emeryturze. I żaden z nich nawet w połowie nie był podobny do jej ojca. Ojciec był starszy od mamy, ale przeżył ją i to było dla niego straszne. Nie do zniesienia. Serce nie wytrzymało zgryzoty i cierpienia. Zwyczajnie pękło. To był ten jeden jedyny raz, kiedy zobaczyła pękające serce. Nie było żadnej racjonalnej przyczyny. Po prostu umarł, stwierdził lekarz, który przyjechał ze Skierniewic, a ona jedna wiedziała, że ze zgryzoty. Z pustki, która nagle nastąpiła i z którą nie umiał sobie poradzić. Ona nie mogła jej zapełnić, bo od dawna już jej tam nie było. Brat zajęty ojcowizną, egoistycznie skupiony na sobie i żonie, która mu się wreszcie trafiła, nie chciał go już zauważać, uparcie milczącego, odwróconego plecami, wciśniętego w najdalszy i najbardziej ciemny kąt niedużego przecież domu.

* Tamta wojna nie była dla mnie przyjemnym doświadczeniem. Byłem na nią zdecydowanie za stary. Wie pani, śmieszne jest to, że nikt się jej nie spodziewał. Nie mieliśmy tam stałego korespondenta. Ja byłem w Budapeszcie. Razem z żoną. Wiedliśmy pyszne, spokojne życie. I nagle, z dnia na dzień dowiedziałem się, że jestem najbliżej i muszę tam jechać. Niestety, jest subtelna różnica między gulaszem a mózdzierzami. Musiałem pokonać granicę, której, jak sądziłem, ze względu na wiek i umiejscowienie już nie musiałem przekraczać. To był szok. Nigdy nie pisałem o wojnie. Węgry to był mój świadomy wybór. Ale wszyscy byli mniej więcej w tej samej sytuacji. Associated Press musiało tam wysłać swojego człowieka z Wiednia, bo bliżej w ogóle nie mieli nikogo. To był taki śmieszny grubas o rumuńskich korzeniach, nie pamiętam, jak się nazywał. Wtedy oczy całej Europy były skierowane na Moskwę.

* Wiem. Pucz Janajewa.

* Właśnie. I nikt się nie spodziewał, że z tego wyjdzie taka straszna wojna. Zamilkł na chwilę, a żywe, brązowe oczy znieruchomiały, zamyślane.

* Pierwszy raz w swoim życiu zobaczyłem trupy. Ani razu nie pojechałem na linię frontu, ale oni, mam na myśli Chorwatów, mieli taką makabryczną poetykę, że pokazywali nam serbskie trupy podczas konferencji prasowych burmistrza Osijeku. Robiła to zresztą jego rzeczniczka. Potrafi pani sobie to wyobrazić? Ładna kobieta. Rudowłosa, jeśli pamiętam. Na pewno bardzo elegancka. I te ułożone na stoie, poszarpane zwłoki. To była jakaś makabryczna seksualizacja tej ceremonii, bo ona była rzeczywiście ładna. Zgrabna. To było chore, na szczęście ja już nie nadażalem za tym. Bo to był taki bardzo czytelny sygnał, że to jest produkt, który musi się po prostu dobrze sprzedać. Dlatego musiała mieć krótką spódnicę. Zęby było widać zgrabne nogi. A przecież te trupy śmierdziały. Nie trzymali ich w lodówkach. Z rozpaczą myślałem o żonie, która czekała na mnie w moim ukochanym Budapeszcie, i knajpie, do której w każdy wieczór chodziliśmy na kolację. Marcina K. spotkałem podczas jednej z tych właśnie konferencji. Sprawiał wrażenie trochę zagubionego. Na pewno nie miał rutyny. Zapytał mnie, czy ma chodzić na konferencje. Odpowiedziałem, że moim zdaniem to strata czasu, ale jeśli nie ma nic innego do

roboty, niech chodzi. Stał przed urzędem burmistrza z tymi swoimi aparatami na szyi i palił papierosa za papierosem. Taki obraz został w mojej pamięci. A z tym oddziałem to nie wiem, nic pani nie powiem. Tam każdy, kto miał choć trochę wolnej gotówki, mógł bez trudu założyć własną armię. Myślę, że podczas wszystkich wojen nie ma prostych i czytelnych podziałów. Ale na Bałkanach, droga pani, granice są tak poplątane i niejasne, że tylko oni sami mogą się w tym połapać.

I to też z jakimś trudem. Chyba nikt nawet nie próbował policzyć, ilu najemników walczyło po obu stronach. Jeśli pyta pani o Polaka, odpowiem, że uważam to raczej za mało prawdopodobne, ale to nie znaczy, że niemożliwe. Bałkany to takie miejsce, gdzie w zasadzie wszystko może się zdarzyć. Są oniryczne. Koszmarny sen, który kiedyś komuś się przyśnił i tak już zostało. To jest w nich piękne i groźne.

Popatrzył na czarno*białą fotografię wydrukowaną z komputera i palcem dotknął Horsta Meyera.

* Jego też pamiętam. Ale nie zamieniłem z nim słowa. Podobnie jak z innymi korespondentami. Bałem się, że jak zacznę z nimi rozmawiać, zaprzyjaźniać się, to ta wojna mnie zassie. Stanie się w jakiś sposób moja. A ja chciałem ją trzymać na dystans. Dlatego chodziłem tylko na te makabryczne konferencje, wysyłałem relacje faksem i liczyłem, że zaraz mnie stamtąd odwołają. Ze usłyszę przez telefon, że mogę wracać do Budapesztu, bo właśnie wysyłają kogoś młodszego. Tej kobiety obok nigdy nie widziałem. Jestem tego pewien. Tego Szwajcara, Marca P., też nie pamiętam.

Zapadał zmrok, kiedy stanęła na chodniku, a za plecami miała wygiętą w łagodny łuk, trochę monumentalną, trochę modernistyczną kamienicę z dwudziestolecia.

Szum miasta był odległy, wytłumiony. Zapaliła papierosa. Bolały ją stopy zgniecione w pantoflach na obcasie. Spódnica piła w talii, a zgrabny płaszcz nie dawał ciepła, bo wiatr nasilił się wraz z ciemnością i tu na skarpie był już bardzo przeszywający. Ani na krok nie zbliżyła się do niczego. Zgromadziła bezładną wiedzę, która ją osaczyła. Zadzwoiła do Webera. Plan był taki, że najpierw miała go przeprosić za „spadaj”, potem poprosić

o kwity dla Osieckiego i dopiero na końcu zapytać, czy nie ma ochoty na filiżankę

kawy. Ale gdy usłyszała jego urzędowy

i spanikowany głos, domyśliła się, że żona była obok.

* Nic ważnego * rzuciła do słuchawki. Nie przeprosiła go i rozłączyła się.

Więc to tak działa. A co ty myślałaś, idiotko? Jest dostępny wtedy, kiedy on tego

chce. Kiedy jest mu wygodnie i na rękę, a nie wtedy, kiedy nagle, po zmroku

poczułaś się fatalnie samotna i trochę bezradna. Tak to właśnie działa. Najpierw

histeria na schodach ruchomych Dworca Centralnego z żądaniem prawa na

wyłączność, a potem na drzewo, bo strefy czasowe ci się popieprzyły i wbiłaś się nie

w tę, co trzeba. O co ci zresztą chodzi? Ze powie jej, jak wyruchał cię w twoim

własnym mieszkaniu? Jesteś śmieszna i żalсна. Czterdzieści cztery lata i pierwszy

romans z żonatym facetem. W tym wieku naiwność jest już tylko upokarzająca.

Wtopiła się w strumień samochodów. Zamyślona powolutku płynęła wraz z nimi i

dopiero przed rondem ONZ ocknęła się, że jedzie nie w tym kierunku. Ale Emilii

Plater, którą dopiero co minęła po lewej stronie, w ogóle nie płynęła, tylko stała

unieruchomiona, więc zrezygnowana pozwoliła, żeby strumień pociągnął ją dalej, w

Prostą. Za rondem Daszyńskiego zjechała na niewielki parking między dwoma

ogromnymi biurowcami. Wyłączyła silnik i wysiadła z samochodu. Parking był

pusty, choć w obu szklanych wieżach, które ją przytłaczały, wciąż jeszcze paliły się

światła. Maleńkie figurki w marynarkach lub bez, z obowiązkowymi krawatami, w

urzędowych kostiumach, spódnice do kolan, żakiety, krzątały się uwieszone i

wystawione na widok publiczny. Pomyślała, że ich samochody czekają pod ziemią, a

ten mały placzyk był tylko dla gości. Spojrzała na zegarek, wyjęła telefon i zadzwoniła

do fryzjerki. Pani Ola z małego saloniku przy Kruczkowskiego róg Tamki wpisała ją

na ósmą trzydzieści. Później, aż do zamknięcia, wszystko mamy już zajęte, pani

Agatko. Mąż pani Oli był taksówkarzem. Nigdy nie zdradził się przed żoną, że woził

również prostytutki.

* Może byś zaczęła chodzić do trochę młodszej fryzjerki? * zapytała Kaśka.

* Też, która jest odpowiedzialna za to, co masz na głowie?

* Obiecuję, że miałaby sto pomysłów na twoje włosy. Zwłaszcza że są bardzo gęste.

Mamo, do tego zakładu chodzą stare baby z Powiśla.

A ja niby jaka jestem? Młoda? Zadzwoiła do Osieckiego, że się spóźni. Miała wrażenie, że chciał jej coś powiedzieć, ale rozłączyła się szybko. Nie oddzwonił. Oparta o błotnik samochodu zapaliła papierosa, musiała się obrócić kilka razy, bo wiatr hulał jak szalony, odbijając się od gładkich ścian ze szkła. Znowu się rozpałę. Dzień po dniu wypalała o jednego, dwa papierosy więcej. Zamknęła samochód i przespacerowała się chodnikiem. Odkryła, że była jedyną w zasięgu wzroku osobą, która nie siedziała zamknięta w samochodzie, biurze czy ciasnym, betonowym mieszkaniu. I poczuła dziwną pustkę. Już przegrałam? Nie. Jeszcze nie. Fakt, grzebię po omacku w przeszłości i nie wiem, po co to robię. Ale się nie poddam.

Czubkiem pantofla rozdeptała papierosa, usiadła za kierownicą, zawróciła na najbliższych światłach, porzuciła Wolę, zjechała na Powiśle i zatrzymała samochód pod mostem Poniatowskiego. Wietnamski bar był jeszcze otwarty. Zamówiła dwie sajgonki i kufel zimnego piwa z beczki. Usiadła na wysokim stołku przy oknie, z którego widziała szarą kamienicę na rogu Trzeciego Maja i Potockiego, drzwi supermarketu i przyległy do niego wieżowiec. Była sama w całym barze. Nie licząc państwa Nguyen, którzy obserwowali ją schowani za ladą. Sajgonki z piwem smakowały zdecydowanie lepiej niż bez piwa. Rzadko pozwalała sobie na taką ekstrawagancję, ale siedząc w samochodzie, postanowiła, że zakończy ten nijaki dzień czymś przyjemnym. Dawno nie piła piwa.

Mimo późnej pory drzwi supermarketu co rusz rozsuwały się, wypuszczając objuczone siatkami sylwetki. I nagle raz jeszcze usłyszała głos konsula Szpaka: „Nic nam nie zostawili po sobie”. Zobaczyła, jak znieruchomiał zgarbiony z czarno*białym i podwójnym portretem w dłoniach. A potem podparty laską odprowadził ją do drzwi. I do końca nie odezwał się słowem. W tej samej chwili przypomniała sobie, jak dwadzieścia jeden lat temu zapytała Kozyrę: „Zwolnią nas?”. Biedna pyza naprawdę przestraszona tym, że przecież dopiero zaczęła, że jeszcze nic ważnego nie zrobiła, na nic nie zapracowała. Ze dlaczego od razu taka najcięższa kara? A przecież na wsi pod Skierniewicami nie rozróżnia się tak dobrze kolorów, jak na przykład w takiej Warszawie. Że to był jedyny sposób, żeby się stamtąd wyrwać.

* Nie, Agatko * odpowiedział wtedy Kozyra. * Nas akurat nie zwolnią. Pozytywnie

zweryfikują. Ktoś musi sprzątać i musi być ciągłość. Inaczej im się państwo rozpierdoli, dziewczynko.

Zjadła sajgonki, spojrzała na panią Nguyen, która bardziej wystawała zza lady od męża, i gestem zadała pytanie, czy tu można palić. Mąż poderwał się ze stołka i oboje skwapliwie pokiwali głowami, a pan Nguyen przybiegł z popielniczką.

Kaśki nie było w domu. Zamknęła za sobą drzwi, zdjęła buty i uwolniła umęczone stopy. Odwiesiła płaszcz, w salonie zdjęła spódnicę i wyplątała się z czarnych rajstop. Bosa przeszła się po mieszkaniu. Dużą miskę napełniła ciepłą wodą, nasypała do niej soli i postawiła przed kanapą. Moczyła w niej stopy, aż zasnęła. Obudził ją SMS od Kaśki, że chyba nie wróci na noc, bo jest fajnie i jakoś przeturlają się z Jackiem do rana w dwupokojowym mieszkaniu przy Siennej.

Ci z wyrokami za Davos zostają do jutra. Odpisała jej tylko: Uważaj na siebie, skarbie. Godzinę później, kiedy leżała w wannie, zadzwoniła Marianna.

* Co robisz? * usłyszała jej zachrypnięty głos.

* Leżę w wannie.

* Gmerasz sobie w cipce?

32

Był zły na siebie, że całą noc przespał w ubraniu. Nienawidził tego. To było jak utrata kontroli. W dodatku spał do samego południa. Z przykrością wszedł do żeliwnej wanny, ale musiał to z siebie zmyć. Resztki po ubraniu, które i tak znowu włożył. Zaraz potem okrył fortepian białym pokrowcem. Śniadanie zjadł w kawiarni przy Francuskiej. Taksówką wrócił na lewy brzeg Wisły. Przebrał się i zaparzył kawę w tyglu, która przywróciła jasność umysłu, choć dzień był już stracony. Nie przejął się tym, bo wszystkie dni były stracone. Był małym, szarym cywilem. Doradcą na umowie. Pawim ogonem uwiódł dyrektora agencji, ale małe, tępe oczka, włościański wąs, pękaty brzuch i krótkie ramionka miały swoje naturalne ograniczenia w wolnej miłości. Więc nie miał klauzuli dostępu. Tyle że uwiesił się blisko cesarskiego ucha. Nie dość jednak blisko, by sączyć jad i wywoływać wojny. Trwał siłą bezwładu. W

tym jednym przypominał biedną Valerie z Grazu, która za późno odkryła, że wyczerpały jej się pomysły na własne życie.

Tym razem spotkali się w jego gabinecie. Położył przed nim trzy zadrukowane i spięte ze sobą kartki papieru.

* Przyszło dwie godziny temu. Dostajemy to z automatu, bo jest szczyt. Ze względu na ochronę wywiadowczą.

Kazałem sprawdzić, nic nie mamy na ten temat w swoich papierach, ale pan tam zdaje się był kiedyś, więc proszę rzucić okiem. Może się panu coś skojarzy.

Wszystko mu się skojarzyło, bo napisany prostym językiem tekst opowiadał o nim i o Jovanie, którą znaleźli tam, gdzie ją zostawił. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że na końcu zobaczył czarno*białą fotografię, na której stała obok Horsta Meyera z hotelem Bałkan w tle. Przerobił w myślach wszystkie warianty, ale nie ten, że dała mu się tak głupio sfotografować. Zapatrzył się w tę gładką twarz bez bruzd i zmarszczek, w jej obrażone, czarne oczy. Czym ją zdobył, że się w nim zakochała? Bo na trzeźwo nigdy nie pozwoliłaby na taką fotografię. Spojrzał na podpis i przeczytał: nadkomisarz Agata Zawadzka. Poniżej był numer fabryki, w której pracowała. Zaskoczyła go logika jej myślenia.

* Nic mi się nie kojarzy. Musimy to jakoś zaopiniować?

Dyrektor pokręcił przecząco głową. Choć uwiedziony, nie zaufał mu nigdy, pchany naturalną siłą chłopskiego instynktu, który kazał myśleć, że każdy kiedyś zechce wyrwać mu ten stołek spod dupy.

Raz już wcześniej przekroczone Wisła ściągała go teraz na swój prawy brzeg, więc samotną kolację zjadł w greckiej restauracji na Pradze. Zamówił gołąbki w liściach z winogron, jagnię gotowane w cytrynie i karafkę moschato patron. Nie mógł dojść do siebie po tym, co przeczytał. Zdumiała go jej odwaga. Nie miała żadnych dowodów, same domysły, w gruncie rzeczy wyssane z palca, powiedziałby każdy, a jednak napisała ten raport bez strachu, że zostanie wyśmiana przez kolegów, przełożonych i resztę resortu. Bardzo konsekwentnie i jakże logicznie przeanalizowała wszystkie dostępne jej ślady. Cwana dupa, pomyślał, i uśmiechnął się po raz pierwszy od dawna. Rozluźniony smakował jagnię i przepijał je winem. Ostatni raz pił takie w

Miinster. Przy jednym stole z Trudi, którą przestraszył nie na żarty, z Oliverem, grubym Jorgiem i nieszczęsną Aną P., której blizny na przegubach zostaną do końca życia. A fioletowe oczy Ho Szi Mina patrzyły na niego z żółtej ściany umajonej czerwonymi chorągiewkami.

Wybrał spacer. Szedł pieszo wzdłuż Wisły. Było zimno. Po zmierzchu wiatr nasilił się jeszcze bardziej, więc z przyjemnością nalał koniaku do pękatego kieliszka w mieszkaniu na Saskiej Kępie. Położył się z nim na kanapie, nie zdjął białego pokrowca z fortepianu. Niech sobie pomilczy tej nocy i nie dręczy go swoim plim*plim*plum*plum*plam*plam. Mogą oczywiście odebrać jej śledztwo, bo uznają, że oszalała. W każdym urzędzie państwowym liczą się statystyki. Domysły są od tego, żeby je umorzyć. Miał jednak nadzieję, że była uparta. Najwyraźniej była, skoro bez wahania napisała ten raport i rozesłała go po mieście. Musiała też mieć coś w życiorysie, co dało jej pewność, że nie wyśmieją jej, a przynajmniej nie od razu. Postanowił, że to sprawdzi. Spróbował sobie ją wyobrazić na podstawie słów, które napisała, ale te były lakoniczne i nie przełożyły się na żaden obraz. Rozwiąże ten problem. Najbardziej jednak zdumiewający był ten cholerny i spostrzegawczy kioskarz. Sam nigdy nie zwrócił na niego uwagi. A to oznaczało, że któregoś dnia mogła po prostu zapukać do jego drzwi na ostatnim piętrze. Podniecił się tym tak bardzo, że po raz drugi napełnił kieliszek koniakiem i zapalił serbskiego papierosa.

* Co z nią zrobisz?

* Jeszcze nie wiem, mamó. Muszę się zastanowić. Ale przyznasz, że wreszcie coś się dzieje, prawda?

* Nie zabijesz jej. Uśmiechnął się zadowolony.

* Zadam ci to pytanie po raz ostatni. Dlaczego taki jesteś?

* Dlaczego takiego mnie urodziłaś, mamó?

* Nie chciałam, żebyś nie miał żadnych uczuć. * Miała na sobie tą półprzeźroczystą nocną koszulę, której już nie powinna była nosić. * Zwykłego strachu też nie czujesz?

Raz jeden. Gdy mężczyzna w białym garniturze wręczył mu nowy paszport.

* Ten własny zostaw tam, gdzie zawsze go trzymasz. Będą cię sprawdzać. Niech

mają świadomość, że wyjechałeś do Splitu. Albo Dubrownika.

Wziął bezpłatny urlop na uczelni, mówiąc, że musi poświęcić się pracy translatorskiej. Wsiadł na pokład rejsowego samolotu i w ten sposób przekroczył granicę, zza której już nie było odwrotu. Dlatego poczuł strach, gdy wziął do ręki paszport dyplomatyczny. Bo to już nie była zabawa towarzyska.

* Witamy w klubie dorosłych * powiedział mężczyzna w białym garniturze.

Samolot wzniósł się w powietrze, a on spróbował pomyśleć o śmierci jak o czymś zwykłym i naturalnym. Wsiadł na lotnisku Schönefeld we wschodnim Berlinie, gdzie czekał na niego doktor Wolfgang Tietz, który nie zadawał pytań. Spędzili miesiąc w opustoszałym, odciętym od świata, uroczym ośrodku wypoczynkowym w pobliżu Eberswalde. Wieczorami pili enerdowskie piwo. Powtórzył tę podróż jeszcze cztery razy, aż mężczyzna w białym garniturze otrzymał zaszyfrowany raport od doktora Tietza, z którego jasno wynikało, że rzeczywiście szybko się uczył.

* Miłość jest ciężka i odpowiedzialna.

* Wiem, mamo. Dlatego unikam jej przez całe życie.

33

Zanim o ósmej trzydzieści weszła do salonu fryzjerskiego pani Oli przy Kruczkowskiego, zadzwoniła do panny Kozy z MSZ*etu. Kozówna wysłuchała ją w skupieniu i obiecała, że oddzwoni. Agata spędziła półtorej godziny w fotelu pani Oli i wstała z niego z rozjaśnionymi włosami, bez odrostów, z nieco zmodyfikowaną, skróconą wersją poprzedniej fryzury. Teraz jej włosy miały przyjemny miedziany odcień. Twarz nie była już taka blada. Tak się jej przynajmniej wydawało, kiedy spojrzała w lustro. Na pewno zmarszczki, bruzdy i wory pod oczami nie były tak widoczne.

Kiedy pani Ola najpierw myła jej włosy, a potem nakładała farbę, odchyliła do tyłu znużoną głowę i zamknęła oczy.

* Zawsze sobie gmeram, gdy leżę w wannie * zachrypnięty głos Marianny wrócił do niej w słuchawce. * Minus jest ten, że nie mogę używać wibratora na baterie.

Wysłuzona honda została pod domem, znów nie umówiła się na przegląd, więc prosto od pani Oli pojechała autobusem do fabryki. Gruda siedział przed włączonym komputerem i spojrzał na nią zdziwiony. Rano odkryła w szafie granatową sukienkę z wełny, którą kupiła sześć lat temu i której nigdy nie włożyła. Klasycznie koktajlowa, wcięta w talii, półokrągły dekol, dlatego szyję owinęła cienkim szalikiem.

* Gdzie jest Osiecki?

* Chyba poszedł zapalić.

Ledwie usiadła za biurkiem, zadzwoniła Kozówna.

* W listopadzie osiemdziesiątego siódmego * usłyszała jej dziecinny głosik w słuchawce. * Dokładnie trzeciego listopada. Został tam do dwa tysiące piątego roku. Wtedy wrócił na stałe do kraju i do emerytury pozostawał w rezerwach kadrowych ministerstwa. Do Belgradu trafił prosto z ambasady w Atenach, gdzie był od siedemdziesiątego dziewiątego. Wcześniej był w Sofii.

* Dziękuję.

* Nie powinnam tego mówić, ale imponuje mi pani. Spojrzała na zegarek.

Dochodziła jedenasta. Wybrała

numer Andrzeja Szpaka. Tak, jestem do dyspozycji, powiedział. Może być nawet za pół godziny.

* Czy ma pan magnetofon kasetowy? Pytam, bo dzisiaj to już zabytek. Jak nie, to przywiozę własny.

* Mam. Rzeczywiście jest stary, ale działa. O co chodzi?

* Chcę, żeby pan odsłuchał kawałek z pewnej kasety.

Zaparkowała służbowego passata między innymi samochodami tak, by nie mógł go zobaczyć z okna swojego małego i zaniedbanego mieszkania na Muranowie. Kolejny dzień, który był szary. Bez słońca.

Japoński magnetofon z radiem i odtwarzaczem stał w ciasnej kuchni, na lodówce.

Kasetę przewinęła w fabryce, więc po prostu włożyła ją do kieszeni i nacisnęła „play”.

* Chcę ci powiedzieć tylko, że dowiedziałem się czegoś dziwnego * z głośników odezwał się przyjemny głos Marcina K. * Bardzo dziwnego. Tomi, wiesz, który

Tomi, nie? Tomislav H., opowiadałem ci o nim. Więc Tomi twierdzi, że tym oddziałem kieruje jakiś strasznie porypany Polak. Nie chce mi się wierzyć, ale Tomi ma zazwyczaj dobre informacje, choć wtedy był w dupę pijany.

Wyłączyła magnetofon. Siedzieli na białych krzesłach z lat sześćdziesiątych, pomalowanych farbą olejną, która złuszczyła się i odchodziła w wielu miejscach, wciśniętych między laminowane szafki, maleńki stół i parapet z lastryko. Andrzej Szpak wsparł obie dłonie na lasce.

* Już to pani powiedziałem. Zniszczyli całą dokumentację. Nie mogę tego zweryfikować.

* Ale to nagranie pochodzi z dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

Ledwo zauważyła, że się zawahał.

* Nigdy nie zetknąłem się z informacją o jakimś Polaku i jego oddziale. Byłem tylko konsulem. I jestem pewien, że ambasador też nie miał o tym żadnego pojęcia. Nie wiem, czy to fałsz, czy prawda. Dzisiaj też nie chce pani spróbować mojej kawy? Pożegnała się, wsiadła do samochodu, ale nie włączyła silnika. Więc to był klucz. Lata osiemdziesiąte. Skłamał, żeby się odgradzić. Liczył, że tego nie sprawdzi? Wysiadła z samochodu i oparta o błotnik zapaliła papierosa. Po drugiej stronie ulicy rozłożyło się ogrodzone siatką boisko do gry w koszykówkę, upchnięte między monumentalnymi domami z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Na jego czerwonej nawierzchni tułały się wypłowiałe, żółte liście. Cokolwiek działo się dziewiętnaście lat temu, miało swój początek wcześniej, w latach osiemdziesiątych. I to coś obciążało sumienie konsula Szpaka.

Trzydzieści minut później mały, niebieski hyundai zatrzymał się przed klatką schodową. Zza kierownicy wysiadła energiczna, pięćdziesięcioletnia kobieta, ufarbowana na słomiany blond, wysoka, w rozmiarze czterdzieści osiem, w rozpiętym, beżowym trenczu, czarnych, trochę przyciasnych spodniach i butach na obcasie. Z dużym biustem, który podskakiwał. W tej samej chwili z bloku wyszedł Szpak, podparty laską. W czarnej nieprzemakalnej kurtce i cienkiej wełnianej czapce z logo firmy sportowej na czole. Zdziwiła się, że w ogóle się nie rozejrzył, nie sprawdził

rutynowo terenu. Kobieta pomogła mu usiąść na przednim siedzeniu niebieskiego hyundaia.

Ruszyli Andersa i dalej Marszałkowską na południe. Pierwszy dzień, kiedy Warszawa wstała z łóżka bez premierów, kanclerzy, ministrów i setek ekspertów, choć unijne flagi wciąż falowały, poruszane słabym wiatrem. Miasto było przejezdne.

Utrzymywała dystans dwóch samochodów. Nienaturalnie wyprostowana, podszyta lękiem, że zaraz poczuje ból kręgosłupa w części lędźwiowej, bo to z górą dziesięć lat, jak nikogo w ten sposób nie śledziła. Dłonie spocily się na służbowej kierownicy. Zgubiła ich na placu Bankowym, odcięta z lewej strony przez dwie ogromne ciężarówki. Przyspieszyła. Wbiła się ryzykownie na lewy pas i odnalazła niebieskiego hyundaia na światłach przy skrzyżowaniu z Królewską. Za rondem Dmowskiego musiała zwolnić, bo oba samochody, które ich rozdzielały, postanowiły skręcić w Żurawią. Hyundai okrążył plac Zbawiciela, zjechał w aleję Wyzwolenia, a z niej w Sępołowskiej.

Zatrzymał się po prawej stronie, przed schowaną w podcieniach klatką schodową.

Minęła go i byle jak wcisnęła passata na chodnik, w jedyne wolne miejsce po przeciwnej stronie wąskiej uliczki, pod masywnym budynkiem szkoły. Dziesięć metrów dalej jezdnię przegradzała ciężarówka, do której dwóch mężczyzn wkładało stare, ciężkie meble. Poza nimi w okolicy nie było żywej duszy. Ze schowka wyjęła służbową lornetkę i wysiadła. Zachowywała się jak kompletnie nieprofesjonalna kretyńska, która w dodatku odwalala tanią wiochę. Zasapana, w rozpiętym płaszczu i na ugiętych nogach, pochylona nisko nad

wyszczerbionymi płytami chodnika dreptała schowana za rzędem gęsto zaparkowanych samochodów. W nadziei, że z wnętrza szkoły nie dobiegnie nagle dzwonek kończący lekcje, zadarła koktajlową sukienkę aż do bioder, żeby nie krępowała jej ruchów. Każdy, kto by ją teraz zobaczył, w samych rajstopach pod rozpiętym płaszczem, komicznie rozkraczoną i trochę przykucniętą, przystanąłby co najmniej zdziwiony, a już taki Osiecki turlałby się ze śmiechu. Na szczęście konsul Szpak nadal nie wykazywał się rutynową czujnością. Być może zakłopotany własną bezradnością, bo kobieta musiała mu pomóc wydostać się z hyundaia. W tym samym

momencie jakiś samochód zablokowany przez ciężarówkę zaczął natrętnie trąbić, co wyraźnie zirytowało Szpaka. Na tyle szybko, na ile pozwalała mu laska, podszedł do brązowych drzwi klatki schodowej. Ryzykownie wychylona zza zielonego kangoo Agata zdążyła wyostrzyć szkła lornetki i zobaczyła chude, kościste palce, które wystukały numer dwadzieścia osiem na klawiaturze domofonu. Szpak zniknął za drzwiami, zrana potem Agata pospiesznie opuściła sukienkę i wyprostowała się z ulgą. Kobieta usiadła za kierownicą i włączyła światła awaryjne. Prawdopodobnie była synową, o której wspomniał kiedyś, że pomagała mu sprzątać mieszkanie. Nawet nie zwróciła uwagi na Agatę, która spokojnym, niespiesznym krokiem ruszyła w stronę passata. Obaj mężczyźni zamknęli tylne drzwi ciężarówki i zwałista maszyna rozpoczęła zmuszony proces wycofywania się z wąskiej uliczki. I dopiero wtedy rozległ się szkolny dzwonek. Agata wsiadła do samochodu i zadzwoniła do Osieckiego.

* Sempołowskiej trzynaście, kwadrat dwadzieścia osiem.

Wysiadła i zapaliła papierosa. Dzieci wylewały się ze szkoły. Zza wysokich murów dobiegał szum Marszałkowskiej, z lewej strony dudniła dołem Trasa Łazienkowska. Mieszkać tutaj to koszmar. Siedziała za kierownicą, kiedy dwadzieścia pięć minut później Szpak wyszedł z klatki schodowej. W szklach lornetki zobaczyła, że był wyraźnie zdenerwowany. Synowa pomogła mu usiąść na przednim siedzeniu. Ciężarówka już odjechała. Jechali tą samą trasą, więc pozwoliła sobie na to, żeby ich zgubić od czasu do czasu. Nawet nie wjechała w ulicę, przy której mieszkał. Zatrzymała się na chwilę w jej wylocie. Kobieta pomogła mu wysiąść z niebieskiego hyundaia i odprowadziła go do drzwi klatki schodowej.

Spojrzała na zegarek, dochodziła czternasta, i postanowiła dać czas Osieckiemu. Zresztą poczuła delikatne ssanie w żołądku, bo rano znów wypijała tylko kawę.

* W ten sposób nigdy nie schudniesz * powiedziała Kaśka. * Minimum to trzy lekkie posiłki dziennie. Idealem jest pięć małych posiłków na dobę.

Przypomniała sobie, że na rogu Andersa i Stawki był kiedyś mały i całkiem przyjemny bar. Bar nadal był mały, tyle że chiński. Zdecydowała jednak, że zostanie,

i zamówiła kurczaka z ryżem. Nie był tak dobry jak w chińskiej knajpce na Mariensztacie, w której była kilka razy z Kaśką.

W fabryce od razu pobiegła do łazienki, bo już za kierownicą passata poczuła, że za sekundę zsiąka się na służbową tapicerkę. Przed lustrem poprawiła makijaż i użyła wody toaletowej, bo na Sempołowskiej rzeczywiście spociła się jak ostatnia suka. Osiecki odrobił lekcję.

* Adam Wolak. Urodzony w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym w Świdniku. Więc teraz ma sześćdziesiąt cztery lata. Mieszka tam od połowy lat siedemdziesiątych.

Mamy jego domowy numer telefonu. To żołnierz na emeryturze. Odszedł dziesięć lat temu w stopniu pułkownika. Bez mocnych kwitów nie dowiemy się, gdzie służył, w jakiej formacji i tak dalej.

I to była dobra wiadomość, bo oznaczała, że intuicja jej nie opuściła. Osiecki z jeszcze większym niż Gruda zdziwieniem spojrział na jej sukienkę z dekoltem.

* Coś nie tak?

* Przeciwnie. Wyglądasz super. Mam nadzieję, że wreszcie zaczniesz chodzić bez stanika. Nie wiem, dlaczego całe lato łąziłaś w spodniach, zapięta po szyję.

* Córka sprowadziła się do mnie na krótko. Uświadomiła mi, że wyglądam jak facet, tyle że bez chuja. Zrobisz mi kawę?

* Jasne.

Usiadła za biurkiem.

* Powiedz mi, lepiej zadzwonić czy z zaskoku?

* Oczywiście, że z zaskoku. * Postawił przed nią żółty kubek z czerwonym kwiatkiem.

* Boję się, że go nie zastanę i będę sterczeć pod drzwiami jak głupia.

* To sobie posterczysz, ale nie dasz mu szansy, żeby się przygotował.

Wyczekała do siedemnastej. Wypaliła ze Struzik papierosa w damskim kiblu i wysłuchała opowieści o dorosłym synu, który nie chciał się wyprowadzić.

Passata zostawiła przed fabryką i pojechała autobusem. Wysiadła na placu Konstytucji. Szare powietrze ciemniało powoli, a pod wiatami przystanków

przybywało zmęczonych ludzi. Tramwajem dojechała do placu Zbawiciela. Nacisnęła cyfry dwa i osiem, przedstawiła się z imienia, nazwiska, stopnia i usłyszała w domofonie jego głos. Niby wysoki, który

jednak obniżał się melodyjnie, że chyba troszkę zmiękły jej nogi w kolanach.

Miał dziwne oczy o niesprecyzowanej barwie. Duże jak na mężczyznę. I ładne.

Czaiła się w nich pozorna, ciepła i uwodzicielska melancholia. Pozorna, bo ledwie kilka minut później zobaczyła ich nieruchome, zimne, może nawet bezwzględne dno.

Miał regularną, trudną do opisanego twarz. Był wyższy od niej, niby trochę misiowaty, z lekką nadwagą, którą każda na jej miejscu wybaczyłaby mu choćby ze względu na te oczy i na ten głos. Nosił duże okulary w czarnej oprawie. Miał w sobie przyjemną nonszalancję. Naturalną i leniwą pewność siebie, która przejawiała się w każdym geście. Duże, bezpieczne dłonie. Ciemnozieloną koszulę w kratę i szary sweter z cienkiej wełny zapięty tylko na dwa guziki. Miękkie sztruksowe spodnie. I kapcie z czerwonej wełny w granatową kratkę.

Nie był zaskoczony jej wizytą. Posadził ją w fotelu, sam usiadł naprzeciw. Ciasne trzypokojowe mieszkanie było urządzone banalnie, bez charakteru. Przeważały peerelowskie meble z lat osiemdziesiątych. Wszystkie nasiąknięte tytoniowym dymem. Na niskim stoliku między fotelami stała duża, kryształowa popielniczka. Uśmiechnął się, nie odsłaniając zębów. Usta też miał duże.

* Czekałem na panią. Część moich okien wychodzi na Sempołowskiej. Ten numer z zadartą sukienką bardzo mi się spodobał. Ma pani całkiem apetyczne uda.

W jednej sekundzie poczerwieniała jak burak. I tu ją miał, skurwysyn. Nawet nie spróbowała pójść na czołowe. Zamrugła nerwowo, uciekła z zawstydzonym wzrokiem. I zagryzła dolną wargę, bo ta zaczęła drgać z całym podbródkiem. Najchętniej buchnęłaby płaczem, żeby sobie ulżyć.

* Miałem mu o tym powiedzieć, ale pomyślałem, że to może być dla niego krępujące. Mam wrażenie, że nie podniósł się po tym straszliwym wypadku. Bo wiek nie może być dla nas żadnym usprawiedliwieniem. Czego pani ode mnie oczekuje?

W jednej sekundzie została rozbrojona i straciła wszelką przewagę. Upokorzona, zredukowana do mięska o grubych udach. Jedyne, co mogła zrobić, to wyjść,

trzaskając drzwiami, i rozplakać się na klatce schodowej. Musiała chrząknąć, żeby głos się odblokował.

* Dlaczego tu przyjechał? Co takiego uruchomiłam? Cały czas uśmiechał się łagodnie, ale jego leniwe, już bezwzględne oczy nie dawały jej spokoju. Zaglądały w dekolt i pod sukienkę. Czuła się tak, jakby siedziała przed nim nago i wiedziała, że on już nie pozwoli jej wyjść z tego narożnika.

* Jestem spokojnym emerytem. Dawno wszystko zamknąłem. Wychodzę z domu tylko na spacer i do kina z żoną. Podobnie jak Andrzej Szpak. Z tą różnicą, że on nie ma już żony i zrobił się bardziej nerwowy po wypadku. To wszystko, co pani wie, i to jest koniec. W zasadzie powinienem się teraz pożegnać i poprosić, żeby opuściła pani moje mieszkanie.

Zamilkł i czekał na odpowiedź. OK, jestem goła i tego nie mogę już zmienić. Sapnęła głośniej przez nos, skupiła w sobie całą odwagę, jaka jej jeszcze została, i spojrzała prosto w jego oczy, które nie były już ładne.

* To, że widział pan moją dupę, nie znaczy, że można mnie lekceważyć. Okłamał mnie. Udawał, że konsulem został w dziewięćdziesiątym. Zataił, że został nim w osiemdziesiątym siódmym. Chcę wiedzieć dlaczego. Myśli pan, że się tego nie dowiem? To nie będzie trudne, skoro jest nerwowy.

Świadomie okłamał funkcjonariusza policji państwowej, który prowadzi śledztwo w sprawie o zabójstwo. Z premedytacją. Oczy się nie zmieniły, ale przestał się uśmiechać.

* Z jego relacji wynika, że rozmowa miała miejsce w mieszkaniu, bez świadków i nie była protokołowana. Chyba że pani ma nagranie. Nie wiem, czy w tej sytuacji prokurator wyda nakaz.

* Wyda.

Tego jednego mogła być pewna. Musiał to zobaczyć w jej oczach, bo na ułamek sekundy zgubił maskę i zawahał się. Zwykły śmiertelnik niczego by nie zauważył, ale jej wyćwiczone oko wychwyciło to natychmiast. Nie odzyskała całej ziemi, ale kilka metrów kwadratowych wróciło do niej.

* Sąd uchyli * powiedział modulowanym głosem, który przykrywał emocje.

* Najwcześniej po dwóch dobach. Cztery osiem w puszcze mnie urządziła. I mam w swojej dużej dupie jego łaskę i zmiądzoną nogę. Miał pan erekcję?

Ostatni rozpaczliwy pomysł, ale wyraz szczerego, niezamaskowanego zdziwienia zaświadczył, że celnie się odwinęła.

* Rozumiem, że podnieca pana widok kobiety z zadartą sukienką. To zwykła ciekawość, ale nie musimy drażnić tego tematu, jeśli jest wstydlivy.

I chyba to ostatnie zdanie było tak naprawdę bolesne. Poczowała się, jak gdyby duszkiem wywaliła całą szklanę porządnej whisky. Lekko oszołomiona i bardzo zwycięska. Bezwzględne dotąd oczy, pozbawione nagle kontroli, zamrugały bezradnie. I może dopiero wówczas dotarło do niego, że te idiotyczne kaptcie w kratkę były zupełnie nie na miejscu, bo po raz pierwszy opuścił wzrok. Ze gdyby miał buty, wzmocniłyby go, przynajmniej trochę.

A tak był bez fundamentów. Chcesz ich trafić?, zapytała kapitan Sarnecka na oficerce w Szczytnie. Wal w jaja. Miała rację.

* Jeden jeden i niech tak zostanie. Nie lekceważę pani, skoro po śladach trafiła pani do mnie. To budzi mój szacunek. Mogę zobaczyć tę fotografię? * Głos nie był jeszcze skruszony, ale utracił dominującą melodię.

Wyjęła ją z torebki. Jak niemal każdy przed nim, wpatrywał się w nią długo. Zbierał myśli i zwierzał szyki. Albo szukał pomysłu na kompromis.

* Rzeczywiście ładna dziewczyna. Jak to się stało?

* Skręcenie karku i usunięcie twarzy. W tej kolejności. Bez słowa oddał fotografię.

* Co tu jest przyczyną? * zapytała. * Fotografia czy nagranie z kasety?

* Jedno i drugie.

* Polak i oddział najemników?

* To tylko domysły i plotki.

Zamilkł zamyślony. Przesadnie zasepiony. Zupełnie jak Kozyra. Już nie patrzył jej w oczy. Potrafią skrzywdzić kobietę, jak nikt inny na ziemi, ale są też beznadziejnie prości. Z tą zadufaną skłonnością do teatralizacji każdego, nawet drobnego niepowodzenia. Czego nie były w stanie wyplenić wieloletnia rutyna i długie

szkolenia.

* Pierdolę to * powiedziała i wstała z fotela. * Może pan zadzwonić do konsula i uprzedzić go, żeby się przygotował.

Ruszyła do przedpokoju, gdzie zostawiła płaszcz, szalik i beret, bo chciała trzasnąć drzwiami, żeby dogonił ją dopiero na klatce schodowej.

* Tłumacz * powiedział. * Tak go zarejestrowałem.

* Kiedy? * Schowała szalik z powrotem do rękawa.

* W osiemdziesiątym trzecim.

I to był ten konkretny, którego szukała. Usiadła z powrotem w fotelu, a pułkownik Wolak nie mógł już wrócić do roli samca alfa. Teren został odzyskany.

* Kim jest Tłumacz?

* Nikim.

* Myślałam, że usiedliśmy do poważnej rozmowy.

* To, co powiedziałem, jest bardzo poważne. Od tamtego czasu tyle razy wymienił swoją tożsamość, że nikt w całej Europie nie wie, kim jest teraz i jak wygląda.

* Urodził się z konkretnym imieniem i nazwiskiem. * Jak większość ludzi, ale nie pamiętam ani jego imienia, ani nazwiska.

* Nie pociągają mnie bezczelne kłamstwa. Raczej wkurwiają. Co się stało z jego teczką?

* Spaliłem ją osobiście. * Uśmiechnął się dumny z siebie. * Wymazałem go. Jestem pewien, że wszyscy go wymazali. Takich jak on nie chowa się w pamięci. Tym bardziej w szufladach.

Wstał z fotela, podszedł do okna i stanął plecami do niej. Dłonie schował w kieszeniach sztruksowych spodni. Więc jednak bał się trochę.

* Żeby była jasność w tym temacie, poświęcam Andrzeja Szpaka. Może go sobie pani zatrzymać na dwie doby. Nic nie powie. Nigdy go nie widział. Także jego teczki. Został uprzedzony o jego istnieniu, to wszystko. Na wypadek, gdyby się zgłosił. To jest moja propozycja. Albo ją pani przyjmie, albo nie mamy o czym rozmawiać. I przepraszam za moje słowa, były chamskie.

Usłyszała szcęk kluczy w drzwiach i zaraz potem do pokoju zajrzała jego żona. Była w tym samym wieku, nieładna, niska, przysadzista, ale w tej asymetrycznej twarzy z dużym, mięsistym i zupełnie niekobiecym nosem było coś sympatycznie uśmiechniętego. Miała chustkę zawiązaną pod brodą. Objuczona siatkami z plastiku.

* Pani komisarz Zawadzka. * Odwrócił twarz od okna. * Jest z policji.

* Doskonale * powiedziała żona. * Rozumiem, że wreszcie wyszedłeś z domu i pobiłeś kogoś. Może nawet okradłeś. Cieszę się, bo to wielka zmiana w twoim nudnym życiu. Napije się pani kawy albo herbaty?

* Nie, dziękuję.

Kobieta zamknęła za sobą drzwi pokoju. Milczał chwilę, nie ponagliła go pytaniem. Chciała usłyszeć jego wersję i chciała, żeby się do niej przygotował.

* Wie pani, co jest w tym najbardziej zabawne? Ze właściwie wziął się z nudy.

Rezydent był za młody. Miał trzydzieści pięć lat. Nie powinno się brać takich młodych ludzi do tej roboty. Ale jego poprzednik wyszedł po trzynastym grudnia z ambasady i już do niej nie wrócił, więc działaliśmy trochę pod presją. Był młody i ambitny, dlatego się nudził. Dostał przykrycie attache kulturalnego, bo praktycznie nie mieliśmy z nimi wtedy żadnej wymiany. Z tych nudów chodził na premiery, imprezy, bankiety i tam wypatrzył Tłumacza. Miał stypendium od jugoli. Drugie z rządu. Jak mu się skończyło, dostał z marszu posadę na uniwersytecie. Miał paszport konsularny. Podobno był bardzo zdolny. Na pewno nieprzeciętnie inteligentny.

Przeszkodzi pani, jeśli zapalę?

* Nie. Sama palę papierosy.

* To proszę się nie krępować. A może napije się pani czegoś mocniejszego?

Pokręciła przecząco głową. Usiadł w fotelu i głęboko zaciągnął się dymem.

* Dlaczego go zwerbowaliście? * zapytała.

* Tam była dziwna sytuacja po śmierci marszałka. Zawsze lepiej mieć własną wiedzę. Z pierwszego raportu wynikało, że świetnie sobie tam radził. Robił karierę towarzyską. Miał dostęp do elity Belgradu. Komunizm, droga pani komisarz, to był spełniony sen filozofa. Tłumaczył ich literaturę, więc znał pisarzy, a ktoś, kto znał

pisarzy, mógł znać najważniejsze osoby w państwie. Dlatego dałem zgodę na werbunek.

* Zgodził się od razu?

* Tak, i to powinno dać mi do myślenia. Ale wtedy też byłem młodszy i głupszy. Nawet nie wzięliśmy go do kraju, żeby solidnie przeszkolić. Rezydent na miejscu udzielił mu rutynowych instrukcji. On sam zaproponował miejsce spotkań. Belgrad znał jak własną kieszeń.

* Mógł mieć układ z tamtejszą bezpieką?

* Nie dopuszczałem tej myśli i bałem się jej jak ognia. Nigdy nie poznałem prawdy. Zamilkł i zamyślił się. Wyszła z niego starość. Oczy zbladły, duże usta się rozchyliły, gdy wciągnął dym, i odsłoniły zbrązowiałe od palenia zęby. Nawet głos utracił swoją modulację i został irytująco wysoki. Zgasił papierosa w kryształowej popielniczce.

* Od początku przeczuwałem, że on się kiedyś musi urwać. Był bardzo nietypowy. Nie mieliśmy na niego żadnych haków. Rezydent opisał go jako człowieka, który czasami sprawiał wrażenie całkowicie pozbawionego uczuć. Z nikim nie wchodził w bliższe związki. Z nikim się nie upił. Nigdy nikomu nie wyplakał w kołnierz. Nikt mu nie był potrzebny. To bardzo rzadkie. On się świetnie czuł sam ze sobą. Przyzna pani, że takiego człowieka ciężko prowadzić. Nie mogłem pojąć jego motywacji. Nie chodziło tylko o pieniądze. Wiem, że były ważne. Lubił luksus. Ale było coś jeszcze. Na pewno nie ideologia. Choć chyba dobrze się czuł w komunizmie. Wiem, że gardził nami. Chyba w ogóle gardził Polską,

* Kto go przewerbował? * zapytała.

* Wtedy mogliśmy tylko snuć domysły. W pierwszej kolejności padło na Rosjan. Musieliśmy działać w ramach współpracy wywiadowczej. Wiedzieli, że mamy własne źródło. Tak skonstruowali procedury, że nie mogliśmy tego ukryć. Trochę więcej dowiedzieliśmy się dopiero w dziewięćdziesiątym szóstym.

* Dlaczego tak późno?

* Rok wcześniej podpisali w Dayton porozumienie. Jego już tam nie było. Do Szpaka zgłosił się jakiś Amerykanin z ambasady i zaproponował spotkanie w knajpie. Był z Firmy, chociaż nie przyznał się do tego. Powiedział, że ich źródła doniosły, że we

wschodniej Sławonii podobno działał kiedyś chorwacki oddział najemników, który wyczyniał różne cuda wianki, na jego czele stał Polak, były agent sowiecki, i zapytał na koniec, czy coś wiemy na ten temat. Bo człowiek może być poszukiwany przez trybunał haski. Szpak w raporcie napisał, że z kontekstu wynikało, że mieli go na liście płac i po prostu zabezpieczali sobie tyły. Jestem pewien, że im też się urwał. Wszystkim się urwał. Wojna była wyjątkową okazją.

* Naprawdę był taki dobry, że wszyscy chcieli go mieć dla siebie?

* Naprawdę. Nie wiem, jaką miał metodę. Może udawał literackiego pięknoducha, a może zwykłego idiotę? Faktem jest, że docierał tam, gdzie chciał dotrzeć. Jego raporty i analizy były nie do przecenienia, a prognozy sprawdzały się jak ponure proroctwa. Przewidział bieg wydarzeń, zanim w ich własnych głowach zrodziła się idea Wielkiej Serbii. Nie miał

skrupułów, bo nie zdradzał własnego kraju. Chyba miał duży wpływ na kobiety.

* Ile razy pan się z nim spotkał?

* Raz. * Znów się uśmiechnął.

Wyjęła z torebki paczkę papierosów. Zaproponował jej swoje, ale pokręciła przecząco głową. Więc podał ogień. Używał staroświeckiej zapalniczki na benzynę. Ręce trochę mu się trzęsły.

* Może go pan opisać?

* Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowany i szczupły. Trochę taka sucha żyła szeroka w barach. Garbił się lekko. Myślę, że był przystojny. Mówiąc to, mam na myśli, że nie był ładny.

* Oczy?

* Niebieskie, jeśli dobrze pamiętam.

* Powiedział pan, że nie przeszedł szkolenia.

* U nas nie, ale Sowieci zrobili to na pewno. W związku z czym był bardzo dobrze wytrenowany. W zależności od tego, czy zrobili to w Bułgarii, czy w NRD.

* Które z tych szkoleń było lepsze?

* Oczywiście, że enerdowskie.

* Mógł skrócić kark?

* Najprostsze, co by mu przyszło do głowy. Mógł zastosować ucisk krtani, ale to dłużej trwa.

* Domyślam się, że nie skontaktuje mnie pan z rezydentem, który go zwerbował.

* To jest fizycznie niemożliwe, droga pani. Zaginął we wrześniu osiemdziesiątego siódmego. Jedenastego. O ósmej wieczorem wyszedł z ambasady i poszedł pieszo. Może po drodze wziął taksówkę, ale nikt tego nie wie. Następnego dnia ambasador powiadomił milicję o zaginięciu. Jugole potraktowali to bardzo poważnie. Było nie było, attache kulturalny. Ale nigdy nie znaleźli ani jego, ani jego ciała.

* Poszedł na spotkanie z Tłumaczem?

* Tego przecież nikt nie wie. Dlatego w listopadzie musieliśmy w trybie pilnym ściągnąć do Belgradu Andrzeja Szpaka z Aten. Dla jasności, jest zawodowym dyplomatą. Pozyskaliśmy go w siedemdziesiątym dziewiątym. Przeszedł tylko elementarne szkolenie.

* Czym się zajmował ten oddział?

* Nie wiem. Prawdopodobnie tym, czym zajmowały się inne oddziały. Palił wioski, mordował i gwałcił. Z tą różnicą, że robił to w imieniu Republiki Chorwackiej. Jeśli to nie były plotki. I proszę pamiętać, że to Serbowie byli wtedy etatowym potworem. Chorwaci bronili swojej niepodległości. Jeśli to prawda, byli jego ostatnim płatnikiem.

* Dlaczego miałby to zrobić?

* Może to jest odpowiedź na pani pytanie, której ja nigdy nie chciałem poznać, bo bałem się jej jak ognia. Odruch lojalności? Było państwo, nie ma państwa.

Chorwaccy ubecy przeszli do Chorwatów, serbscy do Serbów. Bośniacy trwali w szpagacie. Każdy wziął swoje. Choć trudno mi uwierzyć, że padł ofiarą podziału łupów, skoro był na liście płac trzech wywiadów.

Zapalił drugiego papierosa i zapadł się w swoim fotelu.

* Dlaczego mi pan o tym opowiedział?

* Bo wykonała pani kawał policyjnej roboty. Uznałem, że należy się pani nagroda. U podwładnych i zwierzchników zawsze najbardziej uwierał mnie brak zdolności do logicznego myślenia i kojarzenia faktów.

* Więc chcę znać jego prawdziwe imię i nazwisko.

* Zawarliśmy układ, pani komisarz. Sytuacja jest dobrowolna. Pani ma domysły, ja nie jestem świadkiem. Zawsze i wszędzie się wyprę. Jestem stary i w tej materii nigdy pani ze mną nie wygra. Obiecuję to.

* Dlaczego nie mogę poznać jego imienia i nazwiska?

* Bo zrobił to wszystko, żeby się ich pozbyć.

* Czy to nazwisko coś znaczy?

* Jemu przynajmniej tak się wydawało. * Uśmiechnął się. * Ale myślę, że jego tu nie ma. Ta kobieta to przypadek. Coś takiego się zdarza. Ogniskuje ślady, które konsekwentnie prowadzą nas w bardzo konkretnym kierunku, a potem okazuje się, że to lipa. Zbieg okoliczności. Może zresztą nie żyje? A jeśli nawet żyje, miał wszystkie możliwości, żeby rozpuścić się gdzieś w Europie. Albo dalej. Po co miałby tu wracać?

* Jeszcze nie wiem, ale jestem mniej wyrafinowana niż pan.

* To dowód, że nie utraciła pani zdolności do samooceny, co jest rzadkie w tym kraju. Wiele razy zastanawiałem się, kto kogo przyciągnął. Teraz jestem pewien, że to nie my jego, ale on nas. I nie musiał się tego uczyć. On się już taki po prostu urodził. To bez sensu rozliczać go z jednego trupa. Nawet jeśli była ładna.

* Skontaktował się z panem.

Uśmiech został na twarzy, ale duże oczy jakby zwięzły się trochę. Chciał pokazać, że nie ma w nich nic a nic czujności, co mu jednak nie wyszło. Dziesięć lat emerytury robi swoje. To nawet nie było zawahanie, tacy jak on nie wahają się nigdy, raczej zawieszenie, żeby w jednej sekundzie zebrać całą wiedzę i żeby reakcja była spokojna, zrównowazona. Wiarygodna. Właśnie otworzył usta i wziął oddech, ale go uprzedziła.

* Zostawiliście sobie furtkę. Podejrzewam, że takie są procedury. Ale on imponował panu, prawda? Był pan z niego dumny. Nadal pan jest. To jest ten syn, który wyszedł panu najlepiej. On jest złotym medalem za wierną służbę ojczyźnie. Zrobił to pan z czystej miłości i ja to rozumiem. Bo nawet najbardziej utalentowanemu dziecku może coś nie wyjść. I trzeba mu zostawić drogę powrotu do tatusia, który

ma od dawna przygotowany pokój z łóżkiem, szafką i tak dalej. Plotę bzdury? Nadal uśmiechał się i patrzył na nią pustym wzrokiem. Teraz udawał głupiego staruszka, ale w tym to już w ogóle nie był dobry.

* Odprowadzę panią do drzwi.

34

Było już zupełnie ciemno, słaby wiatr nabrał siły. Rozpędzał się na placu Zbawiciela, wpadał w aleję Wyzwolenia i pędził wąskim kanionem identycznych domów o spadzistych, czerwonych dachach w stronę placu Na Rozdrożu. Po drodze porывał z jezdni i chodników zeschnięte, brązowe liście. To ciekawe, że tam, na Muranowie, wciąż były jeszcze żółte, rdzawe i złociste. Wyjęła telefon i wybrała numer Webera. Głos, który usłyszała w słuchawce, był wyraźnie zalękniony. Od rana chciał zadzwonić, ale się bał. Tak po prostu. Bidulek. Tłumaczył skruszony, że żona siedziała obok, ale Agata nie chciała tego słuchać. Umówili się w tym samym barze na Górnym Mokotowie. Był pusty, siedzieli w całkowitym milczeniu. Nie odezwała się do niego słowem. Małymi łykami piła wódkę z tonikiem, paliła papierosa i patrzyła na niego. Stała przed nim filiżanka z kawą, bo przyjechał samochodem. Skulił się pod jej nieruchomym spojrzeniem i też milczał, niepewny tego, co się działo. I o to właśnie chodziło, żeby był pachnący, ładny, żeby milczał, bo teraz, po tym dziwnym dniu, kiedy domysły prawie się spełniły, ale nadal nie miała pół złamanego dowodu, chciała się jedynie zwyczajnie i po ludzku pierdolić.

* Zabierz mnie stąd * powiedziała.

Z wyludnionej i ciemnej uliczki na literę A, przy której nie stał ani jeden dom, skręcili w lewo, w jeszcze mniejszą i jeszcze ciemniejszą, bez nazwy, która prowadziła donikąd. W krzaki. Wsiadła pierwsza. Oszalały wiatr łopotał połami rozpiętego płaszcza i w jednej sekundzie zniszczył poranny wysiłek pani Oli. Weber był w samej marynarce. Prochowiec został na tylnym siedzeniu. Nad nimi wysoko huczał ogromny, zawieszony na grubych pylonach most Siekierkowski. Z lewej strony, gdzieś w oddali, marszczyła się woda Jeziora Czerniakowskiego, z prawej,

za wałem płynęła Wisła. Z zachwytem, jak dziecko, patrzyła na zlany światłem most, po którym gnały rozpędzone samochody. To było właśnie to miejsce. Szmat dzikiej, bezpieczeństwa, która zagubiła się człowiekowi w samym środku miasta. I jeszcze ten wściekły wiatr.

Wtulili się w siebie i zaczęli się całować. Był smaczny. I tym razem delikatny, choć napierał i czuła go na swoim brzuchu. Objął ją pod płaszczem, pieścił przez sukienkę. Dłonie trzęsły się trochę, gdy w pośpiechu rozpinęła mu spodnie. Dawno tego nie robiła. Jednym zamaszystym ruchem rajstopy i majtki zjechały do kolan. Uległa odwróciła się tyłem, zarzucił jej płaszcz na plecy, a gdzieś w głowie zakołatało, że w tym wieku już nie powinna wypinać gołej pupy przed młodszym o piętnaście lat gówniarzem, ale to była mocno spóźniona refleksja. Bo tym razem nie pisnęła jak myszka, tylko ryknęła na całe gardło. Pochyliła się nad maską czerwonej toyoty i raz za razem waliła w nią otwartą dłonią. Zaciskała uda, by czuć go jeszcze bardziej. Rzuciła mięsem na lewo i prawo i nazywała rzeczy po imieniu. A fala, która wreszcie nadeszła, zdawała się nie mieć końca. Za każdym razem, gdy wznosiła się coraz szybciej, jej okrzyki triumfu, mocne jak dzwon, szybowały w górę, między przęsłami i pylonami, w stronę samochodów, które nieświadome mknęły mostem. W samochodzie też milczeli. Ukołysana, zamknęła oczy. Leniwie, po omacku położyła lewą dłoń na jego udzie. Gdy poczuła, że znów się podniecił, otworzyła oczy i spojrzała na niego z szelmowskim uśmiechem. Tym razem poszło jej sprawniej ze spodniami. Zajęty kierownicą, sprzęgłem, gazem, skrzynią biegów i trzema lusterkami, bo ruch na Czerniakowskiej wciąż był duży, tylko bezradnie otworzył usta, ale nie zakłócił ciszy, która panowała we wnętrzu toyoty. Rozbawiona patrzyła na jego ładną, oliwkową buzię. Nie zamknął swoich ślicznych oczu i nie stracił panowania nad kierownicą. Tylko z szeroko otwartych ust dobyło się długie, cichutkie piśnienie. Niech się gnojek tłumaczy żonie z plam na spodniach i koszuli. Jedno było pewne, dzisiaj już jej nie bzyknie.

Mieszkanie przy Gagarina było puste. Kaśka usunęła tymczasowe ślady po sobie. Z suszarki w łazience zniknęły jej skarpetki w gwiazdki, majtki i anarchistyczne T*shirty. Szczoteczka do zębów na półce pod byle jak zawieszonym lustrem, pasta,

trzy kremy, dezodorant, różowa woda toaletowa z morelą i śmieszna kosmetyczka z Kubusiem Puchatkiem, która przez te kilka dni stała na pralce. Znowu została sama. Weszła do kuchni i nalała sobie brandy.

Za jednym zamachem uruchomiła dwóch uśpionych emerytów. To był fakt. Konkret. Obaj byli zawodowymi kłamcami. Pułkownik Wolak był nim na pewno. Jaki miał jednak interes, by zbałamucić ją fałszywą i zmistyfikowaną historią? Nie był przecież wariatem, znudzonym dziadkiem, który plecie piętrowe bzdury, byle zatrzymać rozmówcę w domu i zapełnić kolejne dwie godziny życia. Spróbowała wyobrazić sobie, co powie Kozyrze i jaka będzie jego reakcja.

W tym punkcie nadal była katastrofa. Więc poszła do łazienki, zatkała wannę i rozkręciła oba krany. Zdjęła ciężko doświadczoną sukienkę, na której też zostały plamy, i wrzuciła ją do kosza na brudne ubrania. Z ulgą rozpięła stanik, rozebrała się do naga i usiadła na kuchennym stołku. Zapaliła papierosa. Była rozgrzana, nie czuła zimna. Jeśli Wolak nie kłamał, to czy wszystko, co powiedział, było prawdą? Czy zdanie: „Myślę, że jego tu nie ma”, było prawdziwe czy fałszywe?

Schowała się w wannie i raz jeszcze przeanalizowała całość. Piękna dziewczyna o migdałowych, gniewnych oczach, wyrazistym nosie i dużych zębach i trzech mężczyzn, Marcin K., Horst Meyer i człowiek bez twarzy, bez tożsamości, którego Wolak zarejestrował pod kryptonimem Tłumacz. To, co ich połączyło, wydarzyło się dziewiętnaście lat temu. Czy mogła wierzyć w szczerść Uwe Meyera, który ręczył, że tajemnicza dziewczyna nie była kochanką jego starszego brata? Jeśli tak, to czy coś połączyło ją z Marcinem K.? Czy zatem dziewczyna również знаła Tłumacza? Według Wolaka zdążył się on już wówczas urwać wszystkim, z którymi wcześniej kurwił się za ciężkie pieniądze. Czy Tłumacz mógł mieć coś wspólnego z tragiczną śmiercią Horsta Meyera i z tym, że Marcin K. zagubił się na wojnie, na której tak dobrze się bawił? Wolak powiedział * plotki, pogłoski. Kalicki raczej zaprzeczył. Ale głos Marcina K. zapisany na starej kasecie mówił zgoła coś innego, powołując się przy tym na jakiegoś Tomislava H. A Marcin K. był wtedy tam, na miejscu, najbliżej wszystkiego, kiedy nagrywał tę informację Mariannie Pawlak. Dobrze, dobrze, dziewczynko, nie masz żadnej przesłanki, by sądzić, że przyjechała tu z powodu

Tłumacza. A jeśli nawet, to dlaczego zwlekała z tym tyle lat? Oczywiście, że Tłumacz mógł nigdy tu nie wrócić. Ale czy rzeczywiście to, co zobaczyła w oczach pułkownika

Wolaka, było wahaniem, którego nie zdołał zamaskować, bo po dziesięciu latach emerytury wyszedł z wprawy? Tacy jak on nie powinni wyjść z wprawy nawet po dwudziestu latach przerwy w rutynie. Dlaczego jednak miałby z nią grać, udając niewprawnie głupiego staruszka? Bo emerytowany pułkownik Wolak był bez wątpienia kłamcą, ale był też uwiedzionym i porzuconym kochankiem. Ta gorycz tkwiła w nim, choć miał świadomość, że na liście wszystkich uwiedzionych i porzuconych kochanków zajmował ostatnie, najbardziej wstydlive miejsce.

Ośladzała je duma, że kiedyś był pierwszym. Tym, który przebił błonę dziewiczą, puścił krew i uczynił pierwszy krok, by z utalentowanego, nieprzeciętnie zdolnego szaraka zrobić piękną i luksusową kurwę*po*twora. Pewnie drogą jak cholera. A więc skontaktował się z nim. Przynajmniej raz. Niemniej obraz człowieka, który mógł zabić tę egzotyczną i dojrzałą piękność o kapryśnych bruzdach i fantazyjnie siwiejących włosach, był wciąż mało konkretny. Miał niebieskie oczy, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i urodził się pod coś znaczącym nazwiskiem. I z całą pewnością mógł skrócić smukły kark. Z równym jednak powodzeniem mógł być mały, gruby, łysy i mieć brązowe oczy. Tylko czy dla kogoś takiego warto się tłuc tyle kilometrów? No właśnie, ile? Jej przecież niebanalna twarz nie zapadła w pamięć na żadnym z przejść granicznych Unii Europejskiej. To już kilka ładnych dni, a nikt się o nią nie upominał. Nikt nie zadzwonił i nie przysłał maila z którejkolwiek ambasady.

Doszłaś do ściany. Nie masz patentu, żeby zmusić tych emerytów do mówienia prawdy i tylko prawdy. Nikt ci nie da zgody na to, żeby założyć im ucho. Nawet Weber. Choćbyś mu obciągnęła najlepiej na świecie, a przecież umówmy się, nigdy nie byłaś w tym dobra. Nie możesz im założyć permanentnego oka, bo Gruda z Osieckim nigdy na to nie

pójdą, zwyczajnie ci nie wierzą, a Kozyra dostanie powód, żeby wysłać cię na wcześniejszą, choć mocno już zasłużoną emeryturę. Wszystko ci się ładnie dopięło,

ale rączki masz puste. Przegrałaś. To jest koniec. Nie, to nie jest koniec.

Wyrzebiemy cię z przeszłości. Pułkownik Wolak, jak każdy porzucony kochanek, jednak cię zdradził. Zrobił to między wierszami i w białych rękawiczkach, ale wyraźnie był ciekaw, co by było, gdybym cię jednak ustaliła, skurwysynie. Zajmie nam to szmat czasu, ale jesteśmy cierpliwi. Jeśli rzeczywiście tłumaczyłeś, Tłumaczu, to już zostawiłeś swój ślad. Przejrzymy nazwiska tych, którzy w ciągu ostatnich trzydziestu lat tłumaczyli z serbsko*chorwackiego, i sprawdzimy, które z nich coś znaczy lub znaczyło. Będziemy to robić półgębkiem, na marginesie. Nie mówię za innych, to ja nie zaprzestaną. I rozluźniła się.

Wróciło wspomnienie, jak bezwstydnie wypięła się pod mostem, na masce czerwonego samochodu, by wziąć ją od tyłu. To było fajne. Wściekle podniecające, gdy nad głową szumiały samochody, a oszalały wiatr gwizdał w uszach. Znów biało zrobiło się pod powiekami i zobaczyła rozbłyśki.

35

Wyruszyli wcześniej rano, chociaż kac męczył i Horst nie usłyszał w swoim pokoju tych trzech wystrzałów z kałasznikowa, a to przecież tylko ulicę dalej. Wypili kawę w pustej restauracji Royała. Oswojone z porannym słońcem oczy, ukryte w nieforemnych muszlach napuchniętych powiek, na powrót musiały przywyknąć do mroku, z którego wyłoniła się koszula kelnera, a źrenice potulnie skurczyły się przed jej bielą. Szeleszczący z namaszczeniem niemiecki szept z chorwackim akcentem zapytał, co podać. Kelner też miał kaca, bo drobne krople potu dyndały tuż nad brwiami. Potem już tylko palili papierosy w rozgrzanym wnętrzu czarnego samochodu i nadal milczeli, odzywając się z rzadka, jedynie przez grzeczność, więc Marcin K. nie zapytał o tego Audena pod poduszką.

Tą samą drogą, cztery dni wcześniej, jechał do Vukovaru. Upał był taki sam i w tym samym miejscu usłyszał dalekie i głucho dudnienie wybuchów. Po lewej stronie wypłowiego w słońcu asfaltu wyrastało to samo, ciągnące się po horyzont pole kukurydzy. Znieruchomiałe w gęstym powietrzu morze żółto*zielonych kaczanów

tkwiących na grubych łądygach. Tylko gwardzista na rozstaju dróg był nowy. Rozpięta i przepocona bluza z naszywką „Cro*army” na ramieniu, granatowe spodnie od dresu z białym, podwójnym lampasem, wyświecone na wypchniętych kolanach, gołe stopy w rozdeptanych i zakurzonych mokasynach na cienkiej podszwie, ozdobionych plecionką. Spalona słońcem czaszka, środkiem której przebiegał krótko przycięty, czarny irokez. Mówił po niemiecku i odpowiadał na pytania Horsta, choć ospały upałem wzrok uparcie trzymał się paczki amerykańskich papierosów między przednią szybą a kierownicą. Zapalił, ale nigdy nie słyszał o takim oddziale. Z przydrożnego rowu wyszedł drugi, obnażony do pasa. Duży krzyż z odrobioną realistycznie figurą Chrystusa zwisał na grubym rzemieniu, który wrzynał się w masywny kark, zostawiając czerwony ślad na spoconej skórze. Długie i zlepione brudem włosy, spięte z tyłu głowy w niedbały węzeł, dłonie zatopione głęboko w kieszeniach spodni, nad którymi wznosił się tłusty, połyskujący w słońcu brzuch. Smród czosnku wdarł się przez opuszczoną szybę samochodu. Kałasznikow na parcianym pasku dyndał na nagim ramieniu. Zaszczekał krótko do kolegi i ten natychmiast umilkł. Zaciągnął się jeszcze trzy razy i po papierosie. Czubkiem mokasyna roztarł go starannie na asfalcie i pokręcił przecząco głową. Nie ma tu żadnych najemników. Tu są sami Chorwaci.

* I katolicy. * Ten z gołym brzuchem cmoknął krzyż.

Skręcili w prawo, zostawiając z tyłu kukurydzę, ale ledwie trzy kilometry dalej, po lewej stronie, znów wyrosły grube łądygi. Zmiażdżone na lepki miąższ, który cztery dni wcześniej sklejał palce wczepione w żółtą ziemię na wypadek, gdyby ta odwróciła się do góry nogami. Więc leżał i wdychał smród chorwackiego, wystękanego z zakłopotanym uśmiechem gówna. Żołnierz kucał z opuszczonymi spodniami i jedną ręką przytrzymał hełm na głowie, bo serbskie moździerze waliły na oślep. Drugą zaciskał na lufie kałacha, którym się podpierał. Trząsł się w tym ogłuszającym huku, podrygiwał wraz z całą ziemią dokoła i srał, dyskretnie skulony między kukurydzianymi pniami, zerkając co rusz, z głupim uśmiechem, za siebie, na rozplaszczony w ziemi Marcina K., który umierał ze strachu. A czym się podciera? Przecież nie puchatą gąską. Żołnierz niczym się nie podtarł. Po prostu

wysrał się i podciągnął spodnie. Dopinał je niespiesznie, gmerając dłonią przy rozporku, i spoglądając za siebie z bezmyślnym uśmiechem, rozplynał się w gąszczu zielonych łądyg, ciągnąc za sobą karabin. Niezbyt nawet pochylony. Chwilę później jeszcze jeden grzmot podrzucił ziemią do góry, a ta spadła na głowę i ramiona Marcina K. Z kukurydzianej dżungli dobiegł skowyt. Nie powinien był go słyszeć, ogłuchły od huku moździerzy, jednak usłyszał. Nieznośny, jak skomlenie rozjechanego psa. Długo trwało, nim wreszcie umilkł, bo rozjechane psy zawsze cholernie długo skowyczą. Ten jeden zdążył się wysrać przed śmiercią. Jak w tej dżungli łatwo zgubić drogę. Zanurzasz się w nią i giniesz. Trzepiesz ręką na lewo i prawo, w tym nie ma żadnej logiki i żadnej metafory. Najgorsze, że tutaj jedyną bestią jest człowiek.

* Zatrzymaj się * powiedział Horst.

Samochód zjechał na pobocze. Nagła cisza, bo od godziny nie minęli na szosie żadnego innego samochodu, a ostatnimi, których widzieli, byli dwaj chorwaccy gwardziści. Pierwszy wysiadł Horst. Marcin chwilę po nim.

* To żałosne * powiedział po angielsku Horst, który stał przed samotnym, uschniętym drzewem o rozczapierzonych, odartych z kory konarach. Wyrastało z wysokiej trawy, dwadzieścia metrów od skraju szosy. Widoczne nawet z daleka. Każdy, kto tędy przejeżdżał, musiał go zobaczyć dyndającego na czerwonej chuście. Ale kto tu teraz jeździ?

Marco umierał ze strachu. Że odkryją, kim jest. Ale też i w ogóle, bo wszystko było straszne. Bo nie odezwali się do niego słowem. Więc umierał ze strachu w każdej minucie każdej godziny każdego dnia, choć tych dni nie było zbyt wiele. Odcięli go raptem cztery dni po tym, jak oddał akredytację i zniknął z hotelu. Jeśli przyjąć, że wisiał dobę, to był w oddziale trzy dni. A te trzy dni to tylko siedemdziesiąt dwie godziny, czyli cztery tysiące trzysta dwadzieścia minut strachu. Chyba najbardziej przerażało go milczenie. Cztery tysiące trzysta dwadzieścia minut milczenia. Między sobą też nie rozmawiali. Cała procesja odbyła się w ciszy. Rozpełzli się po lesie bez słowa. Żeby doczekać zmierzchu. Żeby się nie męczyć w upale, który topił twarze tak, że traciły swe

kontury. Oprócz strachu czuł jeszcze nieznośny ciężar w płucach.

Do wioski weszli od jej południowej strony, w szarą godzinę, gdy wieczorna mgła zaczęła osiadać na wzgórzach wokół. Cichutko, niespiesznie, bez podniesionych głosów. Nie tłukli szyb i nie wyłamywali drzwi, żeby nie tracić cennej energii, znużeni po męczącym, gorącym dniu, który upłynął w bezruchu. A ten bezruch wciąż czaił się w nich, jak leniwy gest, którym Milan sięgnął po kota przyczajonego na zwieńczeniu ogrodzenia. Kot czmychnął, ale też wieczornie, z ociąganiem. Nawet nie miauknął. Tyle że pies go wyczuł, zaszczekał i na moment zagłuszył włączone telewizory i podpite głosy.

Szedł ostatni i chyba nikt nie zwracał na niego uwagi. Bo kto mógł wiedzieć, że był Szwajcarem? Ale wilk, który wypełził z trzeciej zagrody po lewej stronie, przyjrzał mu się uważniej i zaszepotał coś do Milana, ten jednak tylko zaśmiał się z wyraźnym lekceważeniem. Ciszę zakłócił dopiero wrzask dziecka. Zaczęli się budzić.

Wychodzili z łóżek, wstawali od stołów. Podciągali kalesony, wycierali usta.

Wcześniej, zanim weszli do wioski, przyjechał mężczyzna. Ciemnozielonym terenowym suzuki. Marco widział go

po raz pierwszy. Odróżniał się tym, że nie miał na sobie munduru. Nosił ręcznie szyte buty z cholewką, białe, płócienne spodnie. I nie krył się z siegsauerem w kaburze pod zamszową marynarką w kolorze cegły. Na zgrabnym przegubie mienił się w zachodzącym słońcu łańcuszek z wielokaratowego złota i skromny longines. Wtedy jego gęste włosy jeszcze nie były siwe. Milan poszedł z nim na stronę i długo rozmawiali. Wszyscy okazywali mu szacunek. Siedział w otwartych drzwiach samochodu, gdy poszli do wioski. Palił papierosa. Na ułamek sekundy jego zamyślony, nieobecny wzrok zatrzymał się na Marcu. Miał niebieskie oczy.

Dołączały do nich pozostałe wilki. Wszyscy z siekierami w dłoniach. Palcami wskazywali domy. W tych, których nie wskazali, okna pozostały ciemne i szczelnie zasłonięte. Zgarniali ich tak, jak stali. W gaciach, piżamach i nocnych koszulach.

Struchlały Bożo stał pod tarasem własnego domu i nie mógł nic zrobić, bo Nebojsza pieszczotliwie tulił do siebie jego jedyne syna, a żonie prawił komplementy. Więc tylko patrzyli przerażeni oboje na sąsiadów, którzy w karnym szyku zapełniali ich

ogród. Zdumieni ilością wilków, którzy mieszkali w tej samej wiosce.

Dragiśa od razu poszedł do szopy, bo dobrze ją znał. Bożo wiele razy zapraszał go do niej, więc wiedział, gdzie leżał ogromny młot. Raz nawet zapytał go, na co ci taki wielki młot, ale Bożo tylko wzruszył ramionami. Zaraz potem wyszedł z szopy z tym wielkim młotem w dłoniach i wiedział już, na co on był. Jakie było jego ukryte przeznaczenie. Wziął oburącz zamach ogromny, od lewej do prawej i jednym celnym uderzeniem młota urwał głowę biednego Bożo, któremu obiecał, że pomoże mu naprawić furtkę. Krew nie chlusnęła nawet tak bardzo, ale roztrzaskana głowa, jej mizerne resztki, potoczyły się rozpędzone po trawie, która nazajutrz powinna być już koszona, bo ładnie odrosła. Zdziwiony

brakiem głowy korpus stał jeszcze chwilę, nim poszedł w jej ślady. I zaczęło się.

Od czego ostatecznie wszystko pomieszało się w jej mózgu? Od tego, co przydarzyło się głowie Bożo, czy dopiero wtedy, gdy Nebojsza zabrał chłopca ze sobą?

Wszystkie zebrane w kupie kobiety krzyczały, ale jej krzyk był inny. Bujne ciało napierało plecami na chropawą ścianę podpierającą taras, zasysało gorące powietrze i w gwałtownych, ale rytmicznych spazmach wyrzucało z siebie ogłuszający, monotony dźwięk. W jej szeroko otwartych oczach nic się nie odbijało. Były puste. I ta pustka była nienormalna. Zaraz potem jej wzrok jednak się odmienił, bo przypomniawszy sobie, że przecież było jeszcze dziecko. Oczy skupiły się dziwnie, na pewno już nie były puste, ale jeden diabeł wiedział, co się w nich przeglądało.

Wyrwała się do syna, ale złapali ją i trzymali mocno, gdy ogromny Nebojsza zarzucił sobie na ramię przerażone ciało chłopca i na pożegnanie pomachał jej wielką jak bochen chleba dłonią. Puścili ją, więc rzuciła się za synem, ale zaraz zagrodzili jej drogę. Znowu puścili. I znowu zagrodzili, rozbawieni. Kocie pazury przyszpiliły mysi ogonek. Już nie krzyczała. Któryś chwycił za kołnierz spłowiałej sukienki. Sprana do cna rozdarła się i opadła, a ona została w samej bieliźnie. Też spranej i byle jakiej, niewyjściowej. Zaśmiali się gromko na widok przetartych na pulchnym pośladku majtek. Zerwali je tak, że zostały czerwone ślady na mlecznobiałej skórze. Podobnie postąpili ze stanikiem. Nie wiadomo, który uderzył ją niedbale, i trochę ogłuszona padła na ziemię. Rozwarli jej masywne uda i trzymali za ramiona. Dragiśa

miał pierwszeństwo. Zrobił to na wszystkie możliwe sposoby. Nie krzyknęła, nie zamknęła oczu, które na powrót zrobiły się puste. Ostatni w kolejce miał numer jedenasty. Potem uparcie pełzła na kolanach tam, gdzie Nebojsza oddalił się z jej synem na ramieniu. Ale tam był już tylko Marco, który wymiotował. Tamci zdziwieni patrzyli na niego. A ona pełzła. I chyba dopiero wówczas zobaczyli, że Marco umierał ze strachu. Dragisa zatrzymał ją w pół drogi. Pochylił się w rozkroku nad znękanym ciałem, chwycił za czarne włosy, aż głowa odgięła się do tyłu. Nie wrywała się, ale uparcie parła do przodu. Żaden dźwięk nie dobył się z jej gardła, gdy błysnął bagnetem. Potem przywołał ruchem głowy Marca. Ten rękawem munduru starł wymiociny, we dwóch zawlekli ją i usadzili opartą o pień owocowego drzewa. Niech spoczywa w pokoju. Wszystkie drzewa zasadził dziadek Bożo. Po czterech krokach oszołomiony Marco dokładnie je policzył, Dragisa cofnął się i zamknął jej puste, wytrzeszczone oczy.

Milan stał z boku i palił cygaro. Trzy dni wcześniej był na wiecu w centrum Zagrzebia. Ubrany w jedwabną koszulę i czarne, zaprasowane w kant spodnie patrzył na ojca swojego narodu, który zdejmował kłatwę z ustaszy i dziękował rzymskokatolickiemu Bogu, że żona nie była Serbką ani Żydówką.

Co się działo z pozostałymi? Mniej więcej to samo. Może nie tak widowiskowo, bo Dragisa całą swoją energię skupił na Bożo i jego rodzinie. Poza wszystkim młot był ciężki. Więc niektórych mężczyzn zastrzelili od razu i dopiero potem uporządkowali ich członki. Ramiona oddzielnie, nogi oddzielnie. Z głowami postąpili podobnie. To nie był jakiś uzasadniony wybór. Zwykły kaprys, że innym zrobili to samo, ale na żywca. Kobiety jednak musiały się najpierw rozebrać do naga. Wszystkie. Żadna nie miała przecież nadziei, a mimo to posłusznie pozbyły się ubrań.

Goranka miała pięćdziesiąt trzy lata i postanowiła z godnością unieść swoją nagość. Liczyła, że ze względu na wiek odejdzie bez fajerwerków. Fakt, zgwałciło ją tylko pięciu i tylko jeden zrobił to w odbyt. W kolejce był jeszcze szósty, ale mu nie stanął. Oddychała więc ciężko, wpatrzona w czarne niebo z gwiazdami i czekała na litościwy strzał, gdy złapali ją nagle za ramiona, a ten szósty przydusił ją okraciem, z zemsty najpierw wydlubał jej oczy, potem naciął od krocza po żebra i dopiero w tym

stanie zostawił w niestrzyżonej trawie. Konała do świtu i nikt jej nie dobił.

Petar miał dwadzieścia jeden lat. Choć powinien uwijać się za ladą największego w Europie McDonalda przy Terazije, uciekł z Belgradu w strachu, że wciela go do Armii Federalnej. Zaszył się na wsi, u ciotki, która dwadzieścia jeden lat temu wyszła za Chorwata. Jesteś tu bezpieczny, Chorwaci nie wezmą cię do wojska. Chorwaci nie, ale rodacy z Krainy mieli odmienne zdanie w tej sprawie, więc i tak od czasu do czasu musiał siedzieć pod podłogą. Teraz stał w ogrodzie. Nie dość, że pierwszy raz widział ciotkę nagą, to jeszcze gwałconą, bo nie wybronił jej ślub z Chorwatem, wujka zwyczajnie zastrzelili w progu, a i z niego samego zdzierali ubranie. Wyrywał się, szarpał w rozpacz. Łkał, błagał, obiecywał wszystko, nawet i to, że zostanie katolikiem. Na nic. Czterech go trzymało, a piąty schwycił lewą dłonią jego genitalia i odciął je siekierą, którą trzymał w prawej. Petar, skowycząc, skulił się jak embrion, obie dłonie zacisnął na dziurze, z której tryskała krew, na szczęście precyzyjna seria z kałacha zakończyła tę komedię.

Danica miała dwadzieścia osiem lat. Zawsze szczupła i smukła, niebieskooka blondynka o rzadkich włosach, trochę roztyła się w drugiej ciąży. To był koniec siódmego miesiąca. Nie była zbyt mądra. Nenad z pierwszą córką * ona była pewna, że to, co miała w brzuchu, też było dziewczynką * wyjechał na cały tydzień do swoich rodziców, którzy mieszkali w Trnjani i byli muzułmanami. Teść praktykował. Została więc tylko z mamą, bo tata od siedmiu lat był w Essen, gdzie w pocie czoła pracował na to, by całą rodzinę, z żoną, Danicą, Nenadem i wnuczkami ściągnąć do siebie. Głupio

wierzyła, że widok nagiej kobiety w ciąży ostudzi ich zapał. Jakoś pohamuje.

Zaciskała powieki, by nie patrzeć na to, co wyprawiali z jej

czterdziestodziewięcioletnią matką, ale gdy otworzyła oczy i zobaczyła jej obnażone i zbezczeszczone ciało z głową rozplataną siekierą sąsiada, straciła przytomność.

Obudził ją straszliwy ból, ale nic nie mogła już zrobić, bo trzymali ją za ręce i nogi, z unieruchomioną głową, i bagnetem rozcinali okrągły, twardy jak bęben brzuch.

Młode, choć znużone drugą ciążą serce nie wytrzymało. Nie widziała i nie czuła już, jak rozcięli jej brzuch do końca i wyjęli płód.

Milan wciąż palił swoje marne cygaro i patrzył na Marca, który zwymiotował wszystko, co zostało w środku jego wątego, wypieszczonego, teraz śmiertelnie bladego ciała. Wiedział już, że bez względu na to, kim był ten młodzieniec i za kogo się podawał, z czystej troski musi mu oszczędzić przyszłych doświadczeń. Nie zobaczy więc tych piętnastu serbskich mężczyzn i kobiet, którzy sprytnie pochowali się w tej części Vukovaru zwanej Olajnica. Choć Milan nie wiedział, dlaczego Zrnić na koniec wyciął jej całą szczękę, skoro miała tylko dwadzieścia cztery lata i ani jednego złotego zęba.

Marco nie zobaczy, jak dwudziestego szóstego września, pod osłoną mgły wkroczą o czwartej nad ranem do wsi Brlog i spalą w niej osiemdziesiąt serbskich domów.

Rodzeństwo * brat i siostra * Duro i Soka Tomić zdołają uciec. Podobnie jak sześćdziesięciojednoletni Dragan Kosovac. To właśnie dzięki takim jak oni Milan do końca swych dni będzie musiał opłacać się chorwackim policjantom i udawać, że go nie ma.

Marco nie zobaczy, jak w Divoselo zmuszą Mile Plećaša, by sam spalił swój dom, a na koniec i tak wrzucą go w ogień.

Nie zobaczy też w sobotę, piątego października, między trzynastą a czternastą, jaką karę wymierzą Brance Roknić, chorwackiej katoliczce, która miała czelność wyjść za prawosławnego Serba i zamieszkać z nim w Sojevac, na przedmieściach Karlovaca. I urodzić mu trójkę dzieci. Starszego syna, Dušana, zabiją z miejsca, na schodach piętrowego domu. Co zrobią z dwiema młodszymi córkami, lepiej nie mówić.

Nie zobaczy, jak najdą i ostrzelają z broni ciężkiej wsie Kinjačka i Trnjani, gdzie zginą rodzice Nenada, Sjeverovac i Staro Selo. W każdej z nich będą zabijać kobiety, dzieci i zniedołężniałych starców.

Nie dowie się, kto dziewiątego października, około szesnastej zastrzelił czterech dziennikarzy RTB na drodze w pobliżu Petrinji, choć samochód ze wszystkich stron oblepili słowem PRESS.

Miloša Grubića, który mieszkał we wsi Blinski Kut, a w listopadzie miał skończyć pięćdziesiąt cztery lata, związali jak baleron i wepchnęli do plastikowego worka.

Kawałek po kawałku nacinali go piłą tarczową, którą znaleźli w jego piwnicy, by powiedział o wszystkich członkach lokalnego oddziału Serbskiej Partii Demokratycznej.

To wszystko zostało mu litościwie przez Milana oszczędzone.

Marcin K. spróbował wyobrazić sobie jego dyndające na chuście ciało i choć tyle już widział, tu jego wyobraźnia nie sięgnęła.

* To żałosne * powtórzył po angielsku Horst.

36

Obudziła się nad ranem. Wypoczęta, bo to była kolejna z rzędu noc, gdy nic jej się nie przyśniło. Więc się nie spociała. Za oknem było jeszcze ciemno. Leżała na plecach i patrzyła w sufit. Znów będzie musiała przyzwyczać się do pustego mieszkania, którego nie lubiła. Po tym, gdy wykopała stąd pięknego Lolo, a córka dorosła i oświadczyła, że życie pod jednym dachem może być toksyczne, nie dorobiła się żadnego planu, jak je zapełnić. Oficjalna wersja była taka, że piękny Lolo dał jej w kość i musiała zwyczajnie po nim odpocząć. I tak już po prostu zostało.

To, co się wydarzyło, było fantastycznie zaskakujące, tajemnicze i wciąż nie mogła tego ogarnąć swoim rozumem. Ale nie rób sobie złudzeń, idiotko. Piętnaście lat to szmat czasu. To zajebista różnica i nie wejdzie w twoje życie i nie będzie świadkiem tego, że skóra zrobi ci się wiotka, a biust i tyłek odczują ciężar grawitacji. Ma małe dziecko. Więc co się ze mną stanie, gdy będę już naprawdę stara? Nie jestem jakimś generałem, któremu pozwolą dotrzeć do pełnej emerytury. Kilka lat i wypierdolą mnie z fabryki na chodnik. Jebnie mi klimakterium i będę nie do zniesienia z moim parszywym charakterem. Kozyra pierwszy się podpisze.

Wsunęła stopy w rozdeptane kapcie i poczłapała do kuchni. Jajniki nie bolały. Stopy też, a przecież przeciwicyła

je ostro w pantoflach na obcasie. Usiadła na stołku i zapaliła papierosa. Drzwi garażu jęknęły na pordzewiałych zawiasach, a to znaczyło, że była szósta trzydzieści i sąsiad z drugiej klatki wyprowadzał swojego poloneza. Nic nie odłożę, żeby stąd wyjechać.

Zostanę już tu na zawsze, w tej parszywej norze, z tą ohydną boazerią, która do końca moich dni będzie mi przypominać, jaką kretynką kiedyś byłam. Błżnisz. Masz swoją księżniczkę. Skarb. Mam, ale nie mogę przecież zawisnąć na plecach Kaśki jak worek kartofli. Dzieci nie są od tego, żeby nosić ciężar głupoty swoich rodziców.

Osiecki zadzwonił, a potem zajechał po nią passatem. Marian S. czekał na nich w starej kamienicy na Solcu, w towarzystwie dwuosobowego patrolu i dzielnicowego, dwie posesje od rynku Sołeckiego i kościoła Świętej Trójcy. W dwupokojowym mieszkaniu z kwaterunku. Leżał tam od przedwczoraj, ale tydzień temu odcięli mu ogrzewanie, podobnie jak prąd, więc był w znośnym stanie, biorąc poprawkę, że nigdy, przez całe swoje życie, czyli przez czterdzieści osiem lat, nie dbał o siebie. Miał siedem ran klutych zadanych ostrym narzędziem. Prawdopodobnie nożem, którego nie znaleźli. Charakter ran zaświadczał, że nóż mógł być kuchenny.

Zakrzepła, na podłodze krew zszarzała. Technicy w czarnych mundurach i białych rękawiczkach zabezpieczali ślady, robili zdjęcia i filmowali.

Kolejny dzień, który był bez słońca, bez wiatru. Mokre, nieruchome i zimne powietrze znów wisiało nad miastem. Jak nic, będzie z tego mgła.

Pół dnia spędzili na odpytywaniu sąsiadów. Dzielnicowy powiedział, że był łatwy w kontaktach. Wypił z każdym, kto mu postawił, więc co najmniej dwie trzecie Powiśla przewinęło się przez jego mieszkanie, co sąsiedzi potwierdzili, wszystkich żeśmy ich tu widzieli. Ale zagadkowy był nie tylko brak noża, także konkubiny. A tej to już nikt tu nie lubił. Bo Marian był przynajmniej empatyczny i spolegliwy, ale ta to biała gorączka. A jak się kurwa jedna napiła, to załatwiała się, gdzie popadnie. W bramie, na klatce schodowej. Ileż razy, droga pani, wracałem do domu i wpieprzałem się na jej gołą dupę. Żeby chociaż ładną miała. Dzielnicowy, młody, wysoki chłopak, nawet przystojny, lekko zgarbiony, tylko skinał głową zażenowany. Były interwencje.

Opasłą skórzaną teczkę pełną dokumentów postawił na podłodze, pod ścianą, która ostatni raz była malowana dwie dekady temu. Nikt jednak nie pamiętał, czy w ciągu minionego tygodnia były jakieś większe libacje. Ale kłócili się ze sobą. W zasadzie dzień w dzień. Wysłali Mariana S. na stół do Bogdańskiego i poszli do baru na Solcu,

bo zrobiła się już trzecia po południu i poczuli głód.

Z fabryki zadzwoniła do laboratorium w Lublinie i zapytała o spalony samochód.

Odebrała kobieta. Pracowali, żeby odzyskać jakiegokolwiek znaki identyfikacyjne, ale nie rób sobie nadziei, wózek wygląda beznadziejnie. Niemniej Agata dała jej swój numer telefonu. Potem usiadła do komputera i starannie spisała cały wczorajszy dzień. Reakcję konsula i rozmowę z emerytowanym pułkownikiem Wolakiem.

Dodała własną interpretację i komentarz. Wysłała to do Kozyry, choć z góry znała jego odpowiedź. Potem wydrukowała i położyła na biurku przed Osieckim.

Od samego rana, kiedy po nią przyjechał, nie rozmawiali ze sobą. To nigdy nie zostało uzgodnione, po prostu samo wypracowało się przez lata. Jeśli wsiadła do samochodu lub weszła do fabryki i przez pierwsze piętnaście minut nie odezwała się słowem, należało milczeć. Być może to był jedyny dorobek jej życia, szacunek dwóch podwładnych. Przyzwolenie na parszywy charakter i dziwactwa.

Grudy nie było. Założył antykwariuszowi oko, bo ten coraz częściej wykonywał nerwowe telefony z ulicznych aparatów. Słusznie, bo jakimś cudem udało się wyrwać od Swierczyńskiej zgodę na podsłuch jego komórki.

Poszła do kibla na papierosa, żeby Osiecki mógł sobie spokojnie przeczytać. Nie zdążyła dopalić, kiedy do niej dołączył. Wcześniej grzecznie zapukał, czy może. Zapalił i oparł się o parapet otwartego okna.

* Dobrze się czyta * powiedział.

* Wierzysz w to choć trochę?

* Jednak jesteś beznadziejnie logiczną pizdą. * Zaśmiał się, a jego małe świńskie oczka zrobiły się jeszcze mniejsze i jeszcze bardziej świńskie. * Ja mam tylko jedno pytanie * co mu zrobisz, jak go spotkasz? Bo dowodów to my nigdy nie znajdziemy. Dobre pytanie. Szwendało się z tyłu głowy, im przeszłość bardziej rozkładała nogi i odkrywała swoje podniecające, różowe wnętrza. Nigdy jednak na nie nie odpowiedziała.

* Zabiję go. Tylko to mi przychodzi do głowy.

* Świetnie. Jesteś w tym dobra.

To było przykre, że tak powiedział. Spojrzała na zegarek, dochodziła osiemnasta, już

pora, żeby wpaść na pogaduchy do Bogdańskiego.

* Wyjdź, muszę się wysikać.

Pozszywane byle jak ciało było już po sekcji. Leżało nagie na stole i było ohydne. Ciało Kamila P. było piękne nawet po tym, gdy laborant sfastrygował je po swojemu. Teraz jak zawsze mył narzędzia w zielonym fartuchu. Nie powiedział dziewczynie. Była głupia jak but, kupiła służbę zdrowia i nie zadawała pytań. Chcesz z nią być? Shaorma, frytki, piwo, kino z Bondem, potem szybkie łóżko i milczenie wpatrzone w sufit? O to ci właśnie chodzi? Powiedziałem wcześniej, zejdź ze mnie. Dziewczyna właśnie wysłała SMS*a, kiedy skończy pracę, więc znów w ten sam sposób odchylił połą fartucha, by wyjąć telefon z kieszeni. I nie przerwał melodii, którą nucił nad zlewem. Fałszował, ale to była chyba piosenka o tych rowerach w Pekinie. Bogdański oczywiście przyjrzał się jej uważnie.

* Nie byłeś u lekarza i nie zrobiłeś badań. Bingo, mam rację?

* Byłam u ginekologa i to mnie wyczerpało. Poza tym dobrze się czuję.

* Chyba trochę lepiej wyglądasz. Zrobiłaś coś z włosami? Brawo. Pierwszy, który to zauważył.

Zwłoki nie kryły żadnej tajemnicy. Nóż był prawdopodobnie kuchenny, z czarną rączką i długim szerokim ostrzem. Ciosy chybiały. Nie było tego, który był śmiertelny. Po prostu wykrwawił się, nieborak. Głupia śmierć. Teraz ci nie powiem, czy był napruty, czy trzeźwy. Za późno. Ale raczej napruty. Na trzeźwo pewnie by spróbował coś z tym zrobić, jakoś zatamować, przynajmniej wezwać pomoc. Alkohol przyspieszył krążenie, więc krwawił obficie.

Jak było do przewidzenia, mgła opatuliła miasto, ale powietrze było bardziej suche. Szła w stronę przystanku i nagle poczuła coś dziwnego, czego nigdy wcześniej, jak żyła, nie czuła. Ze ktoś czaił się we mgle. Bardzo blisko. W autobusie stanęła z tyłu i patrzyła na rozmazane we mgle światła samochodów. Wszystkie wyprzedzały autobus, choć jedna para białych świateł o niejasnych konturach zdawała się snuć uparcie, utrzymując dystans. Zniknęła jednak, gdy zatrzymali się przed wiatą, a drzwi otworzyły się z sykiem.

Wysiadła przy Gagarina, ale przystanek wcześniej, między Stępińską a Sielecką, i nie poszła od razu do siebie. Skręciła w Sielecką i doszła do Nowotarskiej. Mgła gęstniała. Nikt za nią nie szedł, nie słyszała żadnych kroków. Mijała różnych ludzi na chodniku, kobiety i mężczyzn, którzy niespodziewanie wyłaniali się z mgły, przejeżdżały samochody, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że był tu ktoś jeszcze.

Nie użyła windy, weszła po schodach i starannie zaryglowała wszystkie zamki. Nie położyła się w wannie, tylko wzięła szybki prysznic. Ubrana w szlafrok zadzwoniła do Kaśki. Nie odebrała. Przeniosła się do kuchni, zapaliła papierosa i wtedy zadzwonił Weber.

* Jak ty to sobie wyobrażasz? * zapytała go, choć wcześniej obiecała sobie, że nie zada mu ani tego, ani następnego pytania.

* Normalnie.

* Czyli jak? Rozwiedziesz się z nią?

* Cały czas się nad tym zastanawiam. Wynająłem pokój w motelu. Na pojutrze.

* Jeszcze nie wiem, co będę robić pojutrze.

W nocy przyśnił jej się piękny Lolo. To było dziwne, bo był nagi. Stał na jakimś neutralnym, szarym tle, upozowany niczym do fotografii. Wyglądał żałośnie, jak gdyby ktoś zmusił go do tego, by zaprezentował swoje nic nieznaczące, wątłe ciało. Bo bez ubrania tracił swój wdzięk. Miał ładne oczy i ładne usta, czyli to, co Kaśka po nim odziedziczyła. Reszta była taka sobie.

* Nie mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiłaś * powiedziała Marianna.

* Byłam głupią cipą ze wsi, a on był z Dolnego Mokotowa. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że dolny był gorszy od górnego.

* Jeśli chodzi o mnie, nie zrobiłabym tego, nawet gdyby był z Paryża. Może w ubraniu wyglądał rzeczywiście lepiej, ale kiedyś musiał je z siebie zdjąć, przynajmniej częściowo.

* Dlaczego ty wszystko sprowadzasz do jednego?

* A do czego można jeszcze sprowadzić faceta? Rozmiar sprzętu jest konkretny, rozmiar mózgu jest abstrakcyjny. Statystycznie mózg ma jeden na tysiąc, sprzęt ma

każdy. Z mojego punktu widzenia tylko po to są na ziemi. Jeśli to im się ewolucyjnie, stopniowo kurczy, mogą wyginać.

* Nikt jej nie rozpoznał. Kilka kwadratów jest pustych. W kamienicy jeden wynajmują studenci z Hiszpanii. Ucieszyłem się, że to jest trop, ale nie miałem racji. Twarz Marciniaka była jeszcze chudsza i jeszcze bardziej zszarzała. Oczy wpadły głęboko. Dopiero teraz zauważyła, że grzywka na pazia zaczęła siwieć. Po obu stronach wąskich, zimnych i zaciętych ust pojawiły się bruzdy. Pod wełnianą marynarką w kolorze pieprzu miał ciemnozielony sweter w serek, a pod nim szarą koszulę. Spod rozpiętego kołnierzyka wychylał się biały T*shirt. Kabura wypychała marynarkę pod lewą pachą. Mógłby ją przecież zdjąć w fabryce.

Prześwietlili kamienicę i wieżowiec. Mieszkań i piętter było od pyty, skąd dramaty rozlały się morzem. Położył przed nią długą listę nazwisk.

* Jesteś pewien?

* Jestem. Wybacz, ale już trochę znam się na ludziach.

* A lokatorzy?

* Ci, z którymi rozmawiałem, nie pasowali mi. Jechałem prostym sposobem.

Wchodziłem w kwadrat i od razu pytałem o sąsiadów. Mniej lub bardziej, ale każdy lubi otworzyć duszę. Pytanie, kogo szukamy? Był notowany? Mamy tam trzech notowanych.

* Nie był. Zaczniemy od samotnych mężczyzn.

* Jest ich kilku, ale moim zdaniem nic nie mają na sumieniu. Adwokat, którego odwiedzają regularnie dwie kochanki. Hydraulik po rozwodzie, mieszkanie po matce. Kierowca ciężarówki, młody, jeszcze się nie ożenił. Wynajmuje kwadrat.

* A ci, z którymi nie rozmawiałeś?

* Nie zastałem ich. Poszedłem dwa razy, w różnych porach. W kamienicy to dwa kwadraty. Młode małżeństwo, bez dzieci. Według sąsiadów ona dostała kontrakt w Brukseli, on pojechał za nią. Lokator drugiego jest samotny. Żona go zostawiła i zabrała dzieci do kochanka, który ma dom w Starej Miłosnej. Pije i ma ciągi.

Wszyscy o tym wiedzą. Więc mógł być w środku, tyle że zwalony jak stodoła. Miał

kiedyś zespół rockowy. Żyje z tego, co napisał. Są jeszcze dwa kwadraty wystawione na sprzedaż. W wieżowcu jest sześć takich kwadratów. Jeden to samotny facet. Kawaler. Pracuje w północnych Włoszech. Przyjeżdża bardzo rzadko. Nie wiemy, czym się zajmuje. Między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat. Drugi to małżeństwo czterdzieści plus. Bezdzietne. Prawdopodobnie wyjechali do Elbląga, do jego matki, która, zdaje się, choruje od dawna. Chyba stwardnienie rozsiane. Trzeci też jest samotny i też pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Rozwodnik. Dwójka dorosłych dzieci. Robi filmy dokumentalne. Jeśli chodzi o pozostałe trzy kwadraty, to dupa ciemna. Zdaje się, że zostały wystawione do wynajmu. Nikt nie zauważył, czy ktoś w nich mieszka. Jedno jest na piątym piętrze, drugie na siódmym, trzecie na ostatnim.

* Dziękuję. Spisz mi te, w których nikogo nie zastałeś, i ustal właścicieli.

Reszta dnia zeszła na niczym, czyli na poszukiwaniu konkubiny Mariana S.

Nazywała się Elżbieta G. i daleko nie uciekła. Musiała być gdzieś w pobliżu, więc Agata dołączyła do Osieckiego i rozpytywała świadków. Mozolnie, ale metodycznie zabarwiali na czerwono adresy melin,

w których mogła się schować. Nie miała pieniędzy, nie miała wyobraźni i ktoś przecież musiał jej kupić wódkę. Jakiś najlepszy przyjaciel. Do dwudziestej odwiedzili pierwszych pięć adresów z listy. Fioletowe, zniekształcone twarze nie miały płci i występowały w dwóch wersjach. Wojowniczej, bo udało się zebrać na flaszkę, i wylężnionej, bo się nie udało. Te w ostatniej wersji skwapliwie dodawały do listy kolejne adresy i nazwiska. Kwaśny smród, który wypełniał mroczne wnętrza, przydusił ją tak uparcie, że powiedziała: dość.

O trzynastej spadł pierwszy śnieg. Ciężki, mokry, wymieszany z deszczem.

Nierównymi płatami oblepił na chwilę miasto. Stopił się przed zmierzchem. Gdy zaparkowała hondę pod mostem Poniatowskiego, światła latarni i samochodów odbijały się już w rozległych kałużach. Wysiadła, zapaliła papierosa i patrzyła na oba budynki, które ją zawiodły. Na masywną, narożną kamienicę i smukły wieżowiec. Znów poczuła czyjąś obecność. W skupieniu rozejrzała się dokoła, ale nikt nie zwrócił jej uwagi. Drzwi sklepu rozsuwały się, wypływając postaci zgarbione pod ciężarem siatek. Uwiązany wilczur ze zdjętym kagańcem, który wisiał u psiej szyi,

odprowadzał je pełnym nadziei, ufnym wzrokiem. Nikt, poza panią i panem Nguyen, nie czaił się w wietnamskim barze. Nikt też nie siedział w żadnym z samochodów, które zapełniły ciasno mały parking przed sklepem. Tych samochodów dokoła było od groma, stłoczonych za siatką pod mostem, upchniętych wzdłuż ulicy, w każdym ktoś mógł się przecież schować, ale tego jej zmęczone oczy nie mogły już dojrzeć. Niemniej * irracjonalne uczucie zostało. To była bliska obecność. Zmarzły jej stopy w pantoflach na cienkiej podeszwie. Z torebki wyjęła chustkę na głowę, którą zawiązała pod brodą.

Raz jeszcze stanęła w miejscu, które wskazał kioskarz. Jeśli czekała na kogoś, to z tego miejsca mogła kontrolować

wejście do wieżowca. Na tabliczce domofonu wybrała po kolei numery tych trzech mieszkań, które według Marciniaka miały być puste. W żadnym z nich nikt się nie odezwał. Wybrała więc numer innego, dowolnego mieszkania i usłyszała głos młodego mężczyzny. Przedstawiła się z imienia, nazwiska, stopnia, powołała na Marciniaka z Suskim i drzwi ustąpiły.

Zaczęła od sąsiadów samotnego i nieobecnego mężczyzny, który pracował na północy Włoch. Był najbardziej pociągający.

* O co tu chodzi? * sąsiadka z vis*a*vis nie kryła swojej irytacji. Na pewno nie miała jeszcze czterdziestki, ale jej pociągła, śniada twarz bez makijażu była już mocno zniszczona. Wysoka i chuda. Mogła obżerać się bez końca. Są takie typy i Agata szczerze ich nienawidziła. Duże dłonie też były zniszczone, spracowane, a zbyt długie paznokcie niezadbane, spękane na końcach. Pokryła je lakierem dobre kilka dni temu i teraz odłaził nieładnie.

* Nie wiem, co on tam robi. Gównu mnie to obchodzi. Mam swoje sprawy, które mi dowlają.

* Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

* Nie pamiętam. * I zamknęła drzwi przed nosem Agaty.

* Moim zdaniem ciężko pracuje i tyle * powiedział sześćdziesięciosiedmioletni, niski, przysadzisty mężczyzna z tego samego piętra. Przed emeryturą obsługiwał dźwigi budowlane. Mieszkanie wykupił.

* Ale nic więcej pani nie powiem, bo nie znam człowieka * zakończył. * Żona zamieniła z nim kiedyś dwa słowa w windzie. Prosty, ale uprzejmy, tak powiedziała. Filmowiec dokumentalista mieszkał na ostatnim, piętnastym piętrze. Nadal nie było go w mieszkaniu. W pozostałych też nikt jej nie otworzył. Zerknęła w notatki Marciniaka. Jeden kwadrat był prawdopodobnie pusty, a w drugim mieszkał przedstawiciel handlowy z żoną nauczycielką, oboje trzydzieści kilka lat, syn w wieku szkolnym. Na drzwiach filmowca nie było żadnej wizytówki. Żyją w tych ogromnych budynkach i nic o sobie nie wiedzą.

Wracała do domu powoli, zerkając we wsteczne lustro. Ze wszystkich świateł, które ciągnęły się za plecami, wyłuskała parę małych, bladych oczek. Miała wrażenie, że uparcie się jej trzymały. Zbyt uparcie. Więc skręciła kilka razy, nadkładając drogi. Gdy zrobiła to trzeci raz, a małe oczka wciąż odbijały się w lusterku, zjechała do krawężnika i wyłączyła światła, ale nie zgasiła silnika. Ciemnozielony matiz minął ją obojętnie i oczka roztopiły się w ciemności. Latarnie stały w dużych odstępach, więc nie zobaczyła, kto siedział za kierownicą. Dostaje paranoi. To ze zmęczenia. I starości.

Znów zostawiła stękającą windę w spokoju, wybrała schody i starannie zaryglowała wszystkie zamki. Zdyszana usiadła w kuchni na stołku, nalała brandy do szklanki i zapaliła papierosa. Wkurwił ją ten mokry, lepki śnieg, który spadł w środku dnia. Odkręciła krany nad wanną, zdjęła ubranie i wreszcie to zrobiła. Naga i bosa stanęła przed lustrem w przedpokoju. Spojrzała na swoje odbicie. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów.

Po kąpieli wyszła z wanny, wytarła się starannie i poszła spać spokojna, że nic nie wyjdzie z tej randki.

Leżała w łóżku i znów pikowała w dół, a fałda chropawego pumeksu zmarszczyła się groźnie. Chciała wykrzyczeć sakramentalne: nie ma cię, ale głos uwiązł w gardle.

Pumeks litościwie rozmył się w czarnej dziurze. Tylko skrzywił się w głupim uśmiechu na odchodne. Poderwane strzałem ptaki, które zamilkły nad Wałem Zawadowskim, teraz uparcie, czarne, krążyły nad jej głową.

O piątej nad ranem znów spadł mokry śnieg.

Teraz topniał powoli. Rozmiękające plamy jaśniały na asfalcie wąskiego parkingu przed betonowym, piętrowym motelem, który zbudowano u schyłku lat siedemdziesiątych. Na parkingu stały tylko dwa samochody. Pokój był ciasny i bezbarwny. Nie było szczegółu, który zapisałby go w pamięci. Pozostały tylko brzydkie zapachy, które przechował w swoich kątach. I nałożyły się na odór alkoholu, brudu i moczu przesiąkający ściany mieszkania, gdzie o dwunastej w południe znaleźli wreszcie Elżbietę G. i jej najlepszego przyjaciela. Oboje leżeli na brązowej wykładzinie w znacznej odległości od siebie. On schował głowę pod siedzeniem poprutego fotela kontiki, nad którym wisiał plakat do filmu Chrystus zatrzymał się w Eboli. Ona miała na sobie szare spodnie od dresów z granatowym lampasem, mokre od krocza w dół. Musieli wezwać ambulans, żeby zawiózł ich do izby wytrzeźwień. I cierpliwie poczekać, aż odzyskają jaką taką przytomność umysłów. Kuchenny nóż z czarnym trzonkiem, z bladymi, rdzawymi śladami na szerokim ostrzu opakowała w plastikową torebkę z nadrukiem, a przyjaciel zwyczajnie schował ją pod zlewem. Osiecki zadzwonił i potwierdził, że na trzonku były jej odciski palców.

Agata poprosiła Webera, żeby pierwszy poszedł do łazienki. Gdy zniknął za jej drzwiami, zdjęła czarny sweter. Po chwili także niezgrabne buty z cholewką. Sweter złożyła starannie na jedynym krześle, a buty schowała pod łóżkiem. W cienkiej bluzce, grubych spodniach i wełnianych skarpetkach przysiadła niepewnie na skraju szerokiego, podwójnego łóżka i zasłuchała się w szum spadającej wody, który dobiegał zza zamkniętych drzwi łazienki. Dłonie miała lodowate. Potem zdjęła ciepłe skarpetki i upchnęła je w butach, które znów wsunęła pod łóżko. Bose stopy zmarzły w kilka minut i z tego wszystkiego zachciało się jej siku, więc roztargnionym wzrokiem spojrzała na niego, gdy wreszcie wyszedł z łazienki. Nagi, wilgotny i trochę różowy. A był to pierwszy od lat nagi mężczyzna, który nie leżał martwy na stole u Bogdańskiego. I tyle młodszy. Nadal był ładny, choć mógłby trochę popracować nad mięśniami. Ramiona miał wąskie.

Długo myślała nad tym, co zrobić z ubraniem, które zdjęła z siebie w ciasnej łazience. Histeria dopadła ją pod prysznicem i pomyślała, że nie wyjdzie, zostanie tu,

otulona strumieniami ciepłej wody.

Motelowy ręcznik zasupłała na biuście. Leżał na łóżku i bezczelnie gapił się na nią, gnojek jeden. Chciała się wślizgnąć pod kołdrę i dopiero tam pozbyć ręcznika, ale nie wyszedł jej ten fortel.

* Tomek! * Tyle tylko zdążyła krzyknąć, gdy zdarł z niej ręcznik i zanurkował twarzą między jej uda, które rozwarł siłą.

Szczerze zdumiona patrzyła na niego, żeby zaraz jednak opaść na poduszkę i rozpląnąć ze szczęścia, bo było jak w niebie. Potem było jeszcze lepiej, gdy zarzucił jej łydki na swoje wątle ramiona. Wtedy dopiero pokazała, ile miała sił w płucach. Niosło się to po pustych korytarzach, pewnie aż do recepcji, gdzie znudzony pan po pięćdziesiątce z uznaniem pokręcił łysą głową.

Leżeli na zmiętym prześcieradle, obok siebie, ramię w ramię, wilgotni od potu, leniwi, wpatrzeni w sufit, i oddychali w równym rytmie, jak po ciężkiej walce.

Definitywnie postanowiła, że już nigdy nie zapyta go o żonę. Niech zostanie tak, jak jest. A było naprawdę fajnie. Zapaliła papierosa. Wcześniej podniosła się z łóżka, by pójść po popielniczkę, która stała na parapecie okna. Lepkie, białe płaty zamieniały się w kałuże. Wciąż było beznadziejnie szaro. Powinna była zapytać, co tak naprawdę go w niej pociągało, ale może

lepiej, że tego nie wiedziała. Patrzył na nią, gdy naga stanęła przy oknie, ale już nie czuła się z tym źle. Gdyby było lato i gdyby miała sukienkę, wyszłaby z tego motelu bez majtek. Nigdy wcześniej tego nie zrobiła.

* Powinnaś spróbować * powiedziała Marianna. * Mnie to zawsze nakręca. Jestem wtedy pobudzona i wyglądam kwitnąco. A ty jesteś blada jak papier.

Potem bawiła się nim. Z ciekawością myszkowała w zakamarkach jego młodego ciała. Wsparty na łokciach, patrzył na nią. Ojciec Kaśki też zawsze patrzył na nią w takich sytuacjach, ale to był zupełnie inny rodzaj patrzenia. Zaraz jednak zamknął oczy i opadł na plecy. Szybko i głośno wypuszczał nosem powietrze, krzyknął raz jeden, radośnie, spiął się cały, aż po końce palców, wygiął w łuk i znów się rozluźnił. Położyła się na brzuchu, żeby zapalić drugiego papierosa. Przytulił swoją oliwkową twarz do jej białej pupy.

* Jaki on jest według ciebie? * zapytał.

* Teraz chcesz o tym mówić? * Tak.

* Bezkarny. Myślę, że ma takie poczucie. Przeszedł przez trzy wywiady i się urwał. Był poza wszelką kontrolą. Zawsze ktoś po nim sprzątał. To demoralizuje. Jeśli uzna, że zabójstwo to jedyne rozwiązanie, zwyczajnie zabija. Takim go widzę. Jest próżny, ale w inny sposób niż na przykład Mielcarek.

* To znaczy?

* Nie podpisuje się. Jego zawodowstwo jest silniejsze od ego. Jego podpis to skuteczność, brak śladów i nasze walenie łbem w ścianę.

* Pociąga cię?

* Zabierz rękę.

Nie posłuchał. Wtuliła się w niego miękko, jak kotka, gdy papieros dopalał się niebezpiecznie na skraju popielniczki.

Oplotła go stopami i raz jeszcze leniwie poddała się gwałtownym ruchom. Z premedytacją wbiła paznokcie w jego nagie plecy i na koniec ugryzła go w ucho. Zmierzchało się, znów padał śnieg. Osiadł na jej włosach, gdy szła do samochodu. Nogi miała jak z waty, w głowie szumiały bąbelki, więc nie zobaczyła, że niepozorny, ciemnozielony matiz schował się za trzema świerkami, które rosły przy wjeździe na parking.

37

Horst krztusił się i kasłał, ale zniecierpliwionym ruchem prawej dłoni przeciął wreszcie nitkę śliny, która tak uparcie dyndała uczipiona jego dolnej wargi. I dźwignął się z kolan. Chciał zaczerpnąć powietrza, odżyć, ale zaduch niedogotowanego karmelu niezmiennie unosił się nad całym ogrodem. Zbite w rój muchy wydawały z siebie drażniący ucho niski i jednostajny dźwięk. Chwiejnym krokiem ruszył w stronę furtki, która skrzypiała. Marcin K. wspiął się na taras i zajrzał w talerze, gdy Horst stanął na drodze. Widział go dobrze, jak rozłożył szeroko ramiona i wystawił się na podmuchy gorącego wiatru, które łapczywie chwycił

szeroko otwartymi ustami. Seria z pistoletu maszynowego ogłuszyła Marcina i przecięła w pół Horsta Meyera. Czerwona krew rozlała się po białej koszuli. W ten sposób oddział, którego szukali, uprzedził ich myśli i wyszedł im na spotkanie. Wielki napis PRESS na drzwiach samochodu nie zrobił na nich wrażenia, bo w jedną minutę rozprawili się z nim za pomocą granatnika. Huk potrząsnął ziemią, zakłócił kierunek wiatru, a kawałki blachy uniosły się nad asfaltem i majestatycznie zajęły ogniem. Mimo to Marcin K. nie poruszył się, choć jedyne, co słyszał, to cichutki, świdrujący pisk, który przechodził przez środek głowy od lewego ucha do prawego i z powrotem. Było ich ledwie kilku, mieli na sobie mundury hrvatskiej gardy i poruszali się leniwie. Rozbawieni pokrzykiwali do siebie, ale ten najważniejszy nie miał munduru. Najpierw zamyślony patrzył na płonący wrak czarnego, niemieckiego samochodu, a potem pochylił się nad ciałem Horsta. Spod zamkowej marynarki w kolorze wypalanej cegły wyjął siegsauera, przeładował go i strzelił w głowę biednego Horsta, a przecież nawet z tej odległości było widać, że ten już zdążył wyzionąć ducha. W tej samej chwili Marcin K. uniósł do oka jeden z dwóch aparatów fotograficznych, które wisiały na jego szyi, i jak gdyby nic zaczął robić zdjęcia. Ogłuchły nie słyszał trzasku migawki. Więc może chodziło o ten mechaniczny, rutynowy ruch kciuka, którym ją naciągał i przesuwał klatkę filmu.

Oni też robili zdjęcia. Konkretnie mężczyzna w cywilnym ubraniu. Pstryknął palcami w powietrzu i ktoś podał mu aparat. Z miejsca pojawili się dwaj w serbskich mundurach i z przesadną emfazą upozowali się nad podziurawionym Horstem. Właśnie wtedy słońce postanowiło przerwać tę idiotyczną zabawę i złośliwie odbiło się w obiektywie Marcina K., oślepiając jednego z dwóch serbskich przebierańców. I w tym samym momencie Marcin K. odzyskał słuch. Gdy seria pocisków chybiła o centymetry i oderwała narożnik domu Bożo. Drobinę tynku wbiły się w policzki, czoło i tylko aparat osłonił oko, drugie było, jak zawsze gdy fotografował, zamknięte. Siła, która w nim mieszkała, o której wcześniej nie miał zielonego pojęcia, przerzuciła go przez żeliwną balustradę tarasu, a potem przez płot ogrodu. Rozpędzony zarył twarzą w suchą ziemię. Poderwał się jednak natychmiast. Zielone

łodygi i żółte kaczany biły go po głowie, mięśnie ud i łydek bolały jak nigdy w życiu, stawy i kolana odmawiały posłuszeństwa, przeszyte czymś ostrym płuca świszczą, ale biegł dalej. Serie z pistoletów maszynowych łamały wół zielone łodygi i miały je na miąższ. Może

pomylił kierunki. Wyrośnięta kukurydza zakryła horyzont i sprawiła, że wszystkie strony świata wyglądały tak samo. Więc może było tak, że biegał w kółko jak oszalały z dwoma uwieszonymi na szyi aparatami fotograficznymi. Usiadł na ziemi, gdy serie wreszcie ucichły, a kukurydza się uspokoiła. Stracił poczucie czasu. Położył się na plecach i wydawał z siebie dziwny dźwięk. Jak zepsuty gwizdek. Błękitne, bezchmurne niebo zrobiło się nagle białe.

Ocknął się po piętnastu minutach, gdy usłyszał ich głosy. Metodycznie przeczesywali pole. Szli rzadką, ale szeroką tyralierą. Więc czołgał się w żółtym pyłe, byle dalej od tych chorwackich głosów. Co jakiś czas pruli serią na oślep, szerokim łukiem tnąc kukurydzę. Płakał. Bez łez. Oczy były suche, choć łkał w środku. Krztusił się własnym szlochem, ale wciąż przebierał kolanami. Przecież ta kukurydza kiedyś musi się skończyć. A jeśli się skończy, to co? Wpadniesz w otwartą przestrzeń i już nie trzeba nawet zataczającej łukiem serii. Wystarczy jeden strzał. Powinieneś wygrzebać sobie dziurkę w ziemi, ułożyć się w niej i poczekać na sen. Spokojnie i bez hysterii. To nie jest, kurwa, łatwe żegnać się z życiem, kiedy się nie skończyło nawet trzydziestu trzech lat. Poderwał się z kolan i rzucił do ostatniej ucieczki. Na oślep. Byle gdzie, byle dalej. Nawet już nie do przodu, bo tylko diabeł wiedział, gdzie był przód, a gdzie tył. Ale wycieńczone ciało nie chciało już walczyć. Chyba wolało śmierć. Przewrócił się, przejechał brzuchem po ziemi, wzbil w powietrze żółty pył, który od dawna miał w ustach i gardle, który teraz zalepił oczy. Oślepli i ogłuchli, bo wciąż pruli seriami, zabawnie dreptał na czworakach, jak zwierzę. I nagle stała się jasność. Duszne powietrze, uwięzione między gęsto zasadzonymi łodygami, rozrzedziło się i zobaczył błękit nieba na horyzoncie. Poturlał się po zielonej trawie i wpadł do rowu, który biegł wzdłuż wąskiej szosy. Zobaczył też buty. Bez wątplenia wojskowe, bo nad nimi były nogawki drelichowych spodni camouflage. A jeszcze wyżej wylot lufy kałasznikowa. Śpiewny, młody głos zapytał

po serbsku zwyczajnie, co tutaj robi i kim jest.

Dobrych kilka minut leżał w tym rowie. Potem zobaczył podwójne odbicie swojej strasznej twarzy w lustrzanych raybanach w złotej oprawie osadzonych na boksterskim nosie. Oczu nie widział. Mocne dłonie o krótkich palcach obejrzały akredytację, która wciąż wisiała wraz z aparatami na jego szyi, i dosyć niski głos zapytał go po niemiecku z serbskim akcentem, czy mówi w tym języku. Zaprzeczył gwałtownym, nieprzytomnym ruchem głowy. Po namyśle usłyszał chropawą, łamaną angielszczyznę. Ubrani byli w mundury Armii Federalnej. I uzbrojeni po zęby, w kuloodpornych kamizelkach. Kukurydza poruszyła się, choć wiatr, jeśli nie ustał, to na pewno osłabł. Natychmiast wycelowali w nią swoje kałasznikowy, ale nikt z niej nie wyszedł.

Wepchnęli go do białego minivana yugo, który stał na skraju szosy. Podłogę zaścielały w nieładzie magazynki kałasznikowów, skórzane pasy, ładownice do pulemiotów i snajperski karabin SWD, który utkwiał w poprzek, między siedzeniami. Rozgrzane wewnątrz śmierdziało olejem. Usadzili go w ostatnim rzędzie, pod tylną szybą. Oczywiście, że usłyszeli wystrzały. Więc co z tym Niemcem? Nazywał się Horst Meyer i był dziennikarzem. Jakie mieli mundury? Usiadł w fotelu przed Marcinem, odwrócił się do niego, ale nie zdjął raybanów. Pasowały do niego jak ulał. Miał wąskie usta i gęste włosy trochę posiwiałe na skroniach. Marcin zawahał się. Postanowił, że jednak uratuje swoją głowę bez kłamstwa. Stracił zresztą orientację, nie tylko w terenie. Chorwackie. Mundury były chorwackie. Are you sure? Tak. Trochę już jestem na tej zaszranej wojnie i zdążyłem poznać wasze mundury. Chcę wrócić do Osijeka. Wystarczy, że odwieziecie mnie do Dżakowa. Dalej dam sobie radę. Trzeba powiadomić centrum prasowe, że zginął dziennikarz. Muszę to zrobić. Skoro już trochę jesteś na tej zaszranej wojnie, powiedział, powinienes wiedzieć, synku, że my nie bierzemy w niej udziału. Nie jesteśmy żadnymi ustaszowskimi czy czetnickimi popaprańcami. Jesteśmy regularną armią regularnej Jugosławii. Przecież nie ma żadnej Jugosławii, Marcin miał to na końcu języka, ale się ugryzł. Więc nigdzie cię, synku, nie odwieziemy, a już na pewno nie do Dżakowa. Jesteśmy tu, żeby zapewnić bezpieczeństwo ludności

cywilnej. Zresztą kto wie, może ta akredytacja to lipa i jesteś zwykłym szpiegiem? Jestem Polakiem, powiedział Marcin. Czy Polak nie może być chorwackim szpiegiem, synku? Modlicie się do tego samego Boga i macie tego samego papieża. Jestem prostym żołnierzem, ale prawosławnym Serbem i jedno wiem, wszyscy katolicy nienawidzą prawosławnych. Utopilibyście nas w łyżce wody. Tak samo zrobilibyście z Żydami. Ci, którzy zabili Horsta i którzy chcieli zabić mnie, byli Chorwatami, upierał się Marcin. Muszę zobaczyć tego trupa. Bo może ty po prostu kłamiesz. Franjo bardzo lubi waszego polskiego papieża.

Na szosie zatrzymały się dwie wojskowe ciężarówki, więc wysiadł z yugo. Wcześniej ciężką łapą poklepał go po plecach.

Z jednej wysypali się żołnierze, z drugiej wyjęli zasieki i przegrodzili nimi szosę. Odcinali Vukovar. W złotych ray*banach na bokserskim nosie wydawał im sprawnie polecenia i dyrygował jak zgraną orkiestrą. Marcin K. został sam w minivanie. Wciąż się bał, ale czuł pustkę w środku. Wrócił do chwili, gdy Horst wzniósł się do Pana Boga, i zobaczył film, który zwyczajnie się przewinał. Bez dźwięku. Więc zrobił to samo. Przewinał negatyw w aparacie z powrotem do kapsuły, a tę ukrył w lewym bucie.

Wsiadli do yugo, zajęli swoje miejsca, dowódca w ray*banach tuż za kierowcą, i pojechali. Jeden z żołnierzy, ten, na którego wpadł w rowie, odwrócił się i patrzył na niego długą chwilę.

W Brodskim Stupniku przecięli autostradę Jedności i Braterstwa. Krajobraz za oknem się zmienił. Przestał być nudny i płaski, a stał się pofałdowany i górzysty. Zza pięknych gór wyłoniły się wieże minaretów. Spróbował policzyć kilometry, które oddalały go od pokoju w hotelu Royal w Osijeku.

Było późne popołudnie, gdy zatrzymali się przed bramą koszar w Derventa. Długie, niskie baraki z ciemnych desek o lekko spadzistych, krytych papą dachach, które ciągnęły się za metalową siatką zwieńczoną plecionką z drutu kolczastego. Dowódca w ray*banach wysiadł z samochodu i długo musiał się tłumaczyć nisko pochylony przed oknem wartowni. Marcin K. nie wiedział, co się działo. Nie wiedział, po co tu przyjechali. Jedno było

raczej pewne, to nie były ich macierzyste koszary. Inaczej wpuściliby ich za bramę, a ten w ray*banach nie musiałby przechodzić upokarzającej procedury. Wreszcie otworzyli mu furtkę, a żołnierze wysypali się z minivana. Snuli się dokoła i palili papierosy. Marcin też wysiadł. Nie zareagowali, więc stanął z boku i też zapalił. Kapsuła z filmem uwierała go w stopę. Przyglądali mu się ciekawie, mówili coś do siebie i od czasu do czasu wybuchali gromkim, chóralnym śmiechem. Dowódca wrócił po dwóch godzinach.

Z miasta, które przypominało mu trochę Polskę, wyjechali na południowy zachód. Wąska szosa wiła się nad piękną, ogromną i przepastną doliną. Zatrzymali się na jej skraju, ledwie kilkaset metrów od rogatek maleńkiej miejsciny. Dowódca wstał ze swojego miejsca za kierowcą

i w drzwiach przywołał Marcina ruchem dłoni. Żołnierze zostali w yugo.

Nie zdjął ray*banów, choć zaczęło się zmierzchać. Poczęstował go papierosem z paczki, na której czerwieniły się

cyfry pięć i siedem, i palcem wskazał na masywną, porośniętą zielonym lasem górę po drugiej stronie doliny. Na jej szczycie partyzanci Tity postawili szpital polowy. W sierpniu czterdziestego trzeciego chorwaccy ustasze w jedną noc wymordowali wszystkich rannych wraz z personelem, a szpital spalili. Wiesz o tym, synku, że dwa lata wcześniej, w czterdziestym pierwszym, zakazano Serbom, Żydom, Cyganom i psom wstępu do parków i innych miejsc publicznych w Zagrzebiu? W takiej właśnie kolejności. Czy ty coś z tego rozumiesz, synku? Czy ty w ogóle nas rozumiesz?

Wieczorna mgła osiadała na zboczach gór. Zieleń ciemniała i powoli stapiała się z szarzącym powietrzem. Powiało chłodem z przepastnej doliny. Było tak pięknie, że przestał się bać. Choć poczuł nagły i niezrozumiały smutek.

* Muszę zarekwirować twoje aparaty * powiedział tamten na koniec. * Ale masz szczęście, bo nie chcemy mieć z tobą nic wspólnego. Jest tutaj przyzwoita gospoda, a w niej tanie i wygodne pokoje.

Odjechali wąską szosą w stronę Banja Luki. Zostawili mu portfel z pieniędzmi, paszport i akredytację. I rolkę negatywu w bucie, która ocierała mu stopę tak, że chodził z coraz większym trudem. Więc natychmiast przełożył ją do kieszeni spodni,

gdy tylko zniknęli mu z oczu.

Kilkadziesiąt domów skupiło się wzdłuż szosy. Nie było tu ani kościoła, ani cerkwi, tylko meczet ze smukłą wieżą minaretu. Mężczyźni rozpalili już wielkie ognisko i teraz ustawiali stoły, ławy, krzesła, stołki i co tam jeszcze nadawało się do siedzenia. Kobiety w szawarach i skromnych hidżabach słały białe obrusy i rozstawiały talerze. Dzieci biegały wokół ogniska. Nikt nie zwracał na niego uwagi. W kawiarni młody, gładko wygolony mężczyzna pozwolił mu skorzystać z telefonu. Spojrzał na zegarek i zadzwonił do Belgradu, do Jovany, w nadziei, że już zdążyła wrócić do domu i jeszcze

z niego nie wyszła, by zatracić się w rozgrzanym nocą mieście. Po trzech sygnałach usłyszał jej głos.

* Gdzie jesteś? * zapytała.

* To się nazywa Gornji Smrtići. * I zaczął jej tłumaczyć, jak tutaj dojechał.

* Wiem, gdzie to jest * przerwała mu. * Czekaj na mnie, przyjadę po ciebie. Vladan pożycz mi samochód. Nigdzie się nie ruszaj. Tam jesteś bezpieczny.

Zapadł zmrok, rozgwieździło się granatowe niebo. Miejsca przy stołach były już od dawna zajęte. Imponujący baran, który najpierw starannie oblepiony gliną dojrzewał zakopany w ziemi, teraz obracał się nad ogniem. Długobrody starzec w swetrze z owczej wełny przywołał go ruchem dłoni i przesunął się, robiąc miejsce na końcu długiej ławy. Marcin czuł, jak bardzo sweter był przepocony, ale nie przeszkadzało mu to. Naprzeciw siedziała dziewczyna z głową otuloną czarnym hidżabem, który podkreślał jej proporcjonalny kształt. Miała co najwyżej dwadzieścia lat. Jej czarne oczy ciekawie wpatrywały się w niego. Ktoś postawił przed nim talerz. Gwar podniesionych, radosnych głosów otulił go ze wszystkich stron.

Raz jeszcze przewinął się cały dzień. Nadal bez dźwięku. Strach o własne życie ustępował powoli, w jego miejsce wkradało się chyłkiem znużenie. Spojrzał na zegarek i ucieszył się, że czas płynął tak wartko. Jeszcze godzina z kwadransem i Jovana zabierze go od tego stołu. Pewnie będzie chciała od razu wrócić do Belgradu, a przecież powinien pojechać do Osijeka, do hotelu po bagaż. Zęby powiedziec w centrum prasowym o Horście. Ale jak tu jechać w nocy przez wschodnią Sławonię

wysłużonym samochodem Vladana. To było nielogiczne, z jednej strony pożyczał jej samochód, z drugiej mówił mu, żeby na nią uważał. Dlaczego miałbym na nią uważać? W jaki sposób? A Vladan zrobił tylko dziwną, może tajemniczą minę. A na pewno głupią.

Krople baraniego tłuszczu pobudzały ogień, iskry strzelały w powietrze. Czarne oczy wciąż patrzyły na niego spod czarnego hidżabu. Może nawet nieco bezczelnie zaciekawione. Dlatego pewnie nie zauważył ciemnozielonej vitary, która zatrzymała się na skraju szosy. Ani czterech mężczyzn, którzy z niej wysiedli i szli niespiesznie, jeden za drugim. Tym razem nie mieli na sobie chorwackich mundurów. Milan ze swoim śmiesznym wąsem, w dzinsowym komplecie mógłby śmiało rozłożyć turystyczne łóżko z kasetami VHS na Marszałkowskiej, przed Domami Centrum, i nikt nie zwróciłby tam na niego uwagi. Tylko ten, który szedł na końcu, wyższy od pozostałych, o dziwnej, jednak brzydkiej, jednak pięknej i pociągającej twarzy, przedwcześnie pobrużdżonej, o niepodrabialnych oczach, miał na sobie tę samą zamszową marynarkę w kolorze dobrze wypalanej cegły. Nagle przyszło mu do głowy, że teraz, bez aparatów fotograficznych, po których został mu tylko światłomierz gossen luna*pro, był po prostu nikim. Niespodziewanie poczuł ulgę i pierwszy raz tego dnia uśmiechnął się. Wyjął papierosa, żeby zapalić.

38

* Naprawdę chcesz się podpisać? * zapytała go matka. Miała na sobie różową sukienkę, którą widział po raz pierwszy. Nigdy nie poruszali takich tematów, a tu była szczerze zatroskana.

* Zawsze mówiłeś mi, że całe życie pracowałeś na to, by nigdy się nie podpisywać * ciągnęła uparcie. * Więc dlaczego teraz właśnie chcesz to zrobić?

Wyszczuć się, jak pewnie powiedziałyby ta dziwna policjantka.

* Chcę zostawić jakiś ślad po sobie.

* Czy to oznacza, że chcesz zakończyć tę kuriozalną bajkę na swój własny temat?

* Tak, mam. To właśnie chyba to oznacza.

* Proszę cię, musisz mi wytłumaczyć tak, żebym jakoś zrozumiała.

Znów udawała, że nie wszystko do niej docierało.

* To dziecinnie proste, mamó. Bajka się wyczerpała. Nie ma perspektyw.

* I nie będzie wnuków?

* Na co ci, do cholery, wnuki, skoro od lat nie żyjesz?

* Nawet trupom jest łatwiej gnić, gdy wiedzą, że ktoś po nich został.

* Ja zostałem.

* Wiesz dobrze, że przestałeś się liczyć, i to była twoja decyzja. Zrobisz jej krzywdę?

* Tylko tak mogę się podpisać.

* Rozumiem twoją logikę, ale jednak jesteś zwykłą świnią.

* Wiem, mamó, ale chcę coś zrobić dla siebie. Powinnaś to zrozumieć.

* Kto ci powiedział, że powinnam coś zrozumieć? Całe życie byłeś egoistą. I potworem. Wciąż nie umiem pojąć, w jaki sposób mogłam cię urodzić. Dlaczego mnie to spotkało?

* To ciekawe, że nie wierzysz w Boga, a wierzysz w grzech.

Wyłuskał ją po zmroku, gdy wyszła z komendy i usiadła za kierownicą blisko dziesięcioletniej hondy. Zanim to zrobiła, wypaliła papierosa, przechadzając się po chodniku. Wcześniej przepuścił dwie inne policjantki, które wyszły z tej samej fabryki, jak mówiły na swoje miejsce pracy. Nie miał wątpliwości, że to była właśnie ona.

W tym celu musiał wynająć samochód. Tułaczka po Europie przyzwyczaiła go do pociągów i nauczyła, że do życia w mieście samochód nie był już niezbędny. Raczej uciążliwy, nakładał ograniczenia, marnował czas, który trzeba było spędzić w korkach i na nerwowym szukaniu miejsca do zaparkowania. Warszawa pod względem komunikacyjnym nie była miastem doskonałym, niemniej, jak za dawnych, studenckich czasów, postanowił korzystać z jej tramwajów i autobusów, do których doszło metro i taksówki, które teraz nie były już dla niego za drogie. Kupno samochodu musiałoby oznaczać jego rejestrację. Choć minęło tyle lat, wciąż unikał sytuacji, w których byłby zmuszony wprowadzić jakiegokolwiek ze swoich fałszywych danych do systemu komputerowego, który przekraczał granice szersze niż granice

jednego miasta. Nie zabili go wówczas, ale nikt nie dałby sobie uciąć ręki, że coś ich powstrzyma, by zrobić to w innym terminie. Trybunał w Hadze wciąż czekał na takich jak on. Bruce 2 był cwany i doświadczony ciężką pracą w terenie. A on wiedział doskonale, że tam był bezkarny i uzbrojony, ogacony z dwóch dodatkowych stron, ale tu lub gdziekolwiek w Europie był już całkowicie bezbronnym człowieczkiem na lipnych papierach.

Posłużył się holenderskim paszportem, który od dawna leżał w szufladzie. Ostatni, jaki udało mu się wycyganąć od mężczyzny w białym garniturze. Wybrał ciemnozielone autko na koreańskiej licencji, które było popularne i nie zwracało uwagi. Zajęło mu pół dnia, żeby dopasować się do ciasnego wnętrza, głośnego silnika i topornej skrzyni biegów.

Pierwsze, co powinna była zrobić, to wziąć urlop. Jej banalna, chyba jednak nieładna, ale intrygująca twarz była blada jak sprane prześcieradło. Żaden, nawet najbardziej staranny makijaż nie potrafił zamaskować worów pod brązowymi oczami, zmarszczek i bruzd. Wyostrzały jej rysy, które tak zdecydowanie ujawniały jej charakter. Także inteligencję. Miała pełne, ładnie wykrojone usta. Patrzył na jej kształtne łydki w czarnych rajstopach widoczne spod wełnianego płaszcza i domyślał się masywnych ud, szerokich bioder i dużego tyłka. Stawiała drobne stopy jak kaczka, na zewnątrz, dzięki czemu dziwnie kołysała biodrami. Lekko się garbiła. Sadziła zamasyżycie po chodnikowych płytach, wyciągała głowę do przodu, jak pies gończy, który złapał trop. Była śmieszna. Nawet w tym, jak paliła papierosy. Ale ścigała jego myśli, bo w pozornie niezgrabnych ruchach kryła się jakaś zmysłowość i pomyślał, że musiała się dobrze pierdolić. Poza tym, co tu ukrywać, dopadła go. W tym jednym nie różnił się od Jovany. Najbardziej podniecał go mózg.

Dziwna, irracjonalna melancholia przysiadła mu na plecach, kiedy patrzył na nią, jak stała pod mostem

Poniatowskiego, o zmroku. Paliła papierosa i zadarłszy głowę do góry, gapiała się na wieżowiec, w którym od tylu lat wynajmował mieszkanie. W skromnym płaszczu z czarnej wełny, którego rękawy były przetarte na krawędziach, i w tanich, zniszczonych pantoflach na podwyższonym obcasie wydawała się trochę bezradna i

zagubiona. Pomyślał wówczas, że musiała mieć takie miejsce, w którym była bezbronna. Krucha i delikatna. Zapragnął poznać to miejsce. Tego dnia spadł pierwszy śnieg. Choć zdążył stopnieć na chodnikach, to w powietrzu wciąż wisiała zimna, nieprzyjemna wilgoć. Gęstniała wraz z zapadającym zmrokiem. Wzruszyła go chustką, którą wyjęła tak zwyczajnie, z brzydkiej, brązowej torebki i którą zawiązała pod brodą.

Dwaj policjanci w cywilu jeździli windą między piętrami i chodzili od drzwi do drzwi. Był na to przygotowany od chwili, gdy przeczytał raport, w którym przytoczyła słowa kioskarza, bo ani przez chwilę nie zwątpił w jej mądrość.

Kierowała się żelazną logiką i była uparcie konsekwentna, więc to była tylko kwestia czasu, który musiała zużyć na analizę i selekcję. Dlatego mieszkanie opuścił dykretnie, o czwartej nad ranem.

Trzydzieści lat, które przeżył w zawieszeniu, zredukowało jego dobytek do niezbędnego minimum. Nie miał przeszłości i nie miał wspomnień, tym łatwiej obywatel się bez przedmiotów. Jedyne telefon, jaki posiadał, dostał od dyrektora agencji, był zarejestrowany na niewielką spółkę handlową z siedzibą w prywatnym mieszkaniu przy ulicy Idzikowskiego w Warszawie. W każdym kolejnym miejscu korzystał ze sprzętów, które zastał, niczego od siebie nie dodawał. Kanapa, która została po pani Z., już za jej życia nie nadawała się do użytku, sypiał na podłodze, w śpiworze, bo dowiedział się, że to najlepsze lekarstwo na kręgosłup. Wszystko inne musiało się zmieścić w wojskowym, brezentowym worku, z którym wysiadł z samochodu w pobliżu dworca kolejowego w Klagenfurcie i z którym siedem lat później wszedł na pokład samolotu w Kopenhadze*Kastrup, by wsiąść z nim na Okęciu. Ostentacyjnie zostawił po sobie ślady, odciski palców i DNA, bo od lat nie należały już do nikogo. Szmata czasu, nim gdzieś w odległej Kanadzie odszukają córkę pani Z. Człowiek, któremu przed laty wynajęła mieszkanie po matce, zaginął. Wyjechał i nigdy nie wrócił. Nie odpisywał na listy, a regularne przelewy przychodziły z anonimowego konta w maleńkim banku na Saint*Vincent*et*les*Grena*dines, więc może tam należało go szukać? Czy zatem poczuł ukłucie w sercu? Opuszczał swoje ukochane Powiśle. Rzadko tu

bywał. Stanowczo za rzadko, czego teraz szczerze żałował. Zdołał się przywiązać, a zabrakło czasu, żeby się nasycić. Nie będzie się mazgał. Zamknie kolejne drzwi, wyrzuci klucz. O czwartej nad ranem temperatura powietrza spadła poniżej zera. Z workiem na ramieniu wspiał się na most Poniatowskiego, wsiadł w nocny tramwaj, wysiadł na rondzie Waszyngtona i ruszył w głąb Francuskiej.

Czuł się fatalnie. Żałośnie i trochę upokorzony. Wszystko, co zrobił, dosłownie wszystko, utraciło swój sens, skoro wciąż jedynym miejscem, do którego mógł wrócić, był salon z fortepianem. Nie zdjął białego pokrowca. Matka czaiła się w jakimś ciemnym kącie, na szczęście milczała. Najchętniej zapadłby się w siebie, zastygł w bezruchu i nie robił nic. Po prostu trwał. Ocieężały i bezwolny. Napełnił kieliszek koniakiem i położył się na kanapie. Jeszcze kilka godzin zostało do świtu. W paczce, którą wraz z zapalniczką znalazł w torebce Jovany, zostały już tylko dwa papierosy. Doprawdy trudno o lepszy moment.

Dlatego przytulił się do komisarz Agaty Zawadzkiej. Budził się razem z nią i zasypiał. Nie wymyślił żadnej strategii.

Niczego nie zaplanował. Jedynie wiedziony nieznanym mu dotąd instynktem samobójcy z każdym dniem i z każdą godziną zbliżał się do niej coraz bardziej. Zacierał dystans. W nadziei, że wreszcie go wyczuje. I że komuś o tym powie. Ze zrobi coś z tą jego nachalną obecnością. Że zakończy to, co zapoczątkowała Jovana, przyjeżdżając do Warszawy.

Obserwował ją, gdy zziębnięta i zgarbiona, ledwo widoczna we mgle, wpatrzona w chodnik, szła od przystanku autobusowego przy Gagarina do drzwi klatki schodowej ponurego prostopadłościanu w nijakim kolorze, którego jedyną ozdobą były małe balkoniki. W którym była samotna. Im dłużej ją obserwował, tym bardziej jej twarz robiła się zdecydowanie mniej banalna, może nawet ładniejsza, na pewno jeszcze bardziej intrygująca. Polubił jej zmarszczki. Ostre bruzdy, które zamykały z dwóch stron zmysłowe usta. Dziwny, blady blask, który odbijał się w smutnych brązowych oczach. Żałował głęboko, że nie mógł stać za jej plecami w łazience, gdy myła zęby. Być obok, gdy się przebierała do snu. Poznać zapach jej ciała. Poczuc woń, którą wydzielalo, gdy się spocila. I gdy była podniecona. Rozkładała uda i unosiła do góry

drobne, bosc stopy. Łaczyła skromnie ich palce czy bezwstydnie je rozczapierzała, a piętami zapierała się o niewidzialną zaporę? Zadzwoził do dyrektora agencji, że chce wziąć krótki urlop. Nie było sprzeciwu. Bogiem a prawdą nie był tam nikomu potrzebny.

Opakowany fortepian milczał, podobnie jak matka. Nie zaplimkał i nie zaplumkał. Jedynie Ana P. naga niespodziewanie stanęła w szpitalnym korytarzu w Miinster. Jej blade, poznaczone rudymi piegami i niemal bezwłose ciało zajaśniało w ciemności. Jeszcze nie zdążyła podciąć żył, więc nie krwawiło. W przeciwieństwie do równie nagiego ciała Svety Kuzmanović, która nie wie, czemu stanęła obok. Jej ciało krwawiło obficie. Choć obie były mniej więcej w tym samym wieku, Sveta miała większe piersi, nie miała małej blizny na brzuchu w okolicach pępka i zdążyła już urodzić dwójkę dzieci. Dzieci jeszcze żyły, gdy spływała krwią i stała przed nim, a cała wioska Blinski Kut płonęła jak pochodnia za jej plecami. Jedyna nadzieja, którą jeszcze nosiła w sercu, była taka, że przynajmniej dzieci przeżyją, skoro jej mąż, Dżordże, nie tylko pozbył się dla nich swoich ramion i nóg, ale poświęcił też genitalia i głowę, a ona przecież była w pełni gotowa pójść w jego ślady, byle tylko maleństwa przeżyły. Milan stał nieco dalej, jakieś dwa, trzy metry, i żuł ten ohydny ogryzek taniego cygara. Zgwałcili ją po kolei całym oddziałem, a przecież nikt inny jak właśnie on pierdolił im coś o jakichś procedurach. Więc niech nie gapi się na mnie i pozwól spokojnie wypalić cygarko. Dzieci, nie dzieci, nikt z tego żywy nie wyjdzie. Takie są nasze procedury. Nasze, żebyś miał jasność.

Przewrócił się na prawy bok i wtulił twarz w oparcie kanapy.

Dzień był jak poprzednie i nie dawał żadnej nadziei na choćby promyk słońca, gdy trzecią godzinę siedział za kierownicą wynajętego matiza na popękany, asfaltowym parkingu na zapleczu obskurnego, piętrowego i betonowego motelu z czasów późnego Gierka. Kiedyś w jego oblegany barze na parterze serwowano coca*colę i butelkowane piwo Żywiec w wersji eksportowej. Teraz baru już nikt nie oblegał. Trwał jeszcze siłą bezwładności i coraz niższych cen, na granicy opłacalności. Poza tą dziwną, zagubioną parą nie miał już żadnych klientów.

Poczuł zazdrość. Zwyczajną, męską i pospolitą, o której istnieniu, kurwa mać,

zapomniał. Bo w żaden sposób nie mieściło mu się w głowie, że ta nieatrakcyjna kobieta po czterdzieście mogła mieć tak młodego kochanka. Jak to było możliwe, że ktoś jeszcze oprócz niego był zdolny dostrzec w niej to, co czyniło ją inną od reszty? Potwornie go to ubodło. W dodatku skurwysyn miał żonę i dziecko, skoro woził koszmarny, dziecięcy fotelik na tylnym siedzeniu. Wydelikacony przystojniaczek. Więc jednak musiała mieć cholernie silną osobowość. Myśl o tym, że mogła zrobić laskę temu gnojkwowi, naprawdę go zabolęła. Z drugiej strony, upita seksem była łatwiejszym łupem.

Doktor Wolfgang Tietz najpierw zademonstrował mu ucisk na krtań, potem obejrzał uważnie mięśnie jego ramion, policzył ich szerokość i doradził zwykłe skręcenie karku. Ćwiczyli to w nieskończoność. Liście na drzewach wokół ośrodka wypoczynkowego pod Eberswalde zmieniały swój kolor. Jesienią doktor Tietz zabrał go do Berlina Wschodniego na degustację bockbier. Lali je do dzbanów w oknie browaru w Pankow, dwie przecznice od Thulestrasse, gdzie w ciasnym, jednopokojowym mieszkaniu z kuchnią, ale bez łazienki rozpoczynał swoje życie od nowa Paul, pierwszy mąż Annabel, żony doktora Tietza. Do kwietnia osiemdziesiątego pierwszego roku Paul był etatowym fotoreporterem „Neues Deutschland” i miał zupełnie inne mieszkanie. Ósmego kwietnia osiemdziesiątego pierwszego, wczesnym wieczorem, w miejscu jak najbardziej publicznym, po czterech kuflach piwa i trzech kieliszkach czystej wódki bąknął coś wyjątkowo głupiego na temat Polaków. Ze raz wreszcie można by wziąć z nich przykład. Annabel zawsze podkreślała, że był wiecznym chłopcem, niepoprawnym idealistą. Taki Piotruś Pan, który nigdy nie dorósł. Doktor Tietz przywołał jej słowa i spokojnie, jak zawsze rzeczowo tłumaczył się, że to przecież tylko były mąż, żaden krewny, nie utrzymywali kontaktów, bo Annabel nie miała z nim dziecka, więc nie było bezpośrednich powodów, by je utrzymywać. Towarzysze ze zrozumieniem przyjęli jego wyjaśnienia, a jednak starannie zaplanowana kariera zatoczyła koło i wróciła do punktu wyjścia. Doktor Tietz nie miał poczucia humoru i nie dopatrywał się złośliwej ironii w tym, że właśnie wyszkolił Polaka. A był to pierwszy Polak w jego życiu. Wcześniej, przed awansem szkolił młodych i

zawziętych braci zza muru. Wciąż miał w pamięci piękną i biuściastą Heike D., którą wirus rewolucji dopadł w komunie z Oranienstrasse w zachodniej części teoretycznie tego samego miasta. Ich rewolucja skończyła się jednak szybciej i gdy wrócił do ośrodka w Eberswalde, zostali mu już tylko Palestyńczycy. No i ten Polak.

Bockbier lali do dzbanów za kilka marek, prawie za darmo. Doktor Tietz był oszczędny z natury, jak każdy podwładny Honeckera, ale uważał też, że takie proste picie z dzbana zbliżało, wytwarzało więc nie do przecenienia. Nigdy jednak nie padło z jego oszczędnych ust pytanie o lojalność. Mężczyzna w białym garniturze też nigdy o nią nie zapytał. Bo obaj w cichym porozumieniu w mig pojęli, że jedynym kluczem do jego istoty była pomoc w zacieraniu śladów, odpruwaniu naszywek. A w tym jak nic innego pomagały perfekcyjne, enerdowskie paszporty, które przechodziły wszystkie, najbardziej wnikliwe kontrole graniczne, bez względu na to, czy opiewały na Togo, Zjednoczone Królestwo, Danię, Kamerun, Brazylię czy Emiraty Arabskie. Ze jeśli to zrobią, w zamian otrzymają wszystko, także to, co inni nazywają lojalnością. Ze na miękko i aksamitnie zassie Bruce'a 2, aż ten dumny i blady powie Bruceowi 1: pozyskałem go. I dobrze, że tak się stało, bo tu, w tym piekielnym tyglu, nasze interesy nie muszą się wykluczać, a ten religijno*nacjonalistyczny burdel nikomu się przecież nie podoba. I niczemu, kurwa, nie służy.

Z całej wschodniej i przygnębiająco smutnej części Berlina, przygniecionej bezużyteczną bramą i wieżą telewizyjną,

dzielnica Pankow wydawała się najbardziej ludzka i pewnie dlatego zapadła mu w pamięć. Miała swój U*Bahn, S*Bahn i wielkomiejski szyk, ale była też zaciszna, przytulna, miłusia i przewidywalna, jak ośrodek wypoczynkowy pod Eberswalde. Przez chwilę nawet pomyślał, żeby się tu zaszyć. Wtopić w uporządkowaną masę ludzi bez wyrazu i właściwości. Jak to właśnie zrobiła Heike D., zmęczona podkładaniem bomb własnej roboty, a potem już tylko jałową, wycieńczającą ucieczką, która prowadziła donikąd, szukaniem kolejnych lipnych kryjówek, zbyt szybką jazdą na motorze, uzi schowanym pod skórzaną kurtką, która z biegiem lat zrobiła się zwyczajnie za ciasna. Bo po czterdziestce nawet rewolucjonistkom robią się wałki i biust opada. Więc teraz, w berecie i szarym płaszczu, który się nie

wyróżniał, codziennie rano wsiadała w U*Bahn i jechała do pracy w ośrodku kultury palestyńskiej. W tym samym czasie enerdowska grupa rockowa o nazwie Pankow zaśpiewała niewesołą historię o niejkiej Inge Pawelczik. Machs gut Inge Pawelczik, du wilde Wahnsinnsmaus. Wir haben die ganze Nacht geliebt in deinen Hinterhaus. Rok później Udo Lindenberg zaśpiewał Sonderzug nach Pankow, czym mocno wkurwił biednego Honni.

39

To były chyba wyprostowane palce. Złączone. Płatki śniegu powoli pokrywały szybę hondy i nie topniały. Osiadały na krzakach wzdłuż parkingu. Zmierzchało się. Szare niebo szarzało jeszcze bardziej, zacierało kontury i było tak pusto i tak cicho dokoła. Pobliska szosa mruczała wytłumiona, jak za grubą szybą. Rozgrzany oddech parował w zimnej, nieruchomej wilgoci. Wielkie, czarne ptaki w milczeniu kołowały nad głową, szykując się do snu. Weber został w pokoju. Mężczyzna w recepcji uśmiechnął się do niej przyjaźnie, gdy wychodziła z motelu.

Szelest, który rozległ się na parkingu, za jej plecami, był zamierzony. Miała go usłyszeć i odwrócić się. Cios nie był mocny, ale precyzyjny. Trafił dokładnie tam, gdzie miał trafić. W punkt pomiędzy krtanią a nasadą mostka, gdzie spotykały się ze sobą dwa obojczyki. W ułamku sekundy odciął ją od powietrza i zrobiło się czarno. Nabrzmiała żyła skroniowa zaczęła łomotać coraz szybciej i z coraz większym hukiem, a serce, jak dobrze napompowana piłka wprawiona w ruch silnym kopnięciem, z jeszcze większą prędkością i jeszcze większym łoskotem odbijało się od ścian klatki piersiowej. Nie mogła otworzyć ust i znów zaczęła się dusić.

Konwulsyjnie wciągnęła nosem powietrze.

Tyle, ile mogły pomieścić płuca. I poczuła przeszywający ból tuż poniżej krtani. Ale strach przed uduszeniem był silniejszy, więc raz za razem zadawała samej sobie ten okropny ból. Łzy rozkleiły powieki i zrobiło się jaśniej. Pierwsze, co zobaczyła, to oparcie tylnego siedzenia, fragment tylnej szyby, za którą przesuwało się ciemniejące niebo i kawałek sufitu. To był jej samochód, który jechał. Nadal nie mogła otworzyć

ust, a złączone na plecach ramiona i nogi były unieruchomione. Leżała na tylnym siedzeniu, na lewym boku. Czubkiem głowy do prawych drzwi. Czuła stłuczenia na obu kolanach. Musiała na nie upaść. Metodycznie brała płytsze oddechy, aż żyła skroniowa uspokoiła się i zostało już tylko serce, które uderzało tuż pod gardłem, raniąc bez litości obolałe po ciosie miejsce.

Samochód zjechał z gładkiej nawierzchni i zakołysał się na wybojach. Wysłużone zawieszenie stękało i skrzypiało. Znikające w ciemniejącej szarości czubki drzew przesuwwały się za tylną szybą. Odliczała upływające sekundy i wyszło jej, że zatrzymali się mniej więcej po siedmiu minutach. Silnik zgasł, a przez otwarte od strony kierownicy drzwi do wnętrza wślizgnęło się zimne, lepkie od mokrego śniegu powietrze. Wysiadł i usłyszała jego kroki. Zapalił papierosa. Trzymał go w ustach, gdy prawe drzwi, te od strony jej głowy, otworzyły się, a silne dłonie chwyciły ją pod ramiona i wyciągnęły z samochodu. Nosem wdychała dym, który zawirował nad czołem, i zobaczyła srebrzystą, szeroką na kilka centymetrów, odblaskową taśmę klejącą, która skrępowała jej nogi w kostkach. Boleśnie uderzyła kością ogonową o pokrytą świeżym śniegiem, przymarzającą ziemię. Prostokąt takiej samej taśmy musiał zalepić jej usta. Byli w jakimś lesie i wreszcie go zobaczyła.

Niebieskie oczy patrzyły na nią z uwagą i wyraźnym zaciekawieniem. Jak gdyby przyglądały się dopiero co odkrytemu gatunkowi ptaka. Albo istocie z obcej planety. To były bardzo dziwne oczy i chyba nigdy wcześniej takich nie spotkała. Szukała w głowie słów zdolnych je opisać, ale jedno było pewne, nie było w nich litości. Ani chyba żadnych innych uczuć. Nie uśmiechały się i nie straszyły. Były jedynie zaciekawione. Choć kryły się za ciężkimi, znużonymi powiekami, ich niebieska barwa miała intensywność, która pozostawała w jawnej sprzeczności z jego wiekiem, a miał grubo ponad pięćdziesiąt lat. Szczupła, gładko wygolona twarz też była dziwna, w zasadzie brzydka, ale w tej brzydocie było coś uwodzicielskiego. Duży, lekko garbaty nos, wyraziste usta wykrzywione w dwuznacznym, może i pogardliwym grymasie, stanowczy podbródek. Wszystko zryte siatką głębokich bruzd i zmarszczek. Długie, gęste i kompletnie siwe włosy zaczesał za uszami, ale jeden kosmyk opadł na pobrużdżone

czoło. I przypomniała sobie, jak wpadli na siebie w drzwiach pałacu, kiedy wychodziła z ostatniej odprawy przed szczytem. Spłoszył ją swoim niskim, dobiegającym z dna brzucha głosem, więc nawet na niego nie spojrzała, ale zapamiętała ręcznie szyte buty, które dziś też miał na nogach, grzywę siwych włosów i wysoką, smukłą sylwetkę o szerokich ramionach, gdy oddalał się korytarzem. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Garbił się trochę, ale wciąż czaiła się w nim gibkość, zwinność, natychmiastowa gotowość do walki. Takie same były jego dłonie o długich, silnych palcach i zadbanych paznokciach. To było irracjonalne, ale przez sekundę pomyślała, że chciałaby poczuć takie dłonie na swoim ciele. Miał na sobie zwykłe dzinsy i bardzo starą, dwurzędową kurtkę ze skóry, którą rozpiął. Palił papierosa i patrzył na nią. Potem czubkiem ręcznie szytego buta rozdeptał niedopałek, ale nadal na nią patrzył. Wdychała nosem powietrze, a wraz z nim zatęchłą wilgoć, jak wtedy, w zagrzybionym domku na działkach wzdłuż Wału Zawadowskiego, gdy Mielcarek chytrze usiłował wślizgnąć się prawą dłonią do starej szuflady. Pamiętała, jak przeszył ją prąd od czubka głowy po końce palców u stóp, dlatego w rozpaczy sięgnęła do ukrytej pod kurtką kabury i zaraz potem nastąpiła wielka cisza. Teraz to trwało wieczność. Prąd przeszywał ją bez końca, znużona, coraz bardziej obojętniała. Bo nie było żadnej kabury, ani pod kurtką, ani w torebce, która gdzieś się w tym wszystkim zapodziała. Zresztą i tak nie mogła ruszyć ani ręką, ani nogą. Czuła, jak spodnie przemiękały od mokrego śniegu. Pomyślała tylko o Kaśce, czy da sobie radę sama. Ze na szczęście miała numer telefonu pięknego Lola, więc na pewno zadzwoni do niego i powie mu, co się stało. Może ten wreszcie przypomni sobie, że jest ojcem, i wróci. Zaopiekuje się córką. Zadba, by skończyła studia. Podszedł do niej. Kucnął i nagle dotknął. Wierzchem lewej dłoni przesunął delikatnie po jej prawym policzku. A potem przysunął swoją twarz bardzo blisko i nosem wciągnął powietrze. Obwąchał ją. Też poczuła jego zapach, ale nie była w stanie go określić. Wyprostował się i odszedł na trzy metry. Z kieszeni skórzanej kurtki wyjął nóż sprężynowy, wysunął długie, obosieczne ostrze i znów usłyszała jego niski,

dołujący głos, od którego ciary przeszły po plecach.

* Kupiłem go w osiemdziesiątym ósmym w Dubrowniku. Nigdy się z nim nie rozstawałem.

Wbił ostrze w ziemię dokładnie tam, gdzie stał, odwrócił się do niej plecami i zniknął między pniami drzew. Plim**plim*plum*plum*plam*plam zastukały gdzieś w niebie klawisze, ale tego Agata Zawadzka nie mogła przecież usłyszeć.